

ANDREW WILSON

KŁAMLIWY JEZYK

Z angielskiego przełożył Krzysztof Oblucki

Tytuł oryginału THE LYING TONGUE

To nie jest książka, jaką chciałem napisać,
w ogóle wszystko miało być inaczej

I

Gdziekolwiek poszedłem, wszędzie w sercu tego miasta widziałem znak zapytania. Po raz pierwszy zdarzyło mi się to na lotnisku, gdy czekałem przy pasie transmisyjnym z bagażami. Wyjąłem przewodnik i spojrzałem na plan umieszczony na końcu. Miałem wrażenie, jakby chciał zeskoczyć ze strony: Canale Grande wił się przez podmokły łąd niczym nieustraszonego ptaka.

Rozejrzałem się wokół i zacząłem zastanawiać, co sprowadzało tych wszystkich ludzi do Wenecji. Młody Chińczyk skupił całą uwagę na wsuwaniu nowej karty SIM do komórki. Atrakcyjna kobieta o ciemnej skórze zdjęła okulary, z kieszeni żakietu wyciągnęła małe lustro i zaczęła wkładać szkła kontaktowe przypominające cieniutkie rybnie łuski. Łysy mężczyzna, w którego ogolonej czaszce odbijało się żółtawe światło lotniska, czekał niecierpliwie na bagaż, rozglądając się nerwowo.

Sam dobrze wiedziałem, dlaczego tu jestem. Uśmiechnąłem się do siebie, gdy porównałem własną sytuację z położeniem przyjaciół, którzy zostali w Londynie i przygotowywali się do nudnych studiów podyplomowych albo zarabiali mniej od średniej krajowej na posadach w tak zwanych twórczych dziedzinach. Mój najlepszy przyjaciel, Jake, dostał właśnie pracę jako młodszy redaktor kolumny towarzyskiej w jakiejś gazecie i jest tak biedny, że musi ratować się tanim winem i darmowymi tartinkami. Pragnąłem czegoś lepszego.

Na ostatnim roku studiów powtarzałem ludziom, może trochę z głupoty, że mam zamiar napisać powieść. Ale w Londynie zbyt wiele rzeczy rozprasza uwagę. Potrzebowałem też czasu na pisanie. A teraz będę go miał.

Parę miesięcy temu Jake powiedział, że jeden z kumpli jego ojca, jakiś włoski inwestor, szuka kogoś, kto zgodziłby się przyjechać do Wenecji i pomóc jego szesnastoletniemu synowi w angielskim. To była

doskonała okazja. Plan polegał na tym, że uczyłbym Antonia rankami, a dzięki temu resztę dnia miałbym na pracę nad własną książką, której akcję postanowiłem osadzić w Wenecji. Po półgodzinnej rozmowie przez telefon i pośpiesznej wymianie e-maili dostałem tę pracę. Pensja nie była zbyt wysoka, około trzystu euro miesięcznie, ale łączył się z nią darmowy pokój. Miałem zacząć za kilka dni. Wprost nie wierzyłem własnemu szczęściu.

Po odebraniu bagażu i załadowaniu go na wózek wyszedłem w gorącą noc. Na niebie migotał różowawy księżyc. Razem z innymi ruszyłem w kierunku przystani przez całą galerię prowizorycznych plastikowych tuneli zupełnie pozbawionych przewiewu. Gdy wdychałem nagrzanę powietrze, miałem wrażenie, że parzy mi gardło. Kiedy zbliżyłem się do stanowiska Alilaguny, usłyszałem chłopotanie wody omywającej ściany doku. Wyobraziłem sobie czystą, przyjemną toń. Jednak to, co zobaczyłem, zaszokowało mnie – była to ciecz bardziej przypominająca smołę – gęsta, lepka i pokryta oślizgłą warstwą, po której pływały jakieś śmieci. Na powierzchni wody unosił się martwy gołąb, jego ciało kołysało się bezwolnie na falach odpływu. Prąd skierował truchło bliżej doku. Ptakowi brakowało oczu.

Nie musiałem długo czekać na łódź. Kupiłem bilet na pokładzie. Następną godzinę płynąłem przez pogrążoną w ciemności lagunę. Na przystanku znajdującym się najbliżej placu Świętego Marka wytaszczyłem bagaże na brzeg i przystanąłem, żeby przestudiować plan. I znowu ten znak zapytania. Znalazłem małą uliczkę tuż za *piazza* i zapamiętałem jej lokalizację. Zacząłem iść przez plac. Wszędzie wokół słyszałem gruchanie gołębi – ich ton był nieznacznie drwiący.

Hotel okazał się mały i obskurny. Śmierdziało w nim zatęchłym tytoniem i złą kanalizacją. Właściciel, drobny facet o ziemistej cerze i półprzezroczystej skórze, czarnych prostych włosach i z ogromną,

obwisłą górną wargą, otaksował mnie kosym spojrzeniem. Wyciągnął dłoń ukrytą w czarnej skórzanej rękawiczce i podał mi klucz do pokoju numer 23 na ostatnim piętrze. Uśmiechnąłem się, wszedłem na górę po schodach i otworzyłem drzwi. Przez sufit biegły stare drewniane belki. Na cętkowanej brzoskwiniowej tapecie z papieru widać było plamy wilgoci. Pościel wyglądała na nieświeżą. W miniaturowej umywalce siedział karaluch. Ale zatrzymywałem się tu tylko na jedną noc. Nazajutrz miałem się przenieść do mieszkania Gondolinich niedaleko Arsenału. A na dzień następny zaplanowałem rozpoczęcie pracy nad książką.

Ponieważ spotkanie z signorem i signorą Gondolinimi zostało umówione na popołudnie, miałem mniej więcej cały dzień dla siebie na poznanie miasta. Wymeldowałem się z hotelu po śniadaniu i umówiłem, że bagaż odbiorę później. Choć nigdy przedtem nie byłem w Wenecji, miałem w głowie jej klarowny obraz – gigantycznej sceny unoszącej się na wodzie, architektonicznego krajobrazu jak ze snu. Mimo to niezaprzeczalne piękno miasta – Wenecji, jaką widziałem w bedekerach i na filmach – blakło w upalnych, białych promieniach słońca, przyćmiewały je też tabuny turystów. Przewodnicy wycieczek dźgali powietrze kolorowymi parasolkami, trzymając je wysoko w górze, i usiłowali przekrzyknąć wielojęzyczny harmider. Ludzie z nadwagą ocierali pot płynący im z każdego pora skóry. Wystrojone w sztuczną biżuterię kobiety ściskające modne złote torebki robiły, co mogły, by nie tracić rezonu na widok sklonowanych wersji samych siebie. Wielu mężów wyglądało na niewidzących, miało pozbawione wyrazu spojrzenia.

Przecisnąłem się na Rivę i całą trasę musiałem się przepychać przez tłum. Z planem w rękę przeszedłem nad Rio del Vin i skręciłem w lewo, zostawiając turystów za sobą. Kierowałem się w stronę Campo San Zaccaria, gdzie, jak głosi legenda, w któreś ze świąt archaniołów zjawił się diabeł, żeby porwać pannę młodą i zabrać ją do piekła, ale pan młody wystraszył go, rycząc jak lew świętego Marka. Nie mam pojęcia, czy to prawda, ale czytałem gdzieś, że rok w rok młodzi mężczyźni przychodzą na ten plac, żeby odtworzyć to zdarzenie, co ma jakoby gwarantować wierność ich przyszłych żon. Pomyślałem o Elizie, która została w Londynie. Miałem przed oczami jej obraz w łóżku z Kirkbym. Miał złamaną rękę, dlatego wyobrażałem sobie, jak pieprzy ją, przyciskając do piersi ramię na temblaku, jakby jednocześnie niańczył niemowlę.

Jednym pchnięciem otworzyłem drewniane drzwi kościoła i wszedłem

w jego mroczne, chłodne wnętrze. Jakaś starowina z pochyloną głową i zamkniętymi oczami klęczała w kościelnej ławie i, poruszając ustami, szeptała pacierze. Jej cienkie jak papier powieki drgały, jakby dopiero co zwlekła się z łóżka i nadal śniła. Minąłem ją i stanąłem przed *Sacra conversazione* Belliniego. W czasie gdy studiowałem historię sztuki, często wpatrywałem się w reprodukcję tego obrazu. Teraz wyjąłem monetę i wrzuciłem ją w szczelinę. Sztuczne światło zaalał arcydzieło, wydobywając z mroku postać anioła grającego na jakimś instrumencie strunowym u stóp zasiadającej na tronie Dziewicy z maleńkim Jezusem, który unosi dziecięcą piąstkę w geście błogosławienia czworga świętych stojących poniżej. Jest tam święty Piotr z kluczami i księgą, święta Katarzyna z fragmentem koła do łamania ciała, uczony święty Hieronim z opasłym tomem oraz święta Łucja trzymająca w ręku niewielkie naczynie, w którym miały znajdować się jej oczy, wyłupione przez Dioklecjana. Wyobrażałem sobie niewielkie kulki unoszące się na powierzchni słonej wody, ze źrenicami rozszerzonymi ze strachu i dezorientacji.

Kiedy oświetlenie zgasło, przeszedłem przed ołtarzem, gdzie podobno pochowano ciało świętego Zachariasza, ojca Jana Chrzciciela, i dalej ku prawej nawie z kaplicą Świętego Atanazego. Mężczyzna w ciemnych okularach siedział tam za biurkiem. Zapytałem go po włosku, ile kosztuje wejście, ale nie odpowiedział, zamiast tego gestem wskazał mi tabliczkę z napisem informującym, że opłata wynosi jedno euro. Dałem mu monetę, a on machnął ręką, żebym wchodził. Na ścianach nad piętnastowiecznym chórem wisiało sporo obrazów, w tym przedstawienie narodzin świętego Jana Chrzciciela, wczesna praca Tintoretta, scena z Dawidem trzymającym głowę Goliata namalowana przez Jacopa Palmę młodszego oraz, nad drzwiami, wyobrażenie torturowanego męczennika – mężczyzna trzymający coś, co wygląda jak pogrzebacz, wyłupuje świętemu oczy.

Wolnym krokiem zbliżyłem się do następnej kaplicy i podziwiałem

doskonale dzieła Vivariniego i d'Alemangy. Przez kwadratową szybę w podłodze dostrzegłem na niższym poziomie mozaiki, które ocalały z IX wieku, a kiedy zszedłem po paru schodach, znalazłem się w krypcie, zalanej teraz wodą sięgającą kilku centymetrów. W pomieszczeniu unosił się zapach stęchlizny, a kolumny i łuki odbijały się w lustrze wody, w sumie zrobiło na mnie klaustrofobiczne, przytłaczające wrażenie. Musiałem stamtąd wyjść. Przez obie kaplice wróciłem do głównej części kościoła i ruszyłem środkiem ku drzwiom.

Już na zewnątrz usiadłem, żeby wypić espresso i poczytać przewodnik. Chciałem zobaczyć plac Świętego Marka i Pałac Dożów, ale nie mogłem zmierzyć się z tłumem na *piazza*, dlatego postanowiłem odwiedzić najpierw Accademie. Powędrowałem bocznymi uliczkami, z dala od głównych szlaków turystycznych, *calle* tak wąskimi, że nigdy nie widziały słońca, aż ostatecznie wyłoniłem się w okolicy Campo Santo Stefano. Przeszedłem przez most Accademie, przystanąłem, żeby podziwiać widok na Canale Grande, ale kiedy zszedłem po schodach, zobaczyłem długą kolejkę wijącą się przed drzwiami galerii. Nie miałem ochoty na czekanie, nie mogłem znieść już samej myśli o staniu w pobliżu tych wszystkich ludzi, dlatego zdecydowałem, że pójde do Santa Maria Glorioso dei Frari, kolejnego kościoła, który poznałem w trakcie studiów, znajdującego się w pobliżu San Polo, kawałek dalej na północ. Kiedy szedłem przez Campo Santa Margherita, doleciał mnie smakowity zapach smażonego czosnku, świeżych pomidorów i siekanej bazylii. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła trzynasta, czas na lunch. Usiadłem przy stoliku na ulicy w jednej z kafejek na placu i po tanim posiłku – *spaghetti al pomodoro* – rozglądałem się wokół i delektowałem każdym szczegółem. Dwaj mali chłopcy popiskiwali z radości, grając w piłkę na *piazza*, a odgłos piłki uderzającej o ziemię był idealnym echem bicia mojego serca. Gospodynie domowe gawędziły z mężczyznami w

fartuchach, sprzedającymi ośmiornice, krewetki, kraby i ryby na kilku zadaszonych straganach. Młode pary prowadziły się za ręce i karmiły nawzajem jaskrawokolorowymi lodami, których smaki mieszały się przy pocałunkach. Wszystko wydawało się takie ożywione, nowe. A ja mogłem wziąć w tym udział.

Wypiłem drugą kawę, zapłaciłem rachunek i poszedłem do Frari. W ogromnym kościele zbudowanym na planie litery T otoczył mnie poszept butów przesuwających się po marmurowej posadzce i dochodzące z dali wygłuszone mamrotanie przewodników wycieczek. Minąłem neoklasycyński pomnik nagrobny i skierowałem się do Canovy, piramidalnej struktury, w której znajduje się serce artysty, i dalej do *Madonny Ca' Psaro* Tycjana, portretu Jacopa Pesara czekającego na spotkanie z Marią i Dzieciątkiem. Ten obraz, jak mnie uczono, zrewolucjonizował malarstwo ołtarzowe w Wenecji, artysta bowiem zdecydował się przesunąć postać Dziewicy z tradycyjnie centralnej pozycji na jedną stronę, a także z powodu dbałości Tycjana o realizm namalowanej sceny. Kiedy oglądałem to dzieło, zbliżając się do niego i cofając, by móc lepiej podziwiać niebieską szatę świętego Piotra i harmonijną naturę całej kompozycji, z równowagi wyträcił mnie wizerunek chłopca w białym satynowym kubraku, usytuowany w prawym dolnym rogu. Niezależnie od tego, gdzie się przemieszczałem, zaciekawione, oskarżycielskie oczy młodzieńca podążały za mną, jakby chciały powiedzieć, żebym nie zapomniał, iż pewnego dnia tak samo jak on będę martwy. Choć usiłowałem zachwycać się innym arcydziełem Tycjana, *Wniebowzięciem*, dominującym nad głównym ołtarzem i resztą skarbów kościoła, grobowcami i posągami, nie mogłem się skupić. Prześladowała mnie twarz tego chłopca.

Tuż po piętnastej ruszyłem w drogę do Gondolinich. Poszedłem na przystanek *vaporetto* przy San Toma na Canale Grande i jakoś wcisnąłem się do zatłoczonego tramwaju wodnego. Musiałem rozpychać się łokciami,

żeby dostać się na rufę, i tuż za Accademia udało mi się znaleźć miejsce siedzące. Promienie słońca spowodowały, że woda wyglądała jak rtęć, a tworząca się poświata nadawała budynkom baśniowe odcienie. Kiedy łódź oddalała się od przystanku przy San Zaccaria, w przeszklonych drzwiach, oddzielających miejsca w zamkniętym pomieszczeniu od tych na otwartym pokładzie, zobaczyłem odbicie Campanile i kopuły Santa Maria della Salute. Kołysanie wywołało u mnie lekkie nudności, a gdy stanąłem na twardym gruncie przy Arsenale, nadal miałem wrażenie, że znajduję się na wodzie.

Powiedziano mi, że rodzina Gondolinich zajmuje kilka pokoi w odremontowanym magazynie tuż za rogiem Corderii, dawnej fabryki lin. Gdy zbliżałem się do mojego przyszłego sąsiedztwa, zauważyłem, że mniej tam turystów. Spojrzałem na plan miasta, żeby sprawdzić dokładną lokalizację szukanej ulicy, a potem szedłem, aż znalazłem się przed ogromnym budynkiem z czerwonej cegły, stojącym przy niewielkim kanale. Nacisnąłem dzwonek i czekałem. Żadnej reakcji. Nacisnąłem ponownie. I znowu nic. W torbie poszukałem wydruku e-maila od Nicola Gondoliniego. Adres się zgadzał. Może rodzina gdzieś wyszła. Przytknąłem palec do dzwonka i nacisnąłem kilka razy. Rozległo się kliknięcie i drzwi się otworzyły.

Na schodach panował mrok, wyciągnąłem rękę w poszukiwaniu włącznika światła. Kiedy to robiłem, usłyszałem dochodzący z góry, odbijający się echem męski głos.

– Adam Woods? Czy to ty, Adamie? Jesteśmy na górze.

Pomyślałem, że to Nicolo Gondolini. Może był wcześniej zajęty w łazience albo rozmawiał przez telefon.

Wspiąłem się po drewnianych schodach, zatrzymując się co jakiś czas, żeby wymacywać drogę przed sobą, zanim oczy przyzwyczają się do półmroku. Na drugim piętrze dostrzegłem otwarte drzwi. Zatrzymałem

się na chwilę, nim wszedłem do środka. Mężczyzna stał przy oknie tyłem do mnie, jego postać otaczało oślepiająco białe światło. Osłoniłem oczy przed rażącą jasnością.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, usłyszałem za sobą stukanie obcasów o marmurową posadzkę. Obróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z kobietą. Wszystko w jej wyglądzie kojarzyło się z lalką, filigranową i idealną. Była w średnim wieku, ale, co dziwne, jej alabastrowa twarz nie miała śladu zmarszczek.

– Cieszę się, że pan przyszedł, Adamie – powiedziała.

Mówiła po angielsku z silnym włoskim akcentem, a słowa wymawiała tak, jakby głosem odnajdywała drogę w terenie pełnym śliskich i stromych skał. – Nicolo również jest zadowolony, że pan przyszedł.

Kiedy wymienialiśmy uścisk dłoni, wskazała gestem męża, mężczyznę stojącego przy oknie, który obrócił się i podszedł do mnie. Podobnie jak żonę, Nicola Gondoliniego charakteryzowała nieskazitelna prezencja, był mocno opalony, a pokryte żelazem włosy miał zaczesane z czoła do tyłu. Na nadgarstku dostrzegłem u niego masywny zegarek z cyferblatem wysadzany brylantami.

– Tędy, proszę – odezwał się Gondolini, wskazując pokój znajdujący się po drugiej stronie korytarza. Zmarszczył przy tym czoło, może dlatego, że mówienie po angielsku sprawiało mu pewną trudność.

Powiedziałem im, że znam włoski w stopniu podstawowym i jeśli będą mówili powoli, na pewno ich zrozumieję – i tak od tej pory rozmawialiśmy wyłącznie w ich ojczystym języku.

We trójkę weszliśmy do pokoju przypominającego biały sześcian. Jedynymi meblami były tam niska szara sofa i fotel z wysokim oparciem. Na ścianach nie wisiał nawet jeden obraz, nie stała żadna półka z książkami.

– Proszę usiąść – odezwał się *signore* Gondolini, wyciągając rękę w

stronę sofy.

Jego żona uśmiechnęła się do mnie uspokajająco, ale ja czułem, że coś tu nie gra. Nicolo spuścił wzrok na podłogę.

– Obawiam się, że... mamy... coś w rodzaju... problemu – rzekł w końcu.

– Tak – dodała jego żona. – Może najlepiej będzie, jeśli od razu przejdziemy do rzeczy. Wszystko wskazuje na to, że nie możemy zaoferować panu pracy, panie Woods.

– Słucham? – Nie bardzo rozumiałem.

Signora Gondolini obróciła się do męża, oczekując od niego, że wszystko mi wyjaśni, on jednak unikał mojego wzroku.

– Na czym polega ten problem? – zapytałem.

– Chodzi o to, że... – zaczęła pani Gondolini. – Sprawa jest raczej... krępująca. Wszystko zostało już dla pana przygotowane, no i Antonio niecierpliwie oczekiwał pańskiego przyjazdu. Ale wtedy wyszło na jaw coś... delikatnej natury.

Nastąpiła kolejna chwila milczenia, kiedy oboje wymieniali spojrzenia. Nicolo skinął lekko głową w jej stronę, jakby pozwalał żonie, żeby kontynuowała.

– Wygląda na to, że nasz syn zachował się nedorzecznie – mówiła dalej. – Wczoraj późnym wieczorem zadzwonił do nas mąż naszej pokojówki. Kiedy tylko podniosłam słuchawkę, zaczął krzyczeć. Poprosiłam, żeby się uspokoił i mówił wolniej. Wyzywał Antonia od najgorszych, używał ordynarnych, bulwersujących przekleństw, których nie muszę panu powtarzać. Niemniej powiedział, że... Antonio spotyka się z jego córką, Isolą. Dziś rano dziewczyna nie wstała z łóżka. Matka poszła do niej, żeby sprawdzić, co się dzieje. Początkowo Isola nie chciała jej nic powiedzieć. Ale potem niechcący się wygadała. Jest w ciąży. Nosi w łonie, jak twierdzi, dziecko Antonia.

Jej głos ucichł do szeptu, dlatego musiałem pochylić się odrobinę w jej stronę. Leciutko pachniała fuksją.

– Widzi pan, Adamie, ona ma dopiero czternaście lat i...

– Łatwo może pan sobie wyobrazić, co zrobiliśmy – Nicolo wszedł jej w słowo. – Wypytałśmy go, chcieliśmy wiedzieć, czy to prawda. Tak, spotykał się z Isolą, coś ich łączyło. Ostatecznie wyznał, że jej nie zostawi – cóż za absurdalny pomysł. Głupi chłopak! Ma dopiero szesnaście lat. Całe życie przed nim. Nonsens!

– Wybuchło prawdziwe zamieszanie, jak pewnie się pan domyśla, Adamie – powiedziała jego żona. – Nie mogliśmy jednak pozwolić, żeby marnował sobie życie. Dlatego już dziś rano wsadziliśmy go w samolot do Nowego Jorku. Będzie tam mieszkał u mojej siostry. Nadal oczywiście mamy ogromny kłopot z rodzicami Isoli, Bóg mi świadkiem, że dalsze zatrudnianie Marii będzie teraz praktycznie niemożliwe, ale musimy jakoś to załatwić. Obawiam się jednak, że taki obrót spraw nie jest dobry dla pana, nie myślę się, prawda?

Mój nowy świat właśnie się zawalił, ale mimo to pokiwałem po prostu głową ze współczuciem.

– To jasne, ale nic nie możemy na to poradzić – odparłem. – Znajdę sobie coś innego. Jak pani wspomniała, musicie państwo zrobić to, co będzie najlepsze dla Antonia. Wydaje mi się, że równie dobrze może poprawić angielski w Nowym Jorku, jak tkwiąc tutaj ze mną.

– Cieszę się, że pan to rozumie, Adamie – powiedziała. – To uprzejmie z pana strony. Nicolo i ja bardzo martwiliśmy się pańską reakcją. Czujemy się za pana odpowiedzialni.

Wielka dłoń Nicola powędrowała do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnęła stamtąd portfel.

– Zapłacimy panu za pierwszy miesiąc, przynajmniej tyle możemy – odezwał się. – A gdyby pan czegoś potrzebował, proszę się z nami

skontaktować.

Wziąłem trzysta euro. Wiedziałem, że na długo to nie wystarczy, niemniej i tak uśmiechnąłem się i podziękowałem.

– Co zamierza pan teraz zrobić? – zapytała signora Gondolini. – Wróci pan do Londynu? Moglibyśmy zapłacić za pański bilet, prawda, Nicolo?

– *Si, si*, oczywiście – przytaknął. – Niech pan sobie zrobi krótkie wakacje, a potem da nam znać, gdy będzie pan gotów do powrotu. Kupimy panu bilet.

Ale co Wielka Brytania mogła mi zaoferować? Zerwany związek i perspektywę spędzenia lata w domu z rodzicami w Hertfordshire. Chciałem napisać powieść. Kiedy powiedziałem ojcu o tym ambitnym planie, jedynie uśmiechnął się szyderczo. Nie, musiałem tu zostać.

– Myślę, że przez jakiś czas pobędę w Wenecji. Chyba spróbuję znaleźć inną pracę. W tej chwili nie mam specjalnej ochoty na powrót do domu...

Signora Gondolini zerwała się z fotela, jej włosy, doskonale ostrzyżone na pazia, kołysały się wokół twarzy. Kiedy mówiła, jej dłonie uderzały powietrze niczym skrzydła motyla.

– Nicolo... Nicolo – odezwała się z radością w głosie. – Mam!

– *Cosa?* – Mąż popatrzył na nią z lekką irytacją.

– Idealna praca... dla pana Adama – tłumaczyła, obracając się do mnie. – Aż nie mogę uwierzyć, że wcześniej o tym nie pomyślałam.

Kilka razy głośno zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej.

– Pamiętasz tego starszego dżentelmena, Anglika, któremu Maria załatwiła jakieś sprawy?

Mąż spojrział na nią obojętnym wzrokiem.

– No wiesz, tego, który nigdy nie wychodzi z domu. Jak on się nazywa, to pisarz... Gordon, Gordon... Crace. O, właśnie. Ten, który napisał książkę wiele lat temu, a potem... już niczego nie wydał.

Wyraz twarzy Nicola wskazywał, że nadal nie bardzo rozumie, o czym jego egzaltowana żona papie z takim ożywieniem. Nie miałem wątpliwości, że jeśli o niego chodziło, uważał, że sprawę załatwił. Był bogatym człowiekiem, który uspokoił własne sumienie, dając mi pieniądze i proponując kupienie biletu. Teraz chciał jedynie się mnie pozbyć. Mój lichego wyglądu zaczynał najwyraźniej go męczyć i psuć elegancję otoczenia.

– Poznaliśmy go w ogóle? – zapytał.

– Nie, mówiłam przecież, że od lat nie wychodzi z domu -wyjaśniła.
– Ale Maria mi wspominała, że postarzał się trochę i... potrzebny mu ktoś do towarzystwa. Ktoś, kto mu zrobi zakupy, załatwi jego tajemnicze sprawy. Posprząta trochę mieszkanie. Czy podjąłby się pan czegoś takiego, Adamie?

Prawdę powiedziawszy, wszystko, co by mi pozwoliło zostać w Wenecji, zaakceptowałbym z entuzjazmem, a ta oferta dodatkowo mnie zaintrygowała.

– Tak, oczywiście, brzmi wspaniale – odpowiedziałem.

Ale wtedy twarz się jej wydłużyła.

– Zdaje się, że to nie takie łatwe? – zapytałem.

– Cóż, może być mały problem. Najprościej byłoby skontaktować się z nim przez Marię. Ale teraz sytuacja między nami jest odrobinę skomplikowana. Jak się pan domyśla, nie jest już do nas zbyt przyjacielsko nastawiona, i wątpię, żeby wróciła do pracy.

– Tak, rozumiem.

– Ale... Dam panu jego adres. Maria podała go kiedyś jako źródło referencji, ale chyba nigdy nie dostaliśmy odpowiedzi na list, prawda?-
Nicolo pokręcił przecząco głową. – Mimo wszystko jednak może powinien pan do niego napisać. Bo telefonu na pewno nie ma.

Wyszła z pokoju i wróciła z kartką papieru i wiecznym piórem. Atrament zapełniał białą powierzchnię wspaniałymi, zamaszystymi

pętlami. Podała mi ją, a ja przeczytałem adres: Palazzo Pellico. Calle della Cella. Musiałem wyglądać na kompletnie zdezorientowanego, bo zaraz potem signora Gondolini wyjęła plan miasta.

– Spróbuję pokazać to panu na mapie.

Może to tylko moja wyobraźnia, ale byłem przekonany, że w miarę jak jej palce się przesuwały, kreśliły na planie znak zapytania.

Nie zniósłbym dłuższego pobytu w hotelu przypominającym spelunę, dlatego skorzystałem z rekomendacji Gondolinich i poszedłem do taniego, ale czystego pensjonatu w Castello. Mieli tam wolny pokój – nic specjalnego, ale przynajmniej na myśl o położeniu się do łóżka nie przechodziły mnie ciarki. Po rozpakowaniu się poprosiłem o kartkę papieru i kopertę, a potem w małym barze napisałem list, w którym pytałem pustelnika Gordona Crace’a o możliwość znalezienia u niego pracy.

Zanim jednak wyszedłem od Gondolinich, *signora* zapoznała mnie z krótką, niemniej robiącą spore wrażenie, karierą literacką Crace’a. Jego pierwsza i jedyna powieść, *Stowarzyszenie dyskusyjne*, opublikowana w latach sześćdziesiątych, stała się sensacją. Spotkała się z niebywałym uznaniem krytyki, przetłumaczono ją na najważniejsze języki. Jego wydawca i czytelnicy na całym świecie czekali na następną książkę – stał się ni mniej, ni więcej *una stella*, jak ujęła to pani Gondolini – ale on nigdy już nie napisał, a w każdym razie nie opublikował kolejnej powieści. Wszystko wskazywało na to, że Crace nie musiał już niczego pisać, bo dzięki pieniądзом za prawo do sfilmowania tego bestsellera stał się wystarczająco bogaty. Dziwne wydawało się jedynie to, że komuś o takim zacięciu pisarskim, o takim talencie, nie zależało na tym, żeby ponownie zobaczyć własne nazwisko na okładce wydrukowanej książki. Niewykluczone, że nie miał już o czym pisać, podsumowała. Może się wypalił. Albo chodziło o jakieś sprawy sercowe? W czarnych oczach signory Gondolini pojawiły się ogniki, kiedy to mówiła. Jej mąż odwrócił głowę i udawał, że nie słyszy.

Dowiedziałem się wystarczająco dużo, by mnie to zaintrygowało. W liście wyjaśniłem też, w jaki sposób dotarła do mnie wiadomość o tej pracy, zarysowałem moje przygotowanie i sytuację – studia na wydziale

historii sztuki londyńskiego uniwersytetu (obronę dyplomu miałem już za sobą), znajomość włoskiego w stopniu podstawowym oraz chęć zostania od trzech do sześciu miesięcy, dzięki czemu mógłbym rozpocząć pisanie własnej powieści. Dodałem też, że moim zdaniem jestem dobrym kompanem, wspomniałem też o tym, co signora Gondolini powiedziała mi o Crasie, i nadmieniałem, że również doceniam ciszę i potrzebę prywatności. Na pewno nie był to doskonały przykład epistolografii, ale cechowała go zwięzłość i – jak miałem nadzieję – brak pretensjonalności. Złożyłem kartkę starannie i wsunąłem do koperty, którą zakleiłem. Na odwrocie napisałem adres pensjonatu i teraz już sam sprawdziłem na planie miasta, gdzie mieszka pisarz. *Palazzo Crace*'a znajdowało się jedynie o dziesięć, piętnaście minut drogi. Postanowiłem zatem, że zamiast wysyłać list pocztą, sam go zaniosę. Pozbierałem swoje rzeczy i wyszedłem w noc.

Choć w ciągu dnia miasto tętniło życiem wypełnione turystami, kiedy słońce schowało się w wodach laguny, Wenecja zmieniała się nie do poznania. Gdy wlokłem się nieoznaczonymi uliczkami, chwytając wzrokiem odbicie księżyca w kanałach, miałem ochotę zniknąć. Nie myślałem w ogóle o znalezieniu pracy, o Elizie ani o sytuacji w domu. Nikt mnie tu nie znał i byłem wolny.

Przeszedłem przez Campo Santa Maria Formosa, gdzie Matka Boska miała się ukazać świętemu Magnusowi, minąłem kościół pod jej wezwaniem i ruszyłem dalej wzdłuż jednej z *calle* odchodzących od placu. Wędrowałem płataniną uliczek, które wydawały się prowadzić do tego samego ciemnego kanału, ale w żaden sposób nie mogłem znaleźć szukanego adresu. A potem, niedaleko Calle degli Orbi, natrafiłem na wąskie przejście, niemające żadnej nazwy.

Mroczna uliczka przechodziła w niewiele szerszą Calle della Cella, „ulicę cel” – na jej końcu stało *palazzo Crace*'a. Jedyne wejście dostępne

było przez małeńki mostek, który prowadził nad wodą do imponującej bramy, rozjaśnionej zewnętrznym światłem. Wszystko wskazywało na to, że dalej znajduje się dziedziniec. Wzdłuż centralnej części wielkiego, trzypiętrowego, idealnie symetrycznego budynku widać było, niczym kręgosłup dawno zdechłego potwora, rząd łukowatych okien, po cztery na każdym poziomie, których łuki wyrzeźbiono w białym marmurze. W jednym z pokoi na pierwszym piętrze migotało światło świecy, rozpraszając ciemność panującą w środku i rzucając przedziwne cienie na sufit. Nie słychać było niczego poza łagodnym chłupotem wody.

Wyjąłem kopertę z torby i cichutko przeszedłem przez mostek. Skrzynka na listy znajdowała się po lewej stronie drzwi, wyrzeźbiona w marmurze w kształcie głowy smoka. Kiedy wpychałem list w paszczę maskary, ocierając rękę o jej starte zębiska, znalazłem się w kręgu światła. Już z powrotem na mostku ponownie spojrzałem do góry i wydało mi się, że przez pokój przeszedł cień, zanim stopił się z mrokiem.

Nazajutrz po południu, kiedy wróciłem ze zwiedzania miasta, w pensjonacie czekał na mnie list. Mężczyzna w recepcji powiedział mi, że posłaniec przyniósł go tuż po lunchu. Pobiegłem do swojego pokoju i rozdarłem kopertę.

*Palazzo Pellico
Calle della Cella
30122 Wenecja*

Szanowny Panie!

Bardzo dziękuję za Pański list. Nie umiem wyrazić, jaką przyjemność mi sprawił, dotarł bowiem w wymarzonym momencie. Mój poprzedni pracownik, którego niedawno zatrudniłem, odszedł zaledwie kilka dni temu, a ja nie bardzo wiedziałem, co począć.

Wobec powyższego zastanawiam się, czy nie zechciałby Pan przyjść, żeby sprawę przedyskutować. Rzecz jasna w tej chwili nie mogę obiecać Panu zatrudnienia. Niektóre aspekty mojego życia będą wymagały omówienia, poza tym będę musiał sprawdzić, czy nadaje się Pan do tego zajęcia. Niemniej Pańskie kwalifikacje, przynajmniej na pozór, robią duże wrażenie.

Jeśli w dalszym ciągu jest Pan zainteresowany posadą, proszę do mnie napisać i podać odpowiadający Panu termin spotkania. Nie mam telefonu i nie lubię wychodzić z domu.

*Z poważaniem
Gordon Crace*

Odpisałem Crace'owi, podając dzień i godzinę, i ponownie sam zanośłem odpowiedź, żeby przyspieszyć bieg spraw. Odpowiedź od Crace'a i tym razem przyniósł do pensjonatu posłaniec. Dowiedziałem się z niej, że godzi się na podany termin i oczekuje naszego spotkania. Moja przyszłość zaczynała nabierać rumieńców.

Stałem przed *palazzo* Crace'a. Był rano, kiedy miała się odbyć moja rozmowa kwalifikacyjna. Dłonie zwilgotniały mi od potu. Ubrałem się w jedyne elegantsze rzeczy, jakie miałem – kremowy lniany garnitur i białą koszulę. Tuż przed wyjściem z hotelu sprawdziłem w lustrze, jak wyglądam. Przez okno wpadały promienie słońca, rozjaśniając zupełnie moje blond włosy i sprawiając, że właściwie niczego nie mogłem zobaczyć, dlatego musiałem przymknąć okiennice i dopiero w półmroku sprawdziłem, czy wszystko jest w porządku.

Na miejscu zjawiłem się kilka minut przed umówionym czasem spotkania, ale nie miałem ochoty na wałęsanie się w upale. Wziąłem głęboki wdech i ruszyłem przez mostek. Kiedy nacisnąłem dzwonek z boku drzwi, zapatrzyłem się w niewidzące oczy marmurowego smoka pilnującego skrzynki na listy i uśmiechnąłem się do siebie. Nie ulegało wątpliwości, że Crace był obdarzony poczuciem humoru, nawet jeśli to czarny humor. Domyśliłem się tego po przeczytaniu jego książki, którą skończyłem o wczesnej godzinie tego ranka.

Stowarzyszenie dyskusyjne skupia się wokół grupy sześciu chłopców z mało znaczącej angielskiej prywatnej szkoły, którzy spotykają się co tydzień, żeby dyskutować o określonych tematach lub naglących sprawach. Po omówieniu zwykle poruszanych zagadnień – jak kara śmierci, aborcja, prawa zwierząt, zalety i wady socjalizmu, oligarchia kontra demokracja – przywódca stowarzyszenia, Charles Jennings, proponuje potajemną debatę o korzyściach, jakie przyniosłoby zamordowanie

ogólnie szanowanego nauczyciela filologii klasycznej, pana Dudleya Reeve'a. Chłopcy przegłosowują sprawę, biorą ją za świetny wyglup – aż do chwili, gdy pewnego dnia Jennings zwabia nauczyciela do lasu i tam zabija go pałą. Samo zabójstwo nie ma motywu – belfer nie był ani sadystą, ani też źle nie traktował uczniów, właściwie był to miły i łagodny człowiek – i najwyraźniej powodem jest jedynie głosowanie członków stowarzyszenia. Jennings nigdy nie został złapany jako sprawca, niczego też nie zarzucono chłopcom ze stowarzyszenia, którzy razem ze swoim przywódcą opuszczają szkołę, idą na uniwersytet, a potem zajmują poważne stanowiska, ich tajemnica zaś zostaje pogrzebana w przeszłości. Z tyłu egzemplarza w miękkiej oprawie, który znalazłem w antykwariacie w Dorsoduro, wydrukowano cytaty z recenzji, w których krytycy zachwycali się sardonicznym humorem i tym, jak zręcznie autor wykorzystał koncepcję zbrodni do przedstawienia ciemnych zakamarków duszy brytyjskiego społeczeństwa. Crace najwyraźniej wiele mógłby mnie nauczyć.

Ponownie nacisnąłem dzwonek. Crace miał prawie siedemdziesiąt lat i być może potrzebował trochę czasu, żeby zejść na dół po schodach. Ale w chwili gdy odejmowałem palec od przycisku, drzwi się uchyliły.

Przede mną stał mężczyzna, który wydawał się znacznie starszy, niż sobie wyobrażałem. Plecy miał przygarbione, zgięte niemal w pół. Uniósł powoli głowę, żeby na mnie spojrzeć. Małutkie, szarozielone oczy zmrużył przed słońcem. Zamiast jednak zrobić krok naprzód, żeby się ze mną przywitać, cofnął się do cienia.

– Adam Woods? – zapytał. Głos miał wyraźny i ostry, mówił w sposób typowy dla kogoś z wyższej klasy, władczo.

– Tak... przepraszam, przyszedłem trochę wcześniej – odpowiedziałem.

– Nie szkodzi. – Podniósł wolno prawą rękę, by wymienić ze mną uścisk dłoni.

Miałem wrażenie, jakbym dotykał martwego ciała malutkiego ptaka.

– Proszę wejść, tędy – powiedział, idąc przodem przez dziedziniec otoczony portykiem.

Ściany od podwórza były porośnięte winem, pełzającym także po kolumnach i balustradzie schodów, wiodących na pierwsze piętro. Na wolnej przestrzeni stały ogromne donice, w których tkwiły przerośnięte wawrzyny lub hortensje. Pośrodku dziedzińca zobaczyłem coś, co wyglądało na zwieńczenie kolumny korynckiej, której kapitel zdobiły liście akantu, na niej zaś ustawiono posązek golutkiego cherubina, pociemniały od rosnącego na nim mchu.

– Jak pan widzi, niektóre rzeczy wymknęły mi się trochę spod kontroli – odezwał się Crace. – To jeden z powodów, dla których muszę zatrudnić kogoś takiego jak pan, panie Woods. Teraz jednak chodźmy na górę. Napijemy się czegoś.

Kiedy zaczął powoli wchodzić po kamiennych schodach, musiał podtrzymywać się ręką żelaznej balustrady, wąsy winorośli muskały mu palce. Zauważyłem, że jego poźółkła skóra, naznaczona plamami wątrobowymi i odbarwieniami, wyglądała jak cienki i bardzo stary pergamin. Lniany garnitur, który wisiał na jego wychudzonej postaci, kiedyś kremowy, teraz żółkły, nabrał ziemistego odcienia i kojarzył się z odpadającym, zgniłym ciałem trupa.

Na górze schodów poszedł prosto do *portego*, wspaniałej głównej galerii biegnącej przez całą długość budynku. Wielodzielne okna przy każdym końcu ogromnej przestrzeni były tak brudne, że nie przepuszczały światła, dlatego zacząłem się zastanawiać, czy poprzedniego wieczora, kiedy przyniosłem list, rzeczywiście mogłem dostrzec postać idącą przez pokój. Sztuchy i ryciny wiszące na ścianach pokrywała gruba warstwa pajęczyn. Kunsztowne stiuki, dekorujące sufit i gzymsy, czasy świetności miały już dawno za sobą, a przywodzącą na myśl białe chmury marmurową

posadzkę pokrywały kłaczki kurzu. Zauważyłem za sobą następne schody, wewnętrzne, prowadzące do drzwi zamkniętych na kłódkę.

– Och, nigdy tam nie wchodzę – powiedział gospodarz, napotykając moje spojrzenie. – Nie byłem tam od lat. Piętro jest zupełnie puste. Nie zaprzętam sobie też głowy tym, co jest niżej, zawsze panuje tam wilgoć, woda bez przerwy się wlewa. Proszę za mną.

Poprowadził mnie głównym holem, wspaniale ozdobionym rysunkami, rytami i rycinami, a potem przez podwójne drzwi, do salonu. Ściany pokrywała tu kosztowna czerwona tkanina, na której zaprezentowano renesansowe obrazy w misternych złożonych ramach. Okna od strony ulicy zakrywały ciężkie bordowe aksamitne zasłony, a jedyne światło pochodziło z dwóch lamp ustawionych po obu stronach marmurowego kominka, nad którym wisiało wielkie stare lustro. Z sufitu zwisał gigantyczny żyrandol, a jego kryształki pobrzękiwały nad nami od czasu do czasu.

Powłócząc nogami, Crace przeszedł po perskim dywanie do jednego z dwóch foteli, krytych bordowym atłasem, stojących przy kominku, usiadł na nim i gestem zachęcił mnie, bym zajął drugi.

– Och, co za głupiec ze mnie – rzekł, kiedy mościł się w fotelu. – Zapomniałem podać panu coś do picia.

– Proszę sobie nie robić kłopotu – odpowiedziałem. – Pan pozwoli, że sam się tym zajmę.

– To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, panie Woods. Na co miałyby pan ochotę? Gin? Whisky? Wytrawne sherry?

Choć była dopiero jedenasta przed południem, kawy, wody lub innego niealkoholowego napoju najwyraźniej tu nie pijano.

– Chętnie napiję się sherry, zaraz sobie naleję. – I szybko dodałem: – A pan?

– O tak, przyłączę się do pana, wszystko znajdzie pan w kredensie,

o tam. – Uniósł kościsty palec i wskazał w kierunku części pokoju pogrążonej w cieniu. – Bardzo to uprzejmie z pańskiej strony, bardzo.

Blisko kredensu z trunkami dostrzegłem jeszcze jedną lampę i właśnie miałem zamiar ją zapalić, kiedy Crace warknął:

– Nie, żadnego więcej światła. Wystarczy to, co jest.

Cofnąłem rękę i pochyliłem się, żeby nalać nam sherry. Crace przygotował zawczasu dwa kieliszki, oba zresztą bardzo wykwintne – jeden kryształowy o kształcie lejka na nóżce, drugi przypominający czarękę z filigranowym, przepięknym ornamentem *vetro a retorti* – ale przy tym lepkie w dotyku, pokryte kurzem i smugami, może były tam nawet włosy. Nalałem przezroczystego, słodko pachnącego trunku do obu kieliszków, wręczyłem jeden Crace’owi, a drugi postawiłem na niewielkim stoliku znajdującym się obok fotela i usiadłem.

– Zatem, panie Woods, wiem już co nieco o panu z listu, ale może powiedziała by mi pan o sobie coś więcej?

Niczym gad Crace hipnotyzował mnie wzrokiem. Miał małe oczy, które wydawały się omiatać cały pokój, a jednocześnie odniosłem wrażenie, że nie spuszczał ich ze mnie ani na chwilę. Odchrząknąłem.

– Tak, oczywiście – zacząłem. – Jestem w Wenecji od ponad tygodnia i jak wspominałem, chciałbym spróbować tu pisać.

Crace skinął głową, ale zachował milczenie.

– Skończyłem właśnie historię sztuki na londyńskim uniwersytecie i pomyślałem, że zanim cokolwiek innego przyciągnie moją uwagę, dobrze byłoby przynajmniej się w tym sprawdzić.

– Napisał pan już coś wcześniej?

– Nic, co można by nazwać prawdziwym utworem – kilka fragmentów opowiadań. Nic, co mógłbym komukolwiek pokazać.

– Czy zawsze chciał pan być pisarzem?

– No cóż, tak, od kiedy pamiętam – odparłem. – Niestety, rodzina

niespecjalnie mnie zachęcała. Ojciec jest bankierem – wychowałem się w Hertfordshire – i chciał, żebym robił coś pożytecznego. Uważa historię sztuki za dekadenskie studia. Ja ze swej strony chciałbym mu udowodnić, a i sobie też, że naprawdę umiem pisać. Chodzi mi po głowie powieść, której akcja rozgrywa się w Wenecji, dlatego tak mi zależy na zostaniu tutaj.

– Tak, rozumiem – powiedział Crace.

Kolejna pauza.

– I właśnie dlatego wydaje mi się, że praca u pana byłaby dla mnie doskonałą okazją – kontynuowałem. – Pomagałbym panu w domu, robiłbym zakupy, trochę gotował, sprzątał. Mogę też zająć się sortowaniem korespondencji, rachunkami i innymi sprawami tego rodzaju. Gdyby pan zechciał, mógłbym też uporządkować dziedziniec, bo dobrze by mu to zrobiło. Wszystko, co ułatwiłoby panu życie i dało więcej czasu na pisanie.

Wykrzywił twarz, jakby cierpiał z powodu jakiegoś wewnętrznego bólu.

– Ja nie piszę, panie Woods, prawdę mówiąc, żałuję, że w ogóle kiedyś sięgnąłem po pióro. Jeśli miałby pan objąć tę posiadłość, nie chciałbym, żeby kiedykolwiek pan o tym wspominał. I jestem w tej sprawie zupełnie szczerzy. To część mojego życia, którą chciałbym wymazać z pamięci. Oczywiście będzie pan mógł opowiadać o swoim pisaniu, gdybym panu tego zabronił, byłoby to okrucieństwem, ale nie zniosę żadnych wzmianek o mojej twórczości. Tak przy mnie, jak przy kimkolwiek innym. Czy pan mnie zrozumiał, panie Woods?

Nie zrozumiałem – zupełnie – ale odpowiedziałem, że owszem.

– Jest jeszcze jedna rzecz, która mnie dotyczy i o której powinien pan wiedzieć – ciągnął. – Nigdy nie wychodzę z mojego *palazzo* i nie zamierzam tego zmieniać. Może uznać to pan za dziwne – jak przypuszczam, ludzie

nazywają to dosadniej – ale choć mieszkam w Wenecji mniej więcej od trzydziestu lat, nigdy nie miałem ochoty na oglądanie tego miasta.

– To znaczy, że nigdy nie wyszedł pan poza te ściany?

– Nie było takiej potrzeby. Jak wszyscy wiemy, to miasto jest najłatwiejsze do zwiedzenia, nawet nie trzeba do niego przyjeżdżać. W każdym razie Wenecja tutaj – mówił, pukając się w głowę – jest bogatsza i bardziej intrygująca niż wszystko, czego kiedykolwiek doświadczyłem tam, na zewnątrz. Tak zwany prawdziwy świat jest stanowczo przereklamowany, nie uważa pan?

– Jak pan sobie radził... to znaczy w przeszłości? – odpowiedziałem pytaniem.

– Kiedyś, gdy byłem znacznie zdrowszy, polegałem na miejscowych kobietach, to one robiły mi zakupy i załatwiały różne sprawy – wyjaśniał. – Ostatnia, Maria, była całkiem do rzeczy, ale zbyt łatwo wpadała w histerię. To mnie rozstrajało nerwowo, niedobrze, niedobrze dla mojego ogólnego stanu zdrowia. A dziewczyna, którą poprosiłem o pomoc przy zanoszeniu listów do pana, nie jest zbyt odpowiedzialna.

Zrozumiałem wreszcie, że zatrudniony na stałe pracownik, taki jak pan, jest mi potrzebny, żebym mógł jako tako funkcjonować. Jak wspomniałem panu w liście, chłopak, którego ostatnio zatrudniałem, nie sprawdził się i dlatego dzisiaj pan tu jest.

Skinąłem głową i czekałem. Crace upił łyk sherry.

– Moja prywatność jest dla mnie najważniejsza, panie Woods. Jak pewnie zdążył się pan zorientować, zależy mi na tym, żeby wszystko, cokolwiek pan tu zobaczy albo usłyszysz, zatrzymał pan dla siebie. Nie mam nic do ukrycia, ale nie o to chodzi, muszę natomiast mieć pańską gwarancję absolutnej poufności. Jeśli dowiem się, że szepnął pan komuś choćby coś tak trywialnego, jak – sam nie wiem – jak powiedzmy, ile mleka lubię wlewać do porannej kawy albo co jadłem na śniadanie, będzie

pan musiał odejść. I to od razu. To wymóg najważniejszy. – Przerwał na chwilę. – Czy ma pan jakieś pytania?

– Chciałbym spytać o warunki, jeśli można. Godziny i...

– Oczywiście, przepraszam, że od tego nie zacząłem. Do pańskich obowiązków będzie należało przygotowanie mi śniadania, robienie zakupów, pilnowanie, żeby w domu było jedzenie i wino. Mam odłożone kilka butelek dobrych roczników, ale chcę je trzymać na specjalne okazje. Będzie pan też musiał zajmować się lunchem i lekką kolacją – proszę się nie niepokoić, nie jem dużo, więc to nie powinno być problemem – no i wszystkim, co może pojawić się niespodziewanie. Będzie pan miał własny pokój – który zaraz panu pokażę – i sporo wolnego czasu, ale w granicach rozsądku, na wszystko, co pana interesuje. Ale tylko tutaj – tylko w *palazzo*. To ważne. Nie życzę sobie, by zostawiał mnie pan samego. Będzie pan, rzecz jasna, musiał wychodzić po zakupy, ale jeśli będzie pan to robił codziennie, nie powinno to trwać zbyt długo. Zresztą, jak przypuszczam, i tak planuje pan pracę nad książką.

– Tak, to prawda.

29- Wiem, że wielu młodych ludzi od razu nie zgodziłoby się na takie wymagania. Spodziewam się, że za chwilę powie mi pan, że nie potrafi żyć w tak drakońskich warunkach. Proszę się nie martwić, nie poczuję się urażony. Prawdę powiedziawszy, w pełni zrozumiem, jeśli...

– Nie.

– Słucham?

– To znaczy wcale nie będzie mi to przeszkadzało. Jestem przekonany, że wręcz pomoże mi się skoncentrować. I pisać książkę. Tak więc nie ma z tym problemu.

– Naprawdę?

– Naprawdę, trochę samodyscypliny dobrze mi zrobi.

– Och, doskonale. A co do pieniędzy – zawsze, niestety, trzeba o nich rozmawiać, chociaż to strasznie gminne – mógłbym panu płacić około... Powiedzmy... Co pan powie na pięćset euro miesięcznie? To będzie oczywiście suma wyłącznie dla pana, bo mieszkanie, wyżywienie i podobne rzeczy nie będą pana nic kosztowały, biorę to na siebie. Czy taka suma pana zadowoli?

Szczerze mówiąc, było to znacznie więcej, niż się spodziewałem, więc odpowiedziałem, że to bardzo hojne wynagrodzenie.

– Jeśli zdecyduje się pan na podjęcie tej pracy, w jakim wygodnym dla pana terminie mógłby pan zacząć?

– Właściwie to prawie od zaraz – odparłem. Pomyślałem o rosnącym rachunku w pensjonacie. – Szczerze mówiąc, im szybciej, tym lepiej.

Crace nagle się uśmiechnął, rozciągnął usta, odsłaniając zaskakująco białe zęby.

– Czy chciałby pan obejrzeć pokój, w którym będzie pan spał?

Z trudem wstał z fotela, potrzebował kilku chwil na złapanie równowagi, a potem ruszył przed siebie, jednak nie w kierunku podwójnych drzwi otwierających się na *portego*, ale innych, wiodących do pogrążonego w mroku korytarza.

– Tu jest kuchnia – powiedział, wskazując na pomieszczenie po przeciwnej stronie. Zauważyłem, że w zlewie piętrzył się wysoki stos talerzy, smród zgnilizny zalegał w powietrzu. – Nic specjalnego, ale jestem pewny, że jest odpowiedni. – Zatrzymał się na końcu korytarza. – A to pański pokój – dodał.

Otworzył drzwi prowadzące do przestronnego pokoju, skromnie umeblowanego, z drewnianą podłogą pomalowaną na biało, jednym żelaznym łóżkiem, wbudowaną szafą i biurkiem stojącym pod oknem zasłoniętym okiennicami, wychodzącym na kanał. Surowość tego wnętrza aż nadto mi odpowiadała, poza tym w porównaniu z resztą pałacu pokój

wydawał się stosunkowo czysty, jakby ostatni lokator zadbał o usunięcie wszelkich śladów swojej bytności. Zastanawiałem się przez moment nad chłopakiem, który tu spał przede mną i musiał odejść.

– Wygląda świetnie, jest tu wszystko, czego potrzebuję albo potrzebowałbym – powiedziałem, przypominając sobie, że tak naprawdę to jeszcze mnie nie zatrudnił.

Crace musiał wyczuć moje zdecydowanie, bo gdy wyszliśmy z pokoju i znowu kierowaliśmy się korytarzem w stronę *portego*, przystanął i obrócił się do mnie.

– A zatem, panie Woods, jeśli warunki panu odpowiadają, myślę, że mógłby pan zacząć od zaraz.

– To znaczy, że proponuje mi pan tę pracę? – Czuję, jak przepelnia mnie szczęście.

– Tak, jeśli zechce ją pan przyjąć.

– Dziękuję, to świetnie – odrzekłem. – Jestem przekonany, że nie będzie pan żałował.

Kiedy szliśmy przez *portego*, dostrzegłem po drugiej stronie kolejny korytarz odchodzący od głównego holu, prowadzący najprawdopodobniej do jego pokoi. Wyczuwając intuicyjnie moje zainteresowanie, skinął głową w tamtym kierunku i powiedział mi, że tak, jego sypialnia i gabinet są usytuowane przy tamtym korytarzu.

– Podobnie jak łazienka... wspólna łazienka – dodał. – Mam nadzieję, że nie będzie to panu przeszkadzało?

– Nie, nie, absolutnie, wszystko w porządku.

– Pokazałbym panu teraz resztę *palazzo*, ale...

– Proszę sobie w żadnym razie nie robić kłopotu, zresztą nie ma pośpiechu.

Mijając jeden z wielu sztychów i rysunków, wiszących na ścianach *partego*, powiedziałem coś, co od razu przyszło mi do głowy.

– Ma pan wspaniałą kolekcję sztuki, panie Crace.

Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z tego, że pogratulowałem mu dobrego smaku i wyrobienia estetycznego.

– Och, naprawdę pan tak uważa? Mam te prace od lat. Mieszanka oryginałów i kopii, ale lubię je, to prawda.

Przystanęliśmy przy parze bardzo bogato zdobionych *cassoni*, niestety zakurzonych, ustawionych po obu stronach podwójnych drzwi prowadzących do salonu. Na ścianie przede mną w prostej hebanowej ramie dostrzegłem coś, co wyglądało niczym frontyspis jakiejś książki. Drzeworyt wydrukowany na grubym żółtawym papierze przedstawiał starszego mężczyznę podpisanego jako Il Gritti, ubranego w pofałdowane szaty i kapelusz o przedziwnym kształcie, siedzącego na tronie robiącym spore wrażenie i wyciągającego przed siebie lewą rękę, żeby wziąć książkę od klęczącego przed nim młodszego mężczyzny. Nad młodszym, który miał brodę i zwał się Il Lodovici, umieszczono symbol słońca, na jego tarczy znajdowała się twarz kobiety, promienie zaś opuszczały się prosto na niego.

– Tak, ładniutki – odezwał się Crace, widząc moje zaniepokojenie.
– To z *Triumpho di Carlo* Francesca de' Lodovici. Ukazuje autora prezentującego egzemplarz książki, powieści o Karolu Wielkim, swemu mecenasowi, doży Andrei Grittiemu. Uważa się, że ponieważ portret Il Grittiiego bez wątpienia przedstawia dożę, dlatego brodatym mężczyzną musi być Lodovici, a dama w tarczy słońca, będąca jego natchnieniem – paskudna swoją drogą – to muza Lodovicioiego. Nie pamiętam już, skąd to mam, ale jest w tym specyficzny urok.

Obok wisiał niewielki szkic przedstawiający chłopca z kręconymi włosami w luźnej tunice, podnoszącego obie ręce w panice, z oczami rozszerzonymi strachem. Rysunek węglem na papierze pozbawionym praktycznie koloru był naprawdę doskonały i wyglądał na fragment

jakiejś kompozycji, zrobiony w ramach przygotowań do większej pracy.

– Czy wie pan, do czego jest ten szkic? – zapytałem.

– Tak, w rzeczy samej, wiem – odpowiedział. – To jeden ze szkiców do *Męczeństwa świętego Wawrzyńca* Battisty Franco. Zna pan ten obraz?

– Nie, żałuję, ale nie.

– Och, jest cudowny, po prostu cudowny. Proszę popatrzeć... – powiedział, wskazując na przeciwległą ścianę. – Mam tu pełniejszą wersję, zrobioną przez Corneliusa Corta.

Rycina przedstawiała przerażającą scenę przypiekania świętego Wawrzyńca żywcem na żelaznej kracie, oprawca przebija mu skórę widłami, podczas gdy jego pomocnik dokłada do ognia, męczennik z kolei wznosi rękę ku dwóm aniołom, niebo jest zakryte dymem i ogniem.

– Jak pan widzi, na kracie napisano, że Tycjan „rycerz imperium to wynalazł” – powiedział, dotykając niemal palcem podpisu pod ciałem męczennika. – Oczywiście każdy chciałby mieć jeden z jego obrazów przedstawiających tę scenę. Ponieważ jednak jeden jest w kościele Gesuiti, tu, w Wenecji, a drugi w Escorialu, jest to, niestety, niemożliwe.

O tym, że kolekcja Crace’a jest godna uwagi, wiedziałem już po pierwszym rzucie oka, ale dopiero teraz doceniłem jej wartość. Miał wybitne – i bardzo cenne – dzieła sztuki. Kiedy rozglądałem się po *portego*, po ścianach obwieszonych rycinami i szkicami, przypomniałem sobie obrazy, jakie widziałem wcześniej w salonie, i zacząłem sobie wyobrażać wyśmienite dzieła wiszące w pokojach, których jeszcze mi nie pokazał. Usiłowałem ocenić, ile mniej więcej to wszystko mogło kosztować.

– Tak, naprawdę wspaniała kolekcja – przyznałem, rozglądając się.

– Och, nic takiego, po prostu zbieranina świadcząca o próżności starego głupca – rzekł Crace, wykonując dłonią lekceważący gest.

Szliśmy dalej przez hol ku schodom, gdy tym razem to ja się

zatrzymałem i obróciłem do niego.

– Czy ma pan spis tych dzieł sztuki? – zapytałem. – Chodzi mi o pełną inwentaryzację.

– Nie, nie wydaje mi się. A dlaczego pan pyta?

– Zastanawiam się właśnie, czy pozwoliłby mi pan – kiedy oczywiście zrobię już wszystko, co musi być zrobione, posprzątam, poukładam i tak dalej – dokonać spisu wszystkiego, co pan posiada. Chodzi o to, że pańska kolekcja to jeden z najlepszych prywatnych zbiorów, jakie widziałem. Rzecz jasna nie jestem ekspertem, ale uważam, że takie coś mogłoby się panu przydać, choćby do ubezpieczenia.

– A nie byłoby to dla pana śmiertelnie nudnym zajęciem?

– Nie, skądże. Wręcz przeciwnie, sprawiłoby mi to ogromną przyjemność.

– Dobrze zatem, skoro pan chce.

– Dziękuję.

Towarzyszył mi na schodach i ocienionym dziedzińcu.

– W takim razie do zobaczenia jutro – powiedział, unosząc dłonie.

– Tak, i jeszcze raz dziękuję. Czy chciałby pan może, żebym coś przyniósł? Czy czegoś pan potrzebuje?

– Może kilka rzeczy ze spożywczego – chleb, mleko, trochę owoców i... – mówiąc, zaczął rozglądać się wokół – może sekator? Boję się, że któregoś dnia ta okropna winorośl po prostu mnie zadusi na śmierć.

Obudziłem się z samego rana, chciałem jak najszybciej zacząć nowe życie. Wcześniejsze wydarzenia przestały mieć znaczenie. Teraz wszystko miało się zmienić. Zapakowałem rzeczy do plecaka, zapłaciłem rachunek w pensjonacie, a potem zafundowałem sobie espresso i croissanta w malutkiej kafejce nad kanałem. Zrobiłem zakupy dla Crace'a i zjawiłem się w jego *palazzo* trochę po dziesiątej. Kiedy otworzył mi drzwi, zauważyłem w jego wilgotnych oczach wyraz rozbawienia, a także i to, że kiedy się uśmiechał, skóra na policzkach mocno mu się napinała. Minęła dłuższa chwila, zanim się odezwał.

– Przepraszam, Adamie – powiedział. – Czytałem właśnie przezabawną rzecz. Wejdz, proszę.

Ruszyliśmy tą samą trasą co dzień wcześniej, minęliśmy płataninę winorośli i wspięliśmy się w górę schodami, przez *portego* do pomieszczenia, które nazwał czerwonym pokojem. Nie przestawał śmiać się do siebie.

– Coś naprawdę bardzo pana rozbawiło – powiedziałem w końcu.

– O tak, w rzeczy samej, w rzeczy samej – przyznał, siadając na krześle.

Wziął kilka głębokich wdechów i jakoś zapanował nad sobą. Obok niego na stole leżało parę książek. Zmrużyłem oczy, żeby przeczytać ich tytuły. Były to zmurszałe, oprawione w czerwoną skórę tomy, ze złotymi literami tłoczonymi na grzbietach.

– Łatwo zauważyć – zaczęła i wzięła do ręki jedną z książek – że czytam Thomasa Coryata.

Popatrzyłem na niego, niczego nie kojarząc.

– Coryat? Widzisz, jest autorem absolutnie fantastycznej książki *Coryat's Crudities** – wyjaśnił. – Urodził się w Somerset, przyjechał do Wenecji na początku siedemnastego wieku i wszystko wskazuje, że był

trochę bufonem. Twierdził, że to właśnie on przywiózł do Anglii widelec. Zresztą nieważne, w tej książce opowiada o niesamowicie krwawych wydarzeniach, do jakich doszło w Sali del Tormento, sali tortur w pałacu doży.

* *Coryat's Crudities* – Niewybredności Coryata (wszystkie przypisy od tłumacza).

– Ach, rozumiem – powiedziałem, bo chciałem usłyszeć więcej.

– Tak, to naprawdę dobra rzecz. Posłuchaj tylko. – Wziął książkę, położył sobie na kolanach i już chciał czytać, ale zamiast tego usłyszałem: – Może najpierw wprowadzę cię w kontekst. Więźnia wprowadzono do sali tortur, gdzie jego oczom ukazał się widok straszliwie prymitywnych narzędzi, były tam bowiem jedynie lina i krążek przymocowany do sufitu. Ale wtedy wykręcono mu ręce do tyłu, związano go i zawieszono na linie, tak że dyndał w powietrzu, przez co – posłuchaj tylko – „cierpiał ogromne katusze, bo przez ten czas stawy się porozchodziły i rozpekły”. To właśnie kocham w Wenecji – może wyglądać jak piękność, ale jej apetyt na przemoc jest niezaspokojony, chyba zgodzisz się ze mną?

Crace nie dał mi jednak czasu na wyrażenie mojego zdania.

– Oczywiście tak było kiedyś – kontynuował. – Chodzi mi o to, że morderstwa w dawnych czasach były po prostu widowiskowe. Cała ta krew, istna jatka. A jak, twoim zdaniem, jest teraz? Wszystko, na co najwyraźniej miasto, może się zdobyć, to staroświeckie zaszytletowanie – zwykle chodzi też o dwóch mężczyzn walczących o kobietę. Tak, boję się, że to stara śpiewka. Albo, w sytuacji naprawdę wyjątkowej, trochę zbyt rozjuszony mężulek bijący żonę walnie swoją ślubną odrobinę za mocno. Gdzie w tym element widowiska?

Rozśmieszyła mnie ta krótka, ale pełna pasji przemowa Crace'a. A więc w taki sposób miał zamiar powitać mnie w swoim domu.

– Z drugiej strony, mówiąc o Croyacie – słyszałeś teorię, zgodnie z

którą wzrost popularności widelca i noża spowodował obniżenie liczby zabójstw? – zapytał.

Pokręciłem przecząco głową, zaskoczony tym pytaniem.

– Och, jest całkiem interesująca, choć zbytnio upraszcza sprawę – ciągnął Crace. – W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku szwajcarski socjolog opublikował książkę, której głównym założeniem była właśnie ta teoria: twierdził, że stopniowe wprowadzanie „dobrych manier” – działania takie, jak wycieranie nosa chusteczką i używanie widelca i noża zamiast palców – było przyczyną zmian w społeczeństwie, dokonujących się pomiędzy średniowieczem a współczesnością.

Każde słowo wymawiał z największą starannością, łatwo mogłem się więc domyślić, że to oświecanie mnie sprawiało mu przyjemność.

– Tuż po jej opublikowaniu Niemcy napadły na Polskę i o jego pomysły zapomniano. Chyba dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych książkę wznowiono w Ameryce, a współcześni statystycy zajmujący się przestępczością zaczynają traktować ją trochę poważniej. To prawda, że w siedemnastym wieku liczba morderstw spadła – ale zostaje pytanie dlaczego. Typowych teorii wyjaśniających, dlaczego ludzie popełniają przestępstwa – uzasadnień takich jak rozwój miast, przepaść pomiędzy bogatymi i biednymi – nie da się zastosować do realiów siedemnastego wieku. Rozwój miast i uprzemysłowienie przyszedł znacznie później, po tym jak zmniejszyła się liczba zabójstw.

Usiłowałem nadążyć za tokiem jego rozumowania.

– Czy z tego powodu spadku zabójstw należy upatrywać w zmianach psychologicznych – postrzegania samych siebie jako ludzi bardziej wyrafinowanych, bardziej cywilizowanych? Jeśli to prawda, osobiście obarczam Croyata winą za brak w naszych czasach krwawych morderstw. Gdyby historia mogła się powtarzać, kazałbym go zakłuć jego własnym pieprzonym widelcem.

Crace spojrział na mnie z poważnym, skupionym wyrazem twarzy. Czy to jakiś rodzaj próby? Przez kilka sekund nie wiedziałem, co powiedzieć. A potem zaryzykowałem.

– Moim zdaniem odpowiedź jest tylko jedna – zacząłem, oddając mu spojrzenie z równą i szczerą powagą. – Powinno się zakazać używania sztuczków, to jedyny sposób.

Crace aż się zgiął ze śmiechu, luźna skóra na jego szyi bujała się na boki. Śmiałem się razem z nim. To była właściwa odpowiedź. Ale wtedy poczułem nagłą potrzebę skorzystania z łazienki. Usiłowałem myśleć o czymś innym, żeby odwrócić od tego własną uwagę, spojrzałem na kilka wspaniałych obrazów na ścianach salonu, wszystko daremnie. Odchrząknąłem.

– Przepraszam, panie Gordonie, czy mógłbym skorzystać z toalety?

– Och, oczywiście. Że też o tym nie pomyślałem, stary głupiec – odpowiedział, kręcąc głową. – Nawet nie oprowadziłem cię po domu, tak jak powinienem. Wstyd. Proszę za mną, proszę.

Ruszył przodem przez salon do *portego*, potem skręcił w prawo w następny wąski korytarz, znajdujący się po przeciwnej stronie tego, przy którym była kuchnia, i dalej, w kierunku mojego pokoju.

– Te drzwi – powiedział, wskazując drzwi po swojej lewej stronie – prowadzą do mojej sypialni i gabinetu, a te drzwi do łazienki. Kiedy skończysz, proszę przyjdź do mnie do pokoju.

Pchnąłem drzwi i wszedłem do ogromnego, białego pomieszczenia, wypełnionego smrodem z kanalizacji. Podłogę pokrywały włosy i coś, co przypominało kawałki porwanego papieru toaletowego, na niektórych widać było jakby plamy z krwi. Minąłem wannę, mocno sfatygowaną i pożółkłą ze starości. Muszla klozetowa była przykryta klapą. Ostrożnie, używając palca wskazującego, uniosłem deskę. Sedes pokrywała w środku jakaś czarnobrazowa maź. To będzie moje pierwsze

zadanie, powiedziałem do siebie i szybko się załatwiłem, nie patrząc w dół. Przeszedłem do umywalki, żeby opłukać ręce, ale mydło, kiedyś kremowobiałe, było tak utyłane w jakichś paprochach, że postanowiłem użyć wyłącznie wody i również nie wycierać dłoni w nieświeży ręcznik wiszący obok na poręczy.

Kiedy wyszedłem, czułem się trochę zabrudzony i ułożyłem w myślach plan, w którym wyszczególniłem wszystko, czym powinienem się zająć i w jakiej kolejności. Ludzi z uniwersytetu, nawet Elizę, zawsze dziwiła moja skłonność do utrzymywania porządku. To obsesja, powtarzali. Ale powinni mi być wdzięczni. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak ktoś może żyć otoczony bałaganem. Przecież jeśli się gdzieś mieszka, to naszym obowiązkiem jest utrzymać to miejsce w czystości.

Byłem pewny, że Crace będzie mi wdzięczny za pomoc, jaką mogłem mu służyć. Mimo wszystko wątpiłem, żeby przebywanie w takich warunkach mogło być dla niego przyjemne. Łazienka – umycie wanny, sedesu i umywalki – musiała iść na pierwszy ogień, zaraz potem kuchnia. Potem wszędzie odkurzę, pozbędę się pajęczyn, które nawarstwiły się na obrazach i rysunkach Crace'a, zamiotę podłogi, wyczyszczę meble, przynę winorośl na dziedzińcu. Ile czasu zajmie mi doprowadzenie *palazzo* do jako takiego stanu? A co z górnym piętrem, o którym Crace mówił, że jest nieużywane – czy oczekiwał, że tam również posprzątam? To może być tytaniczne przedsięwzięcie.

Zapukałem do sypialni pracodawcy i usłyszałem jego głos, zachęcający mnie do wejścia. W dużym pokoju okna wychodziły na kanał. Ubrania – marynarki, spodnie, skarpetki, slipy i podkoszulki – wały się po całej podłodze. Nigdzie nie widziałem Crace'a. Po terakotowej posadzce przeszedłem na środek pokoju, a potem stąpałem po parkiecie w kolorze ciemnego wina, którym były wyłożone alkowy znajdujące się na końcu. W jednej z nich, pomiędzy bogato zdobionymi kolumnami w

kolorze kremowomlecznym, stało łożę z wezglowiem z kutego żelaza, pyszniącym się temperą przedstawiającą Marię z Dzieciątkiem w otoczeniu pary świętych. Nad nią Crace powiesił jeszcze jedną piękną Madonnę – nie potrafiłem rozpoznać artysty, ale jego kunszt był wyjątkowy – a ściany całej wnęki pokrywała droga materia z wzorem połamanych kolumn i kapiteli. Samo łożę zakrywały grube zasłony w kolorze burgunda. Kiedy otarłem się o nie kolanem, przechodząc obok, wzbil się tuman kurzu, co nasunęło mi skojarzenie z zarodnikami grzyba.

– Tutaj jesteś – usłyszałem za sobą jego głos.

Obróciłem się i zobaczyłem Crace’a wychodzącego z pokoju, który musiał być jego gabinetem.

– Pomyślałem sobie, że na początek mógłbym trochę posprzątać.

– Tak, tak. To dobry pomysł. Mam nadzieję, że nie uznasz mnie za zbyt zdziczałego. Pozwoliłem na niejakiie zapuszczenie tego miejsca.

– Od czego miałbym zacząć, pana zdaniem? Myślałem, że najpierw zająłbym się łazienką i kuchnią, a potem resztą.

– Jesteś pewny? Wolałbym co prawda najpierw czegoś się napić.

– To nie zajmie mi wiele czasu – uspokoiłem go.

– Skoro jesteś tego pewny. Ale to z pewnością nie najprzyjemniejszy sposób witania gościa w domu, prawda?

– Im szybciej to zrobię, tym przyjemniej będzie nam obu – rzekłem stanowczym tonem.

– Jeśli nalegasz, cóż...

Opuściliśmy sypialnię i korytarzem poszliśmy do *portego*.

– Umyję również te okna, żeby wpadło tu trochę światła. -Wskazałem ręką wielki hol, wychodzący na kanał. – A potem, w którymś momencie, jak już uporam się ze wszystkim tutaj, powie mi pan, co mam zrobić na górze.

– Och, nie, nie ma powodu zawracać sobie głowy piętnem. Nie

byłem tam od lat. Myślę, że jest już tam tak brudno, że samo zaczęło się oczyszczać.

Uśmiechając się, przeszedł ze mną przez podwójne drzwi prowadzące wprost do kuchni i pokazał mi szafkę pod zlewem, gdzie – jak mniemał – powinny znajdować się jakieś środki czyszczące. Pochyliłem się i wyjąłem stare zielone wiadro pełne suchych szmat i zakurzone butelki z wybielaczem, detergentem i środkiem czyszczącym. Wszystkie jednak okazały się puste.

– To rozwiązuje sprawę – odezwał się Crace z błyskiem w oku.

– Nie bardzo rozumiem.

– Cóż, nie ma tu niczego, co nadawałoby się do sprzątania, a ja nie mam zamiaru pozwolić ci wyjść i zostawić mnie samego. Poza tym dopiero co się zjawiłeś. To byłoby w bardzo złym tonie.

– Ale... to zabrałoby mi jedynie...

– Bez dyskusji. Napijemy się czegoś i porozmawiamy o tym. Na co, w takim razie, miałbyś ochotę?

Po paru kieliszkach – ciemnej, mdląco słodkiej sherry – tym razem udało mi się szybko umyć szkło – zdołałem wyrwać się od Crace'a i ruszyć do sklepów. Upierał się, że powinienem wrócić najdalej za kwadrans. Wiedziałem, że nie lubi zostawać sam, nie przypuszczałem jednak, że może być aż tak zasadniczy w tej sprawie. Kiedy wróciłem do *palazzo* z dwoma plastikowymi siatami, pełnymi chlorku, detergentów, środka do usuwania kamienia, pasty do podłogi, gumowych rękawic, nowej szczotki do sedesu, paczki ścierek i zmywaków, stał na szczycie schodów na dziedzińcu. Twarz miał obolałą i patrzył na zegarek.

– Jeszcze minuta i byłoby po wszystkim – powiedział cicho.

– Słucham? – odparłem, wbiegając po schodach ku niemu.

– Nieważne. – Westchnął. – Nieważne.

Po upewnieniu się, że Crace zainstalował się wygodnie w salonie zatopiony w lekturze, z kieliszkiem sherry w zasięgu ręki, przystąpiłem do pracy. Otworzyłem w łazience okiennice zasłaniające okno, wzbijając przy tym kłęby kurzu, a potem przewietrzyłem ten przybytek. Nałożyłem gumowe rękawice i najpierw zaatakowałem sedes, wlewając do niego pół butelki chlorku, zostawiłem go tam, a w tym czasie zająłem się umywalką. Zdjąłem zasłonę od prysznica – była tak zapleśniała, że pomyślałem o kupieniu nowej – i wyszorowałem wannę. Choć udało mi się oczyścić ją w całkiem zadowalającym stopniu, pozbycie się niemal czarnej linii brudu, który wgryzł się w nią na całej długości przy górnej krawędzi, stanowiąc teraz wizualne echo granicy, dokąd najczęściej sięgała woda, okazało się niemożliwe. Prysznicem spłukałem brudy, wyciągnąłem garść siwych i blond włosów z dziury odpływowej i jeszcze raz przetarłem całą wannę. Zmyłem podłogę, pozbywając się kurzu i kawałeczków papieru toaletowego, opróżniłem kosz na śmieci, gdzie było chyba jeszcze więcej papieru toaletowego, stare plastry opatrunkowe i kłęбки nici do czyszczenia zębów. Odświeżyłem lustro zamocowane w drzwiczkach niewielkiej apteczki nad umywalką, uporządkowałem zawartość szuflad (gdzie były głównie plastry i proszki nasenne) i przetarłem wszystko wokół. Zanim podniosłem deskę sedesową, kilka razy spuściłem wodę i dopiero wtedy zacząłem szorowanie, sypiąc duże ilości chlorku. Próbowałem pozbyć się narosłego tam osadu.

Wyrzuciłem gumowe rękawice, których używałem w łazience, nałożyłem nową parę i przystąpiłem do czyszczenia kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Powyjmowałem je powoli, uważając, żeby niczego nie stłuc. Kiedy zabrakło mi miejsca na blacie, ustawiłem resztę talerzy, garnków i misek na gazetach rozłożonych na podłodze. Kawałki jedzenia – jakieś stare, na wpół przeżute mięso, rozkładające się warzywa,

kilka rozłupanych kości i kupka jakichś zwiędłych zielonych włókien – zbiły się w masę na dnie zlewu, wydzielając paskudny smród zgnilizny. Wybrałem wszystko, przesuwając palcem wokół zatyczki, zrobiłem z tego kulę w rękach i wyrzuciłem do worka w koszu na śmieci. Dopiero wtedy zabrałem się do zmywania naczyń.

Zastanawiałem się, jak długo Crace żył w taki sposób. Sądząc po otaczających mnie dowodach – brudzie, zaniedbaniu i zapuszczeniu – wyglądało na to, że stracił nad tym kontrolę kilka miesięcy wcześniej. Ale najprawdopodobniej należał do tych ludzi, którzy unikają zatrudniania kogokolwiek – co wynika przede wszystkim z dumy – tak długo, jak to możliwe w granicach zdrowego rozsądku. Nie miałem wątpliwości, że osiągnął punkt, w którym zdał sobie sprawę, że życie dalej w takich warunkach jest niemożliwe. A co z jego byłym pracownikiem, chłopakiem, który zajmował mój pokój przede mną? Oceniając na podstawie istniejącego stanu rzeczy – faktu, że wszędzie był chlew – nie zagrzał tu długo miejsca. Albo może sprzątał wyłącznie we własnym pokoju i nigdzie indziej w *palazzo*.

Późnym popołudniem skończyłem doprowadzanie do porządku łazienki i kuchni. Zaraz potem zacząłem ściągać pajęczyny z obrazów w głównym holu. Jedna z rycin przedstawiała anioła dmącego w trąbę na nieboskłonie i trzymającego wieniec, poniżej znajdowały się dwie postaci, satyra i kobiety otoczonej militarnymi i naukowymi przyrządami. Kiedy nachyliłem się, żeby lepiej mu się przyjrzeć, poczułem na sobie czyjś wzrok. Crace stał przy podwójnych drzwiach salonu, patrzył na mnie przez całą długość *portego* i uśmiechał się.

– *Io son colei che ognuno al mondo brama, perche per me dopo la morte vive* – powiedział po włosku z doskonałym akcentem. – „Jestem tą, do której wzdychają wszyscy na świecie, bo dzięki mnie żyją po śmierci”. Inskrypcja jest na dole.

Zmrużyłem oczy, usiłując odcyfrować napis po włosku na brzegu sztychu.

– *Alegoria sławy* – powiedział Crace, podchodząc do mnie. Powtórzył dwa pierwsze wersy, a potem kontynuował: – „I jeśli nikczemność lub cnota przechodzi w czyn, by złupić albo zdobyć zaszczytne imperium, dla pierwszej jestem hańbą, dla drugiej zaś chwałą. Nikczemność obarczam winą, podczas gdy cnotę obdarzam sławą, palmami i koroną”.

– Nie przypuszczałem, że tak dobrze zna pan włoski.

– Och, jedynie trochę. Ta rycina jest piękna, nie uważasz?

– Tak, bardzo. Czyje to dzieło? – zapytałem, szukając wzrokiem podpisu.

– Battisty del Moro, powstała przypuszczalnie około tysiąc pięćset sześćdziesiątego roku. Dla mnie jednak najbardziej interesujące jest to, że mimo raczej moralizatorskiego napisu pod spodem, postać sławy nie spogląda w stronę kobiety, która uosabia dobro, ale patrzy na satyrę, symbol zła. I jeśli się nie mylę, ona jest w nim zadurzona. Zgodzisz się ze mną?

Musiałem przyznać mu rację. Tak, patrząc na rysunek, można pomyśleć, że bardziej pociąga ją nikczemność niż cnota.

Na koniec tego pierwszego dnia padłem na łóżko zupełnie wyczerpany. Kiedy leżałem i wsłuchiwałem się w łagodne chłupotanie wody, a światło księżycy wpadało przez szpary w okiennicach, miałem wrażenie, że przeżywam rodzaj snu, że stałem się postacią z jakiejś surrealistycznej wizji. Przedtem nie spotkałem nikogo takiego jak Crace i wiedziałem już, że będę potrzebował sporo czasu, żeby przywyknąć do jego dziwactw. Przy kolacji, na którą składało się zwykle spaghetti z pomidorami, bazylią i parmezanem i którą jedliśmy przy stole w kuchni, zapytałem go, dlaczego postanowił przyjechać do Wenecji i w jaki sposób znalazł to *palazzo*. W bardzo grzeczny sposób poprosił mnie wtedy, żebym nie czuł się obrażony, ale odmawia odpowiedzi. Dodał, że tego typu informacje nie są mi do niczego potrzebne. Sam fakt, że był tu i teraz, powinien mi wystarczyć.

Przekonałem się później, że lepiej poczekać, aż sam poruszy jakiś temat w rozmowie. Uwielbiał mówić o dziełach, które posiadał – a ja lubiłem tego słuchać. Tamtego wieczora opowiedział mi, w jaki sposób zgromadził większość swojej kolekcji, kupując poszczególne ryciny i obrazy dwadzieścia, trzydzieści lat temu za bezcen. Nazwiska, które wymieniał, były naprawdę imponujące – oprócz prac, jakie zdążył mi pokazać, miał rysunki i szkice Palmy Giovanego, Domenica Brusasorciego, Benedetta Caliariego i Domenica Tintoretto, obrazy Paola Veronesego, Parisa Bordona, Moretta da Brescii i Loreza Lotto, jak również całkiem spory zbiór wyśmienitego szkła najlepszych weneckich rzemieślników.

Przy kawie zapytał mnie o moje studia na wydziale historii sztuki. Naszkicowałem mu, co jest tam wykładane, strukturę przedmiotów, chronologię i teoretyczne podstawy. Spróbowałem zrobić na nim wrażenie, popisując się wiedzą o Vasarim, ale Crace zbył autora *Żywotów najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów* machnięciem

ręki i zrobił uwagę, że to właśnie Vasari wprowadził biograficzne prostactwo do historii sztuki. Zgadzał się, jak powiedział, z Cellinim, który uważał Vasariego jedynie za tchórze i kłamcę. A przy okazji, czy czytałem autobiografię Celliniego? Odpowiedziałem, że nie. Wspaniała zabawa, wyznał mi z błyskiem w oku. Streścił mi ją, zanim przeszedł do omawiania najwyraźniej niepoohamowanego zamiłowania Celliniego do przemocy, opowiedział mi, jak ten wielki artysta dopuścił się serii morderstw popełnionych z zimną krwią, wydarzeń, które zrelacjonował w swojej książce z niekłamanym entuzjazmem. Przedstawił mi jeden z opisanych tam incydentów, kiedy to Cellini usiłował dźgnąć nożem jakiegoś mężczyznę w twarz, ale po tym, jak jego ofiara nagle się obróciła, wbił mu nóż poniżej ucha. Crace uważał tę historię za szalenie zabawną, a kiedy się śmiał, jego małe gadziszka ginęły zupełnie w fałdach skóry na twarzy.

– Cellini twierdził, że artyści wybitni w swojej profesji powinni stać ponad prawem – mówił Crace, kiedy ostatecznie odzyskał oddech, wpatrując się we mnie badawczo. – Wolni od odpowiedzialności i nic sobie nierobiący z zasad. Zgadzasz się z nim, Adamie? Proszę, powiedz, że się zgadzasz.

Choć nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć, pomyślałem, że najlepiej będzie mu się nie sprzeciwiać. Skinąłem głową na znak zgody, a on spojrział na mnie w sposób, który można jedynie określić jako wyraz rozczulenia.

– Teraz już wiem, że będzie nam razem wspaniale – powiedział.

Doprowadzenie *palazzo* do porządku zajęło mi tydzień i często w tym czasie miałem wrażenie, że niezależnie od moich wysiłków pokoje jak zaklęte zatrzymują na sobie patynę brudu. Jakby chronił je rodzaj skorupy, bariera, która opierała się moim wszelkim próbom przeniknięcia jej lub zniszczenia.

Paskudztwo, które wżarło się w wielodzielne okna na obu końcach *portego*, wydawało się najbardziej odporne, można by pomyśleć, że udaje tarczę oddzielającą Crace'a od świata zewnętrznego. Posługując się rozchwianą składaną drabiną, którą znalazłem w szafie w kuchni, wspiąłem się do wysokości góry okna, wziąłem do ręki szmatę i płyn do mycia szyb, i zaatakowałem to świństwo. Chociaż jednak ścierka stawała się coraz ciemniejsza, wydawało mi się, że nic nie schodzi z powierzchni szyby. W końcu jednak w brudzie pojawił się niewielki prześwit w kształcie monety, przez który wpadł do środka snop światła. Powiększał się sukcesywnie, aż wreszcie zobaczyłem, co jest po drugiej stronie.

Jedna strona *palazzo* wychodziła na ulicę, oddzieloną jedynie wąskim pasem wody i mostkiem, druga – na znacznie szerszy kanał. Obok przepływała właśnie łódź wyładowana pomarańczami, grejpfrutami, cytrynami i limonkami. Gondola, sterowana przez wyniosłego mężczyznę, najwyraźniej dumnego ze swego zajęcia, kołysała się, emanując szczęściem miodowego miesiąca całującej się pary, która w niej siedziała, i przesuwała powoli przede mną, aż zniknęła za rogiem. Po drugiej stronie wody elegancka kobieta o czarnych włosach stała na balkonie i paliła papierosa. Wszędzie, gdzie spojrzałem, ludzie byli zajęci codziennymi sprawami – mieli jakieś życie – podczas gdy Crace odgrodził się w swoim *palazzo*, jakby sam siebie więził. Teraz, kiedy umyłem okna, mógł przynajmniej wyjrzeć ze swojej pustelni.

Wino na dziedzińcu, które zasadzono na niewielkim kawałku ziemi

przy bramie, żyło własnym życiem, jego pędy oplątywały schody i pięły się do góry, jakby chciały zawładnąć też wnętrzem. Można by pomyśleć, że chce zadusić *palazzo* w uścisku, wycisnąć życie ze wszystkiego, co znajduje się w środku. Kiedy ciąłem zdrewniałe łodygi wijące się wokół kolumn i oplatające kratownicę, cała roślina zdawała się przesuwać, odchyłać w uporczywym zamiarze przetrwania. Jak się okazało, jedynym sposobem pokonania jej było szatkowanie badyli na jak najkrótsze kawałki, a potem wrzucenie ich do czarnych worków na śmieci, ale i tak pędy próbowały się stamtąd wyśliznąć i gdzieś zakorzenić.

Podobny problem miałem z niedającym się usunąć mchem porastającym korynckie kolumny i nagiego cherubina pośrodku dziedzińca. Kiedy moja próba usunięcia go za pomocą ścierki spelzła na niczym, musiałem wykorzystać stare dłuto, które znalazłem pod zlewem, ale i tak było to zajęcie bardzo męczące i czasochłonne.

Przez te pierwsze kilka dni byłem bez przerwy złany potem, którego kropelki ściekały mi po podkoszulku i do szortów, kiedy usiłowałem przywrócić temu miejscu przyzwoity wygląd. Pucując wnętrze, poruszyłem zalegający tam od wieków kurz, złuszczone naskórek, kosmyki włosów. Wyobrażałem sobie, że to pozostałości po ludziach, którzy już dawno umarli. Kurz był gładki, strukturą niemal przypominał puder, rozdrobniony i wypolerowany upływem czasu. Przeszawiałem całe stopy książek, prałem poplamione ubrania Crace'a, przenosiłem meble, zamiatiałem, odkurzałem, szorowałem i tępiłem. Pająki porobiły sobie domy za wspinałymi dziełami sztuki, używały ramy niczym miniaturowych prosceniów, na których przędły swoje nici, tworząc fantazyjne formy. W kuchni obok kubła na śmieci odkryłem kolonię mrówek, które regularnie ucztowały na torbach cukru zostawianych często przez Crace'a na blacie. A w jego sypialni pomiędzy ciemnymi wilgotnymi fałdami zasłon przy łóżku natrafiłem nawet na kilka muchomorów, które zaczęły tam rosnąć.

Łazienka była domeną karaluchów, a stonogi raz po raz wypełzały spod perskiego dywanu w salonie.

Kiedy zbliżałem się do końca gruntownych porządków, zdałem sobie sprawę, że nie tknąłem gabinetu Crace'a, co więcej, nigdy nawet nie widziałem tego pokoju. Wtedy wiedziałem już tyle o swoim pracodawcy, że zdawałem sobie sprawę, iż miał niesłychaną – jeśli nie obsesyjną – potrzebę prywatności, dlatego pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli poproszę go o pozwolenie na wejście do tego pokoju. Odłożyłem środki do czyszczenia i nadal mając na sobie poplamiony i przepocony podkoszulek, ruszyłem przez *portego* i podwójne drzwi do salonu, gdzie siedział i czytał.

– Panie Gordonie, zastanawiam się właśnie, czy to dobry moment, żeby pana o coś zapytać?

– Tak?

– Prawie skończyłem już sprzątanie, ale dopiero teraz sobie uświadomiłem, że nie tknąłem pańskiego gabinetu. Chce pan, żebym się nim zajął?

Przez chwilę wyglądał na zamyślonego, a potem jakby poddał się zrezygnowany.

– Chyba tak byłoby najlepiej. To właściwie konieczne. Na biurku leży całkiem sporo listów, które kiedyś trzeba będzie posortować, ale jeszcze nie w tej chwili.

Westchnął, odłożył książkę na stolik, podniósł się powoli i ruszył w moją stronę, powłócząc nogami. Kiedy przechodził obok mnie, jego koścista ręka otarła się o moją skórę.

– Chodź ze mną – powiedział.

Wyszliśmy z salonu, a potem przez *portego* dotarliśmy do jego sypialni i dalej przez drzwi na końcu pokoju do ciemnego, pozbawionego okien gabinetu.

– Czy jest tu jakieś światło? – zapytałem.

– Tak, o tam. – Crace wskazał zarys biurka przy odległej ścianie.

Kiedy włączyłem światło, zobaczyłem, że na biurku piętrzą się sterty listów, część z nich spadła nawet na perski dywan leżący na podłodze. Pod tą masą korespondencji dostrzegłem kubek pokryty pleśnią, zgniły ogryzek jabłka, kilka pomiętych pożółkłych chusteczek higienicznych i pióro wieczne. Na niskiej drewnianej szafce obok biurka stał gliniany kałamarz w kształcie żółwia. Pod warstwą kurzu dostrzegłem zdobięcego piękne żółto-zielono-beżowe *sgraffito*. Oprócz półek z książkami zapewniających ściany była tu także przeszklona gablota, coś w rodzaju wystawy osobliwości, pełna przedmiotów, wśród nich znajdowały się ceramiczna butelka w kształcie muszli przegrzebka, niebieskozielona misa z rysunkiem chłopca-pasterza porywanego ze zbocza wzgórza przez orła, kilka doskonałych wazonów, parę miniatur, niektóre w ramach ze srebra lub czarnego aksamitu, płaskorzeźba z białego marmuru przedstawiająca młodzieńca wkładającego lewą rękę do naczynia z ogniem, moim zdaniem wizerunek Mucjusza Scewoli, ornamentowana para świeczników z brązu i trójkątna szkatułka z uskrzydłonymi figurkami na każdym rogu, którą wziąłem za kadzielniczkę. Wszystko w gablocie pokrywała gruba warstwa kurzu.

Na ścianach wyłożonych krwawoczerwoną tkaniną wisiało kilka starych planów architektonicznych willi Palladia, ich ramy były przekrzywione pod dziwnym kątem, a w każdym rogu pokoju piętrzyła się chybotliwa wieża książek. Obok drzwi stała skrzynia, podobna do tych z *portego*, na której stał posążek klęczącego satyra z brązu, trzymającego muszlę, a obok niego pięknie żłobkowana, bogato zdobiona marmurowa urna.

– Nie bardzo wiem, od czego powinienes zacząć – rzekł, rozkładając bezradnie ręce. – Niemniej od czegoś będziesz musiał.

– Proszę się nie martwić. Szybko się ze wszystkim uporam.

– Ale, jak powiedziałem, nie dotykaj korespondencji, dopóki nie zdecyduje, jak najlepiej będzie to zrobić – dodał Crace, wycofując się z pokoju. – Zupełnie straciłem nad nią kontrolę i teraz nie bardzo wiem, co z nią począć. Zamierzam czytać te listy sukcesywnie w łóżku. Gdybyś czegoś potrzebował, to po prostu mnie zawołaj.

Przesunąłem koperty na jedną stronę i od razu zabrałem się do pracy, wyrzucając do kosza kubek, ogryzek i chusteczki. Wytarłem z kurzu wszystkie przedmioty w gablocie, bardzo ostrożnie się z nimi obchodząc, potem odkurzyłem perski dywan, zamiotłem marmurową posadzkę, powiązałem książki i wyprostowałem ramy na ścianach. Pochłonięty porządkami zastanawiałem się jednocześnie, kiedy i w jaki sposób udało się Gordonowi zgromadzić taką kolekcję. Przypuszczałem, że pewnie dawno temu, zanim jeszcze odizolował się od świata, a może upoważnił jakiegoś pośrednika, żeby wyszukiwał te rzeczy dla niego.

Kiedy zacząłem czyścić skrzynię obok drzwi, zauważyłem, że jest popękana, sucha i podrapana. Przyniosłem z kuchni tubę z pastą woskową i zacząłem delikatnie nakładać lepką substancję w kolorze palonej sjeni, wcierając ją głęboko w drewno. Pasta zabarwiła końce moich palców na gangrenowy czarnobrązowy kolor i przez chwilę miałem wrażenie, jakby moje ręce należały do trupa.

Podniosłem figurkę satyra z rogami, spiczastymi uszami, brodą i włochatymi nogami, które zamiast stóp miały racice, i przyjrzałem się jej dokładnie. Muszla, którą to stworzenie trzymało w prawej ręce, mogła, jak się domyślałem, służyć jako kałamarz i choć sama postać wydawała się groteskowa, miała w sobie coś intrygującego. Odstawiłem ją na skrzynię i sięgnąłem po urnę, uznając, że to najprawdopodobniej popielnica, kiedy usłyszałem głos Crace’a.

– Nie dotykaj jej... i odstaw.

– Przepraszam, przepraszam – powiedziałem, odsuwając się, ale też nie bardzo wiedząc, co mam zrobić.

Crace przyczłapał do mnie, głowa trzęsła mu się ze złości.

– Och, to chyba moja wina, powinienem był cię uprzedzić – odezwał się po chwili, usiłując zapanować nad nerwami.

– Słucham?

– Ach, dobrze więc... lepiej chyba będzie, jeśli ci powiem. Tam jest broń... naładowana... w tej urnie.

– Co?

– To dla mojego bezpieczeństwa. Małeńka rzecz, nie pomyślałbyś nawet, że z takiego małeństwa można zabić nawet muchę. Oczywiście nigdy jej nie użyłem.

– Rozumiem.

– Tak więc mówię ci o tym teraz, żebyś wiedział, że tam jest.

– Nie uważa pan, że byłoby lepiej, gdyby trzymał ją pan gdzieś indziej, w miejscu lepiej zabezpieczonym?

– Niby gdzie, w czymś takim jak sejf, o to ci chodzi? Nie myślisz chyba, że będę tracił czas na jakiś cholerny szyfr, kiedy banda włamywaczy wdrze się do *palazzo* i będzie chciała ukraść wszystko, co mam.

Crace wyczuł najwyraźniej moje zaniepokojenie, bo uśmiechnął się.

– Posłuchaj, nie przejmuj się tym. To nic takiego.

Uniół pokrywę urny i sięgnął do środka. Palce ujęły pistolet z kolbą inkrustowaną macicą perłową.

– Jak sam widzisz, to nic takiego. Ale jeśli chcesz, żebym go stąd usunął, to go przeniosę.

– To chyba dobre miejsce.

– No to może teraz pójdziesz i przygotujesz nam coś dobrego do picia? – Odetchnął. – Popatrz, już prawie szósta, dlatego uważam, że obaj zasłużyliśmy na coś pokrzepiającego, chyba zgodzisz się ze mną?

– Czego chciałby się pan napić? – zapytałem.

– Zastanówmy się... co powiesz na campari z wodą sodową, a może nawet... negroni? Wiesz, jak przyrządzić negroni?

Odpowiedziałem, że tak.

– No to jedno ustaliliśmy – powiedział, odkładając pistolet z powrotem do urny i wyprowadzając mnie z pokoju. – Zbliża się pora na aperitif.

Wlałem równe ilości campari, ginu i słodkiego wermutu do shakera, wymieszałem je dobrze, odcedziłem alkohol do wysokich szklanek z pokruszonym lodem i plasterkiem pomarańczy, i podałem mu jedną z nich. Kiedy wypilem łyk różowego płynu o gorzkawym posmaku, zauważyłem, że Crace wpatruje się we mnie z wyrazem zaciekawienia na twarzy.

– *Salute!* – powiedział.

– *Salute!* – powtórzyłem za nim.

Mimo ekscentryzmu mojego pracodawcy całkiem łatwo weszliśmy w ustalone role. Chociaż Crace nienawdził już samej myśli o przejściu przez mostek oddzielający jego dom od alei, ulic i placów, mogę uczciwie powiedzieć, że moje towarzystwo sprawiało mu przyjemność. Być może trochę mi pochlebiali, że tak bardzo się mną zainteresował i to, że czuł się swobodnie w mojej obecności. Był w końcu, choć to dawne dzieje, słynnym pisarzem, a ja stałem na najniższym szczeblu literackiej drabiny. Przy tym okazywał mi szczerą wdzięczność za pomoc i znacznie poweselał, kiedy przekonał się, że życie w czystym otoczeniu jest przyjemniejsze od przebywania w brudzie.

Gdy zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby wewnątrz *palazzo* wyglądało przyzwoicie na pierwszy rzut oka, i dokonałem inwentaryzacji dzieł sztuki, zapytałem, czy jest coś jeszcze, czym mógłbym się zająć. Trudno było mi zabrać się do pracy nad powieścią, więc szukałem wymówek, dzięki którym nie musiałbym pisać. Co z listami w gabinecie? Czy chce, żebym je uporządkował? Rozważając za i przeciw, zdecydował, że to w sumie dobry pomysł, i tak pewnego ranka po śniadaniu, mniej więcej po miesiącu, od kiedy zacząłem pracę, weszliśmy do jego gabinetu, żeby sprawdzić, co można zrobić z nagromadzonymi listami.

Choć biurko zostało wysprzątane i pokój wyglądał znacznie porządniej, korespondencja nadal zakrywała blat, tworząc na środku chaotyczne wzniesienie przywodzące na myśl papierową piramidę.

– Kiedy ostatni raz otworzył pan jakiś list? – zapytałem.

– Poza tymi od ciebie, które byłeś uprzejmy sam dostarczać, obawiam się, że było to dość dawno temu. Mam jednak nadzieję, że poradzisz sobie z ich posortowaniem. Znudziło mnie czytanie tego samego w listach, dlatego przestałem je otwierać.

Twarz mu czerwieńiała, kiedy wpadał w coraz większą złość.

– Bez przerwy mnie nagabują, ciągle chcą, żebym wyjaśnił, dlaczego napisałem pierwszą książkę i dlaczego przestałem pisać. Najczęściej to magistranci, ohydne potwory. Szukają rzeczy ważnych tam, gdzie ich zupełnie nie ma – w ogóle. Co prawda muszę przyznać, że pełni pretensji, ciekawscy biografowie są znacznie, znacznie gorsi. Sępy krążące mi nad głową i czekające, aż umrę, aż nie mogą się doczekać, żeby się rzucić i wyszarpywać ciało z mojego zaszuszonego trupa. Proszą mnie o zgodę na odwiedzinę, chcą przyjść i przejrzeć moje papiery, zapiski, wspomnienia. Zastanawiają się, dlaczego tak naprawdę nigdy nie zaprzestałem pisania i tworzę przez cały czas, ale odmawiałem zgody na publikację. Rozumiesz – co za pomysł! Dopytują się, czy mogą przyjść i porozmawiać ze mną przez godzinę, absolutnie nieformalnie. Krwiopijcy i wampiry, upiory, chamy, które dostały się na wyżyny, nie lepsi od tych, którzy stoją i gapią się na wypadek drogowy. Rzygać mi się chce na samą myśl o nich.

Człowiek popatrzył z obrzydzeniem na stos listów i nagle zdał sobie sprawę z gwałtowności własnego wybuchu.

– Przepraszam, ja...

– Wolałby pan, żebym sam dokonał odsiewu podobnych próśb?

– A zrobilibyś to? To byłoby cudowne. Pewnie skończy się na tym, że wyrzucisz większość z nich. – Umilkł na chwilę. – Choć jestem pewny, że to prawie same śmieci, natrafisz prawdopodobnie na jakieś czeki od mojego wydawcy, które, jak mi się wydaje, mogą się przydać. Mówiąc szczerze, gdybym nie potrzebował pieniędzy, najchętniej paliłbym te czeki. Przekłete honoraria ciągle spływają, ciągle mi przypominają.

Oczy zaszczyły mu mgłą, zamilkł.

– O czym? – zapytał cicho.

Ściągnął usta i miał zamiar coś powiedzieć, ale najwyraźniej zaraz się rozmyślił.

– Och, to nic takiego, nic, nic. – Usiłował się uśmiechnąć. –

Przypomnienie o mojej wcześniejszej głupocie, to wszystko.

– Od razu się do tego wezmę – powiedziałem, wskazując na listy. – Niech się pan nie martwi, szybko się z tym uwinę.

Zanim Crace zniknął, żeby znowu pogрузić się w lekturze, dał mi nóż do papieru, a ja zacząłem powoli sortować ten stos korespondencji. Na początek zająłem się szczytem piramidy i przesuwalem się w dół, szukając zarówno czeków, jak i prósb dotyczących jego biografii. Poza tym chciałem się dowiedzieć o Crasie czegoś więcej.

Rozcinałem koperty i przebiegałem wzrokiem ich zawartość, sprawdzając, czy znajdę tam coś istotnego. Chociaż w większości były to śmieci, o jakich Crace wspomniał, wyróżniał się jeden z listów, w drogiej welinowej żółtawobiałej kopercie. Był to napisany ręcznie list na papierze z wypukłym nagłówkiem nadrukowanym na czarno i zawierającym imię i nazwisko – Lavinia Maddon – oraz adres i numer telefonu.

*47a Eaton Square
Londyn
SW1*

Szanowny Panie!

Bardzo przepraszam, że piszę do Pana ponownie, ale prawdopodobnie nie otrzymał Pan mojego listu z 12 lutego. Na wypadek gdyby tamten list gdzieś zaginął, pozwolę sobie jeszcze raz przedstawić to, co tam zawarłam.

Przed wszystkim chciałabym jednak przeprosić, że piszę do Pana, choć nigdy nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Zdaję sobie sprawę, że podobna śmiałość może się spotkać z pańską niechęcią – i nie mogę Pana za to winić – ale skontaktowanie się z Panem jest dla mnie ważne.

Jestem pewna, że w podobnej sprawie zwracano się już do Pana wielokrotnie, niemniej ja rzeczywiście bardzo bym chciała napisać pańską biografię. Właściwie może nie dokładnie biografię, ale książkę analizującą zjawisko sukcesu literackiego i literackiego milczenia, czego Pan byłby głównym przykładem, albo jeśli Pan woli – modelowym symbolem. Nie ulega wątpliwości, że będzie to wymagało skorzystania z materiałów biograficznych – przykładowo listów, wywiadów i tym podobnych – więc chciałabym w tej sprawie spotkać się z pańskim zrozumieniem.

Z tego, co słyszałam, domyślam się, że nie będzie Pan zachwycony takim przedsięwzięciem. Chciałabym jednocześnie Pana zapewnić, że ta książka – zamówiona przez Pieria Publishing, która, jak Pan wie, jest jedną z najważniejszych oficyn w Wielkiej Brytanii – nie będzie pod żadnym względem sensacyjna. Będę oczywiście musiała się w niej odnieść do incydentu z 1967 roku, ale może właśnie będzie to dla Pana okazja do przedstawienia własnej wersji tej historii. To rzecz jasna jedynie sugestia, dlatego proszę nie czuć się do niczego zobligowanym, jeśli nie będzie Pan chciał tego zrobić. W pełni rozumiem delikatną naturę tej sprawy.

Dla pańskiej wiadomości chciałabym dodać, że jestem autorką biografii Jean Stafford, Constance Fenimore Woolson, J.M. Barriego i Wirginii Woolf, poza tym moje prace były publikowane w wielu szacownych czasopismach, jak „The London Review of Books” i „The New Yorker”.

Błagam Pana o kontakt, żebyśmy mogli szerzej o tym porozmawiać i wyjaśnić wszystko, co mogłoby budzić pański

niepokój. Bez problemu mogę przyjechać do Wenecji w każdym dogodnym dla Pana terminie.

*Z poważaniem
Lavinia Maddon*

Przeczytałem ten list po raz drugi. Była to ewidentna prośba od potencjalnego biografą, jednego z sędów, jak nazywa ich Crace. Natrafiając na to niemal błaganie, ucieszyłem się i miałem nadzieję, że Crace doceni moją pracę. Ale zaintrygował mnie incydent z 1967 roku – o co chodziło tej Lavinii Maddon? Zrobiła na mnie wrażenie osoby poważnej i godnej szacunku, dlatego odłożyłem list na bok z zamiarem pokazania go pracodawcy pod koniec dnia. Kontynuowałem rozcinanie kopert, wyrzucałem większość listów do kosza, ale nadal nie natrafiłem na żaden czek. Znając swoje szczęście, pomyślałem, że znajdę jakiś dopiero na spodzie stosu. Wsunąłem rękę głęboko w sam środek sterty, zacisnąłem dłoń i wyciągnąłem plik listów. Jeden z nich – prośba do Crace’a o uczestniczenie w jakimś festiwalu literackim – nosił datę 12 kwietnia 1998 roku, jednym słowem był sprzed dwóch lat.

Wstałem, przeciągnąłem się i ziewnąłem. W małym gabinecie panował zaduch. Nie miałem czym oddychać. Chciało mi się pić. Postanowiłem przejrzeć jeszcze kilka listów i zrobić sobie przerwę. Sięgnąłem po kolejną kopertę i niemal w tej samej chwili uderzył mnie niechlujny, prawie nieczytelny sposób jej zaadresowania. Nazwisko Crace’a niemal nie dawało się odcyfrować, nie wspominając już o adresie nadawcy. Aż dziw, że ten list w ogóle do niego dotarł. Był napisany niebieskim długopisem, tusz rozmazał się w niektórych miejscach, dostrzegłem też błędy ortograficzne.

23 Church View
Winterborne
Dorset
DT11 0GF

Szanowny Panie!

Pisałam już do Pana ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Zapomiał Pan o nim? To nie możliwe. Był dla Pana kimś wyjątkowym. Czy pamięć o nim nie jest warta pieniędzy? Wie Pan, gdzie mieszkam. Proszę je przysłać. My ich potrzebujemy, Pan nie.

M. Shaw

Bardzo dziwne. Crace będzie musiał rzucić na to okiem. Może chodzi o szantaż. Na liście nie było daty, ale został nadany w Dorset 17 maja, czyli dwa miesiące wcześniej.

Wziąłem oba listy – od Lavinii Maddon i od tajemniczej pani M. Shaw – i poszedłem poszukać Crace’a w *palazzo*.

– Panie Gordonie? Panie Gordonie?

Mój głos niósł się echem przez *portego*. Ale on nie reagował. Wszedłem do salonu, gdzie zastałem go chrapiącego w fotelu, z podbródkiem opartym o kołnierzyk koszuli. Wycofałem się po cichu z pokoju i na palcach poszedłem przez hol do kuchni. Postanowiłem, że pokażę mu listy później. Zamierzałem wykorzystać popołudnie na znalezienie innych listów przysłanych przez te dwie bardzo różne kobiety, a wtedy pokażałbym mu je wszystkie razem od razu. W ten sposób łatwo uporałbym się z całą sprawą i przy najmniejszym zamieszaniu. Będzie mógł zdecydować, czy dać się wciągnąć w przedsięwzięcie Lavinii Maddon i co zrobić z

podejrzaną panią Shaw. Chciałem dokopać się do możliwie największej ilości materiału, zanim poruszę z nim oba problemy. Moja pracowitość, o czym byłem przekonany, na pewno sprawi mu przyjemność.

Zostawiłem Crace'a w spokoju, a sam zjadłem z apetytem lunch złożony z salami, chleba i pomidorów. Czytałem przy tym *Listy Aretina*. Wróciłem potem do gabinetu i w dalszym ciągu pracowałem nad sortowaniem korespondencji. Przedzierałem się przez stos w poszukiwaniu tych łatwo rozpoznawanych charakterów pisma na kopertach – jednego stylu eleganckiego i świadczącego o wykształceniu, drugiego prymitywnego i przypominającego dziecinne pismo. Kiedy przeglądałem listy, odkładając na lewą stronę te, które sprawdziłem, myślałem o Gordonie i jego tajemniczej przeszłości.

Z powodu ekscentryczności – cóż, prawdę powiedziawszy, właśnie dzięki niej – był fascynującym człowiekiem. Nic dziwnego, że budził takie zainteresowanie. Wbrew temu, co twierdziła Lavinia Maddon o użyciu jego nazwiska jako symbolu sukcesu i porażki czy o co jej tam chodziło, wydawało się oczywiste, że interesuje ją historia jego życia, a zwłaszcza wydarzenie z 1967 roku. Ciekawe z kolei, jaki rodzaj haka miała na niego ta niedokształcona kobieta z Dorset? Crace powiedział mi, że nie pisze już więcej, ale nie miałem pojęcia, co podyktowało taką decyzję.

Doszedłem do wniosku, że zamiast kontynuować przeglądanie tej góry papierzysek, lepiej będzie spróbować dowiedzieć się o tym czegoś więcej. Żebym mógł zrozumieć, co Crace mi powie, kiedy zaniosę mu listy. Wstałem i rozejrzałem się po pokoju, nasłuchując, czy mój gospodarz nie nadchodzi. Wytłumaczyłem sobie, że przecież zbieranie materiałów należało do moich obowiązków. Jeszcze mi za to podziękuje, kiedy pozna wszystkie okoliczności. Żeby jednak niepotrzebnie nie ryzykować, wyszedłem z gabinetu, minąłem jego sypialnię i przez *portego* dotarłem do podwójnych drzwi prowadzących do salonu. Zajrzałem do środka. Crace nadal spał w fotelu, jego gałki oczne poruszały się pod powiekami

przypominającymi dwa zeschnięte liście.

Już z powrotem w gabinecie zacząłem przeglądać zawartość półek z książkami. Wiele tomów – zakurzonych, z czerwonymi grzbietami, Dante, Petrarca, Spencer, Donne, Byron – wyglądała na publikacje sprzed wielu wieków. Nie dostrzegłem nawet jednego tytułu wydanego później niż w latach dwudziestych lub trzydziestych XX wieku. I nie było tam też nigdzie choćby jednego egzemplarza powieści Crace’a.

Obróciłem się ponownie do biurka i przystąpiłem do sprawdzania zawartości niewielkich szufladek w jego górnej części. W jednej z nich znalazłem parę maleńkich złotych kluczyków, zupełnie jak od walizki lub kufra. W innej leżała koperta obwiązana sznurkiem zapiętym na guzik. Zerknąłem na drzwi. Nikogo przy nich nie było. Odwinąłem powoli sznurek, zataczając nim coraz większe kręgi, aż wreszcie otworzyłem kopertę. Wewnątrz była mniejsza, kwadratowa złotobrazowa koperta, z rodzaju tych, w jakich chłopcy trzymają znaczki pocztowe lub monety. Wyglądała na zaklejoną, choć jeden z jej rogów był podwinięty, dzięki czemu widziałem jej wewnętrzną stronę. Nie wahałem się dłużej niż sekundę, zanim delikatnie ją odpieczętowałem. W pierwszej chwili pomyślałem, że niczego w niej nie ma, ale zaraz potem zorientowałem się, że na samym dnie coś jest zakamuflowane. Był to przypominający sierp księżycy kosmyk płowych włosów. Wsunąłem do koperty palec i wyciągnąłem go. W dotyku był szorstki i stary, jakby wyrwano go z głowy porcelanowej lalki z czasów wiktoriańskich.

Przez następne kilka dni, kiedy tylko miałem wolną chwilę, szukałem w *palazzo* egzemplarza *Stowarzyszenia dyskusyjnego*. Przeglądałem półki, wyciągałem książki ukryte w drugim, trzecim rzędzie, ale bez rezultatu. Można by pomyśleć, że mój pracodawca zrobił wszystko, żeby zatrzeć wszelkie ślady własnego sukcesu.

Nie wolno było mi pytać go o twórczość literacką, ale potrzebowałem

choćby podstawowych informacji, żeby jak najlepiej odpowiedzieć na te dwa listy, jak najskuteczniej go chronić. Gdybym natrafił na kilka mocnych faktów, które pomogłyby mi wypełnić białe plamy w jego życiorysie, postępowalbym z większą pewnością siebie, wiedząc, co robić i mówić. Łatwiej i skuteczniej mógłbym mu pomagać.

Okazja pojawiła się pewnego dnia, kiedy uświadomiłem sobie, że kończy się nam kawa. Tuż po rozpoczęciu pracy dokonałem ogromnych zakupów, zaopatrując – zgodnie z instrukcjami Crace’a – kredens w kuchni w nadmierne ilości jedzenia. Crace nie znosił, gdy zostawiałem go samego choćby na bardzo krótko – ledwie akceptował moje kilkuminutowe wypadki każdego ranka do sklepu za rogiem po świeże drożdżówki. Mimo wszystko jednak nawet największe zapasy kiedyś się kończą. Musiałem zaryzykować wyjście, żeby je uzupełnić. Wiedziałem też, że postąpię głupio, jeśli nie będzie mnie na śniadaniu z Crace’em, dlatego zaparzyłem mu kawę z tych kilku ziaren, które zostały, samemu zadowolając się neską. A potem przystąpiłem do rytuału zrobienia śniadania.

Napełniłem wodą maszynkę do espresso, wsypałem resztki kawy, zakręciłem pokrywę i postawiłem na gazie. Płomyczki lizały dno maszynki, od czasu do czasu słychać było skwierczenie, kiedy dotykały grudek sosu pomidorowego przylepionych po wczorajszej kolacji do płyty kuchni. Przykręciłem gaz, złapałem swój komplet kluczy, przebiegłem przez *portego* do schodów i znalazłem się na dziedzińcu. Przeszedłem przez mostek, który prowadził do zewnętrznego świata, i dalej, gmatwaną alejką do pasticcerii za rogiem. Byłem pewny, że Crace dokładnie wiedział, ile czasu powinno mi to zająć, bo za każdym razem, kiedy wracałem z drożdżówkami, zajmował miejsce przy stole, gotów do śniadania, w momencie gdy maszynka do espresso zaczynała syczeć.

– *Buon giorno* – powiedziałem, wchodząc do kuchni.

– Och, dzień dobry, Adamie – odparł Crace.

– Pomyślałem, że moglibyśmy dzisiaj spróbować czegoś innego zamiast drożdżówek – mówiłem. – W pasticcerii mają wyjątkowo dobre biszkopty, *baicoli*. Niech pan spojrzy.

Wysypałem biszkopty – zawdzięczające nazwę maleńkiej rybce żyjącej w lagunie, którą miały przypominać kształtem – na talerz i dumny z siebie zaprezentowałem Crace’owi.

– Wyglądają całkiem apetycznie, to prawda – przyznał. – Łakomy kąsek.

Nalałem mu kawy do filizanki, a sobie zrobiłem kolejną neskę.

– Co się z tobą dzieje? Odgrywasz przede mną robola, czy jak?

Roześmiałem się, patrząc na moją filizankę.

– Nie, kawa po prostu nam się skończyła. W pasticcerii nie mają gatunku, który pan lubi. Szczerze mówiąc, kończy nam się prawie wszystko. Mam zamiar zrobić kolejne duże zakupy.

– Jakim cudem to możliwe? – zapytał Crace. – Wydawało mi się, że kredens nadal jest pełny zapasów. Na pewno nic nam nie potrzeba.

Przedstawiłem mu listę rzeczy, których zaczęło brakować, dodając przy tym, że obaj fatalnie znieśliśmy sytuację, gdyby nagle pewnego popołudnia skończył się nam jeden z podstawowych artykułów, bo przecież wtedy wszystkie okoliczne sklepy są zamknięte. Czy naprawdę chciał, żebym zniknął na całe godziny w poszukiwaniu jakiegoś sklepu, nie wiedząc, kiedy dokładnie wrócę? Z całą pewnością będzie przecież lepiej, jeśli dzisiaj kupię to, co trzeba.

– Ale obiecujesz, że nie potrwa to za długo? – prosił.

– Postaram się wrócić jak najszybciej.

– Nie, nie takiej odpowiedzi oczekiwałem – rzucił urażonym tonem.

– Musisz mi powiedzieć, kiedy dokładnie wrócisz. Nic nie rozumiesz. Ja muszę to wiedzieć. Muszę wiedzieć, kiedy wrócisz.

Spojrzałem na zegarek. Była godzina dziewiąta. Zakupy zajmowały

mi zwykle około godziny, ale tego dnia planowałem dodanie jeszcze czegoś do mojej wyprawy.

– Trzy godziny? – zaproponowałem.

Crace wyglądał na zgorzzonego, jakbym co najmniej go obraził.

– Nie, to stanowczo za długo. Półtorej godziny.

Poczułem się niemal jak na licytacji, w której mogłem wziąć udział.

– Proponuję kompromis – dwie godziny.

Crace milczał przez chwilę, zanim pokiwał głową na znak zgody.

– No cóż, ale ani minuty dłużej.

Po śniadaniu powlókł się do gabinetu i wrócił z garścią banknotów. Fakt, choć precyzyjnie odmierzał czas, był więcej niż hojny w sprawach pieniędzy. Zastanawiało mnie, gdzie je trzymał, bo musiała to być całkiem spora fortuna.

– Masz tu trzysta euro – powiedział. – Jeśli będziesz miał za dużo do niesienia, weź w drodze powrotnej wodną taksówkę. Czego nie wydasz, możesz zatrzymać dla siebie.

– Dziękuję – odparłem, biorąc gotówkę. Przez krótką chwilę czułem na skórze dłoni jego palce.

– Więc masz być tu z powrotem o jedenastej. – Crace zamknął drzwi, a ja przeszedłem przez mostek.

Kiedy zniknąłem mu z oczu, przyspieszyłem kroku i z plecaka wyjąłem przewodnik. Otworzyłem go na niebieskich stronach na końcu. Najważniejsze informacje. Indeks A-Z. Banki i wymiana pieniędzy... Bezpieczeństwo... Biznes... Gastronomia... Handel... Internet i e-mail. Sprawdziłem, gdzie najbliżej znajduje się kawiarenka internetowa, znalazłem lokalizację na planie i jak najszybciej ruszyłem w jej kierunku. Po klaustrofobicznym wrażeniu, że utknąłem w *palazzo* z zasuszonym starcem jako jedynym towarzyszem, spacer zatłoczonymi ulicami sprawiał mi niesamowitą przyjemność, dawał poczucie wyzwolenia.

Uśmiechnąłem się do kilku mijanych włoskich dziewczyn, za kilkoma nawet się odwróciłem i patrzyłem, jak oddalają się ulicą. Przechodząc obok kafejek, wdychałem zapach kawy i choć było dopiero wpół do dziesiątej i miałem mnóstwo czasu, musiałem zwalczyć w sobie pokusę, by usiąść przy stoliku i obserwować świat, który przesuwałby mi się przed oczami.

Kilka minut później znalazłem szukaną ulicę, minąłem bank, warzywniak, dwie pasticcerie, kolejny bar. Przeszedłem nią z powrotem. Zaczynałem wpadać w panikę. Ani śladu po kafejce internetowej. Ale przecież musiała tu być. Postanowiłem po prostu o nią zapytać. Wszedłem do baru. Pięciu lub sześciu mężczyzn stało przy marmurowym kontuarze, rozkoszując się porannym kieliszkiem wina. *Un'ombra* – cień – tak weneccjanie nazywają kieliszek wina, bo tradycyjnie wino było składowane w tych częściach miasta, gdzie nie docierało słońce. Próbowanie tego specjału oczywiście nie wchodziło w grę.

Kupiłem szklankę wody i zapytałem barmana – mężczyznę o ostrych rysach i ogorzalej twarzy – gdzie znajduje się Network House.

– Jest obok banku, trzeba zejść w dół po schodach – odpowiedział. – Ale mają zamknięte.

– O której otwierają?

Wypuścił dym z papierosa.

– W ogóle nie otworzą. Zamknęli na dobre.

– Jest pan pewny?

Ponownie się zaciągnął i prawdopodobnie uznając to za wystarczającą odpowiedź, odwrócił się ode mnie.

Wyciągnąłem przewodnik i odszukałem inną kafejkę internetową, oddaloną o dwadzieścia minut drogi. Sprawdziłem czas. Nie zostało mi go tyle, na ile liczyłem, ale zakupy nie powinny trwać długo. Wypiłem wodę, położyłem na barze kilka monet i ruszyłem w kierunku Dorsoduro.

Przemykając przez miasto mostem della' Accademia i wąskimi uliczkami usiłowałam nacieszyć się dwoma godzinami poza niewolą. Z drugiej strony pośpieszny rzut oka na coraz to nowy kościół, w którym znajdowały się skarby sztuki, sprawiał, że czułam coraz większy żal i złość. Do kafejki internetowej dotarłam z wrażeniem, jakbym się wykapał w ciepłej lepkiej cieczy.

Wejście do klimatyzowanego pomieszczenia przyniosło mi ogromną fizyczną ulgę, ale widziałem, że nie mam czasu na odpoczynek.

Podszedłem do biurka, gdzie przydzielono mi komputer, zalogowałem się i wpisałem adres wyszukiwarki. Wprowadziłem nazwisko Crace'a. Ponad pięć tysięcy linków. Jak to się stało, że wcześniej nic o nim nie słyszałem? Kliknąłem na pierwszy link na stronie.

Z wypunktowanego streszczenia jego życiorysu dowiedziałem się, że przyszedł na świat w 1931 roku w Edynburgu, gdzie jego ojciec uczył nauk ścisłych w prywatnej szkole. Zaczął studiować na Oksfordzie w 1949 roku na wydziale filologii angielskiej, dyplom uzyskał w 1952 roku. Postanowił potem iść w ślady ojca i przyjął pracę nauczyciela w mało znanej prywatnej szkole w Dorset. To właśnie wtedy, gdy był nauczycielem, napisał swoją pierwszą powieść, *Stowarzyszenie dyskusyjne*, opublikowaną w 1962 roku. „Doskonała fabuła, która wyrasta ponad zwykłą innowacyjność. *Stowarzyszenie dyskusyjne* demaskuje obłudę naszego niby to nowoczesnego cywilizowanego społeczeństwa i obnaża kryjącą się pod jego fasadą mroczną stronę”, napisał krytyk z „The Times”. Zastanawiałem się, jak nauczyciele i rodzice chłopców ze szkoły Crace'a zareagowali na fakt, że jeden z wykładowców napisał podobną powieść. Wspomniano też, że jak do tej pory książka sprzedawa się w nakładzie ponad trzech milionów egzemplarzy.

Choć zdarzały się też doniesienia, że Crace pracuje nad nową powieścią, nigdy niczego już nie opublikował. W 1967 roku powiedział

dziennikarzowi: „Rzucam pisanie, bo nie zostało mi nic istotnego do powiedzenia. Moja pierwsza książka odniosła niesłychany sukces, dlatego chciałbym bardzo serdecznie podziękować wszystkim czytelnikom za wsparcie i otuchę. Niemniej jestem pewny, że z kolei oni nie byłiby mi wdzięczni, gdybym kontynuował pisanie. Po co psuć tak piękną i doskonałą relację?”.

Wróciłem do pierwszej strony z pięcioma tysiącami linków i przeglądałem je w poszukiwaniu jakichś ważnych wskazówek. Więcej bibliografii, więcej wypunktowanych życiorysów Crace’a, ale żadnych pogłębionych faktów, żadnych szczegółów. A co z tą kobietą? Panią M. Shaw? Kiedy wklepywałem jej nazwisko w wyszukiwarce, adrenalina zaczęła mi buzować w żyłach. Gryzłem lewy kciuk, czekając na wyniki. Byłem pewny, że dokąś mnie to zawiedzie. Miałem wrażenie, że maleńki kursor w kształcie klepsydry obraca się na monitorze o kilka sekund za długo, zanim pokazał się komunikat: „Podana fraza nie została odnaleziona”. Powtórzyłem cały proces, używając tylko nazwiska, ale uzyskałem jedynie bezużyteczne informacje genealogiczne o rodzinie z Fort Worth, w której przez przypadek również była kobieta o takim inicjale. Miałem zamiar wpisać nazwisko Lavinii Maddon, kiedy spojrzałem na zegarek w prawym dolnym rogu monitora. Pokazywał dziesiątą czternaście. Miałem trzy kwadransy na zrobienie zakupów i powrót do *palazzo*.

W chwili gdy miałem kończyć poszukiwania, postanowiłem jeszcze raz wrócić na pierwszą stronę i przyjrzeć się jej ponownie. Wśród nieistotnych materiałów – podwójnych wejść, dyskusji o przewadze wersji filmowej nad książką i plotek o najróżniejszych członkach obsady filmu – natrafiłem na jeden link zaczynający się od słów „Pisarz Gordon Crace znajduje martwego lokatora – samobójstwo”. Kliknąłem, żeby to rozwinąć. Serce zaczęło mi mocniej bić. Informacje były bardzo ogólne,

ale jedno nie ulegało wątpliwości – ktoś zamieścił fragmenty doniesienia prasowego z sierpnia 1967 roku. Usiłowałem znaleźć nazwisko zmarłego, ale bez rezultatu. Skończyłem surfowanie po Internecie, zapłaciłem przy biurku i wybiegłem. Szczęściem „Billa”, jeden z niewielu w Wenecji supermarketów z prawdziwego zdarzenia, znajdowała się w pobliżu na Zattere.

Zakupy robiłem w szaleńczym pędzie, wrzucałem produkty spożywcze – świeże owoce i warzywa, chleb, oliwę, kawę, wędliny i sery – i więcej środków do czyszczenia do wózka, z którym przemykałem po sklepie. Po odstaniu swego w kolejce do kasy i zapłaceniu okazało się, że nadal mam dość pieniędzy, żeby wrócić do *palazzo* taksówką wodną – to zresztą i tak była konieczność, bo dochodziła za kwadrans jedenasta. Zadzzwoniłem z komórki do centrali taksówek na telefon, ale dowiedziałem się jedynie, że musiałbym czekać co najmniej pół godziny, dla mnie stanowczo za długo. Im dłużej czekałem na Zattere, patrząc przez wodę na budynek Mulino Stucky na Guidecce, tym bardziej się niepokoiłem. Wszystkie motorówki, które śmigały obok, były pełne pasażerów i każda próba zatrzymania którejś z nich była zbywana przez sternika aroganckim machnięciem ręki i wyniosłym grymasem. W momencie gdy byłem bliski porzucenia wszelkich nadziei, zjawił się, czkając i prychając, w otoczeniu kłębow spalin *vaporetto* płynący Canale di Fusina, i ten się zatrzymał. To był numer 82 – dzięki niemu mogłem dostać się do San Zaccaria. Nie miałem czasu na kupienie biletu, ale postanowiłem zaryzykować jazdę na gapę. Trasa prowadząca kanałem pomiędzy dwoma wyspami, obok barokowego Santa Maria della Salute, to prawdopodobnie źródło zachwytu i przeżyć, niemające sobie równych na świecie, mimo to nie zwracałem uwagi na słynne widoki. Zbyt denerwowałem się tym, co powiem Crace’owi, kiedy wrócę. Czulem się tak, jakbym miał na twarzy rozsmarowane ślady winy, i wiedziałem, że on je zauważy.

Na przystanku San Zaccaria dostrzegłem – co oczywiście i tak nie robiło już żadnej różnicy – wolną taksówkę wodną, jej sternik opalał się na brzegu. Po wynegocjowaniu ceny taksówkarz – przystojny, muskularny mężczyzna o opalanej twarzy – wziął ode mnie zakupy i pomógł mi wsiąść do łodzi. Było jasne, że jest przyjacielsko nastawiony i ma ochotę pogadać – kiedy sterował taksówką po wąskich kanałach w kierunku Castello, cały czas się do mnie odwracał i uśmiechał – ale ja nie byłem w nastroju. Im bardziej starałem się nie denerwować – przecież nie zrobiłem nic złego – tym bardziej czułem się nieswojo. Kiedy zbliżyliśmy się do brzegu kanału, prowadzącego do *palazzo* Crace’a, zauważyłem flotyllę gondoli kołyszących się na ciemnej wodzie. Co takiego Crace powiedział któregoś wieczora o gondoli? „Niczym trumna przedziergnięta w kanoe” – cytował Byrona, jak mi powiedział. Była to dość stara uwaga, dziś już tylko oklepany frazes, ale ich widok mnie zaniepokoił.

* George Byron, fragment *Beppo*, przeł. Krzysztof Ołtak.

Dotarłem do *palazzo* o wpół do dwunastej. Przeszedłem przez mostek i otworzyłem drzwi. W środku panowała cisza.

– Panie Gordonie?! Panie Gordonie?! – zawołałem, otwierając drzwi.
– Przepraszam za spóźnienie. Nie uwierzy pan, ale nigdzie nie mogłem złapać taksówki wodnej.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Poszedłem do salonu, ale Crace’a tam nie zastałem. Nie było go też w kuchni. Zapukałem do drzwi jego sypialni.

– Panie Gordonie, jest pan tam?

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem go leżącego na łóżku. Spał? Klepki parkietu skrzypiały mi pod nogami, gdy się do niego zbliżałem.

– Nie podchodź do mnie – powiedział, nie otwierając oczu.

– Słucham?

– Obiecałeś, że będziesz o jedenastej. A tylko popatrz, która jest godzina.

Podobne zachowanie jest nie do przyjęcia. Zupełnie nie do przyjęcia.

– Ale nie mogłem znaleźć taksówki wodnej. Na Zattere...

– To czym w takim razie wróciłeś? Co cię tu podwiozło, wielki piżmoszczur?

Nie ulegało wątpliwości, że Crace obserwował wszystko z okna i widział, jak wysiadałem na brzeg.

– Tak, w końcu złapałem taksówkę... ale dopiero na San Zaccaria. Słowo daję, panie Crace, ja...

– Możesz sobie zmyślać usprawiedliwienia, ale i tak nie mają znaczenia. – Ten rym zabrzmiał dziwnie, a nawet złowieszczo.

– Może dam panu trochę czasu na uspokojenie się i potem porozmawiamy – powiedziałem, odwracając się do wyjścia.

Zdawałem sobie sprawę, że wyklócanie się nie ma sensu. Crace podniósł się powoli na łóżku i otworzył oczy.

– Wiesz przecież dobrze, że to dla mnie nie do wytrzymania.

– Co?

Czekałem na wyjaśnienie.

– Nie potrafię znieść, kiedy się mnie tak zostawia. Nie masz zielonego pojęcia, jak bardzo to dla mnie bolesne.

Nie odezwałem się słowem, licząc, że moje milczenie skłoni go do dalszych zwierzeń, dzięki którym lepiej poznam jego szczególnie charakter, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Wiem, że wymusiłem na tobie złożenie tej obietnicy, ale to niczego nie zmienia – mówił, ściągając usta. – Teraz musisz powiedzieć mi, czy jesteś gotów na wykonywanie moich poleceń. Jeśli będziesz je lekceważył, nie dasz mi wyboru, będę cię musiał odprawić, tak jak innego nieszczęsnego chłopca.

– Mojego poprzednika?

– W rzeczy samej.

– Co się z nim stało?

– Nie dotrzymywał obietnic i musiałem go zwolnić. -Wyczuwałem, że złość Crace'a powoli słabnie. – Niemniej bardzo bym nie chciał przechodzić ponownie przez cały zamęt związany ze znalezieniem kogoś nowego.

Najwyraźniej mnie potrzebował. Mogłem zrozumieć, dlaczego mój poprzednik nie utrzymał się długo na posadzie u Crace'a. Ale wiedziałem też, że i ja go potrzebuję.

– Przepraszam, że nie wróciłem na czas. Ale nie miałem na to żadnego wpływu. Prawdopodobnie powinienem zebrać się wcześniej do powrotu. Naprawdę nie zrobiłem tego celowo. Tak, przyłożę się, żeby to już nigdy się nie powtórzyło.

– Dobrze już, dobrze – odparł i umilkł na chwilę. – Co zatem mamy na lunch?

Nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób – ani dokładnie kiedy – ten pomysł przyszedł mi do głowy pierwszy raz. Była to jedna z tych myśli, które wydają się pałętać gdzieś w podświadomości całymi dniami, jakby tylko czekały, by przybrać konkretny kształt.

Biografia Crace’a. To j a chciałbym ją napisać.

Byłem wprost wymarzoną osobą. Miałem do niego dostęp – przedmiot moich badań znajdował się tuż pod moim nosem. Dysponowałem też czasem. Poza tym wątpiłem, czy powieść, którą zamierzałem napisać, kiedykolwiek powstanie. Nie ulegało wątpliwości, że wyrobienie sobie nazwiska byłoby dla mnie znacznie łatwiejsze dzięki temu przedsięwzięciu – dzięki pogłębionemu portretowi sławnego niegdyś pisarza, który tak zupełnie wycofał się z życia publicznego, że od dwudziestu lat nie wychodził ze swojego *palazzo*; dopiero potem zgłosiłbym się do potencjalnego wydawcy z powieścią. Byłem pewny, że historia jego życia jest wyjątkowo ciekawa, taka, z którą bez trudu sobie poradzę. Dlaczego jakaś obca osoba – choćby ta Lavinia Maddon – miałaby zarabiać na Gordonie? Mimo pozorów powagi, artykułów w „New Yorkerze”, szpanerskiego adresu nie miała dostępu do informacji z pierwszej ręki o tym człowieku. Nie znała go tak jak ja.

Uświadomiłem sobie, że publikacja książki byłaby prawdopodobnie niemożliwa za jego życia. Ale każdy by się domyślił, że nie minie wiele czasu, zanim coś mu nawali i Crace umrze. Mimo że nie miał jeszcze siedemdziesiątki, widziałem przecież na własne oczy, że nie cieszy się dobrym zdrowiem. Był równie sterany życiem jak zagłodzony leciwy pies. Przeprowadzę dokładne badania – zbliżę się do niego na tyle, na ile zdołam – a potem wszystko opublikuję, najszybciej jak to będzie możliwe po jego śmierci, oczywiście w granicach rozsądku. Chociaż Crace powiedział, że brzydzi go sam pomysł napisania biografii, a biografowie,

mawiał, są niczym więcej jak „publikującymi kundlami”, byłem pewny, że doceni taki hołd złożony jego życiu. Najodpowiedniejszą do tego zadania osobą byłyby ktoś, kto go rozumiał, ktoś, komu na nim zależało.

Zacząłem szukać innych listów od Maddon, dlatego przekopałem się ponownie przez stos korespondencji. Teraz jednak, zainspirowany nowym zamierzeniem, zwracałem uwagę na wszystko, co mogło mnie zaciekawić – strzępy szczegółów biograficznych, pocztówki od starych znajomych, powiadomienia od wydawcy. Jeżeli jakiś list mnie zaintrygował, albo odkładałem go na bok, z zamiarem późniejszego przeczytania, albo przepisywałem go do nowego zeszytu, który kupiłem właśnie do tego celu. Dla Crace’a, który czasami zachodził do gabinetu, gdy tam pracowałem, wyglądało to, jakbym wykonywał powierzoną mi pracę wyjątkowo starannie. Stawał za mną, kładł mi lekko rękę na ramieniu, mamrotał kilka pochwał i wychodził, szurając.

Jeden z pierwszych listów, na który się natknąłem w moich poszukiwaniach drogi do serca i duszy Crace’a, napisała Lavinia Maddon, nosił datę 12 lutego i był jej pierwszą prośbą o kontakt. Dobry Boże, ta kobieta wiedziała, czego chce. Należał się jej podziw za determinację, uwodzicielski sposób pisania. Nic dziwnego, że zyskiwała taki poklask. Sama wiadomość okazała się urocza, skrywała jednak jej prawdziwe intencje – wykorzystania i wystawienia na widok publiczny przedmiotu jej badań biograficznych – sporo w niej było wyszukanych fraz i subtelnych wyrażeń. Nie chciała urazić go w żaden sposób, jego dobro leżało jej na sercu w największym stopniu, gdyby się zgodził, obiecywała pokazać mu do autoryzacji cytaty z jego wypowiedzi, zresztą chodziło jej nie tyle o biograficzne fakty, ile o formę literacką. W czasie czytania listu niemal dałem się przekonać, że była najodpowiedniejszą osobą do tego zadania. Wsunąłem jej list za okładkę zeszytu. Postanowiłem zająć się później tą panią.

Jeszcze tego ranka wpadły mi w ręce dwa czeki od wydawcy. To niesamowite, że powieść Crace'a nie tylko nadal była drukowana, ale też sprzedawała się w całkiem sporej liczbie egzemplarzy. Pomyślałem, że oddam mu czeki w trakcie lunchu. Ciekawiło mnie, jak na nie zareaguje. Przecież teraz wszystko było dla mnie częścią badań.

Tuż po przygotowaniu lunchu, na który złożyły się chleb, szynka parmeńska, figi i ser, poprosiłem Crace'a, żeby zamknął oczy.

– Niby po co, jeśli mogę zapytać?

– Chciałbym panu coś pokazać.

– Co?

– Proszę poczekać, to się pan przekona – powiedziałem.

– To wyjątkowo męczące, dlaczego nie możesz pokazać mi tego od razu?

Udawał irytację, ale widziałem wyraźnie, że był podekscytowany jak uczeń, który dowiedział się, że nieoczekiwanie dostanie prezent.

– No, proszę.

– Och, niech ci będzie.

Kiedy zamknął powieki, a cienka skóra znad oczu nasunęła się na nie, wyobraziłem sobie, że jest martwy, a ja kładę mu dwie monety na oczy.

– Proszę wyciągnąć ręce.

Sięgnął w moim kierunku, dłonie miał złożone w miseczki, jak u żebraka. Położyłem na nich sprawozdania ze sprzedaży przysłane przez jego wydawcę.

– Może pan otworzyć oczy.

Crace zamrugnął powiekami i spojrzał w dół, w pierwszej chwili oczy miał błyszczące z emocji, ale zaraz potem cały się wzdrygnął, jakby przerażony. Upuścił oba sprawozdania. Grdyka mu drżała, w kąciakach ust pojawiły się kropelki śliny.

– O co chodzi? Stało się coś złego?

Był tak zmieszany, że nie mógł mówić.

– Myślałem, że się pan ucieszy, są do nich dołączone czekci. Pańska siąqzka nadal całkiem dobrze się sprzedaje.

Crace usiłował odzyskać oddech, kiedy sięgał po szklanę z wodą.

– Tytuł... – wycharczał. – Nie chcę widzieć tych słów.

– Słucham?

– Na tych sprawozdaniach... Nie chcę ich oglądać. Nie mogę tego znieść. Myślałem, że ci to powiedziałem. Żadnych wzmianek, żadnych, w ogóle.

Podniosłem obie kartki, oderwałem od nich czekci i wyrzuciłem sprawozdania – na każdym z nich widniał ów nieszczęsny tytuł – do kosza na śmieci.

– Już ich nie ma, proszę spojrzeć.

– Co ty chcesz zrobić? Zabić mnie?

– Przepraszam, panie Gordonie. Po prostu nie pomyślałem.

– Masz rację, nie pomyślałeś, nigdy nie myślisz. Czy naprawdę muszę przechodzić przez to wszystko od nowa?

– Ale ja nie bardzo rozumiem. Dlaczego aż tak bardzo pana poruszyły? Choć teraz już pan nie pisze, wydawało mi się, że jest pan przynajmniej dumny z dawnych dokonań.

Wiedziałem, że naciskam na Crace'a bardziej, niżby sobie tego życzył. Niemniej to było ważne. Musiałem się dowiedzieć.

– Już ci mówiłem, moje życie jest teraz zupełnie inne. To, kim jestem teraz, nie ma nic wspólnego z tym, kim byłem wtedy. I nie mam ochoty więcej rozmawiać na ten temat.

– Oczywiście, rozumiem – powiedziałem, kiwając głową i przybierając najbardziej współczujący wyraz twarzy, na jaki było mnie stać.

Czy mogłem zaryzykować kolejne pytanie?

– Ale nie brakuje tego panu? Chodzi mi o pisanie.

Zwiotczały mięsień po prawej stronie jego ust drgnął i przez moment myślałem, że Crace eksploduje, że wyrzuci mnie na zbity pysk za próbę wkraczania na terytorium, o którym powtarzał mi wielokrotnie, że jest definitywnie poza moim zasięgiem. Ale zaraz potem twarz mu złagodniała i popatrzył na mnie smutnymi oczami.

– Zdecydowałem się przestać. To nie było dobre.

Chciałem podążyć tą ścieżką pytań, zmusić go do mówienia, bo był w odpowiednim nastroju.

– Ma pan na myśli pisarstwo? Uznał pan, że nie stoi już na wystarczająco wysokim poziomie? To dlatego?

– Nie, w ogóle o to nie chodziło. To nie było dobre dla mnie, nie było dobre dla ludzi, którzy mnie otaczali.

– Ach, więc to tak – powiedziałem.

Wyglądało na to, że czeka mnie twardy orzech do zgryzienia, ale tajemnice, którymi się otaczał, czyniły mój zamysł tym bardziej pociągającym. Byłem zdeterminowany. Nabrałem przekonania, że w ten sposób stworzę samego siebie.

Tego popołudnia odpisałem Lavinii Maddon, że Crace nie jest zainteresowany jej propozycją. Podziękowałem za zainteresowanie i jednocześnie poinformowałem, że niestety Crace bardzo sobie ceni własną prywatność i sam pomysł powstania biografii, niezależnie od tego jak literackiej, jest mu przykry. Napisze zresztą w tej sprawie do swoich wydawców, żeby pod żadnym względem nie współpracowali przy tego typu przedsięwzięciach, a jeśli ona nadal będzie trwała w swoim zamiarze, skonsultuje się z prawnikiem i ustali, jakie kroki można podjąć, by powstrzymać ją od napisania takiej książki. Rzecz jasna nie wyraża zgody na wykorzystywanie przez nią jakichkolwiek materiałów objętych prawem autorskim, a bez nich, o czym był przekonany, powstanie jakiegokolwiek książki o nim stawało się niemożliwe. Podpisałem list własnym nazwiskiem i dodałem w nawiasie „osobisty sekretarz Gordona Crace’a”. Postanowiłem nie podawać dokładnego adresu *palazzo*. Nie chciałem, żeby konkurencja zaczęła tu węszyć.

Nie było potrzeby mówienia o tym wszystkim Crace’owi. W końcu kazał mi pozbywać się podobnych nagabywań i załatwiać je według mojego uznania. Postępowałem po prostu zgodnie z jego poleceniem. Byłby zadowolony z moich działań.

Co jednak powinienem zrobić z drugą sprawą – niejaką panią Shaw? Przeszukałem korespondencję, żeby znaleźć jej poprzednie listy, ale niczego nie odkryłem. Wiedziałem, że muszę postępować z wyczuciem. Gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli – jeśli naprawdę szantażowała Crace’a i włączyłaby się w to policja – musiałem mieć pewność, że cokolwiek napiszę, nie będzie mogło być użyte przeciwko mnie. Niemniej musiałem dowiedzieć się czegoś więcej, a intuicja podpowiadała mi, że ta kobieta wie bardzo dużo. Może to właśnie ona była moim kluczem do lepszego zrozumienia Gordona. Zdecydowałem, że najlepiej będzie

postępować wprost, bez niepotrzebnego gmatwania.

*Palazzo Pellico
Calle della Cella
30122 Wenecja*

Szanowna Pani!

Zwracam się do Pani w imieniu Gordona Crace'a, do którego pisała Pani kilkakrotnie. Żeby jednak Pan Crace mógł zastanowić się nad Pani żądaniem, potrzebne będzie więcej szczegółów, stąd moje pytanie, czy mogłaby Pani je podać, jestem przekonany, że kiedy przedstawi Pani swoją sprawę tak szczegółowo, jak to możliwe, szanse na spełnienie Pani prośby znacznie wzrosną.

Zrozumiem, jeśli nie będzie Pani chciała przedstawiać tego na piśmie. Jeśli jednak przyśle Pani na podany powyżej adres w Wenecji swój numer telefonu, mógłbym do Pani zadzwonić, omówilibyśmy wtedy możliwe rozwiązania. Proszę jednocześnie przyjąć moje zapewnienie, że cokolwiek Pani powie, będzie to traktowane jako informacja poufna.

Jako osobisty sekretarz Pana Crace'a jestem najodpowiedniejszą osobą do zajęcia się tą sprawą. Gdybyśmy porozmawiali, może udałoby się nam osiągnąć satysfakcjonujące porozumienie.

*Z poważaniem
Adam Woods*

Kiedy Crace uciał sobie zwyczajową poobiednią drzemkę, wymknąłem się, żeby nadać ten list, zostawiwszy mu jednak na wszelki wypadek kartkę z wiadomością, że poszedłem kupić wino. Od gmachu poczty głównej w

Fondaco dei Tedeschi, dawnej gospody niemieckich kupców, dzielił mnie dziesięciominutowy spacer. Kiedy się tam zbliżałem, na widok tłumów sunących noga za nogą przez Ponte di Rialto i wokół niego zacząłem się zastanawiać, czy ktokolwiek z tych ludzi zna olśniewającą historię budynku stojącego przed nimi, czy wie, że zwykła dzisiaj fasada Fondaco dei Tedeschi była kiedyś pokryta wielkimi freskami, namalowanymi przez Giorgionego i młodego Tycjana, że z ich dzieła przetrwały tylko wyblakłe portrety umieszczone teraz w Ca' d'Oro? I że „bicz na księżętą”, Pietro Aretino, każdego dnia z dwudziestu dwóch lat, jakie przeżył w tym domu nad Canale Grande, wyglądał przez okna i podziwiał widok, który uznawał za najpiękniejszy na świecie? Bardzo wątpię. Wszyscy wydawali się zainteresowani jedynie pseudoartystyczną tandetą sprzedawaną na straganach nad kanałem.

Po tkwieniu całymi dniami w *palazzo* Crace'a miałem ogromną pokusę, żeby pospacerować trochę i rozejrzeć się. Poza pierwszym dniem spędzonym w tym mieście nigdy tak naprawdę nie miałem okazji lepiej mu się przyjrzeć i zrobić rzeczy, o których marzyłem – chciałbym odwiedzić San Marco, Palazzo Ducale, Scuola di San Giorgio degli Schiavoni, obejrzyć Tintoretta w Scuola Grande di San Rocco i kościoły: San Polo i Madonna dell'Orto, albo po prostu poleżeć w słońcu popołudniem na Lido. Żał mi się robiło na myśl, że zaraz będę musiał wracać biegiem do Crace'a, ale pocieszałem się myślą o zdobyciu nowych informacji, potrzebnych do realizacji przedsięwzięcia, które mogło odmienić moje życie. Za rogiem *palazzo* kupiłem kilka ciastek i butelkę fragolino, a kiedy wszedłem do salonu, zastałem Crace'a w tej samej pozycji w fotelu, z głową lekko opuszczoną na piersi i śpiącego.

Zacząłem budzić się coraz wcześniej, wstawiałem, gdy nikłe promienie wschodzącego słońca wpadały przez zamknięte okiennice. Kiedy się myłem i ubierałem, motywował mnie nowy cel, przemożna ciekawość – pragnienie wiedzy. W tamte wczesne ranki pisałem w zeszytach i przemierzałem *palazzo* w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów przeszłości Crace’a. Postanowiłem, że zajmę się tym skrupulatniej, przeglądałem więc zawartość szuflad i szaf. Ich ciemne, tajemne wnętrza sprawiały wrażenie, jakby ukrywały klucze do osobowości Crace’a, ale znajdowałem w nich jedynie pozbawione znaczenia śmieci z codziennego życia – rachunki, pokwitowania, ulotki reklamowe. Jedyнным prawdziwym, konkretnym przedmiotem, który wydawał się mieć jakieś znaczenie, okazał się kosmyk płowych włosów ukryty w biurku Crace’a. Miałem ochotę przyjrzeć mu się raz jeszcze, ale ponieważ jako najwyraźniej cenna pamiątka znajdował się w gabinecie mojego pryncypała, tuż obok jego sypialni, nie mogłem ryzykować, żeby mnie na tym przyłapał.

Każdego ranka, kiedy słyszałem, że obiekt moich badań szykuje się do rozpoczęcia dnia, a mój czas w samotności dobiega końca, odczuwałem coraz większe rozczarowanie, frustrację i złość, zastanawiając się, dlaczego historia życia Crace’a nie była bardziej widoczna, bardziej namacalna. Niemniej w chwili, gdy mało brakowało, żebym stracił wiarę w sens i wartość mojego przedsięwzięcia, stało się coś, co dodało mi otuchy.

Rankiem w którąś środę siedziałem na szczycie schodów prowadzących na dziedziniec i sączyłem espresso, kiedy usłyszałem, że coś wpadło do skrzynki na listy. Crace już wstał, ale nie był jeszcze ubrany. Po wypiciu *inocchiato* postanowił wrócić do sypialni, gdzie, jak zapowiedział, miał zamiar poczytać, a dopiero potem się wyszykować. Oznajmił, że wróci na śniadanie za jakiś kwadrans i chciałby zjeść jajecznicę na grzance.

– Wiesz, że lubię jajka ledwo ścięte – pouczył mnie. – Dlatego nie smaź ich, dopóki nie zobaczysz, jak siadam przy stole. Nie zapomnisz o tym, prawda?

Kiedy pierwszy raz przygotowałem mu to na śniadanie, wykrzywił twarz z obrzydzenia i kazał mi wszystko wyrzucić do śmieci.

– Wygląda to jak małe psie gówienka – wyszczał w moją stronę.

Uparł się, żeby stać koło mnie, gdy ponownie roztrzepywałem jajka i mieszałem je na patelni. W chwili gdy żółta mikstura zaczęła się ścinać, klepnął mnie w ramię i kazał zgasić gaz. Oślizgła masa wyglądała jak gluty. Kiedy włożył łyżką do ust tę bezkształtną jajeczną mazię, wydał z siebie serię pomruków zadowolenia, od których zrobiło mi się niedobrze. Na pewno tego nie zapomnę.

Odgłos listu wpadającego do skrzynki przypomniał mi o czasie, kiedy sam wpychałem prośbę o pracę w pysk smoka. Pamiętam dziwne wrażenie, jakie miałem, gdy moje palce otarły się o zimny marmur.

Zbiegłem po schodach w kierunku smoka, minąłem korynckie kolumny i nagiego cherubina. Z tyłu drewnianych drzwi, za głową smoka była przybita szara metalowa skrzynka. Za pomocą kciuka i palca wskazującego usiłowałem otworzyć zamykającą ją klapkę, ale bez powodzenia. Doszedłem do wniosku, że najprawdopodobniej się zaklinowała, dlatego nacisnąłem silniej na metalowy brzeg. Ostra krawędź przecięła mi opuszkę kciuka, zostawiając długie prawie na trzy centymetry skaleczenie. Kiedy włożyłem kciuk do ust i poczułem metaliczny smak krwi, dostrzegłem niewielki zamek z boku skrzynki. Jak mogłem być aż tak głupi i wcześniej go nie zauważyć?

Crace poinformował mnie na początku, że poczta od jego wydawcy jest dostarczana przez firmę kurierską, w rezultacie nigdy wcześniej nie było potrzeby zaglądnienia do skrzynki. Kiedy wysyłałem list do pani Shaw z prośbą, by odpisała na adres *palazzo*, założyłem, że dam radę

przechwycić korespondencję od niej, tak że Crace nawet się o tym nie dowie. Nigdy nie widziałem, by schodził i sprawdzał pocztę w skrzynce na listy. Nigdy też nie przyszło mi do głowy, że mogłaby być zamknięta.

Pochyliłem się i dokładnie obejrzałem zamek. Gładziłem go palcami, bo nie wiedzieć czemu intuicja podpowiadała mi, że kiedy wyczuję jego krawędzie i wyrzucenie, uda mi się go otworzyć. Wziąłem nawet pod uwagę rozbicie go – rozejrzałem się po dziedzińcu w poszukiwaniu kamienia, pomyślałem nawet o posłużeniu się cherubinem jako narzędziem – ale od razu uznałem też, że takie działanie nie wchodzi w grę, bo rozbudziłoby podejrzliwość Crace’a. Jedynym sposobem było znalezienie klucza, bardzo małego kluczyka.

Wbiegłem z powrotem po schodach prowadzących do *palazzo* z dziedzińca. Potem ruszyłem holem. Usłyszałem Crace’a idącego w moją stronę z sypialni. Za kilka sekund mieliśmy stanąć twarzą w twarz.

Zwolniłem i obróciłem się tak, by znaleźć się plecami do niego. Nie mogłem pozwolić, żeby zobaczył panikę w moich oczach.

– Jestem prawie gotowy! – usłyszałem, jak zawołał na mój widok. – Za minutę będziesz mógł smażyć jajecznicę.

Chciał jeść śniadanie.

– Kiedy czytałem, zrobiłem się głodny. – Jego głos dochodził mnie z bliższej odległości.

Wszedłem do kuchni i zacząłem rozbijać jajka. Gdy wlałem trochę mleka do miski z jajkami i roztrzepywałem je, zauważyłem, że ręce mi drżą.

– Możesz już postawić patelnię na ogniu. – Crace stał w drzwiach. – I robić grzankę.

Spojrzałem na niego znad miski.

– Co się z tobą dzieje? – zapytał.

Kiedy wrzuciłem na patelnię masło i postawiłem ją na palniku, czułem

na sobie jego wzrok.

– Nie bardzo rozumiem? – odpowiedziałem pytaniem i udawałem, że całą uwagę skupiam na przygotowaniu śniadania, byle tylko uniknąć jego spojrzenia.

– Nie jesteś tak pogodny jak zwykle, to wszystko. Czy coś się stało? – Usłyszałem cichą nutę paniki w jego głosie. Musiałem go uspokoić.

– Och, jestem po prostu trochę bardziej zamyślony, bo powieść nie idzie mi zbyt dobrze, i tyle.

– Wiesz doskonale, że na tym polu nie mogę ci, niestety, służyć radą. – Usadowił się na krześle. – Znasz moje zdanie na temat tego przeklętego zajęcia.

Wymieszałem jajka, posmarowałem grzankę masłem, zsunąłem jajecznicę na talerz i zaniósłem go Crace'owi.

– Co ci się stało w kciuk?

– Skaleczyłem się tamtym nożem – wyjaśniłem, wskazując na blat kuchenny. – Przy rozbijaniu jajek. Myślami musiałem być na innej planecie. Ale starannie osuszyłem rękę, zanim wziąłem się do śniadania.

– Nawet jeśli kilka kropli krwi wpadło do jajek, to przecież nie ma żadnego znaczenia – rzekł, pałaszując bezkształtną mazię i ze smakiem oblizując usta. – Na pewno byłaby pyszna, gdyby znalazło się w niej trochę ciebie.

Jego głos brzmiał odrobinę niesamowicie i przy tym nieco zalotnie. Może jednak to był dobry moment, żeby zapytać go o kluczyk.

Usiadłem obok niego i przysunąłem krzesło nieco bliżej. Ta bliskość wywołała niewielki rumieniec na jego policzkach, a jego małe oczka rozblęły filuternie.

– Panie Gordonie?

– Tak?

– Wydaje mi się, że ktoś wrzucił coś dziś rano do skrzynki na listy.

Pewnie to znowu jakieś śmieci, ulotki reklamowe albo inny chłam, ale może dobrze byłoby, gdybym tam zajrzał i ją opróżnił. Bo tak przy okazji – kiedy ostatni raz pan do niej zaglądał?

Crace odłożył nóż i widelec. Zamyślił się.

– To musiało być kilka tygodni temu. Tak, ostatnio wyjąłem z niej list od ciebie. Dlaczego pytasz? Sam mówisz, że nie może tam być nic, co miałyby jakiegokolwiek znaczenie.

– Jeśli jednak jej nie opróżnię, listy zaczną wypadać z paszczy smoka na chodnik.

– I co z tego? – odpowiedział Crace, wracając do przerwanej śniadania. – Kogo to obchodzi? To będzie dobra nauczka dla tych popaprańców, chyba się zgodzisz? Pokażemy im, że nawet nie czytamy tego badziewia, które wrzucają nam przez drzwi.

Musiałem spróbować raz jeszcze. Tym razem trochę inaczej. Wziąłem głęboki wdech.

– Chyba będę musiał panu coś wyznać.

Crace ponownie przerwał jedzenie i spojrzał na mnie. Oblizalem usta i nerwowo przełknąłem ślinę.

– Wiem, że zabronił mi pan podawać ten adres... – Twarz Crace'a wykrzywiła się ze złości, drobiny jajka wypadły mu z ust. – Tyle że musiałem napisać do mojej dziewczyny, która została w Londynie. Do Elizy. Zerwaliśmy tuż przed moim wyjazdem do Wenecji, ale wielu spraw nie wyjaśniliśmy sobie do końca. Zaczęła sypiać z jednym z naszych wykładowców, mimo to chyba nadal coś do niej czuję. Zanim wyjechałem, powiedziałem jej kilka okropnych rzeczy, a teraz tego żałuję. Dlatego musiałem do niej napisać i opowiedzieć jej, jak się czuję. Rozpaczliwie potrzebowałem kontaktu z nią, i to takiego, jaki można osiągnąć jedynie za pomocą listów, bo wtedy jest szansa na wyrażenie uczuć, których nie da się przekazać telefonicznie.

– Tak, rozumiem. – Jego rysy złagodniały.

Oczywiście nie kłamałem. No, w każdym razie jeśli chodzi o emocje, bo były prawdziwe.

– Wiem, że złamałem pańskie zasady, ale proszę jedynie, żeby pozwolił mi pan odebrać list od niej i przeczytać.

– Nie zdradziłeś jej chyba mojego nazwiska, prawda?

– Oczywiście, to znaczy nie, niczego jej nie zdradziłem. Ani nikomu innemu. Napisałem jedynie, że zatrzymałem się pod tym adresem, usiłując pisać powieść i opiekując się mieszkaniem, którego właściciel wyjechał za granicę.

Oczy Crace’a zwęziły się, jakby chciał przejrzeć mnie nimi na wylot.

– Więc dobrze, dobrze – powiedział. – Ale tylko ten raz. – Przerwał na chwilę, żeby dokończyć śniadanie. – Co zaszło między wami? To znaczy tobą i...

– Elizą.

– Tak, właśnie, między tobą i Elizą.

Wydawał się tym zainteresowany, więc opowiedziałem mu trochę o niej, o tym, jak się poznaliśmy i jak bardzo ją lubiłem. Kiedy skończyłem mówić, odsunął się razem z krzesłem od stołu, wstał i powiedział, żebyśmy poczekał w kuchni, a on w tym czasie pójdzie po kluczyk. Po odgłosie jego kroków usiłowałem zorientować się, którądy szedł, żeby wiedzieć mniej więcej, gdzie trzyma ten klucz, na wypadek gdybym go potrzebował w przyszłości. Z tego, czego się domyślałem, szedł przez *portego*, a potem korytarzem prowadzącym do sypialni albo gabinetu. Przypomniałem sobie klucze, które widziałem w biurku, gdzie trzymał kosmyk włosów.

– Oto on – powiedział po powrocie do kuchni, wyciągając przed siebie prawą dłoń, na której leżał kluczyk z wyglądu nadający się jedynie do otwierania domku dla lalek. – To klucz do wszelkich mitologii... w każdym razie do tych miniaturowych.

Zachichotał z własnego kiego dowcipu, a ja, żeby podtrzymać jego dobry humor, zaśmiałem się razem z nim.

– Zejdźmy zatem na dół i sprawdźmy, co jest w skrzynce na listy, co ty na to?

Kiedy się ode mnie odwrócił i zaczął iść w kierunku drzwi, zdałem sobie sprawę, że muszę szybko coś wymyślić.

– Panie Gordonie! Panie Gordonie, proszę zaczekać. Jest jeszcze coś, co powinien pan wiedzieć.

– Och, tak.

– Tylko że sprawa jest bardzo delikatnej natury.

Zmusiłem się do nadania mojej twarzy wyrazu zaniepokojenia i czegoś w rodzaju lekkiego wstydu. Opuściłem głowę i wgapiałem się w podłogę niczym uczeń złapany za rękę na paskudnym występku.

– O co, do licha, chodzi, Adamie? – Jego głos brzmiał łagodnie i uprzejmie. – Chodź, usiądźmy.

Kiedy ponownie znaleźliśmy się w kuchni i usiedliśmy, patrzyłem, jak Crace kładzie kluczyk obok pustego talerza, blisko krawędzi stołu.

– To szalenie krępujące i bardzo... o-osobiste – zacząłem, celowo się jękając – i nie jestem nawet pewien, na ile może mi pan pomóc. Ale nie potrafię już dłużej dusić tego w sobie.

Crace wpatrywał się we mnie z uwagą, jego oczy wwiercały się we mnie. Było jasne, że go zaintrygowałem.

– Spróbuję ci pomóc, jeśli będzie to w mojej mocy. Powiedz, proszę, wszystko, co chcesz, nie czuj się skrępowany.

Wziąłem głęboki wdech i rozpocząłem moją opowieść.

– Cóż, od kiedy pamiętam, odczuwałem dziwną skłonność... lubiłem... lubiłem innych chłopaków.

Wąskie szparki oczu Crace'a poszerzyły się, a nozdrza rozchyliły się, kiedy pochylił się w moją stronę.

– Pamiętam, że w szkole strasznie mi się podobało kilku trochę starszych chłopców, ale wszyscy zawsze twierdzili, że to zupełnie naturalne, tyle że potem doszło do tego coś jeszcze. Rodzaj pragnienia, tęsknoty. Mimo że nigdy niczego nie zrobiłem, rozumie pan, zawsze gdzieś w tle towarzyszyło mi to uczucie.

– Rozumiem.

– Do dziś mam przed oczami przerwę na drugie śniadanie, kiedy byłem w piątej klasie. Siedziałem sam w sali i czytałem książkę, gdy wszedł tam jeden z chłopaków... jeden z chłopaków, którzy mi się podobali. Nie potrafię nawet opisać, co wtedy czułem. Szedł strasznie pewny siebie – a był zbudowany jak zawodnik rugby – i usiadł przede mną. A potem, w ogóle na mnie nie patrząc, rozciągnął się na sąsiedniej ławce jak długi.

Crace głośno przełknął ślinę i oblizał wargi wilgotnym językiem. Jego powieki zaczęły opadać, jakby zapadał w swoistą hipnozę. Kontynuowałem swoją historię.

– Położył ramię za głowę, drugą ręką podciągnął koszulę, tak że pokazał brzuch. Nie mogłem tego wytrzymać, chciałem sięgnąć dłonią i dotknąć go, ale czułem się kompletnie zmieszany. Głowę miał zwróconą w kierunku tablicy, tak że nie mogłem spojrzeć mu w oczy. A może zupełnie nie zdawał sobie sprawy z mojej obecności, choć z drugiej strony może uznał mnie za kogoś tak mało ważnego, że nie warto się nim przejmować. Wyciągnąłem rękę i...

Sięgnąłem dłonią ponad stołem, jakby odtwarzając teraz tę scenę, cały czas jednak nie tracąc kontaktu wzrokowego z Crace'em. Kątem oka sprawdziłem, gdzie leży kluczyk – wciąż spoczywał przy krawędzi stołu obok jego talerza – a potem złapałem Crace'a za lewą rękę.

– ...i dotknąłem go.

Crace natychmiast obudził się z somnambulicznego stanu. Szarpnął ręką, zrzucając z niej moją dłoń. Wyolbrzymiając siłę jego ruchu,

odsunąłem zamasyście przedramię i wierzchem dłoni zrzuciłem kluczyk na podłogę obok moich stóp. Szybko przesunąłem nogę i schowałem go pod but. Byłem pewny, że słabo widzący Crace niczego nie zauważył.

– Och, Boże, jakie to było głupie z mojej strony – mówiłem dalej. – Przepraszam, ale pewnie leży tu gdzieś blisko. Mam jedynie nadzieję, że nie wpadł w żadną szparę w podłodze.

Crace milczał.

– Aż mi się wierzyć nie chce, że opowiadam panu te nonsensy – dodałem, udając, że przeskukuję wzrokiem podłogę. – Przepraszam, że obciążam pana takimi wyznaniemi.

Crace obrócił się i popatrzył na mnie. Czuję, że się rumienię.

– Nie ma za co, zupełnie nie ma za co. Najwyraźniej, jak mawiają, chciałeś to z siebie wyrzucić. A kluczem się nie przejmuj – możesz go poszukać później. Wolałbym, żebyś opowiedział mi dalszy ciąg swojej historii.

– No cóż – podjąłem wątek, odchrząkując – takie sprawy nigdy nie kończą się tak, jak byśmy tego chcieli, prawda? W chwili gdy sięgałem do niego, jakiś inny chłopak wpadł jak burza do klasy. Myślę, że zorientował się w tym, co zamierzałem zrobić, ale nic nie powiedział. Później już do niczego nie doszło, bo druga taka okazja się nie powtórzyła. Wyjechał potem na studia i nigdy więcej się nie widzieliśmy. Najśmieszniejsze jednak jest to, że chyba nie zdarzył mi się tydzień od tamtej pory, żebym o nim nie myślał.

– A jaki to miało wpływ na twój związek, jeśli wolno spytać?

– Eliza zawsze podejrzewała, że mogę mieć skłonności do takich uczuć. Powiedziałem jej, że nigdy nic z tego nie wynikło, a ona okazywała mi mnóstwo zrozumienia, dodawała otuchy. Zasugerowała nawet, żebym spróbował, jak to jest. Zapewniała mnie, że nie ma nic przeciwko temu. Oczywiście teraz z perspektywy czasu wiem, dlaczego tak mówiła –

czułaby się mniej winna z powodu własnych sekretów.

– Tak, rozumiem – odezwał się Crace, kiwając głową ze współczuciem.

– A co czujesz teraz?

– Jestem zdezorientowany – odrzekłem. – Nie jestem pewny, czego chcę... i Eliza nadal jest mi bliska.

– Pozwolisz, że coś ci doradzę? – powiedział Crace, odkaszłując.

– Oczywiście, proszę. Będę naprawdę wdzięczny. Przez to wszystko jestem trochę wytrącony z równowagi.

– Rzecz jasna nie znam całej sytuacji, co do tego nie ma wątpliwości – zaczął, mocno akcentując ostatnią frazę. – Ale na twoim miejscu zerwałbym z tą dziewczyną i uczciwie powiedział jej prawdę: że nie jesteś pewny swoich preferencji i potrzebujesz czasu, żeby poznać różne możliwości. Powstrzymywanie się od czegokolwiek w twoim wieku nie ma sensu. Musisz eksperymentować.

– Ale to mnie jednocześnie odrzuca, wydaje mi się w pewien sposób niewłaściwe. Trochę niemoralne; rozumie pan, co mam na myśli?

Crace milczał przez chwilę.

– Nie ma w tym nic niemoralnego czy niewłaściwego, Adamie. Prawdę mówiąc, miłość między dwoma mężczyznami może być jedną z najpiękniejszych rzeczy na ziemi.

Przez dłuższy czas nie dodał nic więcej. Ale potem zaczął rozglądać się nerwowo po kuchni. Najwyraźniej to wyznanie zawstydziło go i chciał teraz jak najszybciej wrócić do naszej wcześniejszej rozmowy.

– Gdzie on jest? Musi leżeć gdzieś na podłodze – odezwał się w końcu, odsuwając krzesło od stołu i obracając się.

– Na pewno go znajdę – powiedziałem i korzystając z okazji, pochyliłem się, żeby podnieść kluczyk i wsunąć go sobie do kieszeni.

Wstałem i przeszedłem przez kuchnię, a potem na czworakach zacząłem udawać, że szukam kluczyka, ale kiedy przesuwałem dłońmi po

podłodze, zahaczyłem o coś rozcięciem na kciuku.

– Och, na rany Boga, Adamie, uważaj, co robisz. Zakrwawisz całe pomieszczenie. Idź do łazienki i umyj to.

Włożyłem kciuk do ust i oczyściłem z krwi. Jednak w chwili gdy wyciągnąłem go spomiędzy warg, na skórze znów pojawiła się jaskrawoczerwona kropla.

– Może najpierw tu posprzątam – zaproponowałem, biorąc szmatę spod zlewu, ale kiedy pochyliłem się, żeby zetrzeć krwawe smugi, z palca popłynęło więcej krwi.

– Daj mi to – powiedział Crace. – Będzie lepiej, jak pójdziesz i znajdziesz jakiś plaster, zanim wykrwawisz się na śmierć.

– Dobrze, ma pan rację – zgodziłem się, wiedząc, że jeśli będę wystarczająco szybki, zdążę wyjąć list ze skrzynki.

Poszedłem do łazienki, otworzyłem apteczkę z lustrem nad umywalką i wyjąłem stamtąd niewielkie pudełko, w którym znajdowały się różne maści, kremy i pigułki. Zapach medykamentów przypominał mi szkołę. Ostrożnie przesuwalem palcami, żeby nie nachlapać krwi do środka pudełka, i wyjąłem plaster. Po opatrzeniu kciuka puściłem wodę z kranu, a później rzuciłem się biegiem przez hol, uważając, żeby Crace mnie nie dostrzegł, w dół po schodach, aż znalazłem się na dziedzińcu.

Słońce oślepiło mnie, gdy wyszedłem z cienia. Sięgnąłem głęboko do kieszeni po małeńki kluczyk, a kiedy go wyjąłem, żeby otworzyć nim zamek skrzynki na listy, wydawał się podrygiwać na dłoni niczym rybka wyciągnięta z wody.

Zanim jednak wsunąłem go do zamka, zerknąłem na szczyt schodów, by zyskać pewność, że Crace mnie nie widzi. Jedno przekręcenie i skrzynka się otworzyła.

Uniosłem metalową klapkę i włożyłem rękę do środka. Usłyszałem szelest papieru. Wyjąłem cieką lotniczą kopertę pokrytą niewyraźnym

pismem. List był od niej. Rozpaczliwie chciałem rozedrzeć kopertę i przeczytać jego treść, ale musiałem wracać na górę. Wcisnąłem go do kieszeni, opuściłem klapkę skrzynki na listy i przekręciłem kluczyk w zamku. Pognałem po schodach na górę, przez *portego* do łazienki, zakręciłem kran i wróciłem do kuchni. Crace z trudem podnosił się z kolan.

– Przepraszam, ale to cholera nie chciało przestać krwawić, dlatego musiałem trzymać palec pod kranem – wyjaśniłem, pomagając mu wstać.

– Pokaż no – odezwał się Crace, łapiąc mnie za rękę i podsuwając ją sobie bliżej twarzy. – Rękę masz nadal bardzo ciepłą.

Przyglądał mi się podejrzliwie.

– Nie rozumiem? – na w pół spytałem, usiłując zyskać czas na zebranie myśli.

– Nie mogłeś jej trzymać pod strumieniem wody, żeby zatrzymać krwawienie, bo twoja ręka nie jest zimna.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Domyślił się? Czy mnie widział?

– Zaraz wyjaśnię...

Grace przerwał mi gestem.

– Jakiś ty głupi, powinieneś włożyć ją pod zimną wodę, a nie gorącą. Czy rodzice niczego cię nie nauczyli?

Musiałem jakoś ukryć ulgę, jaką odczułem.

– Mam tylko nadzieję, że nigdy nie znajdę się w sytuacji, kiedy będę potrzebował od ciebie pierwszej pomocy.

Obaj się roześmialiśmy.

– A teraz poszukajmy tego cholernego kluczyka, dobrze?

Nie muszę mówić, że znalezienie go nie zajęło nam dużo czasu. Kiedy wydawało mi się, że Crace nie patrzy, wyjąłem go po prostu z kieszeni i położyłem dyskretnie na podłodze za jedną z nóg stołu.

– Tu jest – powiedziałem, wskazując go palcem. Widać było jedynie

końcówkę wystającą z cienia. Nachyliłem się i wziąłem go do ręki, a potem z dumą pokazałem Crace'owi, niczym nurek, który chwali się ostrygą z dużą perłą w środku.

– Dobra robota, Adamie, dobra robota – skwitował to Crace, klepiąc mnie lekko po ramieniu. – Chodźmy w takim razie sprawdzić, jakie sekrety skrywa skrzynka na listy, co ty na to? Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Wydał mi się niezwykle zadowolony z faktu, że razem pójdziemy na dół, a ja nie potrafiłem go w żaden sposób zbyć. Być może moja historia okazała się na tyle frapująca, że czuł się w jakiś dziwny sposób zaangażowany w nią, ciekawiła go Eliza i to, co działo się u mnie w ojczyźnie. Nie wykluczam, że przewrotnie miał nawet wrażenie, że uczestniczy w moim życiu. Nie miało to zresztą znaczenia. Kogo to obchodziło? Teraz nie miałem się już czego obawiać. Wyjąłem przecież list ze skrzynki. Złapałem trop. To ja kontrolowałem sytuację.

Przeszliśmy razem wolno przez *portego*. Wsparłem go, kiedy pochylony pokonywał schody po jednym stopniu, zanim znaleźliśmy się na dziedzińcu. Jego kościste ręce otoczyły moje ramiona. Od czasu do czasu, w miarę schodzenia, dotykał mojej szyi. Kiedy minęliśmy figurkę cherubina, Crace zatrzymał się na chwilę pośrodku dziedzińca i mamrotał coś o miłości, która nie patrzy oczami, tylko umysłem. Obrócił się do mnie i uśmiechnął.

– Idź tam, Adamie, sprawdź, co jest w środku. – Wskazał ręką na skrzynkę.

Kiedy wkładałem klucz do zamka, krwawy odcisk palca na klapce patrzył na mnie niczym nieporuszone ciemnoczerwone oko.

– Znalazłeś coś? – zapytał Crace.

Uniosłem klapkę, starając się zatrzeć krwawy ślad, i udało mi się to. Wsunąłem rękę do środka.

– Niczego tu nie ma – powiedziałem.

– No proszę, czy to nie dziwne?

Marzyłem jedynie o ucieczce do swojej sypialni, gdzie mógłbym przeczytać list. Ale kiedy pomagałem Crace'owi usadowić się w salonie, zaczął klepać siedzisko sąsiedniego fotela, zachęcając mnie gestem, żebym się przysiadł. Popatrzył na mnie z poważnym, zatroskanym wyrazem twarzy.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać trochę więcej na temat, o którym wcześniej wspomniałeś – powiedział.

W tej sytuacji w żaden sposób nie mogłem się wywinąć. Usiadłem obok niego. Czułem, jak zaczynam się czerwienić na twarzy.

– Zanim jednak do tego przejdziemy, wydaje mi się, że przyzwoitość wymaga wręcz, żebym najpierw opowiedział ci trochę o sobie – mówił Crace, oblizując językiem wąskie, suche usta. – Celowo nie zdradziłem ci zbyt wielu informacji o moim życiu, o mnie samym – ale nie czuj się tym dotknięty, proszę – w rzeczywistości bowiem nie ma to z tobą nic wspólnego. Widzisz, muszę być ostrożny. To znaczy uważam, że muszę być ostrożny. Och, chyba w tym, co mówię, nie ma zbyt wiele sensu... – Jego twarz wydawała się marszczyć i kurczyć niczym kartka starego papieru. – Oczywiście wyobrażam sobie, co o mnie myślisz, mieszkając tu i nie wychodząc do miasta...

Chciałem coś wtrącić – przyjść mu z pomocą, bo przecież tak nakazywałaby zwykła uprzejmość – ale on uniósł dłoń i gestem nie dopuścił mnie do głosu.

– Myślę też, że światu na zewnątrz muszę wydawać się ekscentrykiem, właściwie jakimś smutnym stworzeniem. Nigdy nie wiąże się z nikim, niczego nie przeżywam. Na zawsze zamknięty w moim niewielkim świecie, otoczony książkami i sztuką, pozostałościami z innej epoki. Ale ja jestem szczęśliwy – cokolwiek to naprawdę znaczy. Cóż, tak szczęśliwy, jak tylko mogę, tego jestem pewny.

Przerwał, wziął głęboki wdech i zmienił pozycję w fotelu.

– Posłuchaj mnie... Trochę kluczę, pomijając jak zwykle najważniejsze sprawy. Przepraszam, Adamie, po prostu od bardzo dawna nie rozmawiałem z nikim w taki sposób. Będziesz musiał mi wybaczyć dygresje, które wydadzą ci się zupełnie niezwiązane z tematem. Ale pamiętaj, że robię to tylko dlatego, właściwie wyłącznie dlatego, że mam wrażenie, że w ten sposób mogę ci pomóc. Był taki okres w moim życiu, kiedy czułem się zdezorientowany i nieszczęśliwy, i... niepewny tego, czego i kogo chcę.

Czekałem, co powie dalej.

– Byłem młody jak ty. Po Oksfordzie zacząłem pracować jako nauczyciel angielskiego, pierwszą posadę dostałem w szkole w Dorset. I znowu, podobnie jak ty, miałem pisarskie ambicje. Chodził mi po głowie pomysł na powieść. Pracowałem nad nim, kiedy nie byłem zajęty w szkole. Teraz wydaje mi się, że działo się to bardzo dawno temu. Do pewnego stopnia aż trudno mi uwierzyć, że ci to opowiadam. W każdym razie wkrótce po rozpoczęciu pracy w szkole zaprzyjaźniłem się z jedną z nauczycielek, Ruth Chaning, zatrudnioną na część etatu. Miała mniej więcej tyle lat co ja, dwadzieścia kilka, a ponieważ oboje byliśmy nowi w tej szkole i nie znaleźmy zbyt wielu osób w tamtej okolicy, siłą rzeczy spędzaliśmy razem dużo czasu. Przez cały okres trwania naszej przyjaźni czekałem na moment, żeby jej powiedzieć... że kobiety mnie nie pociągają. Ale kiedy pewnego wieczora wracaliśmy razem z miejscowego pubu, objęła mnie i pocałowała, tuląc się do mnie, poczułem, że jest za późno. Odpowiednia chwila minęła. Nie chodzi o to, że było mi jej szkoda, ale kiedy patrzę na to z perspektywy czasu, uważam, że przemilczenie tego było z mojej strony zachowaniem straszliwie niedojrzałym.

Podniósł się, jakby nagle wybudził się z głębokiego snu.

– Przepraszam... stanowczo się zagalopowałem. Nie musisz wiedzieć

tego wszystkiego. Sam nie wiem, dlaczego ci to opowiadam. Chciałem jedynie powiedzieć, że doskonale wiem, jak czuje się człowiek w twojej sytuacji.

To był pierwszy raz, kiedy słyszałem Crace'a opowiadającego szczegółowo o swoim życiu osobistym. I postarałem się zapamiętać to, co do słowa.

Chciałem też dowiedzieć się więcej. Zebrałem się w sobie, by zadać mu pytanie.

– Czy ktoś inny spośród nauczycieli, poza nią... poza tą Ruth, podobał się panu?

– Pociągali mnie inni, ale on... oni... nie należeli do grona pedagogicznego.

– Czy to ktoś, kto pracował w tej wsi? Ktoś, kogo spotykał pan poza szkołą?

Tego było za dużo dla Crace'a. Odniosłem wrażenie, że się wycofał, zachowywał się tak, jakby nasza rozmowa w ogóle się nie odbyła.

– Myślałem, że powiedziałem ci już, żebyś nigdy nie wtykał nosa w moje życie, moje życie osobiste. To jeden z tematów, który poruszyliśmy w czasie twojej rozmowy kwalifikacyjnej, a ty obiecałeś przestrzegać ustalonych zasad...

Musiałem mu przerwać, żeby dopatrzeć się sensu w moich pytaniach.

– Ale, panie Gordonie, sam pan przecież zaczął. Nie prosiłem, żebyśmy rozmawiali o przeszłości. Pan sam rozpoczął, nie pamięta pan? Powiedział pan, że to może mi pomóc... w moim dylemacie. Na mój pociąg do chłopaków.

Wpatrywałem się w niego uporczywie. Poruszał w milczeniu ustami, jakby usiłował sformułować demoniczne słowa, frazy i wyrażenia, którymi mógłby się posłużyć w kontynuowaniu ataku na mnie.

– Przepraszam, nie miałem zamiaru podnosić głosu – powiedziałem.

– Chodzi jednak o to, że sam pan to zaczął. To znaczy rozmowę na ten temat.

Zmarszczył czoło i zamrugał. Skupiał się tak bardzo, że wyglądał, jakby starał się rozplatać nić pamięci, na której powstał w jego głowie supeł.

– Och tak, rzeczywiście... jakie to głupie z mojej strony.

– Rzecz jasna nie zapytałbym pana o coś takiego, ale pomyślałem, że właśnie tego pan ode mnie oczekuje. Myślałem, że chciał mi pan pomóc... pomóc mi zrozumieć.

Z pewnością nie szkodziło spróbować. Mimo wszystko trochę uzalania się nad sobą mogło pobudzić go do dalszych zwierzeń.

– Masz rację. Bez wątpienia masz rację – odparł Crace. – Może nadeszła pora, żebym rzucił z siebie ten ciężar. Bo czego miałbym się bać? – Przerwał na chwilę. – Nie bardzo wiem, od czego zacząć.

Zmarszczki na jego twarzy wygładziły się i przez moment wyglądał jak mały, zagubiony chłopiec.

– Może od szkoły? – zasugerowałem. – I pańskiego pobytu w niej?

– Ach, tak. Szkoła – Winterborne Abbey, naprawdę wspaniałe miejsce. Otoczone lasami, ukryte w dolinie. Nazwana tak od znajdującego się obok średniowiecznego opactwa, służącego teraz za szkolną kaplicę. Nawiasem mówiąc, w opactwie było sporo pięknych rzeźb i fascynujących obiektów, jak choćby relikwie i tym podobne.

Zaczynał głądzić. Miałem jednak przeczucie, że nie powinienem mu przerywać. Wszystko, co mówił, stanowiło dla mnie materiał.

– Winterborne było przez lata prywatnym domem. Przedtem jednak znajdowało się tam miasteczko. Prawdziwa osada, rozumiesz, z trzema budynkami użyteczności publicznej, główną ulicą, komunalnym gruntem. Ale wtedy, około tysiąc siedemset osiemdziesiątego roku, pewien facet – jakiś nowobogacki, jak przypuszczam – kupił tę ziemię, doszedł do

wniosku, że nie podoba mu się widok czy zapach, czy ludzie, i zrównał ją z ziemią. Przeniósł miasteczko mniej więcej o dwa kilometry i kazał swoim robotnikom je tam odbudować. Najął potem Capability Browna, żeby zaprojektował wygląd doliny, a dla siebie kazał wybudować dom. Spore osiągnięcie, jak mi nie mam.

– Więc był pan tam szczęśliwy?

– O tak, chłopcy, których uczyłem, byli cudowni. Tacy pełni ciekawości, chętni do nauki, o ogromnym wyczuciu intelektualnej swobody. Ci milusińscy chłonęli informacje jak małe gąbki.

– Pewnie miał pan swoich pupili?

– Nie mylisz się, Adamie. Tak, miałem ulubieńców.

– Wspomniał pan, że jesteśmy do siebie podobni. Czy pański związek z tamtą nauczycielką trwał?

– Nie, nie udało się nam, z tego czy innego powodu. A potem się zakochałem. – Kiedy to mówił, mięśnie jego twarzy ściągnął jakby skurcz. – Och, na rany Boga, człowieku, wykrztuszę to wreszcie – powiedział do siebie. – To tylko Adam. I wszystko. Przecież on nikomu nic nie powie, prawda, Adamie?

Obrócił się do mnie.

– Zakochałem się w uczniu... w jednym z moich chłopców... Nazywał się Chris. Christopher Davidson. Nie był już maluchem, więc proszę, nawet nie myśl, że jestem jednym z tych, no wiesz.

– Jak wyglądał?

Crace zmrzążył oczy, jakby dzięki temu mógł przywołać obraz chłopaka.

– Jasne włosy o pięknym kolorze... niczym kolby dojrzałej kukurydzy.

– Jak się poznaliście? To znaczy, jak... no wie pan...?

– Intymnie się zbliżyliśmy?

– Tak.

– Dostał stypendium... zresztą tylko on, bo jego ojciec pracował w tej szkole jako organista. Rodzice nie mieli grosza przy duszy. A on miał naturalny dryg do poezji i języka w ogóle, niemal instynktowną umiejętność czytania między wierszami, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Sugerowałem, że powinien studiować filologię angielską na Oksfordzie lub Cambridge, dlatego spotykaliśmy się regularnie po szkole i udzielałem mu korepetycji. W domu jego rodziców nie było nawet jednej książki, a mimo to spłodzili takiego anioła.

– I co się stało?

– Nadal jest mi straszliwie trudno o tym mówić, Adamie. Nie jestem pewny...

– Niech pan posłucha... wszystko, co pan opowiada, jest dla mnie ogromną pomocą. Zresztą to może nawet...

– Spróbuję, ostrzegam cię jedynie...

– Bez obaw. To może przecież pomóc i panu...

– Pewnie masz rację.

Wziął kolejny głęboki wdech.

– Zaczęliśmy spędzać ze sobą coraz więcej czasu... nie miało to nic wspólnego ze szkołą. Intrygował mnie, z drugiej strony przypuszczam, że musiałem być dla niego kimś w rodzaju idola. Straszna rzecz przydarzyła się jego ojcu. Biedny Chris, stracił go.

– A potem?

– Możesz być pewny, że mówię ci o najważniejszych rzeczach. Wierzysz mi? Na rany Boga, chłopcze – czego ty chcesz? Krwi? Za chwilę się okaże, że wyciągasz magnetofon i żądasz ode mnie zeznań pod przysięgą.

Nie rumień się, powtarzałem w myślach. Nie śmiej się nieszczerze. Wyglądaj tak normalnie, jak to możliwe.

– A potem zakochaliśmy się w sobie. Wystarczy? To się właśnie

stało, Adamie. Opuściliśmy szkołę wkrótce po tym, jak Chris skończył osiemnaście lat. Przeprowadziliśmy się do Londynu, gdzie Chris zaczął studiować filologię angielską. Ale zachęcony przeze mnie – jakież byłem wtedy głupi, że go do tego namawiałem – rzucił studia na uniwersytecie już po pierwszym semestrze. Miał doskonałe stopnie, same piątki, i widać było tkwiący w nim potencjał, ale ja po głębokim namyśle zacząłem wierzyć, że ma wspaniały talent i że powinien tworzyć coś własnego. Kiedy patrzę na to teraz z perspektywy czasu, jestem pewny, że byłem po prostu zazdrosny o jego młodość i urodę. Bałem się, że jeśli zostanie na uniwersytecie, pozna jakiegoś rówieśnika.

Dlatego odizolowałem go. Zatrzymałem przy sobie tam, gdzie mogłem go bez przerwy widzieć. Każdego dnia obaj pisaliśmy albo przynajmniej usiłowaliśmy pisać. Zaczął pić – zresztą obaj zaczęliśmy. To była odrobina alkoholu, żeby wprowadzić się w nastrój do pisania – rozumiesz, łatwiejszy dostęp do podświadomości i inne podobne pierdoły. Whisky z wodą sodową po śniadaniu, żeby obłaskawić muzę – co za straszliwe brednie! Usiłowałem mu pomagać – czytałem to, co napisał, ale wyglądało na to, że on nie ma... cóż, że on nie ma wiele do powiedzenia. To zresztą logiczne, że nie mógł mieć wiele do powiedzenia, w końcu dopiero zaczynał życie.

Crace prychnął z nienawiści do samego siebie.

– O czym wtedy myślałem? Chris, mój piękny chłopcze. Powinienem być pozwolić mu odejść. Powinienem siłą odsunąć go od siebie. To życie nie było dla niego dobre i jasno widziałem, że jest nieszczęśliwy. Nie pozwalałem mu wychodzić z domu. Widzisz, chciałem, żeby był tam, ze mną. Czy ty mnie w ogóle rozumiesz?

Kiedy popatrzył na mnie, jego oczy błagały, bym coś powiedział, a ja niemal mu współczułem. Wryłem sobie jego słowa w pamięć, żeby móc je zapisać w chwili, gdy tylko znajdę się w swoim pokoju. Mój zeszyt

zapełniał się stopniowo, w miarę jak zbierałem surowy materiał do mojej książki. Crace we własnych żalosnych, plugawych, godnych pożałowania wyznaniach.

Po tym wybuchu Crace nie powiedział już nic więcej. Opuścił głowę na pierś i przyjął pozycję umęczonego i zrezygnowanego, jaką wcześniej przybierał wielokrotnie. Można by pomyśleć, że uszło z niego całe życie, a jego ciało stało się jedynie martwą powłoką. Wstałem, żeby wyjść z kuchni, a on odprawił mnie machnięciem ręki.

W swoim pokoju wyjąłem zeszyt z plecaka, który chowałem pod łóżkiem, i tak szybko i wiernie, jak umiałem, zapisałem naszą rozmowę.

Wyciągnąłem potem list z kieszeni i rozdarłem kopertę. Zobaczyłem ten sam co uprzednio niechlujny charakter pisma. Papier był cienki, z rodzaju tanich, a rozmazany w wielu miejscach czarny tusz przypominał smugi zostawione przez rozgniecione muchy. Odcisk brudnego kciuka znaczył prawy górny róg kartki.

*23 Church View
Winterborne
Dorset
DT11 0GF*

Szanowny Panie!

Dziękuję za list. Doceniam pański gest. Proszę do mnie zadzwonić na numer 01258 893489 to będziemy mogli lepiej omówić tę sprawę. Pan Crace napewno będzie chciał dowiedzieć się więcej czegoś, to gwarantuję. Widzi Pan, my teraz wiemy, jak Chris umarł.

Mam dla Pana więcej niespodzianek.

*Z poważaniem
M. Shaw*

Poszczególne elementy zaczęły układać się w całość. Teraz wiedziałem już, że Chris był kimś więcej niż tylko „lokatorem” Crace’a. Ta podła próba szantażu wskazywała, że było coś podejrzanego w sposobie, w jaki chłopak zmarł. Nic dziwnego, że Gordonowi tak ciężko poczuć winy. Nic dziwnego, że nie mógł potem pisać.

Byłem pewny, że zwykle wypytywanie Crace’a nie przyniesie mi wielu odpowiedzi. I tak do tej pory powiedział mi znacznie więcej, niż kiedykolwiek zamierzał. Gdybym nacisnął jeszcze mocniej – nawet wykorzystując do tego wymówkę, jakoby jego słowa pomagały mi radzić sobie z moim seksualnym zdezorientowaniem – wątpię, czy zyskałbym coś jeszcze. Myślę, że jego powściągliwość w zwierzaniu się w tej sprawie mówiła sama za siebie, bo przecież gdyby było coś podejrzanego w śmierci Chrisa, na pewno nie chciałby o tym rozmawiać, prawda?

Telefon do pani Shaw. To był pierwszy krok, jaki nasuwał się w sposób oczywisty.

Wsunąłem list do kieszeni, odszukałem w portfelu kartę telefoniczną – nie chciałem korzystać z komórki, na wypadek gdyby pani Shaw zapisała mój numer – i ruszyłem z powrotem przez *partego*. Zajrzałem do salonu – Crace wpatrywał się przed siebie niewidzącymi oczami, ślepy na sprawy tego świata.

– Wyskoczę na chwilę po butelkę wina do kolacji – powiedziałem. – Myślę, że kieliszeczek obu nam dobrze zrobi.

Crace skinął głową.

– Dobrze. – Jego głos wydawał się dobiegać z daleka, był smutny, jakby mówienie o przeszłości odcisnęło piętno na teraźniejszości. – Tylko wracaj szybko.

W chwili gdy znalazłem się na zewnątrz, wyjąłem list i przeczytałem go ponownie. Czuję wypełniające mnie podekscytowanie. Ostatnie wydarzenia były spełnieniem marzeń każdego biografa. Przedmiot

badan jako potencjalny morderca – nie mogło mi się trafić nic lepszego. Szedłem *calle*, a potem meandrami uliczek, wyobrażając sobie własną przeszłość. Jake opowiadał mi o często niezwykłych kwotach płaconych przez niektóre brytyjskie gazety za prawa do druku w odcinkach pewnych książek, wartych takiej publikacji. Ile mogliby mi zapłacić? Więcej, niżbym potrzebował na kupienie czasu potrzebnego na dokończenie powieści. Wyrobiłbym sobie nazwisko, może nawet zawarłbym umowę z jakimś wydawcą na dwie książki, z których pierwszą byłaby biografia, a drugą powieść. Pokazałbym wtedy ojcu. Pokazałbym wszystkim ludziom w Anglii, którzy nigdy we mnie nie wierzyli. Elizie i Kirkby’emu. To byłaby lepsza zemsta niż pospolite złamanie ręki.

Zatrzymałem się przy telefonie obok baru i wystukałem numer. Zanim się połączyłem, przez chwilę w słuchawce panowała cisza, a potem dzwonek zdawał się brzęczeć w nieskończoność. Miałem już zamiar się rozłączyć, kiedy usłyszałem kliknięcie na linii.

– Halo? – Głos należał do mężczyzny, starego i zadyszanego.

– Czy mógłbym rozmawiać z panią Shaw?

Mężczyzna odchrząknął.

– Nie ma tu żadnej pani Shaw – rzucił krótko.

– Och, przepraszam – powiedziałem. – Czy to zero jeden dwa pięć osiem osiem dziewięć trzy cztery osiem dziewięć?

– A kto mówi?

– Adam Woods. Dostałem list od pani Shaw... dotyczący pisarza Gordona Crace’a. Napisała, że zastanę ją pod tym numerem.

– A, rozumiem – ton głosu mężczyzny stał się niespodziewanie przyjazny, krętacki. – Tak, oczywiście, panie Woods. Miło, że pan dzwoni.

– Czy mogę rozmawiać z panią Shaw?

– Przykro mi, ale nie... Pani Shaw już nie ma z nami – odpowiedział.

Zaczynałem nabierać podejrzeń, że cała ta sprawa jest szyta grubymi

nićmi, że to jakieś oszustwo. O co w tym chodziło?

– To ja napisałem do pana ten list. Jestem... a właściwie byłem... kimś w rodzaju ojczyrna Chrisa. Pani Shaw, Maureen, umarła w lutym. Zezarał ją rak. Pod koniec zostały z niej tylko skóra i kości. Zrobiła się tak słaba...

– Bardzo panu współczuję, przykro to słyszeć, panie... panie...

– Nazywam się William, William Shaw. Po śmierci męża Maureen przybrała moje nazwisko, choć tak się złożyło, że nigdy nie wzięliśmy ślubu.

– Czy wie pan o czymś, co mogłoby zainteresować pana Crace'a?

– Tak, można tak powiedzieć – odrzekł, w słuchawce słyszałem poświstujący astmatyczny oddech.

– Chciałbym jednak przede wszystkim spytać, dlaczego nie napisał pan pod własnym nazwiskiem?

– Kiedyś pan Crace i Maureen się znali. Oczywiście niezbyt dobrze. Niemniej odwiedzała go. O tak, odwiedzała go, dopóki nie odkryła, co tam się naprawdę działo, rozumie pan. Pomyślałem, że pisanie jako Maureen przyciągnie uwagę pana Crace'a. Można by powiedzieć, takie imię z przeszłości. Wygląda na to, że pomysł zadziałał, prawda? Pewnie nieźle nim wstrząsnęło.

– Pan Crace zapewnił mnie, że chciałby załatwić tę sprawę. Powiedział, że zależy mu na wyjaśnieniu wszystkiego, ale w tej sytuacji musi mi pan przedstawić coś, co posłuży za punkt wyjścia. Przekażę mu potem sprawozdanie, więc chciałbym, żeby zawierało jak najwięcej szczegółów. Czy to jest dla pana jasne?

– Tak, oczywiście – odpowiedział. – Maureen od początku wiedziała, że było w tym coś dziwnego. Nigdy nie uwierzyła, że jej syn mógłby zrobić coś takiego... wie pan... zabić się w taki sposób. Kiedy pytałem dlaczego – skąd niby ma taką pewność – mówiła, że po prostu wie, i

tylę. Nie chciała rozgrzebywać tej sprawy, ale powtarzała, że to wygląda na morderstwo. Skoro była o tym tak święcie przekonana, dlaczego nie poszła na policję, zapytałam ją. Ale jej robiło się niedobrze na samą myśl o czymś takim. Jaki byłby wstyd, mówiła jedynie. Oczywiście po tamtych wydarzeniach nigdy nie była już taka jak dawniej. Ale teraz, kiedy nie żyje, wszystko się zmieniło. Okoliczności są inne. Niektóre rzeczy powinny ujrzeć światło dzienne, panie Woods.

Kiedy kończył zdanie, jego słowa wydawały się przechodzić w długie dyszenie. Wyobrażałem go sobie jako człowieka poźółkłego od dymu papierosów, z brązowymi plamami na palcach, o płucach zapaćkanych poczerńiałą smołą.

– Czy mogę spytać, co dokładnie miałyby ujrzeć światło dzienne?

– Książka... napisana książka. Znalazłem ją, kiedy przeglądałem rzeczy Maureen. Ukrywała ją przez cały ten czas, nigdy mi o niej nie powiedziała. Widzi pan, to dlatego wiedziała, że Chris tego nie zrobił. To tam jest – i Bogu niech będą dzięki, znacznie więcej – w tej książce.

– Może mi pan powiedzieć, co to za książka?

– No, jak wy to nazywacie... jego pamiętnik.

Wiedziałem od razu, że muszę zobaczyć ten pamiętnik. Mógłby okazać się kluczem do Crace'a. Jeśli Gordon nie otworzy się już przede mną, a po ostatnim wyznaniu mogłem się spodziewać takiego właśnie obrotu spraw, trafiał mi się jedyny sposób głębszego wnikięcia w jego naturę. Byłem przekonany, że jeśli tylko zdołam dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci Chrisa, zacznę przynajmniej trochę lepiej rozumieć Crace'a.

Powiedziałem Williamowi Shawowi, że zamienię z panem Crace'em kilka słów i jeszcze do niego zadzwonię. Planowałem wyniesienie sprawy pamiętnika ponad ramy zwykłego szantażu i nadanie mu znamion przyzwoitej i godnej szacunku glosy. Dodałem też, że najprawdopodobniej pisarz będzie chciał zabezpieczyć jakoś ten pamiętnik i poprosi zapewne

o przekazanie mu go na przechowanie. Oczywiście Crace będzie z pewnością dążył do osiągnięcia jakiegoś porozumienia – nie zgodzi się przecież, żeby wysiłki pana Shawa pozostały bez żadnej nagrody. Czy myślał już o jakiejś konkretnej sumie? Przy tym pytaniu pan Shaw milczał. Zaproponowałem mu tysiąc funtów.

– Myślę, że to suma do przyjęcia, panie Woods – odpowiedział Shaw.

Teraz musiałem jedynie pomyśleć, jak opuścić na jakiś czas *palazzo* Crace'a i skąd wytrzasnąć pieniądze. Intuicja podpowiadała mi, że sztuczka z listem była niczym w porównaniu z próbą wyrwania się z pułapki Gordona. Z comiesięcznej pensji odłożyłem całkiem pokaźną sumkę, ale musiałem opłacić z niej przelot do Wielkiej Brytanii, podróż do Dorset i pokryć koszty pobytu. I co właściwie miałem powiedzieć Crace'owi?

Z budki telefonicznej poszedłem do sklepu i kiedy kupiłem dwie butelki wina, miałem już gotowy plan. Crace nie poruszył się od chwili, gdy go zostawiłem. Otworzyłem butelkę wina o lekko kwiatowym zapachu, nalałem do kieliszka i podałem mu. Wziął go ode mnie bez słowa.

Usiadłem obok niego.

– Mam smutne wieści.

Crace uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Kiedy wyszedłem, zadzwoniła komórka. To była moja mama – jej matka, a moja babcia, właśnie umarła.

Prawdę mówiąc, nie żyła od kilku lat, a moja druga babcia zmarła jeszcze przed moim przyjściem na świat. Łzy zaczęły napływać mi do oczu.

– Byłem z nią bardzo mocno związany. Nie mogę w to uwierzyć. Och, Boże, niech pan na mnie popatrzy...

Czułem wilgoć na policzkach, językiem dotknąłem słonawej kropli w kąciku ust.

– Przepraszam... nie chciałem...

Crace uniósł rękę z uda i dotknął mojej twarzy. Z wyjątkową delikatnością otarł mi łzy z policzka.

– Biedny mały, biedny, biedny mały – powiedział.

Jego życzliwość, jego łagodność sprawiły, że mogłem opanować łkanie. Uwierzył mi, a ja czułem się zdruzgotany, absolutnie zdruzgotany. Tyle że teraz nie było już odwrotu.

– Mama chce, żebym przyjechał do domu na pogrzeb, a ja z kolei wiem, jak bardzo nie lubi pan zostawać sam. Nie muszę jechać, ale...

– Oczywiście, że musisz pojechać, i nie chcę żadnej dyskusji w tej sprawie, to przesądzone.

– Ale jak pan sobie poradzi? To znaczy, kto będzie...

– Nie martw się o to, Adamie. Jedna z kobiet ze sklepu bez problemu przyniesie mi zakupy. Musisz pojechać, co do tego nie ma wątpliwości. Nie martw się o mnie.

– Paskudnie się z tym czuję. Naprawdę. Obiecuję panu, że wrócę najszybciej, jak będę mógł. Powinienem być z powrotem mniej więcej w ciągu tygodnia.

Myślałem, że słysząc to, Crace eksploduje, ale on jedynie popatrzył na mnie współczująco.

– Nie śpiesz się. Poradzę sobie.

– Dziękuję, panie Gordonie.

– Jaka była twoja babka? Och, przepraszam... to było z mojej strony okropnie nietaktowne pytanie. Prawdopodobnie nie chcesz o niej rozmawiać, mam rację?

– Nie, wszystko w porządku. Jestem pewny, że rozmowa o niej dobrze mi zrobi. – Wytarłem oczy i nos, odetchnąłem głęboko kilka razy. Szczerze mówiąc, naprawdę czułem się wytrącony z równowagi. – Była cudowną kobietą, rzeczywiście wyjątkową. Nazywała się Sara. Wyprzedzała swoje czasy. Niesamowicie pogodna i energiczna, zawsze

skora do wypicia kieliszka szampana, mimo że miała dziewięćdziesiąt dwa lata albo coś koło tego. Pamiętam, że kiedy miała siedemdziesiąt parę lat, robiła jeszcze szpagat...

Wspomnienia, które były wystarczająco prawdziwe, sprawiły, że się roześmiałem. Crace śmiał się ze mną.

– Jestem pewny, że byliście sobie bardzo bliscy.

– Byłem do niej bardziej przywiązany niż do rodziców, nawet do matki.

– Z tego, co mówisz, przypuszczam, że musiała być cudowną kobietą.

– Bo taka była. Pamiętam sposób, w jaki głaskała mnie po włosach, kiedy byłem chłopcem, bawiła się nimi, biorąc je między palce. Powtarzała wtedy, że przypominają złote nitki.

– Kiedy odbędzie się pogrzeb?

– W przyszłym tygodniu. Czekamy na ostateczne ustalenie dnia.

– Musisz zatem jak najszybciej tam jechać?

– Tak, myślę, że muszę. Ale naprawdę, jeśli woli pan, żebym tu został, zostanę. Szczerze.

– Naprawdę zostałbyś, Adamie, gdybym cię o to poprosił?

Crace wyglądał na trochę niedowierzającego, a może po prostu mu to schlebilo.

– Oczywiście. Wiem, ile dla pana znaczy obecność w domu kogoś, komu może pan zaufać.

Crace milczał przez chwilę, jakby oceniał własny nastrój.

Co miałbym mu powiedzieć, gdyby rzeczywiście poprosił mnie, żebym został?

– Nie, nie zrobię tego. Nawet ja nie umiałbym być aż takim egoistą. – Zaczął wstawać z fotela. – A teraz chodźmy, trzeba cię spakować. Musisz się śpieszyć na samolot.

Najgorsze było zaufanie, które widziałem w jego oczach. W jakiś sposób sprawiało, że czułem się jak nikczemnik. Byłoby znacznie łatwiej, gdyby Crace zachowywał się oziębło wobec mnie albo gdyby był zły lub podejrzliwy z powodu mojego powrotu do Anglii. Najwyraźniej jednak rozumiał, co znaczyła dla mnie śmierć babki, jakby sam kiedyś doświadczył podobnych uczuć i traumy. W jednej chwili zapomniałem, że mógł okazać się mordercą. Prawdę rzekłszy, przez moment sam czułem się jak przestępca.

Gawędziliśmy ze sobą, kiedy zbierałem rzeczy. W chwili gdy miałem skompletować zawartość kosmetyczki, spojrzałem w dół na plecak i dostrzegłem, że mój zeszyt z notatkami jest otwarty. Kosmetyczka, którą trzymałem, wypadła mi z rąk, a jej zawartość rozsypała się z hukem po drewnianej podłodze.

– Och, to zupełnie naturalne, że czujesz się trochę podenerwowany, trochę napięty – powiedział Crace. – W końcu przeżyłeś spory szok.

– Przepraszam, tak – odparłem, przyklękając, żeby pozierać piankę do golenia, pastę do zębów i obcinacz do paznokci. Zauważyłem, że paczka nożyków do golenia leżała przy stopie Crace’a.

Nasze spojrzenia się spotkały.

– Proszę bardzo – powiedział, sięgając po nie i podając mi je. – Nie chciałbyś ich zapomnieć, prawda? Nie, ludzie bardzo często reagują tak na żalobę. Możesz nawet poczuć nudności. Niedobrze ci, Adamie?

– Tak, trochę – wyjąkałem, wrzucając nożyki do kosmetyczki i wkładając ją do plecaka, dzięki czemu zakryłem zeszyt.

– Dreszcze, wymioty, dezorientacja, irracjonalne myśli – tego wszystkiego możesz doświadczyć przez następne kilka godzin lub dni. Dlatego musisz na siebie uważać. Napij się czegoś mocniejszego, szklaneczkę whisky lub kieliszek koniaku, jeśli uważasz, że to dobrze ci

zrobi.

Nagle wydał mi się nieszczęśliwy.

– Nie bardzo wiem, w jaki sposób będziemy się kontaktować, i to chyba niedobrze, prawda?

Czułem, jak ogarnia mnie poczucie winy, miałem niemal wrażenie, że Crace mnie przejrzał, że swoje plany mam wypisane na czole.

– Proszę, niech pan go weźmie – zaproponowałem, podając mu telefon komórkowy, a wszystko po to, żeby samemu lepiej się poczuć. – Na wypadek gdyby pan go potrzebował. Ja z kolei będę mógł na niego do pana zadzwonić.

– Och, ale ja nie umiem się tym posługiwać.

– Proszę go nie wyłączać – poradziłem mu, sięgając do plecaka po ładowarkę. – A kiedy bateria będzie się kończyła, wystarczy podłączyć to do prądu. Dzięki temu będę mógł się dowiadywać, jak pan sobie radzi.

– Jesteś pewny? – zapytał, teraz już znacznie pogodniejszy.

– Tak, oczywiście. Wynajmę nowy telefon na lotnisku po wylądowaniu.

– To strasznie miło z twojej strony. Pozwól zatem, że teraz ja zrobię coś dla ciebie. Chciałbym ci to dać – powiedział, wyciągając garść pieniędzy. – Powinno wystarczyć przynajmniej na pokrycie kosztów telefonu i może jeszcze inne wydatki. I chcę zapłacić za twój bilet na samolot. Powrotny bilet.

– Nie mogę się na to zgodzić, panie Gordonie. Nie, to za dużo.

– Nie ustąpię. Zresztą dbam wyłącznie o własny interes. Będę przynajmniej wiedział, że wrócisz.

Roześmiał się krótko, kiedy to powiedział.

– To niesłychanie miło z pana strony. Dziękuję. Nie jestem jednak pewny, który dzień będzie najlepszy na powrót.

– Ach tak, rozumiem. Oczywiście. – Wyglądał na trochę rozczarowanego, ale starał się to ukryć. – Możesz przecież zarezerwować

bilet, a potem, jeśli zajdzie taka potrzeba, zmienisz po prostu datę, zatem niech tak będzie.

– Doskonale. Dziękuję.

Kiedy zadzwoniłem z komórki do linii lotniczych i pokazałem mu, jak się obchodzić z telefonem, napiliśmy się jeszcze razem po jednym. Dogadałem się z Lucią, nastoletnią córką właścicielki pasticcerii, że będzie przynosiła jedzenie Crace’owi w czasie mojej nieobecności, a potem zamówiłem taksówkę wodną. Gdy szliśmy z Gordonem przez *portego*, a później po schodach na dziedziniec, słońce zaczęło zachodzić. Rzucane przez nie promienie tworzyły halucynogenne jaskrawe snopy światła, malujące kamienne fragmenty domów i płyty chodnikowe surrealistyczną mieszaniną różu, fioletoów i krwawych czerwieni. Odgłos chlupoczącej wody potęgował efekt marzenia sennego. Wszystko wydawało się odległe, w jakiś sposób obce, jakbym patrzył na świat z daleka albo obserwował własny wizerunek pokazywany na wielkim ekranie.

– Wiesz, Adamie, będę za tobą tęsknił – powiedział. – Mam wrażenie, że przez ostatnie kilka dni... pamiętasz?... te wszystkie rzeczy, o których rozmawialiśmy... naprawdę lepiej się nawzajem poznaliśmy. Byłem ogromnie poruszony, wiesz, tym odgrzebywaniem przeszłości, w którymś momencie myślałem nawet, że nie dam rady mówić o tym dalej, ale w rzeczywistości to naprawdę mi pomogło. Czy tobie też jest teraz lżej, jakie są twoje odczucia?

– O, tak, zdecydowanie lżej – odparłem. – To faktycznie pomogło mi uporządkować myśli. Wszystko nabrało odpowiednich proporcji, jak mówią, wiele spraw się wyjaśniło.

Crace uśmiechnął się prawie niewidocznie.

– Wcale bym się nie zdziwił, gdyby nawet pomogło ci to w pisaniu. Pamiętasz, kiedy ostatni raz o tym rozmawialiśmy, powiedziałaś, że masz problemy z pisaniem.

Wpatrywał się we mnie, czekając na odpowiedź.

– Hm, tak, myślę, że mi pomoże. Wiem, że ostatnio wiele nie zrobiłem poza napisaniem kilku notatek, rozumie pan, o czym mówię – szkice, pomysły, wersje robocze.

– To właśnie od takich maleńkich bakterii zaczyna się prawdziwa choroba. Nie da się z niczym porównać obsesji, jaka ogarnia człowieka, otchłani, w którą człowiek wpada pochłonięty własnym pisaniem. Może kiedy wrócisz, zechcesz pokazać mi to, co napisałeś? Oczywiście jeśli nie będziesz chciał, ja absolutnie...

– Dlaczego nie, chętnie, jasne, że to panu pokażę. Prawdę mówiąc, pańska opinia będzie dla mnie bardzo cenna.

– Nie mogę się doczekać – wyznał, obejmując mnie kościstymi ramionami. – Wiem, że musisz już iść, ale wróć, proszę, jak najszybciej. Może znowu będziemy mogli sobie pogadać od serca...

Minąłem drzwi, poszedłem *calle* i dostrzegłem taksówkę wodną czekającą przy brzegu kanału.

– Już tam stoi – powiedziałem, wracając na chwilę do niego. – Czas na mnie. Do zobaczenia za mniej więcej tydzień. Wrócę, gdy tylko będę mógł, obiecuję.

Odwróciłem się, żeby odejść.

– Och, Adamie – powiedział Crace.

– Tak?

Spojrzałem na jego chudą, wyniszczoną postać, odcinającą się na tle drewnianych drzwi.

– Nic. To bez znaczenia.

Ruszyłem w kierunku motorówki, a Crace zamknął drzwi.

II

Powrót do Anglii kojarzył mi się z dotykaniem starej blizny i odkryciem, że rana się otworzyła, a ciało pod nią się jątrzy. Wyparłem z myśli Brytanię, nie chciałem myśleć o Elizie i powstałej sytuacji. Miałem w końcu nowe życie we Włoszech. Miałem plany i wielkie ambicje. Miałem książkę do napisania.

Ale kiedy samolot kołował po szarym niebie, pochylając się na jedną stronę, a moim oczom ukazywał się chwilami widok pól przypominających łąty, zacząłem odczuwać coraz większe mdłości. Suchości w ustach towarzyszył gorzki smak. Zamknąłem oczy i zobaczyłem Elizę, przypomniałem sobie, jak przeczesywałem palcami jej ciemne lśniące włosy i podążałem językiem wzdłuż żyły uwypuklonej na szyi. Jej oczy otworzyły się – błysk lodowatego błękitu. Inny obrazek. Leżymy w łóżku. Był wczesny ranek, słabe światło sączy się do środka. Sięgnąłem do niej ręką, ale zesztyniała pod moim dotykiem. Wsłuchiwałem się w jej oddech: płytki, zdradzający napięcie. Zapaliła lampkę stojącą obok łóżka i obróciła się do mnie z powagą na twarzy. Działo się coś złego. Między nami nie układało się najlepiej, prawda? Na pewno musiałem się z tym zgodzić.

O czym ona mówiła? Wydawało mi się, że było nam świetnie – nie, lepiej niż świetnie. Uważałem, że jesteśmy wyjątkowi. Że będziemy razem przez – nie umiałem sobie nawet wyobrazić chwili, gdy coś by nas rozdzieliło. Uważałem, że jesteśmy aż tak blisko ze sobą.

Ostatnio dostrzegą powstającą między nami przepaść, dystans, który jej zdaniem powiększał się wraz z upływem czasu. Wiedziała, że to nie moja wina, że nic nie mogłem na to poradzić. Że ten rodzaj problemu, moje trudności w komunikowaniu się – jak to ujęła? – z utożsamianiem się z uczuciami innych ludzi, naprawdę trudno znieść. Miało to prawdopodobnie coś wspólnego z moim dzieciństwem. A może nigdy

nie zrozumieć korzeni tego wszystkiego. Niewykluczone, że chodziło po prostu o to, że byłem, jaki byłem.

Uważała, że jestem trochę zabawny, od tego powinienem zacząć. Powiedziała, że mój brak łączności z otaczającym mnie światem był rozczulający. Ale po jakimś czasie stawał się coraz bardziej denerwujący. A teraz wątpiła w przyszłość naszego związku. Nie, nie poznała nikogo innego, zapewniła mnie. Nie, naprawdę nie poznała, upierała się.

Pamiętam ją leżącą nago na łóżku. Jej ciało było niemal przezroczyste, perłowobiałe. Czerwone usta zaczęły jej drżeć, ręce się trzęsły. Powiedziała mi, że ją ranie – naprawdę ranisz, przestań, powtarzała – a ja musiałem jej udowodnić, że opowiada nonsensy. Nie mówiła o nas, twierdziłem. Relacjonowała mi zwyczajnie problemy jakiejś pary, którą znała.

Chyba złapałem ją za nadgarstki, tak myślę. Wiem, że nie mogła się poruszyć. Zesztywniała. Wyglądała niczym obraz, piękna jak nigdy, niemal martwa. Niesamowicie się podnieciłem. Wcisnąłem się w nią, a ona próbowała ze mną walczyć. Zaczęła krzyczeć – właściwie cicho, słabo popiskiwać jak dziecko – ale obok łóżka stał przenośny odtwarzacz CD, włączyłem go i zrobiłem głośniej.

Kończąc, byłem przekonany, że teraz zmieni zdanie. Nie potrafiłaby żyć beze mnie. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Słyszałem szum wody lecącej z prysznica i jej łkanie.

Byłem pewny, że nigdy mnie nie zostawi.

Kiedy wyszła z łazienki – miała szklany wzrok i jakoś tak dziwnie patrzyła – powiedziałem jej, jak bardzo ją kocham. Pochyliła gwałtownie głowę do przodu, zakrywając usta ręką. Nie słyszałem, co odpowiedziała, bo dłoń tłumiła słowa, ale myślałem, że mówiła, że też bardzo mnie kocha. Przeszła przez pokój i ubrała się. Musiała wyjść, powiedziała. Kupić trochę mleka. Miała wrócić za kilka minut. Był piątek, a ja z niecierpliwością wyglądałem całego weekendu razem z nią.

Czekałem na powrót Elizy. Leżałem w bezruchu nagi na skraju łóżka, myśląc, że brak ruchu zatrzyma czas albo przynajmniej go spowolni. Dostałem gęziej skórki, nogi i ręce przypominały oskubanego kurczaka. Przy każdym skrzypnięciu schodów, trzasku drzwi frontowych unosiłem głowę w oczekiwaniu, pewny, że to ona. Przypuszczalnie spotkała przyjaciółkę i poszły na kawę. Zapomniała o wykładzie i teraz pojechała po książkę do biblioteki. Upadła i skaleczyła się w kolano, dlatego musiała iść na urazówkę. Najdziwniejsze pomysły przychodziły mi do głowy, niczym seria halucynacji, każdy bardziej wiarygodny od poprzedniego..

Ale Eliza nie wróciła tamtego dnia. Światło słoneczne zgasło w pokoju, a ja siedziałem po ciemku i wsłuchiwałem się w odgłosy miasta.

Musiałem się z nią zobaczyć, zanim zrobię cokolwiek innego. Po to jedynie, by przekonać samego siebie, że ona naprawdę istnieje, że to wszystko nie było tworem mojej wyobraźni.

Po wypożyczeniu komórki w Stansted i wymianie euro na funty wsiadłem do pociągu, dojechałem do Liverpool Street, a tam przesiadłem się na metro, żeby dostać się do północnego Londynu. Wyłoniłem się z duszącego upału panującego w metrze na Kentish Town. Z oślizgłego żółtoczarnego nieba padała mżawka. Przed stacją siedział pijak w kałuży własnego moczu i uśmiechał się. Kobieta o twarzy aniołka i ciele niedojrzałej dziewczynki wyciągała ręce po pieniądze. Kiedy położyłem funtową monetę na jednej z filigranowych dłoni, jej uderzająco gładka twarz pojaśniała.

Trasę ze stacji do mieszkania pokonywałem tyle razy, że wryła mi się w pamięć. W prawo na pierwszym skrzyżowaniu, w lewo tuż za pubem, prosto przy domach otynkowanych na pastelowe kolory, potem sklep na rogu i w prawo w drugą przecnicę. Kiedy od mieszkania dzieliło mnie już tylko kilka kroków, moja ręka zaczęła odruchowo szukać klucza w kieszeni dżinsów. Ale przecież już go nie miałem. Sporo rzeczy się

zmieniło.

Zatrzymałem się obok jednego z drzew rosnących przy ulicy i schowałem się w cieniu. Światło świeciło się na ostatnim piętrze, w naszej dawnej sypialni wynajmowanego mieszkania. Czy była tam teraz, w tamtym pokoju? Czy była z nim? Co on z nią wyczyniał? Musiał jej zrobić pranie mózgu – bo jak inaczej Eliza chciałaby wiązać się z facetem tak starym, że mógłby być jej ojcem? Jego złotawobrazowa broda drapała ją po karku. Jego sflaczałe ciało ocierało się o nią. Nadal nie mogłem uwierzyć, że wołała jego ode mnie.

Nie jestem pewny, kiedy zorientowałem się w obrocie spraw. Na pewno nie tego dnia, gdy Eliza odeszła. Dzwoniłem bez przerwy na jej komórkę, ale automatycznie włączała się poczta głosowa. Zatelefonowałem do rodziców Elizy, obudziłem jej ojca, który powiedział mi, żebym nigdy więcej się z nią nie kontaktował. Trzymaj się od niej z daleka, dodał, ona cię nie chce. Nie chce cię widzieć nawet z daleka. Gdyby to zależało od niego, wezwałby policję. Czy ona ma jakieś kłopoty? – zapytałem. Powiedział, żebym się odpierdolił, i rzucił słuchawkę.

W poniedziałek mieliśmy wspólny wykład: *Tarquín i Lukrecja: wizerunek władzy i płci w szesnastowiecznym malarstwie włoskim*. Tam mogłem ją spotkać. Zapytać, co było nie tak. Najwyraźniej zrobiłem coś, co ją zdenerwowało, ale na pewno dałoby się to jakoś wyjaśnić, naprawić. Powinniśmy zachowywać się jak dorośli. Umyłem się i ubrałem, starannie uczesałem włosy i wsiałem do autobusu. Do sali wykładowej dotarłem piętnaście minut za wcześnie, więc poszedłem do baru na kawę, gdzie mogłem się natknąć na Elizę. Kiedy tam wszedłem, zauważyłem, że ludzie przyglądają mi się podejrzliwie. Jackie, jej bliska przyjaciółka, siedziała na niskiej sofie z inną koleżanką, której imienia nigdy nie potrafiłem zapamiętać. Czy widziała gdzieś Elizę? Spojrzała na mnie z nieukrywaną pogardą. Jak śmiesz, do cholery, pokazywać się tutaj, powiedziała. Po

tym, co zrobiłem. Gdyby mogła, zamknęłaby mnie w więzieniu do końca życia. Dodatkowo obciążałaby mi jaja.

Nie wiem, co Eliza im naopowiadała, ale wszyscy dawali mi jasno do zrozumienia, że nie jestem mile widziany. Przesiedziałem cały wykład, robiłem nawet notatki, ale tak naprawdę nie mogłem się skoncentrować. Może obszedłem się z nią trochę za brutalnie. To nie było w porządku, przynajmniej, ale przecież nie oznaczało zerwania, prawda? Gdybym tylko mógł z nią porozmawiać, przemówić jej do rozumu.

Niezależnie od tego, gdzie szukałem i kogo wypytywałem, nie mogłem znaleźć Elizy. Snułem się korytarzami uczelni i ulicami, zagubiony, porzucony. Usiłowałem przekonać samego siebie, że wszystko jest w porządku – że mieliśmy po prostu głupią sprzeczkę – ale głębiej, w środku, zdawałem sobie sprawę, że chodzi o coś poważniejszego.

Ogarnęły mnie wspomnienia, klując boleśnie moją świadomość skojarzeniami z minionym szczęściem. Nasza pierwsza rozmowa. W czasie wykładu przesłałem jej kartkę z wiadomością, jak bardzo podoba mi się jej spódnica w kolorowy meksykański wzór, z maleńkimi okrągłymi lustreczkami wszytymi na szwach. Mają odstraszać diabła, powiedziała, a potem roześmiała się, jej bladoniebieskie oczy załśniły niczym słońce na tafli lodu. Nasz pierwszy pocałunek. Poszliśmy razem czegoś się napić, wałęsaliśmy się po Covent Garden. Przystanęliśmy przy starym drewnianym wózku straganiarskim. Denerwowałem się, ale ona wyciągnęła rękę i dotknęła mnie. Później tej nocy kochaliśmy się po raz pierwszy. Dla mnie był to w ogóle pierwszy raz z kimkolwiek. Moje niezdecydowanie i jej ciepło i pewność siebie.

Nie mogłem się pogodzić z faktem, że nie będzie jej już w moim życiu.

Tego dnia, kiedy wszystko nagle się zmieniło, pobiegłem z powrotem do naszego mieszkania, przekonany do głębi, że ją tam zastanę. Kiedy szedłem w jego stronę, zadzwoniłem. Z drugiej strony ulicy spojrzałem do

góry i zobaczyłem cień poruszający się po salonie. Telefon nie przestawał dzwonić, ale nikt go nie odbierał. Wyjąłem klucz, wsunąłem w górny zamek, ale kiedy usiłowałem go obrócić, coś się zacięło. Napierałem coraz mocniej, przekonany, że to właściwy klucz. Kiedy zacząłem przeglądać klucze, zauważyłem, że podłogę zaśmiecają zielone paprochy i cienkie skrawki drewnianych wiórów, przypominające gniazdo węża przy proggu. Eliza zmieniła zamki.

Walilem w drzwi, bo rozpaczliwie chciałem się z nią zobaczyć. Krzyczałem jej imię. Raz po raz dzwoniłem na jej komórkę, ale ciągle nie odbierała. Powiedziałem głośno przy drzwiach, że nie odejdę, dopóki do mnie nie wyjdzie. Czekałem i czekałem, aż wreszcie usłyszałem kroki w przedpokoju. Zmieniła zdanie. Miała zamiar mnie wpuścić. Wszystko wróci do normy. Powie mi, jak głupio postąpiła i jak bardzo mnie przeprasza, i będzie mnie błagała, żebym znowu się z nią spotykał.

Otworzyła się skrzynka na listy, wysunął się z niej róg białej koperty. Spróbowałem sięgnąć do Elizy, wciskając palce do wąskiej szpary w drzwiach, ale jej kroki oddaliły się i ucichły, a ja zostałem z samym listem.

Nie chciała wnosić formalnego oskarżenia, pisała. I nie zrobi tego, pod warunkiem że zostawię ją w spokoju, bo tylko tego oczekiwała. Jeżeli jednak spróbuję się z nią skontaktować w jakikolwiek sposób, opowie wszystko władzom uczelni, a może nawet powiadomi policję. Prosiła mnie jedynie, bym trzymał się od niej z daleka, odszedł na zawsze.

Zbliżał się termin ostatnich egzaminów – zostało nam jedynie kilka miesięcy – więc nie planowała przychodzić na uczelnię. Większość materiału mogła przecież powtarzać w domu. Moje rzeczy – razem z prezentami, które jej dałem: jakąś przypadkową płytą i starym filmem wideo, uroczym, ale taniutkim złotym łańcuszkiem – obiecywała przekazać jednej ze swoich przyjaciółek, która umówi się ze mną na terenie uczelni. Po skończeniu semestru prawdopodobnie nie zobaczymy

się nigdy więcej.

Ona naprawdę o wszystkim pomyślała. Efektywna i nakierowana wyłącznie na jeden cel. Jak zawsze.

Pamiętam, że słowa tego listu uderzały we mnie niczym szrapnele. Kiedy skończyłem czytanie, spodziewałem się do pewnego stopnia, że odbicie liter w moich oczach napęcznieje i chluśnie mi z nich atramentowo czarna krew. Zakręciło mi się w głowie, wróciłem na ulicę chwiejnym krokiem, jakby pod moimi stopami przesuwały się bieguny ziemi. W którymś momencie w drodze do metra chyba wymiotowałem do czyjegoś przydomowego ogródka.

Gdy przypominałem sobie tę scenę sprzed kilku miesięcy, stałem na ulicy i wpatrywałem się w okna tego mieszkania. Nie chciałem jej robić krzywdy. Absolutnie. Wystarczyłoby mi jedno spojrzenie na nią. Dałem sobie już z nią spokój, to jasne, ale głupio byłoby przebyć tyle kilometrów i jej nie zobaczyć. Przeszłoby mi z nogi na nogę, oparłem plecak o drzewo. Od czasu do czasu ulicą przechodził jakiś człowiek, dostrzegał mnie i bez wątpienia widział we mnie bandziora, bo przechodził na drugą stronę i oddalał się. Mniej więcej po półgodzinnym czekaniu (kiedy zacząłem się czuć naturalnym elementem otoczenia, niczym jedno z drzew, rosnących szpalerem przy chodniku) otworzyły się drzwi frontowe jednego z pobliskich domów. Mężczyzna – okulary, trochę po pięćdziesiątce, niebieski sweter w serek – ruszył w moją stronę. Ponieważ go nie rozpoznawałem, przyjąłem, że musiał się tu wprowadzić stosunkowo niedawno.

– Przepraszam – jego głos zdradzał pochodzenie z klasy wyższej. – Dobrze się pan czuje?

Moje zdrowie zupełnie go nie obchodziło, chciał po prostu sprawdzić, czy nie mam zamiaru włamać się do jednego z domów.

– Tak, przepraszam, że moja obecność pana zaniepokoiła... widzi

pan, przyjechałem tu prosto z lotniska, a przyjaciółka, która tu mieszka – mówiłem, wskazując na okna Elizy – nie wie dokładnie, o której godzinie wylądował mój samolot. Czekam po prostu na jej powrót.

– Ach, rozumiem... cóż, powodzenia – rzekł, uśmiechając się. Ulga odmalowała się na jego twarzy. – W takim razie do widzenia.

– Do widzenia.

Nie pomyślałem wcześniej, gdzie spędzę tę noc, a robiło się późno, dlatego postanowiłem, że najlepiej będzie, jak pójdę do rodziców. Nie wiedzieli o moim przyjeździe, ale nie wątpiłem, że szczerze się ucieszą z takiej niespodzianki. Gdy mrużąc oczy, popatrzyłem na zegarek, żeby skalkulować, ile czasu zajmie mi dostanie się do Hertfordshire linią Thameslink, usłyszałem trzask zamka w otwieranych drzwiach.

Snop światła wylał się w noc, rozjaśniając okolice drzwi Elizy. W drzwiach stała kobieta o czarnych włosach, z rulonem gazet pod pachą. Zatrzymała się na chwilę, wpatrując się w ciemność, jakby niemal wyczuwała moją obecność. Cofnąłem się krok dalej w cień, mając nadzieję, że mroczne miejsce między drzewami ochroni mnie przed jej wzrokiem. Oblizła blade, cienkie, piękne usta, pochyliła się, uniosła pokrywę pojemnika na makulaturę, stojącego przed przydomowym ogródkiem. Wsunęła gazety do plastikowego kontenera, wyprostowała się i obróciła tyłem do mnie. Chciałem ją zawołać, wykrzyknąć jej imię, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak się zachowa. Otworzyłem usta, żeby wydobyć z siebie głos, ale krtań miałem jak sparaliżowaną. Kiedy zamykała drzwi, a przy wejściu ponownie zapanowała ciemność, wypowiedziałem jej imię do siebie, bardzo cicho.

Nie mogłem marnować na nią więcej czasu. Ruszyłem. Czekają mnie zadania. Musiałem dowiedzieć się określonych rzeczy.

Gdy stamtąd odchodziłem, kierując się ku stacji, wyobraziłem sobie reakcję Elizy na napisaną przeze mnie biografię. Widziałem, jak

wchodzi do księgarni na głównej ulicy, myszkuje wśród książek w broszurowej oprawie i nagle staje jak wmurowana na widok mojego nazwiska wytłoczonego na grzbiecie dużego, grubego tomu. Bierze go do ręki, obraca w dłoniach i nie bardzo może uwierzyć własnym oczom. Szybko zagląda na tylną okładkę, przekonana, że musi chodzić o jakiegoś innego, starszego Adama Woodsa. Oczywiście robią się jej wielkie jak spodki, gdy czyta słowa: „Adam Woods studiował historię sztuki na londyńskim uniwersytecie, zanim przeniósł się do Wenecji, gdzie poznał pisarza samotnika Gordona Crace’a. To jego pierwsza książka – powieść autorstwa Woodsa ukaże się w przyszłym roku”.

To będzie najlepsza zemsta. Zadawanie bólu – fizyczna przemoc – okaże się niczym w porównaniu z tym doznaniem.

Tymczasem na peronie kilku nastolatków o twarzach schowanych pod kapturami kopało plastikowe pudełko po jedzeniu na wynos. Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur, kiwał głową do rytmu, który tylko on słyszał. Jakaś dziwka w białej obcisłej spódnicy darła się do komórki, kiedy ją mijałem.

Nagle zrobiło mi się słabo, poczułem się niehumanie zmęczony. Wiedziałem, gdzie rodzice trzymają zapasową parę kluczy – pod wielkim tekturowym pudłem po lewej stronie garażu – ale pomyślałem, że powinienem do nich zadzwonić i uprzedzić, że wróciłem. Mimo wszystko było dość późno.

Wybrałem ich numer, korzystając z nowej komórki.

– Halo? – To mama, jej głos brzmiał głęboko, zdradzał lekkie oszołomienie.

– Cześć, mamó, to ja.

– Adam? Gdzieś się podziewał? Minęło tyle...

– Daję sobie radę, mamó. Posłuchaj – wróciłem do kraju. Jestem w Londynie.

– Nic ci nie jest, a co z twoją pracą nauczyciela? Co z Wenecją?

– Kiedy dotrę do domu, wszystko ci opowiem. Zaraz mam pociąg. Będę u was mniej więcej za pół godziny. Może być?

Mama nic nie odpowiedziała. Usłyszałem odgłos szurania, a potem wytłumione niezrozumiałe słowa, jakby mama zakryła mikrofon dłonią.

– Tak, dobrze, kochanie. Nie możemy... nie mogę się cię doczekać. Jest za późno, żeby o wszystkim porozmawiać, kiedy przyjedziesz. Będziesz zmęczony. Jutro za to utniemy sobie pogawędkę. Jest tu list dla ciebie – chyba z uczelni, z wynikami egzaminu.

– A tak – odparłem. W tej chwili chyba nic mnie nie obchodziło niż ocena z obrony pracy dyplomowej. Miałem teraz nowe życie. – Obejrzę go, jak przyjadę.

– Mam nadzieję, że dobrze się spisałeś, zasługujesz na to. – Przerwała na moment. – Ale, Adasiu, muszę ci powiedzieć, że ojciec jest nadal bardzo zdenerwowany i zły na ciebie. Mówię, żebyś wiedział. Liczyliśmy na to, że przyślesz nam swój adres, na który moglibyśmy przysyłać ci korespondencję, jaka do ciebie przychodzi. Nie wiedzieliśmy, co się z tobą dzieje, nie wyobrażasz sobie, jak...

– Już dobrze, dobrze, mamo. Muszę bieć... pociąg przyjedzie lada chwila.

Nie była to do końca prawda – do odjazdu zostało mi co najmniej pięć, siedem minut – ale nie chciałem tego słuchać. Nie tych słów, nie ponownie.

Jake? Cześć, mówi Adam.

– Adam... cześć, no proszę, gdzie jesteś? Gdzie byłeś? Cały ty – nagle zniknąłeś, człowieku.

– Wiem, przepraszam. Właściwie jestem w Wenecji – piszę. Ale teraz wróciłem do Londynu – w każdym razie na kilka dni. Posłuchaj, miałem zamiar jechać do moich starych, ale sprawy z nimi są trochę skomplikowane, rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Zawsze możesz wpaść do mnie, jeśli chcesz – jest co prawda tylko parchata sofa, ale powiesz słowo i należy do ciebie.

– Naprawdę? To świetnie. Jestem w tej chwili w północnym Londynie, więc będę u ciebie za – no, ile? – pół godziny?

Zadzwoiłem jeszcze raz do mamy i powiedziałem, że plany mi się zmieniły. W jej głosie wyraźnie słyszałem rozczarowanie, ale zaproponowałem, żeby do mnie dzwoniła, i podałem jej nowy numer telefonu. Myślała pewnie, że pogodzimy się jakoś z ojcem na dobre i zaczniemy się zachowywać jak szczęśliwa rodzinka. Jakby to było możliwe: słyszałem w tle ojca warczącego, że nigdy nie przejmuję się nikim poza sobą. Matka zmusiła mnie co prawda do obietnicy, że odwiedzę ich w ciągu kilku następnych dni, będę wtedy mógł odebrać pocztę i sprawdzić, co z moim dyplomem.

W metrze do Brixton poczułem nagle, że mogę być szczęśliwy. Moje plany będą musiały pozostać w tajemnicy, to oczywiste. Chwalenie się przed przyjaciółmi książką o Gordonie, biografią literata mordercy, nie miało sensu. Zamiast tego postanowiłem utrzymać, że nadal piszę powieść, co do pewnego stopnia było prawdą. Nikt z nich nie dowie się, nad czym naprawdę pracuję. A potem ludzie się zdziwią. Kiedy jechałem ruchomymi schodami w Brixton i rozpoznałem mieszaninę zapachów

palonych kadzidełek, potu i piwa, czułem się niemal niezniszczalny, jakby wydarzenia sprzed kilku miesięcy nigdy się nie rozegrały.

Przemknąłem na Brixton Hill i pewnym krokiem szedłem labiryntem ulic prowadzących do posesji Jake'a. Mieszkał na parterze dawnego bloku komunalnego. Nacisnąłem dzwonek i czekałem.

– Cześć, wchodź, tajemniczy człowieku – powiedział Jake, pojawiając się w drzwiach z otwartymi ramionami. – Jak się masz?

W jego mieszkaniu unosił się lekki zapaszek stęchlizny, jakby od miesięcy nie otwierano tam okien. Stare gazety piętrzyły się w przedpokoju, książki tworzyły stosy, które mogły przewrócić się w każdej chwili na drewnianą podłogę; ten szczegół przypomniiał mi *palazzo Crace'a*, zanim zacząłem robić porządki. Jake nalał mi kieliszek wina. Z wyrazu jego twarzy łatwo się domyśliłem, że miał mi coś ważnego do powiedzenia.

– No, to o co chodziło z tym zamknięciem?

– Wiem – powiedziałem, przeczesując włosy palcami. – Przepraszam, szczerze, stary. Widzisz... było mi naprawdę ciężko.

– Słyszałem od ojca, że praca, całe to uczenie nie wypaliło. Kiedy się o tym dowiedziałem, pomyślałem, że może wrócisz do Londynu.

– Takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Możesz uwierzyć, że ten mały gnojek zmagstrował dzieciaka córce pokojówki? Rodzina wysłała go do Nowego Jorku.

– I od tamtej pory nie ruszałeś się z Wenecji?

Potwierdziłem skinieniem głowy i wypilem łyk wina.

– Co robiłeś?

– Głównie pracowałem nad książką, no wiesz. – Nie kłamałem. Zmusiłem się, żeby nie kłamać.

– Jak ci idzie? Jesteś z niej zadowolony?

– Tak, tak, jest w porządku. Praca postępuje.

– Ale chyba w Wenecji jest trochę drogo. Znalazłeś inne zajęcie?

– Aha, jestem kimś w rodzaju osobistego sekretarza. Pewien stary pisarz mnie zatrudnił. Czasami muszę coś dla niego zrobić, sprzątam, porządkuję papiery. Zostaje mi za to mnóstwo czasu dla siebie.

– To świetnie, świetnie – powiedział Jake. – Czy to ktoś, o kim słyszałem?

– Nie, nie przypuszczam. Nie jest powszechnie znany.

– Co w takim razie sprowadza cię z powrotem do Londynu? Z tego, co mówiłeś, można by pomyśleć, że nigdy tu nie wrócisz. Właściwie, sądząc po twoim zachowaniu, uważałem, że...

– Tak, wiem – wszedłem mu w słowo. Nie chciałem, żeby przypominał mi przeszłość. – Byłem trochę... zbyt pobudzony, tak mi się wydaje.

– Można to i tak ująć. Jezu, daleko się posunąłeś.

Popatrzyłem na kieliszek i zacząłem gładzić palcem jego krawędź. Czuję na sobie wzrok Jake'a, jakby usiłował mnie ocenić.

– No więc miałeś powiedzieć, co cię sprowadza z powrotem?

– Och, sprawdzenie kilku rzeczy dla tego pisarza. Interesuje się genealogią.

– Co?

– Historia rodziny – dodałem. – Mam odnaleźć jego akt urodzenia, odszukać dziadków, prześledzić poszczególne gałęzie, cofając się w czasie...

– Brzmi nieźle.

– A ty, jak ci się wiedzie? Jak w pracy?

– Wariactwo, prawdziwe wariactwo – odparł, śmiejąc się. – Chlam co wieczór i spotykam się z najcudowniejszymi stworzeniami, jakie w życiu widziałeś. Nogi mają aż po same szyje. Blondynki. To najwspanialsza praca na świecie.

Widać było, że Jake oszukuje sam siebie. Na uniwersytecie podsycił w

sobie ogromne ambicje, chciał pisać o polityce i zmianach społecznych – w głębi duszy był idealistą – a teraz, jak podejrzewałem, praca dla gazety, polegająca na węszeniu i kleceniu plotek o trzeciorzędnych sławach, mijała się z jego oczekiwaniami.

– Co robisz jutro w czasie lunchu? – zapytałem.

– Hm... Musiałbym sprawdzić. Dlaczego pytasz?

– Po prostu nigdy nie widziałem, gdzie pracujesz. Chciałbym zobaczyć na własne oczy, gdzie się to dzieje – ty w samym centrum wydarzeń...

Myślę, że sprawiłem tym Jake'owi ogromną przyjemność.

– Możesz przyjść do redakcji, jeśli chcesz. Poszlibyśmy do modnej restauracji, która się tam mieści, a bywa też nazywana stołówką.

Obaj słabo się zaśmialiśmy.

– Brzmi świetnie. Jeszcze tylko jedno – czy twoja gazeta ma bibliotekę wycinków prasowych?

– Tak, a dlaczego pytasz?

– Pomyślałem właśnie, że może pomogłoby mi to w moich poszukiwaniach dla chlebodawcy.

– Możesz z niej korzystać do woli. Zadzwoń tam i powiem, że pracujesz dla mnie na zlecenie. Nie ma problemu.

– Dziękuję.

Wycinek okazał się cienki i pożółkły jak skóra Crace'a. Nosił datę 8 sierpnia 1967 roku i pochodził z „London Evening News”.

„PISARZ ZNAJDUJE MARTWEGO LOKATORA

Bestsellerowy powieściopisarz Gordon Crace, autor Stowarzyszenia dyskusyjnego, znalazł w swoim domu, znajdującym się w śródmieściu Londynu, ciało lokatora, dwudziestoletniego Christophera Davidsona, marzącego o karierze pisarskiej. Wszystko wskazuje na to, że Davidson odebrał sobie życie.

«Wróciłem do domu z British Library i znalazłem martwego Chrisa w kuchni – powiedział Crace, którego pierwsza powieść stała się sensacją na światową skalę. – To był dla mnie ogromny szok. Wiedziałem, że był w depresji, ale nigdy nie spodziewałbym się czegoś takiego».

Davidson wynajmował pokój w mieszkaniu pisarza, przerobionym ze stajni w Bloomsbury. Obaj panowie poznali się w Winterborne Abbey, prywatnej szkole w Dorset, gdzie Crace pracował jako nauczyciel angielskiego. Davidson był jego dawnym uczniem.

Uważa się, że wysiłki pisarskie Davidsona spełzły na niczym. Tymczasem Crace odniósł spektakularny sukces – ocenia się, że Stowarzyszenie dyskusyjne sprzedawało się w blisko półmilionowym nakładzie, a ostatnio zostały kupione prawa do jego sfilmowania. Policja potwierdza, że ustalenie przyczyny śmierci potrwa kilka najbliższych miesięcy”.

Sugestie dziennikarza były oczywiste, przypuszczam jednak, że obawa przed zniesławieniem powstrzymała go od otwartego nazwania po imieniu ich związku. Teczka dotycząca Crace'a nie była tak pękata, jak się spodziewałem, i zawierała jedynie garść wycinków. Większość stanowiły krótkie doniesienia i recenzje. Przeglądałem je, szukając informacji o

dochodzeniu, ale najwyraźniej nikt o nim niczego nie napisał. W jednym natrafiłem na wypowiedź Crace'a, który oświadczał, że wycofuje się z pisania, poza tym był tam fragment, na jaki natknąłem się w Internecie, oraz krótka informacja o jego przeprowadzce do Wenecji. Można było pomyśleć, że mniej więcej na trzydzieści lat Crace przestał istnieć. Kiedy czytałem te wycinki, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, odniosłem wrażenie, jakbym grzebał w życiu zmarłego człowieka.

Poprosiłem bibliotekarza – tak niskiego, że głowa wystawała mu niewiele nad drewniany kontuar – o teczkę z informacjami dotyczącymi Christophera Davidsona i czekałem na jego powrót przy tablicy ogłoszeń.

– Tu pan jest – usłyszałem czyjś głos za sobą. – Przepraszam, oto pańska...

Bibliotekarz wręczył mi żółtobrazową kopertę z czerwonym stemplem ZMARLI w prawym górnym rogu. Pomyślałem, że jest pusta, bo była taka cienka, ale po jej otwarciu znalazłem w środku dwa niewielkie wycinki – jeden, który już czytałem, i drugi, relacjonujący dochodzenie, również z „London Evening News”, datowany na 4 grudnia 1967 roku.

„NIEPOWODZENIE PISARZA PRZYCZYNĄ SAMOBÓJSTWA

Jak wynika z dochodzenia ustalającego przyczynę śmierci niedoszłego pisarza, dwudziestoletniego Christophera Davidsona, znaleziony przy nim list pożegnalny ujawnił, że młody człowiek odebrał sobie życie z powodu przedłużającej się blokady twórczej.

Lokator autora bestsellerowej powieści Gordona Crace'a nie potrafił pogodzić się z sukcesem swego gospodarza. Obaj mężczyźni mieszkali razem przy 7 Thanet Mews w Bloomsbury, gdzie, jak się uważa, Davidson wynajmował pokój. Dwudziestolatek przedawkował środki nasenne, które popił alkoholem rankiem 7 sierpnia. Trzydziestosześcioletni Crace znalazł jego ciało i zawiadomił policję.

Koroner dowiedział się, że na miejscu policja znalazła napisany na maszynie list pożegnalny nieżyjącego od kilku godzin Davidsona, w którym twierdził, że nie może żyć dłużej, bo jego kariera pisarska nie rozwijała się, jak planował.

Psychiatra Herbert Jennings objaśnił koronerowi spustoszenia, jakich może dokonać blokada twórcza, i w jaki sposób może, w określonych okolicznościach, prowadzić do samobójstwa.

Przesłuchano również samego Gordona Crace'a, którego zeznania rzuciły światło na stan umysłowy jego lokatora. Choć pisarz wiedział, że Davidson cierpi na depresję, tamtego dnia jego nastroj wydawał się całkiem dobry.

«Zostawiłem go w kuchni przy stole przed maszyną do pisania – zeznał Crace. – Powiedział mi, że ma zamiar wystukać jakieś opowiadanie. Wiązał z nim ogromne nadzieje. Oczywiście zawsze zachęcałem go do pisania i głęboko wierzyłem, że uda mu się napisać naprawdę dobrą powieść. Nigdy bym się nie spodziewał, że zrobi coś takiego».

Ci dwaj mężczyźni poznali się, kiedy Crace był nauczycielem w Winterborne Abbey w Dorset. W Bloomsbury mieszkali od dwóch lat.

Wynik dochodzenia: samobójstwo”.

Skserowałem wycinki i wrzuciłem kopertę do pudła ze zwrotami. Fragmentaryczne informacje o życiu Crace'a zaczynały układać się w trochę bardziej zrozumiały obraz.

Miałem przynajmniej coś konkretnego, za czym mogłem podążać, coś istotnego. Szedłem uliczką wybrukowaną kocimi łbami i wyobrażałem sobie, że jestem Crace'em. Wprowadził się do mieszkania przy tej ulicy, mając trzydzieści cztery lata, jedynie trzynaście lat starszy ode mnie, a mimo to trudno było myśleć o nim jak o młodym człowieku. Zdjęcie, które towarzyszyło notatce o dochodzeniu, ukazywało całkiem przystojnego mężczyznę: wyraziste rysy, kształtna głowa z ciemnymi włosami, twarz niemal romantyka. Wyjąłem kserokopię i jeszcze raz przyjrzałem się fotografii, przesuwając palcem wokół jego postaci jak zaciekawione dziecko bawiące się martwym robakiem. Wpatrywałem się w zdjęcie przez chwilę, a potem popatrzyłem na ulicę, usiłując wyobrazić sobie jego życie tutaj.

Ulica okazała się bardzo ładna, z kępami kwiatów i wielkimi donicami, w których przy każdym drzwiach rosły dorodne rośliny. Życie Crace'a tutaj na pewno było spokojne i kulturalne. Po ranku spędzonym przy biurku prawdopodobnie wychodził z domu i szedł do pubu na końcu uliczki, gdzie mógł przeczytać gazetę i rozkoszować się piwem i kanapką. Czasami wdawał się w pogawędkę z sąsiadami, rozmawiając nie o literaturze ani niczym takim, ale po prostu wymieniając z nimi plotki. Niekiedy zdarzało się, że Chris przyłączał się do niego i razem jedli lunch, ale najczęściej chłopak mówił Crace'owi, że ma jeszcze dużo do zrobienia, bo przelewanie słów na papier przychodziło mu z trudem. Crace radził przyjacielowi, by się odprężył, nie myślał tak intensywnie o tym, co chce osiągnąć, i pisał byle jak i byle co. O styl mógł się w końcu martwić później.

Popołudniami Crace zapewne przeglądał strony, które zapisał tego dnia, robił korektę, wprowadzał poprawki. Rzadko jednak zdarzało się, by napisał więcej niż stronę maszynopisu dziennie. Zanim szedł do łóżka,

zawsze obmyślał kolejną scenę i zapamiętywał ją. A mimo to uwielbiał nieprzewidywalność swoich bohaterów, poczucie, że są żywi, że nieważne, jak bardzo będzie się starał upleść ich losy, oni zawsze trochę je zmieniają, ostrzegając go, by nie traktował ich jak marionetki, dając mu do zrozumienia, że są niezależni. Było to dziwne wrażenie, jak rozmowa z umarłymi. Chris często pytał go, jak mu się to udawało, a on nie potrafił tego wyjaśnić. Młodszy miewał czasami napady złości, naskakiwał na niego głupio i oskarżał, że nie mówi mu wszystkiego, bo chce, żeby poniósł porażkę. Wcale tak nie jest, zapewniał go Crace. Do tego czasu Chris jak nic zdążył wypić pół butelki whisky albo wódki. I właśnie wtedy zaczynała się kłótnia, wulgarna, pijacka burda, po której Chris wypadał z mieszkania jak burza i straszył, że znajdzie sobie kogoś młodszego, nie jakiegoś zбочeńca interesującego się młodymi chłopaczkami.

Czy tak właśnie wyglądało wspólne życie Gordona i Chrisa? Może tak, może nie, ale miałem przynajmniej wrażenie, że zacząłem pod pewnym względem poznawać ich trochę lepiej. Choć oczywiście taki rodzaj dociekań – rodzaj biograficznej empatii – był ważny, musiałem poprzeć własne domysły faktami, potrzebowałem dowodów. Bo czegoś takiego właśnie mi brakowało.

Stałem przed ich domem, oznaczonym numerem siedem, i notowałem w zeszytcie jego opis. Był to jednopiętrowy budynek z frontową fasadą pomalowaną na gładki szary kolor, po prawej stronie drzwi pięła się glicynia. Cofnąłem się kilka kroków, żeby mieć lepszy widok i zobaczyć coś przez okno, ale niczego w środku nie dostrzegłem. Wykonałem kilka zdjęć tego domu – kupiłem wcześniej film do robienia slajdów, bo chciałem mieć zdjęcia na tyle dobrej jakości, by dało się je wykorzystać w książce. W chwili gdy naciskałem migawkę drugi raz, stojąc nieruchomo z okiem przytkniętym do wizjera, zauważyłem, że drzwi frontowe się uchylają. Schowałem aparat, rozejrzałem się, czy mogę gdzieś pobiec i

się ukryć, ale w tym samym momencie uświadomiłem sobie, że byłoby to zarówno głupie, jak i niemożliwe.

– Przepraszam, młody człowieku. Czy może mi pan powiedzieć, co właściwie pan robi?

Żeński głos idealnie pasował do kobiety, która przede mną stanęła. Była dobrze po pięćdziesiątce, może nawet po sześćdziesiątce. Pełną jak księżyc twarz pokrywał prawie biały puder, a zmęczone oczy otaczały grube kreski zrobione ołówkiem do powiek. Jaskrawe piórka – pomarańczowe i purpurowe, pobłyskujące w jesiennym słońcu – sterczały z jej przesadnie starannie zaczesanych do tyłu włosów, nadając jej wygląd stosunkowo dużego i głupiutkiego egzotycznego ptaka.

– No niechże pan podejdzie bliżej. Proszę nie udawać, widziałam pana i pański aparat. Kim pan jest, jednym z tych paparazzi?

Podszedłem do niej pełen obaw. Dostrzegłem, że ściany korytarza i przy schodach były zawieszane jej czarno-białymi fotografiami w najróżniejszych pozach i rolach.

– No niech pan podejdzie i mi go pokaże.

Wyciągnąłem aparat zza pleców i podałem jej z przeproszającą miną. Musiałem zaryzykować, mając nadzieję, że nie znała Crace’a ani też nie miała żadnego kontaktu z jego wydawcą. Gdyby wiadomość o moim węszeniu dotarła do niego, mój plan i moja przyszłość ległyby w gruzach.

– Gromadzę informacje dotyczące osoby, która tu kiedyś mieszkała – powiedziałem trochę za cicho.

– A więc nie jest pan z jakiegoś brukowca? Jakże mi wstyd. Myślałam, że pan może myszkuje tutaj, żeby babrać się w mojej tragicznie złamanej – jeśli nie zletargizowanej, choć nie wiem, czy istnieje takie słowo – karierze.

Kiedy się roześmiałem, nastrój mi się poprawił. Pojąłem nagle zwykłą głupotę – bezsens – moich wcześniejszych prób uprawiania literackiego

szpiegostwa. Naprawdę musiałem wziąć się w karby. Nie stać mnie było na podobny brak języka w gębie.

– I co? Wy tłumaczy się pan jakoś czy będzie tak stał niczym głuchoniemy?

– Och, przepraszam, oczywiście – odparłem. – Poszukuję pewnych informacji dla pana Gordona Crace’a, człowieka, który kiedyś mieszkał w tym domu. Prawdopodobnie nie zna go pani, ale...

– I tu się pan myli, drogi panie. Na jakiej podstawie mówi pan ludziom, że...

– Proszę o wybaczenie, czyżby pani go znała? – Głos zaczął mi się łamać. Jakim cudem?

– Zainteresowało to pana, prawda? – W jej oczach pojawiły się ogniki, trochę jak u szaleńca. Najwyraźniej bawiła ją ta gra, drażnienie się, pretensje. – Niech pan przestanie być taki przerażony – nie znałam go osobiście, rzecz jasna, jeśli o to panu chodziło. Nie dalej jak kilka miesięcy temu, jak myślę, ktoś...

– Tak?

– Ktoś inny zapukał do mnie. Kobieta podająca się za biografę...

Suka. Więc jednak przystąpiła do pracy, jak amen w pacierzu.

– Lavinia Maddon? Czy tak się nazywała?

– Tak, teraz kiedy pan to powiedział, przypominam sobie, że chyba tak. Ale czym się pan tak przejął? Co to pana obchodzi? Wracając jednak do sprawy, co ma pan zamiar zrobić z tymi zdjęciami?

Obniżyłem głos do konspiracyjnego szeptu. Nietrudno było się domyślić, że lubiła życie zdominowane przez dramat.

– Widzi pani... pani...?

– Panno... Nazywam się Jennifer Johnson.

Wpatrywała się we mnie z nadzieją w oczach, że jej nazwisko zabrzmia dla mnie znajomo, obróciła nawet lekko głowę, wskazując nią na portrety.

Skinąłem głową, udając, że wiem, kim jest, a raczej kim była.

– Widzi pani, mojego pracodawcę, pana Crace’a, pisarza, wyjątkowo niepokoją ludzie usiłujący niuchać w jego przeszłości. Sprzeciwia się pisaniu jego biografii i jest gotów na podjęcie wszelkich środków, by temu zapobiec. Tak więc tamta pani, Lavinia Maddon, pracuje nad czymś, co jest zupełnie sprzeczne z jego wolą, i dlatego usiłuje ją powstrzymać. Nazywa to grzebaniem się w cudzych brudach.

– Tak, rozumiem. Ale po co zdjęcia, po co zdjęcia?

– Och, to zwykły sentymentalizm. Ma z tego domu piękne wspomnienia i dlatego poprosił mnie, żebym zrobił dla niego kilka ujęć. Nie ma pani żadnych powodów do obaw. Ale czy mogę przy okazji o coś panią zapytać? Czego dokładnie chciała tamta pani?

Zamarła. Pewnie tak właśnie robiła w jakiejś drugorzędnej sztuce lub serialu telewizyjnym. Jej wzrok skupił się na odległym punkcie na horyzoncie, uniosła palec do grubych czerwonych ust.

– Przypominam sobie, że pytała, czy znam Crace’a i czy wiem, co się tu kiedyś wydarzyło. Nie bardzo wiedziałem, o co jej chodzi, ale wspomniała o jakimś samobójstwie. Myślę, że nie chciała mnie zaszokować dokładnymi informacjami, ale w końcu je z niej wydusiłam. Dlaczego niby miałabym się przejmować, że jakiś głupi pedał skończył ze sobą w mojej kuchni. Chciała rozejrzeć się po mieszkaniu. Mówiła na tyle ładnym językiem i zachowywała się na tyle godnie, no i, o ile dobrze pamiętam, mieszkała pod świetnym adresem, więc pomyślałam, że dlaczego nie? Prawdę powiedziawszy, miło było znowu kogoś gościć. Kiedyś otaczali mnie przyjaciele, wie pan, ale teraz...

– Co jeszcze? To znaczy czy dała jej pani coś? Czy ona coś znalazła?

– Och, nie, nie, nic podobnego. Miała ze sobą notes, właściwie taki małe notesik, i cudowny złoty ołówek, zapisała po prostu kilka zdań i wyszła. Od tamtej pory nie miałam od niej żadnych wiadomości.

Mam nadzieję, że nie spotkają jej przeze mnie jakieś kłopoty, bo była dla mnie uprzedzająco grzeczna. Kupiła mi butelkę dżinu. Myślę, że to wzruszający gest. Nie będzie pan na nią zły, prawda?

– Nie, na pewno nie. Chciałem po prostu ocenić sytuację, sprawdzić, jak daleko sprawy zaszyły, to wszystko. Choć z drugiej strony chyba będę się musiał z nią zobaczyć. Żeby uświadomić jej to i owo.

– Ale nie wspomni pan przy tym mojego nazwiska, prawda? Proszę mi obiecać, że pan tego nie zrobi.

– Oczywiście, że nie, panno Johnson. Chciałbym jednak spytać, czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli tu wrócę i będę chciał się trochę rozejrzeć?

– Nie widzę powodu, dla którego miałyby mi to przeszkadzać. Może pan do mnie wstąpić choćby teraz, jeśli pan chce. Napijemy się czegoś...

Powiedziałem, że się śpieszę, ale niewykluczone, że przyjdę później. Zapisałem numer jej telefonu i zostawiłem ją stojącą na tle zdjęć, powielających jej wizerunek w minionych, aktorskich wcieleniach, obrazków być może bardziej rzeczywistych od niej samej.

Obserwowanie. Stanie na ulicy i obserwowanie. Ciągłe obserwowanie i czekanie. Budynek okazał się wysoki i okazały, ściany miał pokryte stiukami. Z dwoma żłobkowanymi kolumnami przy wejściu kojarzył się z tortem weselnym. Na pierwszym piętrze był balkon, na którym właściciel mieszkania postawił dwa wawrzyny. Pośrodku placu aż do jego zachodniego skraju widać było kort tenisowy obsadzony drzewami i krzewami – kolejny symbol dostatniego życia, którego mnie odmówiono. Ale nie na długo. Już nie. Byłem zdeterminowany wykuć sobie lepszą przyszłość.

Wyjąłem notes, w którym trzymałem list od Lavinii Maddon, żeby sprawdzić adres: 47a Eaton Square. Chciałem zadać jej kilka pytań, to wszystko. Nic strasznego. Może jedynie przypomnę jej stanowisko Crace'a w uprzejmy, ale bardziej stanowczy sposób. Znalazłem się w Londynie, żeby załatwić kilka spraw dla pana Crace'a, więc pomyślałem, że skoro już tu jestem, może bym ją odwiedził. Ale czy nie pomyśli, że podobna wizyta jest trochę dziwna? Czy w ogóle mnie wpuści? Zresztą może nie ma jej akurat w domu, może nawet wyjechała z Londynu. Lepiej byłoby najpierw do niej zadzwonić. Tak, to właśnie powinienem zrobić. Ponownie wyjąłem kopertę i wybrałem numer wydrukowany w nagłówku. Cztery dzwonki, a potem kliknięcie automatycznej sekretarki. Miała głęboki, mocny głos, emanujący pewnością siebie i poczuciem uprzywilejowania: czy chciałbym zostawić wiadomość dla Lavimi Maddon, moje nazwisko, numer telefonu i godzinę, kiedy dzwoniłem? Właśnie miałem się odezwać, kiedy dostrzegłem kobietę idącą chodnikiem. Rozłączyłem się i obserwowałem, jak się zbliża. Byłem pewny, że to ona.

Wysoka, szczupła, brunetka, o nieskazitelnie uczesanych lśniących włosach, elegancko ubrana, szykowna, miała na sobie grafitową garsonkę szytą na miarę, doskonale uprasowaną białą bluzkę i sznur koralu z gagatu.

Gdy podeszła bliżej, zorientowałem się, że jest głęboko zamyślona, wąskie usta miała zaciśnięte, oczy o inteligentnym wyrazie zdradzały skupienie. W jednym ręku niosła czarny skórzany neseser, wyglądający na drogi, w drugiej – książkę. Tę okładkę widziałem już wcześniej, kubistyczny portret trzech chłopców stojących wokół nauczyciela, ostre zestawienie czerwonych i czarnych linii. Zmrużyłem oczy, żeby się lepiej przyjrzeć i przeczytać tytuł, który niejasno sobie przypominałem. Litery stawały się ostrzejsze i znowu się rozmywały, zlewając się ze sobą, jakby były z rtęci. Zatrzymała się przed domem i uniosła neseser do wysokości talii. Kiedy szukała w nim kluczy, położyła książkę na jego zawartości, dzięki czemu zyskałem lepszy widok. Tytuł pojawił się ostro i wyraźnie: *Stowarzyszenie dyskusyjne*.

Poczułem w środku coś w rodzaju ukłucia. Nie mogę pozwolić, by stała mi na drodze. Nie teraz, nie po tym wszystkim, co zrobiłem, nad czym się namęczyłem. Jaki miałem wybór? Jaka czekała mnie przyszłość? Jeśli mój pomysł z biografią Crace'a by nie wypalił, musiałbym wrócić tu, do Wielkiej Brytanii, zupełnie splukany. Czekaloby mnie mieszkanie u rodziców. Klótnie z ojcem. Niekończące się rozmowy o tym, co się kiedyś wydarzyło. Rozpaczliwe próby znalezienia jakiejś lichej pracy. Myśli o Elizie, wspomnienia o niej, których nie mógłbym znieść.

Patrzyłem, jak wchodzi po schodach do drzwi, otwiera zamek kluczem i znika we wnętrzu ekskluzywnego budynku. Odczekałem pięć, może dziesięć minut, zanim ponownie zadzwoniłem pod jej numer. Podniosła słuchawkę.

– Halo?

– Czy mógłbym rozmawiać z panią Lavinia Maddon? – spytałem, starając się wymawiać słowa głośno i wyraźnie.

– Przy telefonie – odpowiedziała.

– Dzwonię w imieniu pana Gordona Crace'a. Nazywam się Adam

Woods. Jestem jego sekretarzem.

– Och tak, to miłe. – Ton jej głosu się zmienił. – Dziękuję bardzo za telefon. Otrzymałam pański list, choć mnie rozczarował, bo mimo wszystko miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z Gordonem, z Gordonem Crace'em. Mogłabym spróbować przekonać go, że moja książka to naprawdę poważne studium.

– Tak. On jest świetnie zorientowany w pani zamiarach – rzekłem i zrobiłem krótką pauzę. Musiałem się zorientować, co dokładnie wiedziała. Jak bardzo była zaawansowana w badaniach. – Chociaż pan Crace powątpiewał w wartość tego przedsięwzięcia – jak pani wie, bardzo chroni swoją prywatność – uznał ostatnio, że dalsze opieranie się nie ma sensu. Moim zdaniem doszedł do wniosku, że jeśli już ktoś musi napisać jego biografię, to najlepiej byłoby, gdyby zrobił to ktoś o pani pozycji, pani renomie. Tak więc, praktycznie rzecz biorąc... jest zainteresowany współpracą.

– Naprawdę? – Radość była wyraźnie słyszalna w jej głosie.

– Tak. Jestem akurat w Londynie, bo mam tu do załatwienia kilka spraw dla pana Crace'a, i pomyślałem, że moglibyśmy się spotkać.

– Oczywiście, doskonały pomysł. W każdym dogodnym dla pana czasie.

Spojrzałem na mieszkanie na ostatnim piętrze i zobaczyłem, że podeszła do okna wychodzącego na ogród na placu. Cofnąłem się, żeby zniknąć z jej pola widzenia.

– Zastanawiam się, czy ma pani dzisiaj trochę czasu? Przepraszam, że w sumie to trochę w ostatniej chwili, ale właśnie dowiedziałem się o odwołaniu spotkania, które miałem zaplanowane.

– Nie ma problemu, doskonale się składa. Czy zechciałby pan przyjść do mnie? To na Eaton Square.

Odpowiedziałem, że chętnie. Podała mi wskazówki, jak trafić –

jakbym ich potrzebował – i umówiliśmy się na dziewiętnastą. Do spotkania została mi godzina.

Znalazłem kawiarnię, gdzie zanotowałem przebieg ostatnich wydarzeń, z przyjemnością wypilem cappuccino i jeszcze raz przeczytałem wycinki. Musiałem założyć, że Lavinia Maddon wypełniła już podstawowe powinności biografisty: dowiedziała się wszystkiego o pochodzeniu Crace’a i jego rodzicach, dotarła do aktu urodzenia i świadectw szkolnych, prześledziła jego karierę uniwersytecką, docierając do wszelkich ogólnodostępnych informacji. Jeśli realizowałbym dalej swój plan – jeżeli podtrzymywałbym iluzję, że Crace jest zainteresowany jej książką – może ujawniłaby mi, co dokładnie udało się jej ustalić. Kiedy zaś później dowiedziałyby się o mojej książce, powiedziałbym jej, że Crace kazał mi zebrać jak najwięcej informacji o jej pracy. Wykonywałem swoje obowiązki, i tyle. A poza tym Crace chciał mieć autoryzowaną przez siebie relację z własnego życia, biografię napisaną przez osobę, której ufał, a nie kogoś obcego jak ona.

Tuż przed dziewiętnastą ruszyłem z powrotem w kierunku jej mieszkania. Drzewa na placu rzuciły na wysokie białe domy długie cienie, przypominające palce kościotrupa gładzące alabastrową skórę. Nacisnąłem dzwonek, a potem rozległ się brzęczyk zwalniający zamek.

– Piąte piętro... i niech pan nie zawraca sobie głowy windą, łatwiej wejść po schodach – powiedziała.

Przez chwilę, gdy dotykałem ręką ciemnej wypolerowanej poręczy, opadło mnie przeczucie, że nie dam rady przez to przejść, cokolwiek owo „to” oznaczało. Nie bardzo wiedziałem, co zrobię, i ten fakt mnie przerażał. Przystanąłem na schodach i obróciłem się, żeby spojrzeć na siebie w lustrze oprawionym w złoconą ramę. Moja skóra była bardziej trupiobladła niż zwykle, a jasne włosy potęgowały jeszcze efekt spłowienia. Uszczypnąłem się kilka razy w policzki w nadziei, że trochę

się zarumienię na twarzy, ale nadal pozostałem blady jak ściana.

Kiedy pokonałem kilka ostatnich stopni i skręciłem w korytarz, zobaczyłem czekającą na mnie Lavinie, twarz jej promieniała.

– Witam, panie Adamie, jestem Lavinia. Miło mi pana poznać. Proszę wchodzić.

Wyciągnęła przed siebie dłoń, a ja wyczułem drobne kości pod jej skórą. Uścisk jej ręki był równie słaby jak Crace’a. Gdy się uśmiechnęła, pajęczyna cienkich zmarszczek pokazała się na jej upudrowanej twarzy, rozciągając się od kącików ust przez oczy i czoło. Z pewnej odległości nie dałbym jej więcej niż czterdzieści parę lat, ale w rzeczywistości miała co najmniej dziesięć więcej. Poprowadziła mnie przez przedpokój do ogromnego salonu. Na każdej ścianie widać tam było książki, które zajmowały zresztą każdą wolną powierzchnię. Podłogę pokrywała beżowa mata z włókna kokosowego. Białe lilie w wazonie rozsiewały cmentarny zapach w całym mieszkaniu.

– Napije się pan czegoś? Może białego wina?

– Z przyjemnością.

– Niech pan siada, proszę.

Usadawiłem się na niskiej szerokiej szarej sofie. Paczka książek opakowanych w folię z bąbelkami – niemieckie tłumaczenie jej biografii Woolf – leżała przede mną na stoliku do kawy. Magazyn „New Yorker”, bez wątplenia zawierający jej erudycyjny, wyjątkowo dobrze napisany artykuł o objętości mniej więcej dziesięciu stron maszynopisu, spoczywał na stercie codziennych gazet.

Wróciła i podała mi kieliszek schłodzonego białego wina. Usiadła na identycznej sofie naprzeciwko mnie.

– Nawet sobie pan nie wyobraża, jak bardzo ucieszyłam się z pańskiego telefonu.

O to byłem spokojny, na pewno potrafiłem sobie wyobrazić.

– Z pańskiego ostatniego listu odniosłam wyraźne wrażenie, że pan Crace nigdy nie zgodzi się współpracować przy mojej książce. Byłam w rozterce, nie bardzo wiedziałam, co robić. Naprawdę, zupełnie straciłam grunt pod nogami.

– Włożyła pani w to dużo pracy? Chodzi mi o zgromadzenie podstawowych informacji...

– Och tak, całkiem sporo. Udało mi się zapełnić danymi całkiem sporą kartotekę. To znaczy nie chciałabym oczywiście uchodzić za arogantkę, ale na wypadek gdyby pan Crace wyraził zgodę, zamierzałam mu pokazać, że zebrałam już wstępne informacje. Tym samym udowodniłabym, że jestem poważna, zarówno w moich intencjach, jak i biografii. Zastanawiam się jednak, co sprawiło, że zmienił zdanie? Wydawał się przeciwny moim zamiarom.

Przesunąłem się na sofie i wychyliłem trochę w jej stronę.

– Mówiąc szczerze, stało się tak dlatego, że zaczął go nagabywać ktoś jeszcze, kolejny pisarz.

Zamrugła, przez chwilę w jej oczach widać było furię.

– Oczywiście nie był to ktoś, kto mógłby się z panią równać literackimi referencjami – dodałem. – Ten ktoś chciał napisać książkę - cóż, ni mniej, ni więcej, tylko wulgarną, sensacyjną biografie.

– Czy mogę spytać, kto to był?

Przez kilka sekund nic nie odpowiedziałem. Pomyślałem, że małeńka kara nie jest do pogardzenia.

– Przepraszam, ale chyba najlepiej będzie, jeśli to pozostanie tajemnicą. Nie chciałbym, żeby jego nazwisko zyskało rozgłos.

– Oczywiście, to zrozumiałe – powiedziała. Udawała, że w ogóle jej to nie obchodzi, ale dostrzegłem, że gryzie wewnętrzną stronę policzka. – Tak więc uważa pan, że Crace naprawdę zgodzi się na spotkanie ze mną?

– Nie widzę powodów, dla których miałyby być inaczej. Rzecz jasna

nie od razu, ale na pewno w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Przedtem jednak musi być pewny pani zamiarów. Nie chciałbym być niegrzeczny, proszę pani...

– Och, mówmy sobie po imieniu, jestem Lavinia.

– Nie chcę być nieuprzejmy i wiem na pewno, że twoja książka będzie literaturą z najwyższej półki, ale myślę, że pan Crace naprawdę chciałby zobaczyć – co zwyczajnie by go uspokoiło – jakkolwiek szkic, brudnopis tego, co już o nim napisałaś.

– Boję się, że na to jest trochę za wcześnie. Widzisz, jeszcze niczego nie przelałam na papier.

– A czy mogłabyś przygotować dla niego coś w tym rodzaju? Może konspekt – coś, co dałaś swojemu agentowi albo wydawcy?

– Rzeczywiście mam coś takiego, ale jestem przekonana, że nie jest to materiał, który nadawałby się dla niego.

Dostrzegła, że wyglądam na trochę zaskoczonego. Bała się – i co do tego nie miałem wątpliwości – że źle zrozumie naturę jej interesów, wróć do Crace'a i powiem mu, żeby się wycofał.

– Ale skoro już o tym powiedziałam, mogłabym z łatwością nadać temu formę odpowiedniejszą dla pana Crace'a. Przerobić na coś łatwiej strawnego dla czytelnika, bez całego tego wydawniczego żargonu.

Tak naprawdę dowiedziałem się, że miała zamiar spuścić tam z tonu i przerobić tekst na bardziej ocenzonej wersji.

– Dobrze, to brzmi jak obietnica czegoś, co pan Crace z chęcią zobaczy. Wiem, że chciałby mieć już to wszystko za sobą w ciągu kilku następnych dni, więc...

– Naprawdę, aż tak szybko?

– Tak. Nie należy do ludzi, którzy zostawiają niezakończony sprawy. Wracam do Wenecji w przyszłym tygodniu, może uda ci się zdążyć do tego czasu?

– Jasne, to nie powinien być problem.

Złapałem ją na haczyk, i to solidnie. Czy mógłbym posunąć się dalej?

– A tak przy okazji, to zabawne – rzekłem, śmiejąc się. – Niewykluczone, że wiesz więcej o Gordonie, niż on sam wie o sobie. Widzisz, wkrótce po jego przeniesieniu się do Wenecji ogromna ilość jego osobistych dokumentów została zniszczona w czasie wyjątkowo paskudnego *aqua alta*.

– Naprawdę?

– Jestem pewny, że byłby zachwycony, gdybyś przekazała mu kopie wszystkiego, co o nim znalazłaś – akt urodzenia, zapisy genealogiczne i tym podobne rzeczy.

– Cóż...

– Jestem święcie przekonany, że będzie to miało ogromne znaczenie.

– Hm...

– Bardzo wzmocni twoją pozycję.

– Tak uważasz?

– Oczywiście, wtedy zyska podstawy, żeby rzeczywiście ci zaufać. Zresztą to jedynie odtworzenie dokumentów, które były kiedyś w jego posiadaniu. Jeśli jednak to dla ciebie problem...

– Nie, skąd, jestem pewna, że to się da załatwić – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. – Dostaniesz je w przyszłym tygodniu, więc będziesz mógł zawieźć panu Crace'owi.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony. Pan Crace będzie bardzo zobowiązany.

Teraz wdzięczność na mojej twarzy nie była udawana. Myślę, że naprawdę coś czułem.

Kiedy dotarłem do mieszkania Jake'a, byłem wykończony. Padłem na sofę, przetarłem dłońmi zmęczone oczy i leżałem na poduszkach, czując, jak wyciekają ze mnie resztki energii. Otoczyła mnie czerń, chyba zasnąłem, bo ni stąd, ni zowąd usłyszałem dzwonek komórki. Przynurzałem ją do oczu i zobaczyłem na wyświetlaczu numer rodziców. Odrzuciłem połączenie. Nie byłem jeszcze gotów na rozmowę z nimi.

Siedziałem po ciemku, niemal się nie ruszając i prawie nie oddychając aż do powrotu kumpla. Jake wszedł, zapalił światło i zastał mnie siedzącego z otwartymi oczami na sofie.

– W morde, człowieku, co ty wyprawiasz, chcesz, żebym dostał zawału? – powiedział, wrzucając klucze do miseczki na szafce.

Odchrząknąłem i roześmiałem się.

– Przepraszam – odezwałem się.

– I jak sobie dzisiaj radziłeś? – zapytał. – Znalazłeś coś ciekawego o swoim tajemniczym chlebodawcy?

Powiedziałem mu, że wycinki z biblioteki okazały się bardzo przydatne, i jeszcze raz podziękowałem mu za pomoc. Żeby jednak powstrzymać jego ciekawość, zapytałem, jak jemu z kolei minął dzień. Tego wieczora był na promocji jakiejś książki, zostały mu nawet wokół ust ślady po czerwonym winie, wyglądające jak druga para warg.

– Spotkałem tam twojego ulubieńca – stwierdził Jake.

– Kogo?

– Nie domyślasz się?

Dobrze wiedziałem, o kogo Jake'owi chodzi, ale nie chciałem nawet myśleć o tym człowieku.

– Doktora Kirkby'ego. Boże, gdybyś widział jego twarz, kiedy mnie zobaczył. Pomyślał pewnie, że jesteś gdzieś w pobliżu. Ale ja prawdopodobnie byłem równie zaskoczony jego widokiem. To była

promocja biografii jakiejś zapomnianej dziewiętnastowiecznej malarki – krytycy widzieli w niej w zasadzie jedynie muzę, ale najwyraźniej potajemnie malowała. Wydaje mi się, że to interesujące, i naprawdę...

– Rozmawiałeś z nim?

– Bardzo krótko, wymieniliśmy uprzejmości i tyle. Ramię mu już wydobrzało, w każdym razie nie nosi już tembla.ka.

Obaj się roześmieliśmy.

– Jej z nim nie było, prawda?

Jake popatrzył na mnie z troską, a nawet z niepokojem.

– Nie, nie było jej tam, stary – odparł cicho. – Ciągłe o niej myślisz, co?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Ale już ci lepiej? Na pewno lepiej.

– Tak, myślę, że lepiej. Przypuszczam, że był to jakiś moment szaleństwa. Kiedy człowiekowi odbiera rozum. Jakbym był kimś innym.

– Tak, masz rację.

– Ale zmieniłem się od tamtego czasu. Teraz mam już jasno określony cel. – Przytaczałem te wyświechtane frazesy z pewną ironią. – Wiem, co robię. Jestem na tym skupiony.

W tej samej chwili przypominałem sobie ostatnie spotkanie z Elizą. Chciałem wtedy jedynie być z nią, blisko niej.

– Jakże zatem masz plany?

– Jadę jutro do Dorset – kolejne poszukiwania dla mojego pisarza. Prawdopodobnie wrócę na noc do Londynu. Spałbym znowu u ciebie, w porządku? W przyszłym tygodniu lecę z powrotem do Wenecji.

Jestem przekonany, że każdy zachowałby się tak samo jak ja w podobnej sytuacji. Nazywają to prowokacją. Paradowała ze swoim nowym facetem. I to tak szybko. Był jej – naszym – wykładowcą. Widziałem w

tym wszystkim coś obrzydliwego.

– Jak się dostaniesz do Dorset?

– Pociągiem – dwie i pół godziny, z Waterloo do Dorchester.

Czekałem przed uczelnią, a później poszedłem za nim do domu. Uważałem, żeby nie dostrzegł mnie w metrze, wsiadłem do innego wagonu, schowałem się za gazetą. Śledziłem go od Finsbury Park, zatrzymywałem się, kiedy zwalniał albo myślałem, że może się obejrzeć.

– Gdzie się zatrzymasz?

– Jeszcze nie wiem, prawdopodobnie w jakimś pensjonacie, a może w pubie.

Zanim skręcił w ulicę, przy której mieszkał, wsunąłem na głowę kominiarkę. Pewnie było to zbyt teatralne, ale wtedy wydawało mi się czymś najodpowiedniejszym. Tamtego ranka poszedłem wcześniej do sklepu z tandetną odzieżą i kupiłem paskudną nylonową bluzę z kapturem, spodnie od dresów i byle jakie adidasy. Miałem też na sobie parę czarnych rękawiczek z dermy.

– Co masz zamiar tam robić?

– Muszę poszukać pewnych materiałów.

Sprawdziłem, czy nie ma nikogo w pobliżu. Dobrze, nikogo.

– W której części Dorset?

– Jest tam miasteczko Winterborne. Niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od Dorchester, w kierunku... jak to się nazywa?... Blandford Forum.

Kiedy przekręcał klucz w zamku, podbiegłem do niego i zgiętym ramieniem chwyciłem go od tyłu za szyję. Usiłował się obrócić i mocować ze mną, ale trzymałem go mocno, machał rękami w powietrzu jak przewrócony robak. Doszedłem do wniosku, że mówienie byłoby zbyt ryzykowne, więc gestem kazałem mu oddać mi teczkę.

Rzucił ją na chodnik i powiedział, że mogę zabrać, co chcę. Żebym

tylko zostawił go w spokoju. Żałosny fiut. Jego złotobrzowa broda trzęsła się ze strachu, stalowoszare oczy zdradzały, że jest przerażony jak królik. Jakim cudem Eliza mogła wybrać kogoś tak nieciekawego, takiego tchórza, takiego dupka?

Zwolniłem zacisk na jego szyi, sprawiając, że padł na twarz niczym szmaciana lalka. Chciwie wdychał powietrze niczym tonący, który wychynął ponad powierzchnię wody. Byłem pewny, że mógłbym go wykończyć. Może powinienem był to właśnie zrobić. Zamiast tego jednak wykręciłem mu prawą rękę za plecami, łamiąc ją niczym kość widelkową. Odgłos był naprawdę satysfakcjonujący. Pchnąłem go na ziemię, śmiejąc się z jego skomlenia, przetrząsnąłem jego teczkę, zabrałem kartę kredytową, trochę gotówki, a potem uciekłem. Słyszałem za sobą, jak słabym głosem woła pomocy, ale szybko zniknąłem w bocznej uliczce. Zdjąłem adidas, ściągnąłem z siebie spodnie od dresów, bluzę z kapturem, i kominiarkę. Wpakowałem to wszystko do plecaka. Pod spodem byłem przyzwoicie ubrany, wyglądałem jak ciężko pracujący student – dżinsy, biała koszula, czarne mokasyny. Wszystko to miałem ze sobą. Gdyby policja mnie zatrzymała, mógłbym udawać, że o niczym nie wiem. Nikt by nie uwierzył, że jestem typem człowieka, który dopuszczałby się tego rodzaju rzeczy.

Ostatecznie postanowiłem nie dzwonić do rodziców przed wyjazdem z Londynu. Wynik ostatniego egzaminu mnie nie interesował, bo też co mógłby zmienić w moim obecnym życiu? Wiedziałem, że niezależnie od tego, jaka jest ocena mojej pracy dyplomowej, dla ojca nigdy nie będzie wystarczająco wysoka. Rozmowa z nim nie miała sensu, on po prostu był obłąkany.

Siedzieliśmy przy stole w jadalni. Mama próbowała stworzyć wyjątkowy nastrój: ładne nakrycia, świece, noże z kościanymi trzonkami, kryształowe kieliszki. Ugotowała włoskie jedzenie, co miało być przygrywką do mojej podróży, a jej lasagne okazało się całkiem dobre. Wypiliśmy po kilka kieliszków prosecco, a potem butelkę dobrego czerwonego wina. Rozmowa ograniczała się do niewielu bezpiecznych tematów – nie poruszaliśmy niczego, co zbaczałoby w ryzykowną stronę mojej przeszłości lub przyszłości – i wszystko wskazywało na to, że będziemy mieli cudownie przyjemny wieczór, zakończony całusami w oba policzki od mamy i mocnym uściskiem dłoni ojca, a potem słowami, podyktowanymi najlepszymi intencjami, mówionymi na pożegnanie. Wszystko to zmieniło się w mgnieniu oka.

Mama przyniosła talerz z tiramisù, ulubionym deserem ojca, i postawiła go przed nami na stole.

– Rany, czy to nie wygląda wspaniale? – odezwał się ojciec.

Prawdopodobnie powinienem coś wtedy powiedzieć albo przynajmniej wydać jakiś nieartykułowany, pełen aprobaty dźwięk. Ale myślałem o Wenecji, nowej pracy nauczyciela angielskiego i czasie, jaki będę mógł poświęcić na pisanie powieści. Byłem myślami zupełnie gdzie indziej.

Najwyraźniej próbował podać mi kawałek ciasta, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy do chwili, gdy usłyszałem, jak odstawia z hukiem talerz na stół.

– Na tym polega problem z tobą, nie myślisz o nikim, tylko o sobie – powiedział ojciec niespodziewanie. – Matka zadała sobie dla ciebie tyle trudu, a tobie nawet do głowy nie przyjdzie, żeby jej podziękować.

– Och, Peter, daj spokój, naprawdę...

– Przepraszam, Sally, ale w końcu trzeba to powiedzieć. Nie mam zamiaru pozwalać mu, żeby traktował cię – nas – w ten sposób. Musi dostać nauczkę.

– Słucham? – odezwałem się. – Czy coś mnie ominęło?

– Dobrze wiesz, co z tobą jest nie tak. Dlaczego po prostu nie spróbujesz, dlaczego przynajmniej nie spróbujesz być normalny?

– Przestań, kochanie. To ostatni wieczór Adama, a ja bardzo chcę, byśmy go wszyscy mile spędzili.

Oczy ojca płonęły gniewem.

– Nie musisz go bronić. Pamiętaj, że to ty, nie ja, zdenerwowałaś się, kiedy wyszło na jaw, co zrobił.

– Peter, to nie jest odpowiedni moment...

– Nie, mam – wszedłem jej w słowo. – Jeśli tato chce coś powiedzieć, dlaczego mu tego zabraniać? Widać wyraźnie, że coś mu leży na sercu, dlatego niech lepiej od razu to z siebie wyrzuci, niż gdyby miało się to w nim jątrzyć...

Ostatnie słowo wymówiłem z nieukrywaną pogardą, jakby dotyczyło wszystkiego, co sobą reprezentował.

– W porządku – rzekł ojciec. – Powiem ci, co mi leży na sercu, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć. Nie mogę nawet znieść myśli o tym, czego się dopuściłeś. Kiedy zadzwonił ojciec Elizy, nie potrafiłem uwierzyć w to, co mówił. Było mi tak strasznie wstyd. To, co zrobiłeś, samo w sobie było już wystarczająco obrzydliwe, ale najgorsze jest to, że nie widać po tobie najmniejszych oznak poczucia winy. Gdzie ty masz sumienie, Adamie?

– Uspokój się, Peter, wiesz dobrze, że wcale tak nie myślisz.

Naprawdę. Daj spokój, powiedz, że nie chciałeś mu zrobić przykrości. W przeciwnym razie Adam wyjedzie, przekonany, że...

– Na rany boskie, Sally, czy ty nie rozumiesz? Przechodziliśmy już z nim przez to, ale on najwyraźniej wcale się tym nie przejmuje. Niemal żałuję, że Eliza nie poszła na policję. Jej ojciec oczywiście chciał to zgłosić, ale nie rozumiem, jakim cudem przekonała go, żeby dał spokój. Może powinniśmy go wtedy wesprzeć.

– Nie wygłupiaj się, wcale tak nie uważasz. – Matce łzy napłynęły do oczu.

– Może wyniknęłyby z tego coś dobrego. Przynajmniej zmusiłoby go do zachowania się jak mężczyzna i przyjęcia choć raz w życiu odpowiedzialności za własne czyny.

Przez kilka sekund milczeliśmy wszyscy troje. Matka spuściła wzrok i patrzyła na stół, rozpaczliwie usiłując powstrzymać płacz, a potem odsunęła krzesło i rzuciła na nie serwetkę.

– Gdybyś nie trzymał go na taki dystans – wymamrotała pod nosem, idąc do kuchni – nigdy nie doszłoby do czegoś takiego.

– Aha, więc teraz okazuje się, że to wszystko moja wina, co? Że mamy potwora bez sumienia zamiast syna?

Nie mogłem wytrzymać tego dłużej. Wstałem od stołu, nie mówiąc słowa. Zabrałem z przedpokojku kurtkę i plecak. W kuchni pocałowałem na pożegnanie matkę, która zeszkrobywała tiramisu z talerza do kosza na śmieci. Oczywiście, choć bez przekonania, próbowała mnie zatrzymać, ale szybko zrozumiała, że to nie ma sensu. W drodze do wyjścia dostrzegłem ojca, wpatzonego we mnie z otwartymi ustami, nagle potulnego i z kretyńskim wyrazem twarzy. Spojrzałem na niego z nienawiścią. Choć raz dobrze się czułem w swojej skórze.

– Nigdy już, kurwa, nie zbliżaj się do mnie albo cię zabiję, ty chuju – powiedziałem.

Wyszedłem, zatrzasnął za sobą drzwi. Nie rozmawiałem z nim od tamtego czasu. Lepiej było utrzymywać dzielący nas dystans.

Wróciłem do tropienia przeszłości Crace'a. Miałem wrażenie, że przez ostatnie kilka dni, pomijając spotkanie z Lavinią Maddon, odsunąłem go na drugi plan. Przeszłość zaczęła za bardzo mi przeszkadzać, kładąc się cieniem na moim sposobie myślenia i przesłaniając mi rzeczywisty cel.

W pociągu do Dorset przejrzałem cały materiał, jaki zgromadziłem na temat Crace'a. Przekartkowałem zeszyt, teraz wypełniony wynikami moich poszukiwań, jeszcze raz dokładnie przeczytałem wycinki prasowe. Jeśli wszystko poszłoby zgodnie z planem, pod koniec swojej podróży powinienem dokładnie już wiedzieć, co zaszło między „pasierbem” pana Shawa a Crace'em, i mieć pamiętnik chłopaka. W następnym tygodniu, gdy będę wracał do Wenecji, poznam podstawowe dane biograficzne dostarczone przez usłużną Lavinie Maddon. Miałem też nadzieję, że znajdę w pamiętniku opis wydarzeń prowadzących do śmierci Chrisa i dowiem się, czy rzeczywiście odebrał sobie życie, czy został zamordowany. Zamordowany – to słowo brzmiało dziwnie i nierzeczywiście. Nadal nie potrafiłem uwierzyć, by Crace był zdolny do zabicia kogokolwiek.

Pociąg wtoczył się na dworzec w Dorchester otoczony tumanami mgły. Na zewnątrz krople deszczu rozbryzgiwały się na peronie, przeganiając ludzi pod zadaszenia, zmuszając, by skuleni poruszali się truchtem. Przebiegłem odległość dzielącą mnie od budynku stacji, minąłem kasę biletową i ruszyłem dalej, po podjeździe prowadzącym do postoju taksówek, gdzie stał już tylko jeden samochód z szybami zaparowanymi od środka. Kiedy przeczesywałem mokre włosy palcami, zwróciłem na siebie uwagę kierowcy – młodo wyglądającego mężczyzny z nadwagą, o skórze przywodzącej na myśl surowe ciasto. Zapytałem go, czy zna miasteczko leżące niecałe dwadzieścia pięć kilometrów od Dorchester, a potem uzgodniliśmy stawkę na osiemnaście funtów.

Kiedy jechał ulicami, okrążając obrzeża miasta, a wycieraczki przesuwwały się tam i z powrotem niczym skrzydła poirytowanego mechanicznego ptaka, spróbował wciągnąć mnie w rozmowę.

– Przyjechał pan w interesach? – zapytał.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałem.

– Był pan już wcześniej w tych okolicach?

– I tak, i nie. O ile dobrze pamiętam, to z tych okolic znam Bournemouth. Byłem tam na wakacjach. – Co w sumie nie mijало się z prawdą.

I po tych słowach obaj zamilkliśmy, słychać było jedynie ruch na szosie i wodę omywającą samochód.

Zjechaliśmy z ruchliwej drogi, minęliśmy jakąś wieś, a potem mknęliśmy między polami. Znaleźliśmy się wśród soczystej zieleni. Drzewa ociekały deszczem, wiatr hulał po łąkach. Czasami szosa była tak wąska, że mieścił się na niej tylko jeden samochód, a wtedy gałęzie i konary ocierały się o karoserię. Jechaliśmy ciemnym tunelem przez niekończący się las. Droga zaczęła prowadzić stromo w dół, a potem równie stromo pod górę, pokonaliśmy ostry zakręt i wydostaliśmy się na otwartą przestrzeń. Po lewej stronie pojawiła się szkoła, w której uczył Crace, neoklasyczny budynek o idealnej symetrii, postawiony pośrodku całych akrów ziemi. Kilka sekund później zobaczyłem opactwo – stojące trochę za szkołą – gotycką potworność wyglądającą kuriozalnie obok budynku w stylu Palladia. Kierowca zwolnił, odchylił głowę do tyłu i zerknął na mnie.

– To naprawdę warte zobaczenia – powiedział i skinął głową, jakby odpowiadając na własną uwagę.

– Bez wątpienia.

Samochód wiózł nas wzdłuż podnóża pokrytego lasem stoku, skrajem jaru, a potem znowu w dół. Miasteczko rozpościerało się przede mną, wieża kościoła rysowała się na tle nieba. Taksówkarz podrzucił mnie

do lokalnego pubu, The Stag, porytego strzechą, o staroświeckich wykoślawionych drzwiach, dopełniających sielskości widoku. Aż trudno było sobie wyobrazić, że mogło się tutaj wydarzyć coś złego.

Dałem kierowcy dwudziestofuntowy banknot i ruszyłem ścieżką zwirową do pubu. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka, gdzie od razu uderzyła mnie ściana takiego gorąca, że poczułem się, jakbym był znakowany rozżarzoną żelazką na obu policzkach. Po drugiej stronie izby buchały płomienie z polan na kominku, przed którym leżał stary kundel. Nie było tu nikogo poza barmanką, kobietą o rumianej twarzy, stojącą za barem i wycierającą kieliszek ścierką, którą wcisnęła głęboko w jego czaszę. Skierowałem się do niej, odchrząkując, ale ona nie podniosła na mnie oczu. Nic się nie zmieniło, dopóki nie usiadłem na stołku i nie położyłem torby na drewnianym kontuarze, dopiero wtedy zamrugęła powiekami i zauważyła, że ma klienta.

– Chciałbym zapytać, czy macie państwo jakieś pokoje?

Głębokie zmarszczki na jej czole zwały się w jedno, a ona popatrzyła na mnie, jakbym mówił w obcym języku. Potem skinęła głową, luźna skóra na jej podbródku zakołysała się jak u indyka.

– Niestety, nie wiem, jak długo zostaną – powiedziałem.

Było jej to najwyraźniej obojętne. Wystarczyło zapłacić z góry – trzydzieści pięć funtów za noc – i mogłem, zdaje się, robić wszystko, na co miałem ochotę.

Małomówna kobieta poprowadziła mnie przez ciasną izbę o niskim suficie, a potem w górę po schodach znajdujących się z tyłu budynku. Wyglądało na to, że mieli tu trzy niewielkie pokoje gościnne, znajdujące się przy głównym korytarzu. Wpuściła mnie do pierwszego. Okazał się zapuszczoną norą o sfatygowanych meblach. Na parapecie leżało kilkanaście zdechłych much, wysuszonych jesiennym słońcem niczym trujące rodzynki. Poczułem, jak o włosy otarła mi się pajęczyna. Kiedy

rzuciłem torbę na fotel stojący w rogu pokoju, z jego poduszek wzbil się tuman kurzu.

– Jestem pewna, że znajdzie pan tu wszystko, czego można potrzebować – powiedziała moja nowa gospodyni, robiąc szeroki ruch ręką, jakby właśnie wprowadziła mnie do apartamentu w Savoyu. W rzeczywistości poza łóżkiem, zakurzonym fotelem i trupami much w pokoju nie było niczego więcej. – Zostawiam pana zatem.

Obróciła się do odejścia.

– Aha, w korytarzu jest łazienka. Nic specjalnego.

Nawet przez sekundę nie wątpiłem w prawdziwość jej słów.

Po ogarnięciu jako tako tego pokoju, usunięciu pajęczyn i much rozpakowałem rzeczy. Ułożyłem na fotelu parę zapasowych džinsów i dwa swetry. Wyjąłem zeszyt i odszukałem namiary na Shawa. Sprawdziłem komórkę. Brak zasięgu. Wygarnąłem z portfela kilka monet i szedłem do pubu, gdzie wcześniej zauważyłem automat telefoniczny. Pies nadal leżał nieruchomo przed ogniem. Właścicielka z powrotem za barem wolno i metodycznie wycierała kieliszki.

Wybrałem numer Shawa. Po kilku dzwonekach usłyszałem dyszenie, które ostatecznie przekształciło się w zrozumiałe słowo.

– Halo?

– Dzień dobry panu. To ja, Adam Woods. Prosił pan, żebym zadzwonił, kiedy przyjadę.

Potrzebował kilku sekund na złapanie oddechu.

– Tak. Cieszę się, że pan dzwoni. Bardzo, bardzo się cieszę.

Było jasne, że wizja pieniędzy, myśl, że za kilka dni położy łapę na tysiącu funtów, bardzo poprawiła mu nastrój.

– Zastanawiałem się właśnie, jaki byłby najlepszy termin naszego spotkania. Chciałbym się z panem zobaczyć... i zabrać materiały, o których pan wspominał.

– A tak, książka, książka. – Odchrząknął. – Jeśli pan chce, może pan przyjść dziś po południu, o dowolnej porze. Jeżeli oczywiście to panu pasuje.

Poczułem nagle przytłaczające mnie obrzydzenie do tego wstrętnego gнома, który usiłował zarobić na śmierci „pasierba”.

– Świetnie, termin mi odpowiada. Cieszę się już na nasze spotkanie o... której?... powiedzmy około siedemnastej?

– Jeśli o mnie idzie, to doskonała pora, proszę pana.

Po podaniu mi wskazówek, jak dojść do jego domu, zawahał się przez moment.

– I... ma je pan ze sobą, prawda? Żeby było jasne, nie zobaczy pan niczego, dopóki najpierw nie dostanę... eee... należnej rekompensaty.

– Chodzi panu o pieniądze? Czy mam ze sobą pieniądze?

– No cóż...

– Tak, o to proszę się nie martwić. Mam je ze sobą. Jeśli będzie pan sobie życzył, może pan je przeliczyć w mojej obecności.

– Nie... nie chciałem... Tak tylko...

– W porządku. Rozumiem.

A rozumiałem aż za dobrze, co chodziło mu po głowie. Zdradziecki pazerny szantażysta-amator. Odkładając słuchawkę, zastanawiałem się, czy warto byłoby dać mu nauczkę. Jego obraz pojawił mi się nagle w myślach. Nie miałem pojęcia, jak naprawdę wyglądał, ale wyobraziłem go sobie jako pomarszczonego, szarego mężczyznę – o kolorze i konsystencji popiołu. Byłem pewny, że zetrę go na proch równie łatwo jak kartkę spalonego papieru.

Kiedy wracałem do pokoju w pubie, zastanawiałem się nad moralnym wymiarem płacenia szantażyście. Czy jeśli wręcę mu tysiąc funtów, nie stanę się takim samym ścierwem jak on? Myśl o zabrudzeniu sobie rąk, splamieniu się kontaktem z kimś takim jak on, sprawiła, że poczułem

mdłości. Na pewno byłem kimś lepszym, kto nie zniżyłby się do czegoś takiego?

Już w pokoju wyjąłem oryginał listu, który Shaw przysłał do Crace'a. W co on pogrywał? Czy w ogóle mogłem mu zaufać, że odda mi dziennik? Czy postąpię mądrze, oddając mu pieniądze bez wcześniejszego zażądania jakichś dowodów? Załóżmy, że on w ogóle nie ma tego dziennika. A jeśli ten notes w ogóle nie istnieje? Poczulem, jak wszystko w środku mi się gotuje, coś ścisnęło mnie w gardle. Na moim czole pojawiło się kilka kropli potu. Nie, gdybym nie odzyskał tego dziennika, zawiódłbym Crace'a, a stałem przecież na straży pamięci o nim. Mimo wszystko byłem wybrańcem. Polegał na mnie, zaufał mi.

Musiałem się przygotować na każdą ewentualność. Musiałem być silny. To, co miało się wydarzyć później tego popołudnia, mogło zdecydować o wspaniałym sukcesie albo fatalnej porażce. A na moim koncie było już zbyt wiele niepowodzeń. Postanowiłem, że nie przerazi mnie nic, co powinno zostać zrobione, cokolwiek by to było.

Wyruszyłem w pełni świadomy, że znajduję się na miejscu przed czasem. Choć ulewa ustała, a szare niebo zaczęło się przejaśniać, podmuchy wiatru nadał strząsały krople deszczu z drzew. Przesunąłem dłońmi po włosach, szczesując je z czoła do tyłu. Idąc, bawiłem się rulonem banknotów, które miałem w kieszeni. Shaw oczywiście zobaczy, że mam pieniądze, czy mu je oddam, to już inna sprawa. Decyzji bowiem jeszcze nie podjąłem.

Okazało się, że mieszkał w niewielkim, zrujnowanym domu, stojącym z dala od innych zabudowań, na którego tyłach znajdowało się pole prowadzące do łańcucha wzgórz porośniętych lasem. Sprzed domu biegła droga, która kończyła się ostatecznie przy miejscowym kościele. O siedemnastej odezwał się dzwon kościelny, będący w sumie żalną próbą zasygnalizowania, że istnieje jakiś porządek. A przecież wszystko na tym świecie nie było tak, jak powinno być.

Stałem przed domem, który swoimi proporcjami przywodził na myśl domek dla lalek. Pnącza wiciokrzewu wspinały się po ganku i po żółtawych ścianach. Z komina unosiła się pokręcona smużka dymu. Zapukałem do drzwi, które prawie natychmiast się otworzyły. Mężczyzna – niewielkiej postury, pomarszczony i szary, o wyglądzie niemal pokrywającym się z obrazem, jaki powstał w mojej wyobraźni – wydawał się zaskoczony moim widokiem. Zamrugał, otworzył usta i zachował równowagę tylko dlatego, że chwycił się futryny. Może po prostu wyrwałem go z poobiedniej drzemki. Gdyby jednak tak było, nie otworzyłyby drzwi tak szybko. A może spodziewał się kogoś starszego.

– Dzień dobry. Pan Shaw? Jestem Adam Woods.

Wyciągnąłem rękę, a on zrobił to samo po krótkim wahaniu.

Kiedy się witaliśmy, zorientowałem się, że dłoń miał wilgotną i lepką, poza tym drżały mu palce.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedział, odchrząkując. – Z góry przepraszam, jeśli moje zachowanie wyda się panu trochę dziwne. To dlatego, że nigdy wcześniej nie robiłem czegoś takiego. To znaczy nie zajmowałem się takimi sprawami. Trochę mnie to przerasta, jeśli rozumie pan, o co mi chodzi.

– Nie ma powodów do niepokoju, proszę pana. Jestem przekonany, że uda się nam osiągnąć porozumienie, które zadowoli nas obu, chciałem powiedzieć, pana i pana Crace’a.

Drzwi otworzyły się, ukazując zagrazone pomieszczenie służące za salon, a w dalszej części kuchnię. W powietrzu unosiły się zateęchłe zapachy po gotowaniu – kapusty, wątróbki i bekonu. Rdzawy w kolorze sweter w serek wisiał na oparciu krzesła i parując, sechł przy ogniu płonącym w piecu.

– Złapała mnie straszna ulewa, jaką tu wcześniej mieliśmy – powiedział. – Mam nadzieję, że deszcz pana nie unieruchomił.

Jego wybór słów sprawił, że się uśmiechnąłem.

– Nie, na szczęście uniknąłem najgorszego deszczu – odparłem.

– Zostawmy to zresztą, proszę czuć się jak u siebie, niechże pan siada, bardzo proszę.

Ciągle trzęsącą się ręką wskazał dwuosobową sofę.

– Napije się pan herbaty... a może kawy. Mam kawę?

– Chętnie napiję się herbaty – zgodziłem się.

Shaw gwizdał po nosem, kiedy parzył herbatę, ale zerkał na mnie co kilka sekund, jakby przyglądanie mi się postawił sobie za punkt honoru.

– Służę uprzejmie. – Podał mi kubek. – Biskopta?

– Nie, dziękuję – odrzekłem. – Herbata wystarczy. Tak się zastanawiam... czy pan w ogóle znał pana Crace’a? W czasie kiedy tu mieszkał?

– Nie. Maureen go znała. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek

zamienił z nim słowo.

– Rozumiem.

Usiadł na fotelu naprzeciwko mnie, bliżej drzwi. Wypiłem łyk gorącej herbaty, odstawiłem kubek na szary dywan, a potem sięgnąłem po pieniądze. Doszedłem do wniosku, że niewiele zyskam, przedłużając to spotkanie.

– Przypuszczam, że ten widok pana zainteresuje – odezwałem się, przesuając mu banknoty przed twarzą.

Oczy mu się rozpromieniły.

– Przynajmniej tyle pan Crace może zrobić, żeby pokryć pańskie koszty związane z przechowywaniem dziennika.

Wyciągnął rękę, gotów przejąć pieniądze.

– Nie mogę jednak dać ich panu, dopóki nie zobaczę dziennika – zastrzegłem się. – Pan Crace nie jest podejrzliwym człowiekiem, problem w tym, co zresztą jest całkiem naturalne, że chciałby mieć pewność uzyskania czegoś konkretnego za własne pieniądze.

Shaw zagryzł dolną wargę i rozglądał się nerwowo po pokoju. Uniósł palec do ust i zaczął ogryzać i tak już czerwoną poszarpaną skórkę u nasady krótkiego i grubego paznokcia.

– Wydaje mi się, że z tym może być niejaki problem – odezwał się w końcu.

– Słucham? Co dokładnie ma pan na myśli? Zapewniał mnie pan, że dziennik jest w pana posiadaniu, że ma go pan tutaj.

– Mogę go przynieść... bez trudu mogę go przynieść...

Wsunąłem pieniądze z powrotem do kieszeni i wstałem.

Kiedy to robiłem, zawadziłem lewą stopą o kubek z herbatą, przewracając go. Na dywanie pojawiła się ciemna brązowa plama przypominająca rozkwit grzyba. Stary zerwał się z fotela. Panika go sparaliżowała, nie potrafił zdecydować, czy pobiec do kuchni po ścierekę, czy zostać, bo wtedy

blokował mi drogę do wyjścia.

Podszedłem do niego, jakbym zdecydował się opuścić to miejsce.

– Proszę nie odchodzić, zaraz panu wyjaśnię – powiedział między sapanięciami. – Nie musi pan...

Zatrzymałem się i spojrzałem na niego surowo.

– Mam nadzieję, że nie kazał mi pan wlec się taki szmat drogi po to tylko, żeby zrobić ze mnie głupka. Panu Crace'owi by się to nie spodobało. Byłby wyjątkowo wściekły, gdyby się okazało, że pan z nim pogrywa. Czy pan mnie rozumie, Shaw?

Jego usta układały się w słowa, których nie potrafił wymówić. Kiedy podszedłem do niego jeszcze bliżej, podtrzymał się fotela, żeby się nie przewrócić. Wiedziałem już, że się mnie boi.

– Gdzie jest dziennik Chrisa? – podniosłem głos. – Gdzie on jest?

– Mogę go tu przynieść... potrzebuję troszkę czasu, to wszystko.

– Obawiam się, że pana Crace'a nie stać na taki luksus. Nie można też powiedzieć, żeby grzeszył cierpliwością. Mógłbym do niego zadzwonić w tej chwili, a on odwołałby cały ten układ.

– Bardzo wątpię, żeby to zrobił – powiedział Shaw.

Najwyraźniej pomyślał o czymś, co dało mu nowe poczucie pewności siebie, przejawiające się denerwującą arogancją.

– Tak jak już mówiłem, nie chciałby, żeby policja zaczęła tu węszyć. Nie chciałby, żeby babrała się w jego brudach, prawda? – Kiedy to powiedział, zmarszczył nos, jakby w przesadnym obrzydzeniu. – Rzeczy, na które sobie pozwolił, nie mieszczą się w głowie. Jestem przekonany, że władze – i prasa – uznają je za całkiem interesującą lekturę. A jest tam wszystko – czarno na białym, jak to mówią.

Kątem oka dostrzegłem koszyk z polanami stojący obok pieca. Za nim stała para szczypiec i solidny pogrzebacz. Mógłbym wziąć ten pogrzebacz i dzielić go nim w czaszkę, zmieniając jego głowę w krwawą

miazgę. Odwróciłem się od niego, zrobiłem krok w tamtym kierunku i przystanąłem, udając, że chciałem przy piecu ogrzać ręce. Potrzebowałem tego dziennika. Dopóki nie znajdzie się w moich rękach, nie mogłem nic zrobić. Co potem działałoby się z tym starcem, niewiele mnie obchodziło.

– Dobrze więc, proponuję, żebyśmy trochę ochłonęli, co pan na to? – odezwałem się. – Po pierwsze przydałaby się ścierka, bo nie chcemy, żeby została plama, prawda? A później omówimy wszystko jak cywilizowani ludzie.

Kiedy wycierałem kałużę herbaty, Shaw obserwował podejrzliwie każdy mój ruch. Nie miałem wątpliwości, że balansował na skraju wyczerpania nerwowego.

– A teraz zacznijmy od nowa – powiedziałem wolno. – Pan ma dziennik.

Potwierdził skinieniem głowy.

– Ale tu go nie ma. Czy mam rację?

– W rzeczy samej, tu go nie ma.

– Pan z kolei wie, gdzie on jest, i może go tu przynieść?

– Tak, to możliwe.

– Jak dużo czasu zajęłoby panu przyniesienie go?

Shaw zawahał się. Nie chciał ujawniać już niczego więcej.

– Proszę posłuchać, chce pan dostać te pieniądze czy nie? – rzuciłem ostro.

– Dobrze więc, dobrze... pójde i przyniosę go, a pan może tu zaczekać. Ale obiecuje pan, że je dostanę, kiedy oddam panu książkę?

– Obiecuje.

– Proszę sobie dolać herbaty. Zajmie mi to mniej więcej dziesięć minut, może kwadrans.

Shaw narzucił sobie na ramiona brezentową kurtkę i wyszedł przez drzwi frontowe, zostawiając mnie samego. Kiedy jego kroki ucichły

na ścieżce, rozejrzałem się po pokoju. Na górze niewielkiego starego telewizora stało kilka wyblakłych kolorowych fotografii w tanich ramkach. Widać na nich było Shawa z dawnych szczęśliwszych czasów z kobietą, prawdopodobnie matką Chrisa, Maureen, blondynką o krągłych policzkach. Opaleni po niedawnych wakacjach, obejmowali się wzajemnie i uśmiechali do aparatu. Podobne zdjęcia tej samej pary stały rzędem na półce w pobliskiej wnie, ale nigdzie nie dostrzegłem zdjęć chłopaka.

Wszedłem na górę po schodach znajdujących się na tyłach kuchni. Jednym pchnięciem otworzyłem drewniane drzwi i znalazłem się w zaciemnionym pokoju, sypialni. Zapachy gotowania mieszały się tu z odorem potu i zatęchłego papierosowego dymu. W panującym półmroku przy zaciągniętych zasłonach zdołałem się zorientować, że pościel na łóżku ma nikotynowe żółte plamy, a na poszewce poduszki widać aureolę po tłustych włosach. Na szafce obok łóżka leżała czerwona plastikowa zapalniczka, ze szklanej popielniczki wysypywały się pety, obok stał spray przeciwko astmie. Z łatwością wyobraziłem sobie Shawa zaciągającego się papierosem, a po chwili sięgającego po inhalator i zażywającego lekarstwo w ciągłej walce pomiędzy nieuniknioną śmiercią i pragnieniem utrzymania się przy życiu. Było to zmaganie, którym najprawdopodobniej nie będzie już musiał długo zaprzętać sobie głowy.

Wyszedłem z sypialni i zajrzałem do łazienki. Jej widok – umywalka z kozuchem brudu i zapaprany sedes – wywołał u mnie mdłości. Zamknąłem drzwi i przeszedłem do kolejnego pokoju na tyłach domu, pełnego pudeł i toreb. Przcisnąłem się przez wąskie przejście, jakie pozostało między nimi, i odetchnąłem z ulgą po minięciu kilku czarnych worków na śmieci. Jeden z nich był rozdarty, przez dziurę wystawały kawałki damskich ubrań – rękawy bluzek, nogawki spodni, stopy rajstop, wszystkie splątane ze sobą niczym powykręcane części ciała.

Przepchnąłem się obok nich na drugi koniec pokoju, gdzie dostrzegłem szafkę, która wyglądała na kartotekę. Pokrywał ją kurz. Szarpnąłem górną szufladę i otworzyłem ją przy wtórze trzasku i jęku drewna. Przebiegłem palcami po zielonych skoroszytach i wyjąłem jeden z nich na chybił trafił. W środku była plastikowa koszulka zawierająca jakieś dokumenty. Wyciągnąłem poźółkłą kwadratową kartkę pokrytą czerwonym drukiem – był to akt urodzenia, stwierdzający przyjście na świat 8 sierpnia 1927 roku Maureen Frake. Z jej aktu ślubu dowiedziałem się, że wyszła za mąż za Johna Davidsona 16 stycznia 1946 roku. Przeszukałem górną szufladę, ale nie natrafiłem na akt urodzenia jej syna. Prawdę mówiąc, nie było tam nic, co wskazywałoby, że w ogóle miała dziecko.

Pochyliłem się, żeby zajrzeć do niższych szuflad, ale kiedy wyciągnąłem prawą nogę, żeby się lepiej podeprzeć, poczułem, że coś ostrego drapie mnie po łydce. Obróciłem się i zobaczyłem śrubokręt wystający z kawałka brezentu. Podciągnąłem nogawkę i zacząłem masować zadrapanie miejsce. Kiedy wyciągnąłem szyję, zobaczyłem czerwoną na brzegach ranę, pojedyncze czerwone oko pośrodku łydki. Podniosłem śrubokręt i przyjrzałem mu się, dotknąłem palcami jego zakrwawionego czubka i zastanawiałem się, jakim świństwem mógł mnie zarazić. Chwilę potem, kiedy odsunąłem brezentową szmatę, okazało się, że zakrywała skrzynię. Było tam w czym wybierać: zwój plastikowego sznura do bielizny, dłuto, drewniany młotek, zwykły młotek, piłka do metalu. W momencie gdy wziąłem do ręki młotek, usłyszałem kroki na zewnątrz. Shaw wracał.

Ukryłem młotek w wewnętrznej kieszeni kurtki i zacząłem ostrożnie wycofywać się z tego pokoju. Wiedziałem jednak, że Shaw wejdzie do domu, zanim zdążę dobiec do kuchni lub salonu, dlatego wpadłem do łazienki, odwracając przy tym wzrok od panującego w niej brudu, i spuściłem wodę w sedesie. Zbiegłem potem po schodach, celowo powoli

zasuwając rozporek, żeby zapiąć go ostatecznie, kiedy stanę twarzą w twarz z Shawem. Gdy zamknął drzwi i znalazł się w środku, nadal słysząc było bulgoczące odgłosy wody w rezerwarze.

– Zew natury? – zapytał Shaw.

W jednej ręce trzymał przezroczystą torbę z supermarketu. Przez cienki plastik dostrzegłem czarny grzbiet notesu. Uśmiechnąłem się, podchodząc do starego. Czułem ostre krawędzie młotka pod kurtką.

– Zatem ma pan dziennik?

Skinął głową, zdejmując kurtkę.

– Czy mogę spytać, dokąd pan poszedł, żeby go przynieść?

– Wolalbym tego nie mówić, jeśli nie weźmie mi pan tego za złe. Proszę, niech pan siada.

Gestem wskazał mi miejsce na sofie, a ja podczas siadania musiałem się trochę nagimnastykować z młotkiem pod kurtką, żeby trzonek nie wystawał. Shaw usadowił się obok mnie. Reklamówkę położył sobie na kolanach i powoli rozgarniał plastikowe brzegi, jakby rozsuwał krawędzie delikatnego opakowania ochronnego.

Kiedy już odsłonił zawartość torby – trzymając dziennik na udach – obrócił się do mnie, tak że widziałem dokładnie jego niezdrowo szarą skórę i żółte zęby z czarnymi obwódkami. Byłem także na tyle blisko niego, by czuć smród jego oddechu. Nie wyglądało na to, że długo pobędzie na tym świecie.

– Teraz, kiedy ja panu pokazałem, niech pan pokaże też mnie – powiedział, śmiejąc się.

Fala mdłości sprawiła, że niemal zrobiło mi się słabo. Poczulem w ustach gorzki smak żółci zbierającej mi się w ustach, ale przełknąłem ją. Nic nie powinno mnie dekoncentrować.

– Ach tak, pieniądze, oczywiście.

Skupiłem się, usiłując sobie wyobrazić, w jaki sposób najlepiej

wyciągnąć rulon banknotów z kieszeni, żeby młotek nie upadł mi do stóp. Palce lewej dłoni ustawiłem w kleszcze i przesunąłem ramię ściśle przylegające do torsu, tak że podtrzymało młotek schowany w kurtce. Potem sięgnąłem prawą ręką do lewej kieszeni, wyciągnąłem pieniądze i upuściłem je na podolek Shawa.

– A teraz proszę o dziennik – powiedziałem.

– Proszę, jest pański – odpowiedział, podając mi go.

Po przerzuceniu kilku kartek – zamierzałem upewnić się, że to osobisty dziennik Chrisa i że naprawdę znajdują się w nim szczegóły dotyczące Crace'a – zauważyłem nazwisko pisarza w kilku miejscach wybranych na chybił trafił. Wstałem, by przenieść notes na stół znajdujący się w pobliżu. Nie chciałem przecież, żeby uszkodził się w jakikolwiek sposób.

Gdy jednak usiłowałem trzymać dziennik jedną ręką, a drugą dociskać młotek do ciała, poczułem, że narzędzie za chwilę mi się wyśliznie i upadnie na podłogę. Szybko zmieniłem pozycję, próbując temu zapobiec. Kiedy to robiłem, dziennik zaczął wysuwać mi się z ręki. Mogłem albo pozwolić mu spaść, albo odsłonić broń, którą ukrywałem: wiedziałem, że nie mam wyboru.

Dziennik wysunął mi się z dłoni i upadł na podłogę wyłożoną terakotą. Shaw popatrzył na mnie, wyraźnie zaniepokojony. Podniósł się z sofy i zaczął człapać w moim kierunku. Nachylił się, żeby go podnieść. Wpatrywałem się w jego potylicę. Zauważyłem placek suchej skóry na karku. Manipulowałem młotkiem, aż wreszcie odzyskałem nad nim pełną kontrolę. Nadszedł odpowiedni moment.

Prawą ręką wyciągnąłem młotek spod kurtki. Sama się o to prosząca ofiara – bezwartościowy człowiek – klęczała przede mną. Uniosłem młotek, żeby wymierzyć mocny cios. Zastygłem na moment, a potem w chwili, gdy stary zaczął się podnosić, a ja miałem właśnie uderzyć go w czaszkę i roztrzaskać mu głowę, dostrzegłem, że trzyma coś w rękach.

Było to kolorowe zdjęcie. Nie wierzyłem własnym oczom.

Szybko schowałem młotek z powrotem pod kurtkę, i chwyciłem się pobliskiego stołu, żeby zachować równowagę.

– Co to jest? Kto jest na tym zdjęciu? – zapytałem.

Shaw podtrzymywał się ręką za krzyż, ból starości wykrzywił mu twarz.

– Och, to zdjęcie Chrisa na rok czy coś koło tego przed śmiercią – wyjaśnił, podając mi je.

Fotografia o niemal zupełnie wyblakłych kolorach przedstawiała młodego, przystojnego mężczyznę o blond włosach zaczesanych do tyłu. Miał na sobie białą koszulę z odpiętym kołnierzykiem oraz granatowy sweter w serek i stał na tle świeżo zakwitłych drzew. Kiedy wpatrywałem się w zdjęcie, czułem na sobie spojrzenie Shawa. Wtedy dopiero zrozumiałem, dlaczego tak dziwnie spojrzał na mnie, kiedy otworzył mi drzwi, dlaczego cofnął się wtedy o krok. Dla niego musiałem wyglądać jak zmartwychwstały Chris. Musiałem przyznać, że podobieństwo było uderzające.

Dobrze się pan czuje?

Słyszałem zadyszany głos Shawa, oddalający się ode mnie, kiedy opadałem na sofę. Miałem wrażenie, że życie uszło z mojego ciała, które stało się bezwolne. Utrzymanie młotka pod kurtką, tak żeby nie wypadł, wymagało ode mnie zużycia ostatnich zasobów energii, jakie mi jeszcze pozostały.

– Niech pan trzyma. To postawi pana na nogi – powiedział, wciskając mi w rękę pełny kieliszek brandy.

Łoń mi się trzęsła, gdy ująłem kieliszek i podniosłem go do ust. Alkohol parzył mnie w wargi i gardło, ale rozkoszowałem się tym doznaniem.

– Wasze podobieństwo uderzyło mnie, kiedy zobaczyłem pana pierwszy raz, sam nie wierzyłem własnym oczom – odezwał się Shaw. – Muszę przyznać, że przeżyłem solidny wstrząs, gdy otworzyłem drzwi, a pan tam stał, wykapany Chris. Pomyślałem, że wrócił, żeby mnie straszyc. Kara za to, co zrobiłem. Oczywiście to głupie tak myśleć, naprawdę głupie, ale czasami człowiek nie umie zapanować nad czymś takim, prawda?

W czasie gdy Shaw mówił, patrzyłem na zdjęcie, przesuwałem palcami po jego krawędziach i przekonywałem sam siebie, że jest prawdziwe. Uniosłem je do twarzy, żeby lepiej mu się przyjrzeć, ustawiałem pod najróżniejszymi kątami, żeby wykryć nawet najmniejsze różnice albo niezgodności. Ale to tak, jakbym analizował własną fotografię, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Wyteęzałem umysł, żeby przypomnieć sobie tamtą scenerię, ale miejsce, gdzie rosło kilka lip, mogło znajdować się wszędzie. Obejrzałem dokładnie brzegi zdjęcia, szukając jakichś wskazówek.

– Czy wie pan, gdzie ta fotografia została zrobiona? – zapytałem,

odwracając się do Shawa.

– Niech pan pokaże.

Wyciągnął przed siebie rękę.

– Trudno powiedzieć, ale wygląda na to, że gdzieś tutaj. Och tak, teraz poznaję.

Uderzył palcem wskazującym w miejsce przy lewym brzegu fotografii.

– Proszę spojrzeć.

Oddając mi zdjęcie, uniósł palec, żeby wskazać w tle rozmazany kształt, przypominający wyglądem tarasy.

– Co to takiego? – zapytałem.

– Kilka schodków w trawie, prowadzących do starej kaplicy, o tutaj...

– Wskazał miejsce znajdujące się o dwa i pół centymetra od lewego brzegu fotografii. – Na tym wzgórzu, którego obiektyw nie objął.

Tak naprawdę nigdy nie wątpiłem w autentyczność tego zdjęcia, ale sytuacja, w której byłem zmuszony przyjąć do świadomości jego istnienie, wydawała mi się dziwniejsza od tego, że nie potrafiłem sobie przypomnieć, by ktoś mi je robił, a samo miejsce również nie budziło we mnie żadnych skojarzeń.

– Przepraszam na moment – udało mi się wykrztusić, zanim wbiegłem po schodach na górę.

W łazience oparłem się o urny walkę, żeby nie upaść. Obmywałem twarz zimną wodą raz po raz, ale nie przyniosło mi to żadnej ulgi. Miałem wrażenie, że żołądek wywraca mi się na drugą stronę.

Musiałem odłożyć młotek na miejsce. W pokoju zamienionym w rupieciarnię przeciskałem się ponownie wąskimi przejściami, aż znalazłem skrzynkę z narzędziami. Jak najciszej położyłem młotek na zwoju plastikowego sznurka do suszenia bielizny i zakryłem wszystko kawałkiem brezentu. Wróciłem potem do łazienki i po raz drugi spuściłem wodę.

Tymczasem na dole Shaw postawił czajnik na ogniu.

– Lepiej się pan czuje? – zapytał mnie.

– Tak, znacznie lepiej, dziękuję.

– Może jeszcze trochę herbaty?

– Z przyjemnością – odpowiedziałem. – Czy w dzienniku jest więcej zdjęć?

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem nawet, że to tam było. Też jestem zaskoczony. Widzi pan, Maureen bardzo dbała o albumy ze zdjęciami. Lubiła trzymać je w jednym miejscu. Wściekała się, kiedy któreś zginęło albo wypadło. Miała na tym punkcie fioła, niech mi pan wierzy.

– A pan nadal ma te albumy, prawda?

– O, tak. Są na górze.

Kiedy Shaw to powiedział, podając mi kubek z herbatą, wydało mi się, że patrzy na mnie porozumiewawczo, jakby dobrze wiedział o moim myśkowaniu na piętrze.

– Nie ma powodu do niepokoju, może pan zapewnić pana Crace’a, że nie ma wśród nich jego zdjęć. Widzi pan, Maureen spaliła je wszystkie po tym, jak to się stało. Była na niego strasznie zła.

– Rozumiem.

– Łatwo przyjdzie panu sobie wyobrazić, że nie była zachwycona Chrisem i całą tą sytuacją, ale nie potrafiła się zdobyć na zniszczenie jego zdjęć. No i dlatego są w wielu albumach i tylko kurz się na nich zbiera.

– Czy mógłbym obejrzeć jeden albo dwa? – zapytałem. – Chodzi o to, że...

– Że nie może pan uwierzyć, że wyglądacie jak bracia? To całkiem zrozumiałe. Musiało pana nieźle walnąć. Całkiem zrozumiałe, że tak to pana zaskoczyło. Choć jednocześnie bardzo dziwne, prawda?

Shaw odstawił kubek i ruszył wolno w stronę schodów.

– Zobaczę, co da się zrobić – powiedział.

W czasie jego nieobecności nie przestawałem wpatrywać się w fotografię Chrisa – stał przy drzewach niczym drugi ja. Kilka minut później Shaw wrócił z całym stosem albumów. Położył je na stole i podał mi jeden, wybrany przypadkowo. Kiedy oglądałem zdjęcia Chrisa – idącego ścieżką wzdłuż wybrzeża, jedzącego lody, stojącego dumnie z rękami skrzyżowanymi na piersi na tle głównego wejścia do Winterborne Abbey, wpatrzonego zaspanymi oczami w obiektyw aparatu po niespodziewanym obudzeniu w łóżku – czułem się, jakbym oglądał alternatywne życie, które mógłbym prowadzić. Chłopak, młody mężczyzna, był na tych zdjęciach bez wątpienia podobny do mnie – na niektórych ujęciach wyglądał identycznie jak ja – ale ich kontekst, sceneria były mi zupełnie obce, nieznanne.

– Więc mówi pan, że nie ma tu żadnych zdjęć pana Crace’a? – zapytałem.

– Nawet jednego, co z pewnością pana ucieszy. Niech pan powie panu Crace’owi, że może spać spokojnie. Dziennik jest jedynym – jak by to ująć? – obciążającym dowodem.

– Rozumiem.

– Tyle że jeśli wolno mi coś panu radzić, na pańskim miejscu miałbym się na baczność.

– Co chce pan przez to powiedzieć?

– To wszystko wydaje się trochę dziwne, nie uważa pan?

Posłałem mu pytające spojrzenie, udając, że nie wiem, o co mu chodzi.

– No to, że wygląda pan zupełnie jak Chris. Chyba mi pan nie powie, że to przypadek, co? Oczywiście wszystko, co łączy obu panów w waszym prywatnym życiu, to wyłącznie pana sprawa i...

– Pan wybaczy, nie bardzo rozumiem, co chodzi panu po głowie, bo zapewniam pana, że z panem Crace’em łączą mnie wyłącznie sprawy zawodowe.

– Nie chciałem sugerować...

– I mam taką nadzieję.

– Chciałem jedynie... próbuję powiedzieć panu, że na pańskim miejscu byłbym ostrożny, to wszystko.

Przywołałem w myślach czas, kiedy zaniósłem Crace'owi do *palazzo* swój pierwszy list. Gładkość marmuru, gdy wsuwałem kopertę w paszczę smoka. Delikatne odbicia zawirowań wody wokół mnie, gdy patrzyłem do góry na rozedrgane światło świecy na *piano nobile* i cień pojawiający się i znikający w ciemności. Co Crace mógł zobaczyć, kiedy spojrzął w dół na mnie? Młodego człowieka, który wyglądał dokładnie tak jak jego miłość życia. Jak chłopak, którego uwielbiał. Jak chłopak, którego być może zabił.

Pożegnałem się z Shawem i oszołomiony wróciłem przez miasteczko do pubu. Ostatnie kilka miesięcy wydały mi się pozbawione znaczenia niczym fatamorgana. Gdy usiłowałem stworzyć w wyobraźni obraz mojego życia z Crace'em – żeby wyjaśnić sobie kilka rzeczy – pamięć mnie zawodziła, obrazy zlewały się, a ja zostałem z poczuciem, że nie potrafię oddzielić rzeczywistości od iluzji.

Kiedy przyjechałem do Wenecji, byłem tak pewny swojej przyszłości, własnych planów. Wszystko znajdowało się na odpowiednim miejscu – praca, mieszkanie za darmo, czas na pisanie. Dostałem od losu możliwość rozpoczęcia życia na nowo, zapomnienia o Elizie i problemach z rodzicami. Byłem gotów pokazać wszystkim – i sobie samemu – na co mnie stać. Naprawdę wierzyłem, że uda mi się napisać powieść, że znajdę chwilę, by pozbiierać się jakoś do kupy i uporządkować dziwaczne myśli kłębiące mi się w głowie.

Nic z tego jednak się nie sprawdziło. Od chwili gdy wprowadziłem się do *palazzo* Crace'a, prawie zupełnie nie miałem czasu na pisanie powieści poza kilkoma okazjami szybkiego nabazgrania strony. Zrezygnowałem z

własnych zajęć i zająłem się Crace'em, poświęciłem własną niezależność – moje życie. A on przez te wszystkie miesiące toczył ze mną jakąś obrzydliwą grę.

Teraz oczywiście obraz całej sytuacji nabierał sensu, można by powiedzieć, pełnego, kurwa, sensu. Te ukradkowe spojrzenia, jakie mi rzucał, gdy myślał, że tego nie widzę. Jego gadzie oczy rozglądające się czujnie dookoła, zatrzymujące się na partiach mojego ciała – części czoła, krzywiznie kości policzkowej, mięsistej górnej wardze. Ten dziwny wyraz, jaki pojawił się na jego twarzy – myśliciele o zamglonych oczach, nękanego bólem ponad miarę i jednocześnie pogrążonego w ekstatycznym śnie na jawie – kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy tamtego ranka albo kiedy podawałem mu coś do picia wczesnym wieczorem.

Po powrocie do pokoju w pubie obmyłem twarz zimną wodą. Jakie miałem fakty? Chris nie żył, ale skąd mogłem mieć pewność, że to Crace go zabił? Dlaczego przyjąłem, że Shaw mówił prawdę? Czy Chris nie mógł popełnić samobójstwa, jak twierdzono w raporcie policyjnym? Czy gdyby Crace zamordował Chrisa, policja wszczęłaby śledztwo i odbyłaby się sprawa sądowa? Nadeszła pora, żeby zapoznać się z wersją wydarzeń podaną przez Chrisa.

Otworzyłem dziennik i kiedy go kartkowałem, zauważyłem, że niektóre strony zostały wyrwane. Cofnąłem się do początku i od razu rzucił mi się w oczy czterowiersz umieszczony pośrodku frontyspisu.

*Jeśli obracasz te strony i do środka popatrujesz
Przeczytasz me słowa i odczytać me myśli spróbujesz
Odłóż na bok marzenia o szczęśliwej przyszłości
Zawsze sam, zawsze zapatrzony we wstęgę przeszłości.
CD.*

Treść tego wiersza przyprawiła mnie o dreszcz. Oderwałem wzrok od czytanej strony. Przez chwilę pomyślałem nawet, że zamknę ten przeklęty notes i oddam Crace'owi. Ale prawdę mówiąc, wiedziałem, że nie mam wyboru. Przełożyłem cienką jak bibuła kartkę i zacząłem lekturę.

31 sierpnia 1959

Przepchnąłem się między chłopakami do klasy obok biblioteki. Kiedy wchodziłem do środka, wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę. Rozejrzałem się dookoła w poszukiwaniu wolnej ławki i dostrzegłem jedną na końcu. Obok mnie siedział chłopak o czarnych włosach i piwnych oczach. Położyłem teczkę na ławce i usiadłem. Uśmiechnąłem się i powiedziałem mu cześć, ale on jedynie wpatrywał się we mnie. Udałem, że szukam czegoś w teczce, ołówka albo gumki, bo miałem nadzieję, że strach minie i kiedy znowu podniosę oczy, wszystko będzie w porządku. Na palcach liczyłem sekundy, ale zanim przyszedł nauczyciel, straciłem rachubę, a ręce miałem zupełnie czerwone.

Nauczyciel przywitał się z nami. Nazywał się Hamilton-Parker i powiedział, że będzie naszym wychowawcą przez ten rok. Potem przeczytał listę z dziennika, wywołując uczniów po nazwiskach. Adams? Obecny. Ammerson? Obecny. I tak dalej, aż doszedł do mnie. Davidson? Nie mogłem wydobyć głosu. Czułem, że mam spuchniętą krtanią. Podniósł wzrok znad dziennika i powtórzył moje nazwisko. Spróbowałem odkaslnąć. Obecny, wyszeptalem. Nauczyciel mnie nie usłyszał, dlatego musiałem powtórzyć. Ktoś z siedzących z tyłu zażartował z mojego głosu. Czarnowłosy chłopak siedzący obok mnie, który, jak się później dowiedziałem, nazywał się Levenson, zachichotał, a ja zobaczyłem, że pozostali chłopcy obracają głowy, żeby na mnie popatrzeć. Poczuliem, że się czerwienię. Pan Hamilton-Parker kazał chłopakom się uciszyć i dalej czytał listę.

Podczas apelu usiłowałem pochwycić spojrzenie taty, ale on nie patrzył w moją stronę nawet wtedy, gdy skończył grać. Dyrektor, pan Hart, powitał nowych uczniów i wyraził nadzieję, że będzie z nas dumny. Był pewny, że czeka nas ekscytująca przyszłość i że wszyscy będziemy szczęśliwi w Winterborne.

1 września 1959

Gdy tylko przeszedłem przez próg, mama zapytała, jak mi poszło. Odpowiedziałem, że dobrze, wszystko w porządku. A co ci się stało w usta? – zapytała. Nic, odparłem. Rugby i tyle. To musiał być ostry mecz, powiedziała. Kazała mi bardziej uważać. Tato stał przy zlewie i mył warzywa, które właśnie wyrwał w ogrodzie. Kiedy go mijalem w drodze do schodów, nie spojrzał na mnie. W swoim pokoju zdjąłem z siebie mundurek.

Zszedłem na dół, gdzie mama czekała żadna wiadomości. Poleciała, żebym usiadł i opowiedział jej o całym dniu. Spytała tatę, czy widział mnie w szkole. Tylko na apelu, odpowiedział. Mama zapytała, czy zaprzyjaźniłem się z kimś. Skinąłem głową i nie wyznałem jej prawdy.

3 września 1959

Na angielskim pan Crace kazał mi przeczytać na głos sonet Szekspira. Kiedy zacząłem, starałem się naśladować sposób mówienia innych chłopaków, ale w połowie sonetu zdałem sobie sprawę, jakie to było głupie z mojej strony. Słyszałem, jak Levenson i jego kumpel Jameson chichoczą z tyłu klasy, a kiedy skończyłem, cała klasa wybuchnęła śmiechem. Chłopaki patrzyli na pana Crace'a, oczekując, że przyłączy się do ich żartu, ale on uderzył pięścią w stół i kazał klasie przestać się śmiać. Zrobiło się cicho. Miałem ochotę zapaść się pod ziemię.

Nauczyciel odwrócił się do mnie i kazał mi przeczytać sonet jeszcze

raz w bardziej naturalny sposób, własnym głosem. Potem zwrócił się do chłopaków i powiedział im, że Szekspir mówiłby z miejscowym akcentem. Drwiny z gwary dowodzą jedynie czyjeś nieuctwa, powiedział. Popatrzyłem na niego, jakbym chciał powiedzieć, proszę, nie, ale on skinął głową i spojrzał na mnie z łagodnością w oczach. Jąkałem się przy kilku pierwszych słowach, czułem, że mam zachrypnięty głos, a nawet brzydko brzmiący, ale kiedy skończyłem, pan Crace powiedział, że pięknie czytałem. Potem kazał Levensonowi i Jamesonowi przeczytać sonet osiemnasty, mieli czytać po jednej linijce na zmianę. Kiedy chłopacy otworzyli książki na stronie z tym sonetem, klasa znowu wybuchnęła śmiechem. Tym razem to Levenson i Jameson stali się obiektem drwin. Zaczął Levenson, dukał słowo po słowie, „Czy mam przyrównać cię do dnia letniego?”^[1], a potem była kolej Jamesona, „Jesteś piękniejszy i bardziej łagodny”. Jeszcze zanim Jameson skończył, obaj chłopcy się zarumienili, wierząc się na krzesłach. Nawet mnie wydało się to śmieszne. Kiedy jednak podniosłem wzrok, przekonałem się, że Levenson patrzył na mnie z nienawiścią.

4 września 1959

Pod koniec popołudnia, kiedy większość chłopaków szła do domu albo do świetlicy, ruszyłem długim ciemnym korytarzem do głównego wejścia. Na zewnątrz słońce mnie oślepiło. Spojrzałem w dół na żwirową ścieżkę, mrugając oczami. Skręciłem za rogiem i poszedłem za budynki gospodarcze, dokładnie szlakiem słonecznego światła. Uderzyłem w coś nogą i potknąłem się.

Uważaj, jak idziesz, Davidson, powiedział jakiś chłopak. Nogę miał wyciągniętą przed siebie. To był Levenson. Nie dość, że nie umie mówić jak człowiek, to jeszcze nie umie chodzić, rzekł Jameson. Co mam z nim

[1] Fragmenty *Sonetu XVIII*, przeł. Maciej Słomczyński.

zrobić? – zapytał ciemnowłosy. Wymienili krzywe uśmiechy, a chwilę potem popchnęli mnie za jeden z budynków gospodarczych, poza zasięg wzroku innych. Przestań się tu kręcić, blondasie, powiedział do mnie Jameson, przyciskając mnie do ceglanej ściany. Tatusia nie stać, żeby zapłacić za stołówkę, żebyś jadł razem z nami wszystkimi? A może za wielki z ciebie maminsynek? O to chodzi? Roześmieli się i zaczęli mnie bić, lekko na początku. Próbowałem z nimi walczyć, ale byli dla mnie za silni. Jeden z nich walnął mnie w twarz, drugi uderzył mnie łokciem w brzuch. Kiedy zgiąłem się wpół, zobaczyłem kroplę krwi spadającą na trawę. Już nie jesteśmy takim ślicznym chłopaczkiem, co? – powiedział jeden z nich. I wyzywali mnie.

Wyprostowałem się i w dali zobaczyłem mężczyznę w tweedowej marynarce, idącego ścieżką pomiędzy szkołą a salą do muzyki. Oczy piekły mnie z bólu, ale byłem pewny, że spojrział w moją stronę. To był mój ojciec. Nie było sensu wołać na niego, bo mnie dostrzegł. Podszedłby do nas i przerwał to. Uratowałby mnie. Ale zamiast podbiec do mnie, odwrócił się i poszedł dalej ścieżką, aż zniknął mi z oczu. Chłopaki uderzyli mnie w brzuch i uciekli.

23 września 1959

Po odrobieniu lekcji zszedłem na dół. Mama była cała czerwona na twarzy. Powiedziała mi, że obiad jest prawie gotów. Gdzie twój ojciec? – zapytała. Chyba nie czyści znowu broni, co? Odparłem jej, że pójde i sprawdzę w ogrodzie.

Wyszedłem z domu drzwiami frontowymi, a potem szedłem wąską ścieżką i przez niebieską bramę prowadzącą do długiego ogrodu. Tato? – wołałem. Tato? Ruszyłem trawnikiem. Owady łążyły po krzewach owocowych. Wyciągnąłem rękę, bo chciałem dotknąć maliny, ale kiedy zamykałem palce na owocu, poczułem łaskotanie na skórze. To była

leniwa mucha.

Dostrzegłem tatę odwróconego do mnie tyłem, stojącego obok szopy na tyłach ogrodu. Obiad gotów, tato, powiedziałem. Chyba mnie nie usłyszał, dlatego powtórzyłem te słowa. Kiedy jednak ruszyłem w jego stronę, nie obrócił się, żeby się ze mną przywitać. Nie przestawał wpatrywać się w kupkę ziemi. Zapytałem, czy dobrze się czuje, i obszedłem go, żeby zobaczyć jego twarz. Jego oczy miały dziwny wyraz. Był blady. W końcu jednak otrząsnął się i powiedział, że śnił na jawie.

19 października 1959

Dziś w szkole nie powiedziałem nawet jednego słowa. Wcale mi to nie przeszkadzało. Milczenie jest łatwe, kiedy się ktoś do tego przyzwyczai. W każdym razie wolę pisać. Pan Crace mówi, że zapisane słowo trwa wiecznie.

20 października 1959

W drodze na lekcję historii zobaczyłem Levensona i Jamesona. Odwróciłem się i zacząłem iść w przeciwnym kierunku. Gdybym wyszedł głównymi drzwiami, obszedłbym szkołę i dotarł do tylnego wejścia. Pomyślałem, że wtedy udałoby mi się im wymknąć. Ale kiedy biegłem przy bocznej ścianie budynku, dostrzegłem Jamesona przed sobą. Zawróciłem, żeby uciekać, ale za mną był już Levenson. Przez chwilę zastanawiałem się nad ucieczką przez pola, ale wtedy na pewno nie zdążyłbym na lekcję. Zamarłem, nie wiedząc, co robić. Słyszałem odgłos ich kroków na żwirze, kiedy się zbliżali. Jameson przycisnął mnie do ściany, a ja patrzyłem w pełne złości oczy Levensona. Uniósł rękę, żeby mnie uderzyć, ale w chwili gdy miał nastąpić cios, czyjaś dłoń znalazła się na jego ramieniu. To był pan Crace.

Zapytał ich, co robią, a chłopaki odpowiedzieli, że nic. Crace spytał

mnie, czy to prawda, a ja potwierdziłem skinieniem głowy. Mogłem się domyślić, że nam nie uwierzył. Właśnie świetnie nam się dyskutowało, powiedział Levenson. Jeśli tak, rzekł na to Crace, to żaden z nas nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby po szkole wziąć udział w zajęciach stowarzyszenia dyskusyjnego. Levenson i Jameson usiłowali protestować, ale im przerwał. Bracia Pemberly na coś zachorowali, powiedział, więc stowarzyszeniu przyda się para krzykaczy. Kazał im odejść, a potem obrócił się do mnie. Mówił cicho, łagodnie. Powiedział mi, żebym się nie denerwował. Nie muszę włączać się do dyskusji, jeśli nie zechcę. Mógłbym protokołować spotkanie.

20 października 1959

W chwili gdy usłyszałem dzwonek, ruszyłem do gabinetu pana Crace'a. Zapukałem do drzwi. Pan Crace poprosił, żebym wszedł. Zjawiłem się pierwszy. Otworzyłem drzwi i zastałem go za biurkiem, coś pisał. Podniósł wzrok i okazał zadowolenie, że mnie widzi.

Usłyszałem pukanie do drzwi, a potem chłopcy zaczęli zapełniać pokój. Ostatni przyszli Levenson i Jameson, obaj patrzyli na mnie wilkiem, jakby to była moja wina, że musieli tu być. Pan Crace powiedział, że dzisiaj będziemy dyskutować o demokracji. Mówił o niej przez chwilę, a potem podzielił nas na dwie grupy – Levenson, Knowles, Miller i Wright w jednej oraz Jameson, Dodd, Fletcher i Ward w drugiej. Mnie zaś powiedział, że odpowiadam za podręczny księgozbiór i mam pomagać kolegom w znajdowaniu cytatów, a potem powinienem zapisywać, co powiedzą. Chłopaki skupili się wokół mojego biurka, a Levenson i Jameson zachowywali się tak, jakby mnie lubili. Levenson powiedział, że wolałby, gdybyśmy mieli jakiś ciekawszy temat do dyskusji. Miller zapytał go, co na przykład. Dziewczyny, zachichotał Wright. Levenson powiedział mu, żeby nie gadał takich głupot. On sam wolałby debatę o

tym, czy uczniom powinno się pozwalać na zamordowanie dyrektora szkoły.

Zauważyłem, że pan Crace spojrział na nas znad swojego biurka. Levenson odezwał się śmiesznym głosem: „I tak oto w tej szkole przegłosowano wniosek, by dyrektor został związany i złożony w ofierze”. Sam na pewno oddałbym na to swój głos, powiedział.

Podchwyciłem spojrzenie pana Crace'a i miałem nadzieję, że uciszy Levensona. Ale nic takiego się nie stało. Zamiast tego otworzył szufladę w biurku, wyjął notes i coś zapisał.

21 października 1959

Levenson powiedział mi, że wczorajszy dzień niczego nie zmienił.

A potem wyplącił mi blachę w głowę i roześmiał się. Nawzywał mnie i odszedł.

2 listopada 1959

Dzisiaj pan Cartwright, nauczyciel muzyki, był chory i dlatego mój ojciec przyszedł na zastępstwo. Kiedy wszedł do klasy, chłopaki nie przestali gadać. Podeszedł do biurka i usiłował ściągnąć na siebie ich uwagę. Ale on był dla nich jak przezroczysty. Przełknął ślinę kilka razy. Jakżebym chciał, żeby nie był nauczycielem. Wiem, że robi to tylko dla mojego dobra.

Wystarczy, chłopcy, powiedział tato. Gwar nie ucichł. Moim zdaniem zrobiło się nawet głośniejsze. Dajcie już spokój, proszę, powiedział. Miał twarz zmęczonego człowieka. Siedziałem tam w milczeniu, podczas gdy chłopcy drażnili się z nim i kpili z niego. Żaden z nas nic z tym nie zrobił.

Kiedy wróciłem do domu, tato nie powiedział słowa. Ja też niczego nie powiedziałem. Ale obaj wszystko rozumieliśmy. Tato wyglądał na starego i bardzo, bardzo smutnego.

3 listopada 1959

Usiadłem na górze schodów i słuchałem. Otaczała mnie ciemność. Tato i mama rozmawiali w kuchni. Myśleli, że jestem w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami i śpię. Mówili niskimi głosami, niemal szeptali, ale ja i tak rozumiałem każde słowo. Tato był zdenerwowany, a mama próbowała go uspokoić, ale bez skutku. Dyrektor szkoły jasno dał mi do zrozumienia, że straci pracę nauczyciela, jeśli nie będzie umiał lepiej dyscyplinować uczniów. A to oznaczało, że będę wydalony ze szkoły. Mama starała się go uspokoić, ostrzegła przed ewentualnym kolejnym incydentem. A on nie wiedział, co robić. Zapadło milczenie. Kiedy usłyszałem, że tato zaczął płakać, poczołgałem się do łóżka.

4 listopada 1959

Chłopaki są bardzo podnieceni ogniskiem, które ma być urządzone jutro wieczorem. Przez ostatnie kilka dni zbierali drewno w lesie i układali je w wysokie stosy w jednym z budynków gospodarczych za szkołą. Jeden ze starszych chłopców zbudował mały wózek, żeby dowozić nim drewno. Opowiadali sobie, ile to dostali już petard i że będzie to ognisko, jakiego jeszcze nie było. Rozświetli niebo na całe kilometry wokół, mówili. Ja też już nie mogę się go doczekać.

5 listopada 1959

Po apelu poszedłem za tatą do sali muzycznej. Wyglądał na zmartwionego. Powiedział mi, że jest bardzo zajęty i nie ma czasu na pogaduszki. Podeszedł do taboretu do gry na fortepianie, otworzył go i wyjął rulon nut. Powiedział, że chce je uporządkować. Dodał, że ułoży je według kompozytorów albo tonacji. W jego zachowaniu było coś dziwnego. Szybko przerzucał nuty i mamrotał coś pod nosem.

Spytałem go, czy dobrze się czuje. Miał trzy lekcje – jedną o jedenastej,

drugą o dwunastej, a ostatnią o szesnastej. Cartwright jest znowu chory, powiedział, a on ponownie musiał go zastępować.

W myślach powtórzyłem własny plan lekcji. Powiedziałem mu, że zobaczymy się później. Nic nie odpowiedział, a ja zostawiłem go, gdy układał nuty na pokrywie fortepianu. Reszta dnia się wlokła. Bez przerwy patrzyłem na zegarek, czekając na najlepszy czas. O szesnastej piętnaście, na chemii, sprawdziłem w kieszeniach, czy mam wszystko, czego potrzebowałem. Podniosłem rękę i zapytałem, czy mogę wyjść do toalety. Wokół mnie rozległy się typowe w takich sytuacjach drwiny i zaczepki, ale mnie nic to nie obchodziło. Pan Ormerod skinął głową, a ja pobiegłem korytarzem i dalej, do sali muzycznej. Przykucnąłem pod oknem i powoli uniosłem się, żeby zajrzeć do środka. Było tak, jak się spodziewałem. Uczniowie źle się zachowywali. Niektórzy rzucali w siebie kulami ze zgniecionego papieru. Inni podawali sobie kartki z wiadomościami i chichotali. Jeden chłopak trzymał nogi na blacie ławki. Na środku sali przy biurku siedział mój ojciec i trzymał głowę w dłoniach.

Wróciłem biegiem do szkoły, szybko sprawdziłem, czy nikt mnie nie widział. Wpadłem do kibla i zamknąłem się w kabynie. Z hukiem zatrzasnąłem deskę klozetową, usiadłem na niej i wyciągnąłem z kieszeni czystą kartkę, długopis i dwudziestocentymetrowy szablon. Za pomocą szablonu drukowanymi literami napisałem list: PROBLEMY W SALI MUZYCZNEJ – W TEJ CHWILI. Złożyłem kartkę na pół, a potem poszedłem w kierunku gabinetu dyrektora szkoły. Szczęście mi dopisało, bo drzwi były zamknięte. Wsunąłem kartkę pod drzwi i wróciłem biegiem do klasy.

5 listopada 1959

Taty nie było w domu, dlatego mama i ja usiedliśmy sami i zjedliśmy kiełbaski i tłuczone ziemniaki. Mama odłożyła dla taty na talerz trochę

jedzenia, które mógłby potem sobie odgrzać i zjeść. Była zła, ale starała się tego nie okazywać. O dziewiętnastej, kiedy nadal się nie zjawiał, obróciła się do mnie w trakcie zmywania i powiedziała, żebym przyniósł swoje palto i szalik. Tak czy siak mieliśmy iść na ognisko. Powiedziała, że nie będziemy na niego dłużej czekać w domu.

Wyszedłem przed dom i zaczerpnąłem zimnego powietrza. Pachniało dymem. Kiedy szliśmy ulicą w kierunku szkoły, zauważyłem, że niebo jest pomarańczowe. Już z daleka dostrzegłem w ciemności ognisko. Zebrał się wokół niego tłum uczniów i nauczycieli. Gdy podeszliśmy bliżej, mama zobaczyła jedną ze swoich przyjaciółek, Elaine Shaw, żonę sąsiada. Przystanęła przy niej, żeby pogawędzić.

Z miejsca, gdzie stałem, czułem żar bijący od ognia, ale chciałem podejść bliżej. Zrobiłem kilka kroków, świadomy płomieni parzących mnie w policzki. Wokół iskry wzbijały się w górę. Mama powiedziała mi, żebym nie zbliżał się tak bardzo do ogniska, ale udałem, że nie słyszę. Patrzyłem przez płomienie i dostrzegłem Levensona. Obok niego stał Jameson.

Powiedziałem mamie, że wypatrzyłem dwóch przyjaciół. Wydawała się z tego zadowolona. To dlatego, że prawdopodobnie pierwszy raz usłyszała to słowo z moich ust, od czasu gdy rozpocząłem naukę w tej szkole. Oznajmiła, że nigdzie się nie śpieszymy, i wróciła do rozmowy z panią Shaw, która ostatnio nie czuła się dobrze.

Obszedłem ognisko, starając się iść jak najbliżej płomieni. Jeśli Levenson i Jameson mieli jakiś plan, to chciałem znaleźć się jak najdalej, poza zasięgiem wzroku mamy. Usłyszałem za sobą głos. Uważaj no. To był Dobbs, woźny. Położył mi rękę na ramieniu. Proszę zrobić przejście! – zawołał. Tłum chłopaków rozstał się, dając mu drogę.

Dobbs trzymał pod pachą przeraźliwą kukłę zrobioną z worków i poszew na poduszki, wypchanych sianem i trocinami, ubraną w starą

tweedową marynarkę. Tłum zaczął wiwatować, a płomienie wydawały się sięgać wyżej w niebo. Kiedy Dobbs wyciągnął przed siebie ramiona, głowa kukły kiwała się na boki, a żar z ogniska oświetlał jej twarz. W jej wyglądzie było dla mnie coś dziwnie znajomego. Dobbs wrzucił ją w środek ogniska, co wywołało zbiorowy okrzyk radości. Przez dziury w „skórze” kukły zobaczyłem, że była wypchana jakimś rodzajem papieru, przypominającego dziesiątki stron zapisu nutowego. Chwilę później stanęła w ogniu.

Musiałem odciągnąć jakoś mamę, na wypadek gdyby to spostrzegła. Powiedziałem jej, że źle się poczułem. Chciałem wracać do domu. Kiedy się obróciliśmy, żeby odejść, któryś z chłopaków odpalił petardy. Wtedy usłyszałem z oddali znacznie głośniejszy huk. Odgłos strzału. Dochodził z lasu.

1 stycznia 1960

Początek nowego roku. Ludzie mówią, że powinno się go wyczekiwać. Mnie to nie dotyczy.

Mama jest zadowolona, bo w szkole powiedzieli, że nie będzie musiała szukać pieniędzy na czesne za mnie. Wszystkim zajął się doktor Hart. Wszyscy powtarzają, że był to wypadek na polowaniu, ale ja znam prawdę. Wiem, co naprawdę się wydarzyło. Nie chcę już więcej pisać.

Czytałem ten dziennik szybko, niemal pochłaniałem słowa, przedzierając się przez niego, na każdej stronie wypatrywałem najmniejszej bodaj wzmianki na temat Crace'a. Kiedy to robiłem, serce waliło mi jak młot, oddech stał się krótki, czułem, jak złość i panika narastają we mnie jednocześnie.

Shaw obiecał mi, że poznam przyczynę popełnienia przez Chrisa samobójstwa, sugerując, że Crace miał z tym coś wspólnego. Poza

wzmianką o incydencie, który zainspirował Crace'a do napisania *Stowarzyszenia dyskusyjnego*, z dziennika nie dowiedziałem się o nim zbyt wiele. Odrzuciłem notes, wstałem z łóżka, otworzyłem okno i zapatrzyłem się w panujący na zewnątrz mrok. Z dołu dochodził mnie szmer rozmów, to miejscowi rozkoszowali się alkoholem i ogrzewali przy ogniu. Ktoś zakasłał, chrapliwie zaczerpnął powietrza, co przypomniało mi Shawa. Nie mogłem uwierzyć, że byłem aż tak głupi, żeby zaufać temu staremu lisowi. I zapłacić mu tysiąc funtów. Na dźwięk wysokiego śmiechu kobiety, rozlegającego się z baru, zacisnąłem pięść i uderzyłem nią mocno w drewniany parapet. Ból eksplodujący mi w rękę i wspinający się po ramieniu odczułem jak ulgę.

Nie stać mnie było teraz na porzucenie mojego planu. Musiałem sprawić, żeby jego realizacja postępowała. Nie miałem wyboru. Zrozumiałem, że jeśli chcę się dowiedzieć czegoś więcej o moim chlebodawcy, będę musiał rozejrzeć się w szkole. Nie mogłem jednak wejść tam z ulicy i zacząć rozpytywać o Crace'a. Przyznanie się, że mam zamiar napisać jego biografię, nie wchodziło w grę, istniało też ryzyko, że słówko o tym rozejdzie się i dotrze do wydawcy Crace'a, a może nawet do samego pisarza. Zastanawiałem się nad kilkoma ewentualnościami – mogłem na przykład przedstawić się jako syn dawnego ucznia, udawać turystę, który chciałby się tam rozejrzeć – ale natychmiast zrozumiałem, że nic z tego nie wypali.

A gdyby powiedzieć prawdę albo coś do niej zbliżonego? W jakim stopniu to by się sprawdziło? Co by się stało, gdybym poszedł tam jako student historii sztuki z londyńskiego uniwersytetu – fakt, który można było potwierdzić, gdyby zaszła taka konieczność – pisząc pracę magisterską lub doktorską poświęconą jednemu, szczególnemu aspektowi średniowiecznych kościołów? Crace opowiedział mi przecież, że w Winterborne Abbey znajduje się interesująca kolekcja relikwii, rzeźb

i przedmiotów sakralnych, obiektów, które – o czym byłem przekonany – miały swoją dokumentację, przechowywaną, jak zakładałem, w archiwum szkoły. To dałoby mi przynajmniej pretekst do dostania się do środka i stwarzało możliwość nawiązania rozmowy z osobą prowadzącą bibliotekę. A gdyby ktoś pokusił się o sprawdzenie tego na mojej uczelni i okazałoby się, że nie jestem zapisany na żadne seminarium magisterskie albo doktorskie, co powiedziałbym wtedy? Że prowadzę badania na własną rękę, żeby mieć większe szanse, kiedy będę składał podanie o przyjęcie na studia magisterskie w następnym roku? Dla mnie brzmiało to dość wiarygodnie i z pewnością warto było ryzyka.

Przed wszystkim jednak w ten sposób nie musiałbym za dużo łąać i udawać. Wystarczyłoby, że byłbym sobą.

Następnego dnia, w sobotę, po wczesnym śniadaniu postanowiłem iść do opactwa, żeby obejrzeć obiekt moich badań. Ciemne chmury rzucały cienie na gęsty las porastający dolinę. Kiedy wiatr przetaczał się z wyciem między drzewami, stałem i z tyłu zeszytu robiłem szybki szkic budynku, który wyglądał niczym wielgachna kaplica oksfordzka wykończona kunsztownymi wspornikami. Czymś niezwykłym w tej budowli było to, że nie miała nawy głównej, a jedynie kryte wejście, gdzie znajdowała się centralna część kościoła.

Obróciłem zimny metalowy pierścień zamocowany na grubych drewnianych drzwiach i pchnąłem je. Powietrze w środku było chłodne i wilgotne, zatęchłe jak w grobowcu. Nikłe światło słońca sączyło się przez ogromne witraże, rzucając cienie koloru krwi na kamienną posadzkę. Nastawiłem uszu, żeby sprawdzić, czy są tu jacyś ludzie, ale nie usłyszałem niczego poza szumem drzew targanych wiatrem. Panujący wewnątrz bezruch był przytłaczający, wytrącał z równowagi.

Po prawej stronie stał stół z ilustrowanymi przewodnikami po opactwie, po dwa funty za egzemplarz, a nad nim wisiał napis: „To stoisko jest prowadzone na zasadzie zaufania. Prosimy o wrzucenie pieniędzy do puszki wiszącej na ścianie. Prosimy o nienadużywanie tego zaufania”. Jeśli o mnie chodziło, moja uczciwość nie budziła żadnych wątpliwości – prawdę mówiąc, byłem dumny ze swojej spolegliwości – chętnie zatem wrzuciłem dwa funty do szczeliny w puszcze. Kiedy to robiłem, przypomniał mi się fragment *Listów Aretina*: o tym, jak król Francji podarował temu pisarzowi ciężki złoty łańcuch ozdobiony językami, pokrytymi cynobrową emalią, na której napisano przesłanie: LINGUA EIVS LOQUETUR MENDACIUM. „Jego język rzeczy kłamstwo”.

Na ścianie przede mną – na której znacznie wyżej znajdowały się wielkie organy – wisiało kilka starych rycin w wiekowych ramach. Na

jednej z nich widniała inskrypcja z historią powstania opactwa. Napisano w niej, że kościół został zbudowany przez króla Athelstana jako pokuta za śmierć młodszego brata powierzonego jego opiece. Jak wiadomo, Athelstan oskarżył go o zbrodnię, fałszywie, jak się potem okazało, i wsadził na pełnym morzu do łodzi bez żagla i wiosła z jednym tylko paziem jako kompanem. Po utonięciu brata, kiedy Athelstan dowiedział się o własnej pomyłce, ufundował opactwo, a także klasztor i odbył siedmioletnią pokutę, żeby pojednać się z Bogiem.

Zapisałem to wszystko, zanim ruszyłem odgradzonym zasłoną przejściem o łukowym sklepieniu do „skarbcza” ulokowanego pod chórem z organami. Zgodnie z tym, co napisano w niewielkim przewodniku, powinny się tam znajdować przechowywane w tym kościele relikwie, wystawione w przeszklonych gablotach. Nacisnąłem przycisk czasowego włączenia światła, żeby lepiej widzieć zbiór cennych przedmiotów opactwa: tryptyk ze sceną narodzenia wykonany z kości słoniowej, przywodzące na myśl cygara fragmenty krzyża z pectorału pochodzące z XV wieku, cynowy kielich i patenę z grobu jednego z opatów oraz na ostatniej półce gabloty *Foxe's Book of Martyrs**, jedyną ocalałą księgę Johna Tregonwella, który zostawił opactwu swoją bibliotekę. Kiedy się pochyliłem, żeby lepiej przyjrzeć się woluminowi otoczonemu kryształami krzemionki i jego grzbietowi do połowy unicestwionemu przez czas, usłyszałem za sobą kroki.

* *Foxe'a księga męczenników.*

– Trudno to nazwać wspaniałymi zbiorami. Ale mimo to myślę, że niektóre obiekty są fascynujące.

Obróciłem się przestraszony i zobaczyłem kobietę w zaawansowanym średnim wieku, ubraną w kurtkę w szkocką kratę, szarą spódnicę i czarne praktyczne buty. Trzymała w rękach żółte gumowe rękawice i nożyczki.

– Przepraszam, że pana przestraszyłam – powiedziała. – Byłam za

zakrystią i robiłam tam trochę porządku.

Otaksowała mnie wzrokiem od góry do dołu, a potem uśmiechnęła się.

– Miło widzieć, kiedy młodzi ludzie okazują zainteresowanie przeszłością. – Jej szaroniebieskie oczy rozjaśniły się za szklami okularów w szylkretowej oprawce. – Chodzi mi o to, że bardzo wielu z nich nie ma zielonego pojęcia o tym, co się działo w czasach ich dziadków, nie wspominając nawet o średniowieczu. To naprawdę wstyd.

Kiedy zataczała krąg ręką z nożyczkami, wskazując na wnętrze opactwa, spojrzała w dół na ostro zakończony narzędzie i roześmiała się łagodnie do siebie.

– Przepraszam, przepraszam, muszę wydawać się panu okropną dziwaczką, nie mówiąc już o tym, że zachowałam się niegrzecznie - powiedziała, wyciągając ku mnie wolną rękę. – Nazywam się June Peters, jestem żoną dyrektora szkoły. Miałam właśnie stoczyć bój z kwiatami na ołtarzu, o tam.

– Dzień dobry – odparłem, wymieniając z nią uścisk dłoni. – To prawda, zgromadzone tu obiekty są fascynujące. Wszystkie unikatowe i prawdę mówiąc, poruszające.

– Tak pan uważa?

– Tak.

– Przyjechał pan na wakacje? Mamy tu piękne okolice. Na spacerze?

– Właściwie to rodzaj pracy połączonej z wakacjami. Studiuję historię sztuki i przygotowuję pracę dyplomową.

– Naprawdę? To wspaniale. Bardzo interesujące. Niektóre z tych przedmiotów są naprawdę stare, jak pewnie zdążył się pan zorientować. W każdym razie nie będę już panu przeszkadzała.

Machnęła nożyczkami w powietrzu w geście pożegnania i ruszyła przed siebie w kierunku ołtarza. Gdy obchodziłem opactwo, zwracając uwagę na dzieła sztuki i rzeźby, wśród których były i całkiem ładne

retabulum, i bogato zdobiony grobowiec rodzinny, wykonany z białego marmuru, i cudowne, prawie trzymetrowe dębowe tabernakulum – wpadłem na pomysł, żeby poprosić tę kobietę o pomoc.

– Przepraszam, że niepokoję – odezwałem się, podchodząc do niej, podczas gdy ona zaczęła właśnie przycinać zeschnięte liście z bukietu ustawionego przy kamiennej ławie dla księży.

Podniosła wzrok i uśmiechnęła się, aż nadto chętna do udzielenia pomocy.

– Pani oczywiście może tego nie wiedzieć, ale usiłuję zebrać trochę więcej informacji o istniejącej tu kolekcji.

– Och, rozumiem.

– Tak się zastanawiam, czy może wie pani coś o którymś z wystawianych tu obiektów?

– Przykro mi, ale nie jestem ekspertem, będzie pan musiał zapytać o nie mojego męża. Istnieje jednak pewna urocza opowiadka o tym, w jaki sposób książka Tregonwella stała się własnością opactwa. Słyszał ją pan?

– Nie, nie słyszałem – odrzekłem.

– Och, jest cudowna i całkiem zabawna, naprawdę. Kiedy John Tregonwell, którego rodzina mieszkała w sąsiednim domu... jest pan pewny, że nie zna pan tej historii? Nie zauważył pan informacji na zewnątrz przy okapie?

– Nie. – Uśmiechnąłem się.

– Pewnego dnia mały chłopiec, John, który musiał mieć wtedy nie więcej niż pięć lat, bawił się tutaj i wszedł na szczyt wieży. Przypuszczam, że wiatrzyśko hulało tam niemiłosiernie, a może podszedł zbyt blisko krawędzi. W każdym razie spadł z wysokości prawie dwudziestu metrów, ale uratowała go nankinowa koszula, która, jak się domyślam, zadziałała niczym rodzaj spadochronu. W geście podziękowania podarował opactwu cały swój księgozbiór. I tak za sprawą koszuliny mamy tu teraz ten

eksponat.

– Aż się nie chce wierzyć – powiedziałem, myśląc intensywnie. – Co za historia. Szczerze mówiąc, poszukuję właśnie czegoś takiego.

– Naprawdę?

– Moja praca dyplomowa dotyczy głównie historii mówionej – wyjaśniłem. – Chciałbym porozmawiać z mieszkańcami tych okolic i dowiedzieć się, co myślą o sztuce.

– Rozumiem. Tak jak wspomniałam, najlepiej będzie, jeśli porozmawia pan z moim mężem. Jest prawdziwym znawcą. Gdyby chciał się pan z nim zobaczyć, będzie po południu w domu.

– Ale czy to wypada?

– Nie widzę w tym nic niewłaściwego. Jestem pewna, że ucieszy się z pretekstu do zrobienia sobie przerwy w pracy.

– Och, nie chciałbym mu przeszkadzać.

– Proszę nie gadać głupstw. Może zrobimy tak: kiedy skończę tutaj za kilka minut, pójdę do domu i zapytam go.

– To bardzo uprzejmie z pani strony, dziękuję.

– Nie ma za co. Może w czasie mojej nieobecności obejrzy pan lepiej kościół? Jestem przekonana, że bardzo wielu ciekawych rzeczy jeszcze pan nie widział. A tak przy okazji, zapomniałam spytać o pańskie nazwisko.

– Nazywam się Adam – odpowiedziałem. – Adam Woods.

Kiedy wyszła z opactwa, zatrzasnąwszy za sobą drewniane wrota, kontynuowałam zwiedzanie, minąłem ołtarz i wszedłem do północnej nawy. Za rogiem zobaczyłem grobowiec kobiety, z jej podobizną wyrzeźbioną w marmurze. W lewej ręce trzymała książkę, najpewniej mszał, w prawej zaś czaszkę, której brakowało dolnej szczęki. Widok czaszki zaniepokoił mnie, dlatego odwróciłem się od tego grobu, nie robiąc żadnych notatek, i ruszyłem z powrotem do głównego wejścia.

Przystanąłem przy następnym grobowcu z białego marmuru – rzeźba na pokrywie przedstawiała mężczyznę ze wzrokiem utkwionym w nieruchome ciało kobiety. Ornamentyka była tu olśniewająca – wypukły wzór na sukni kobiety, sznur z ukośnym splotem wokół jej talii, frędzle przy poduszkach, na których leżała – naprawdę wyjątkowo piękna, ale w tym momencie estetyka mnie nie interesowała. To sposób ułożenia tych dwóch postaci – mężczyzny wpatzonego w pozbawione życia ciało żony – od razu przyciągnął moją uwagę.

Kiedyś często budziłem się w środku nocy i patrzyłem na śpiącą Elizę. Opierałem łokieć na poduszce, policzek podtrzymywałem dłonią i nie odrywałem od niej wzroku. Czasami jej oddech był tak cichy, że miałem wrażenie, jakby pogrążyła się w nieświadomości i umarła. Bardzo ją kochałem w takich chwilach. Ale wtedy jej pierś coraz szybciej się unosiła i opadała, a ona zaczynała się wiercić.

Usłyszałem trzask zamykających się drzwi, obróciłem się i zobaczyłem wpatrzoną we mnie żonę dyrektora szkoły.

– Mam dobre wieści – powiedziała, idąc w moją stronę. – Tak jak mówiłam, mąż z prawdziwą przyjemnością zobaczy się z panem dzisiaj po południu. Zaprasza pana na herbatę około szesnastej, jeśli ta godzina panu pasuje.

– Wspaniale.

Zanim odeszła, wymawiając się czymś, podała mi dokładne wskazówki, jak dojść do ich domu, znajdującego się na terenie szkolnym.

– Przepraszam, ale muszę lecieć; gdybym miała czas, ucielibyśmy sobie miłą pogawędkę. A choć muszę przyznać, że zupełnie się pogubiłam i nie bardzo wiem, o czym ma pan zamiar pisać, uważam, że pańskie zainteresowanie sztuką i przeszłością jest czymś uroczym. To po prostu uroczne. Sposób, w jaki patrzył pan na tamtą rzeźbę, wzruszył mnie niemal do łez.

Pan to z pewnością Adam Woods, młody człowiek, o którym żona mi mówiła – rzekł dyrektor szkoły, otwierając drzwi wielkiego wiktoriańskiego domu i wyciągając do mnie dłoń. -Witam. Jestem Jeffrey Peters. Proszę wchodzić, proszę.

Siwy, elegancko ubrany mężczyzna poprowadził mnie do przestronnego salonu, gdzie na kominku płonął ogień, roztaczając przyjemne ciepło i rzucając poświatę na ściany pomalowane na kremowy kolor.

– Proszę usiąść – powiedział, wskazując gestem fotel z oliwkowymi poduszkami. – Napije się pan herbaty?

– Z prawdziwą przyjemnością – odparłem, siadając.

– To potrwa tylko chwilę, proszę się rozgościć.

Kiedy odszedł zaparzyć herbatę, podniosłem się i skorzystałem z okazji, by rozejrzeć się po gustownie urządzonej salonie. Przy jednej ze ścian stała ogromna biblioteka, wypełniona książkami o architekturze kościelnej i katedralnej, duchowości i chrześcijaństwie, a na politurowanej na wysoki połysk mahoniowej komodzie dostrzegłem rząd fotografii przedstawiających dyrektora, jego żonę i rodzinę. Było jasne, że od chwili gdy te zdjęcia zrobiono, dyrektor szkoły, kiedyś tęgi mężczyzna, stracił sporo kilogramów. Z korytarza doszedł mnie odgłos jego kroków. Wracał z herbatą, dlatego szybko zająłem miejsce na fotelu.

– Oto herbata – powiedział, stawiając tacę na niskim stoliku pomiędzy naszymi fotelami. – Mleko i cukier?

– Tylko mleko – poprosiłem.

– Kawalek ciasta? June ma powody do dumy ze swojego ciasta z owocami.

– Świetny pomysł. Dziękuję.

– June opowiedziała mi trochę o pańskiej pracy dyplomowej – mówił, podając mi talerzyk. – Temat brzmi całkiem intrygująco, ale zastanawiam

się, czy nie mógłby pan zapoznać mnie bardziej szczegółowo z jej założeniami.

– Tak, oczywiście – odrzekłem, usiłując nie myśleć zbyt intensywnie o bibliotece ze specjalistycznymi książkami, znajdującej się za mną. – Nie znam się zbyt dobrze na architekturze kościelnej i katedralnej, dopiero co zrobiłem licencjat na wydziale historii sztuki, ale chciałbym zbadać, w jaki sposób obiekty sztuki są pokazywane i postrzegane w miejscach takich jak Winterborne Abbey.

Dyrektor szkoły sięgnął po filiżankę, a jego inteligentne oczy zdradziły mi szczere zainteresowanie tym tematem.

– Dla przykładu: kiedy idzie się do muzeum – światowej klasy muzeum, jak Tate Gallery albo Alberta i Wiktorii lub Galerii Narodowej – ogląda się efekty twórczości geniuszu i inteligencji, rzeczy piękne, ale moim zdaniem często nie odczuwa się osobistego związku z tą sztuką. Tymczasem jeśli mieszka się, uczy lub pracuje w pobliżu miejsca takiego jak to opactwo, gdzie można odtworzyć pochodzenie przedmiotów znajdujących się w jego zbiorach, to wydaje mi się, że oglądający przeżywa zupełnie inaczej spotkanie z wystawianymi obiektami.

– Tak, rozumiem pańskie założenie – rzekł dyrektor szkoły. – To bardzo ciekawy pomysł.

– Pańska żona opowiedziała mi fascynującą dykteryjkę o chłopcu, który spadł z wieży.

– Och tak, to przemiła opowiadka. – Roześmiał się. – Słynna koszula z nankinu.

– I o tym, że później ten człowiek przekazał szkole swój księgozbiór. Naprawdę chciałbym prześledzić historię książki pokazanej na wystawie, podobnie jak tryptyku z kości słoniowej, kielicha, krzyża i innych przedmiotów. Zainteresowały mnie też niektóre rzeźby z opactwa, kilka z nich to prawdziwe cudowna.

– Powiem panu, że mielibyśmy tu znacznie więcej, gdyby normański kościół stojący kiedyś na tym miejscu nie został trafiony piorunem i nie spłonął na początku czternastego wieku.

– Naprawdę?

– Tak, niestety. Jak mówią, *totaliter inflammava, columnis decrustatis*.

– Rozumiem.

Wypił kolejny łyk herbaty i utkwiał we mnie wzrok.

– Oczywiście chętnie panu pomogę, jeśli tylko potrafię, bo szczerze powiem, że w tej chwili nie bardzo wiem, na czym moja pomoc miałyby polegać.

– Zastanawiałem się, czy szkoła ma dokumentację dotyczącą poszczególnych obiektów, czy jest tu jakieś archiwum?

– Tak, coś takiego jest w bibliotece, o ile sobie przypominam, to chyba rodzaj rejestru inwentaryzacyjnego. Jeśli miałyby to panu pomóc, może pan liczyć na pełny dostęp do niego.

– Dziękuję, to bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Interesuje mnie także sposób, w jaki ludzie postrzegają te przedmioty. Dlatego chciałbym zapytać, czy mógłby pan skontaktować mnie z ludźmi związanymi kiedyś ze szkołą, na przykład nauczycielami lub absolwentami. Myślę, że zebranie opinii z najróżniejszych środowisk, od starszych i młodszych pokoleń byłoby interesujące.

– Jakie pytania chciałby pan zadawać?

Okruszyna owocowego ciasta utknęła mi w gardle.

– Przepraszam – powiedziałem, odkaszłując. – Myślałem o czymś takim: jaka była pańska reakcja, kiedy pierwszy raz zobaczył pan poszczególny obiekt? Czy uważa go pan za eksponat historyczny, dzieło sztuki, czy i jedno, i drugie? Jak określiliby pan różnice w eksponowaniu przedmiotów tutaj i w konwencjonalnym muzeum?

Przypomniałem sobie o książkach na temat religii, stojących na

półkach.

– Ale także czy relikwie lub inne obiekty sakralne mają dla pana znaczenie w rozumieniu wiary? Czy dostrzega w nich pan rodzaj duchowości?

Zastanawiając się nad moimi pytaniami, dyrektor szkoły spuścił wzrok i wpatrywał się w podłogę. Kiedy czekałem na jego decyzję, serce waliło mi jak młot. Z trudem zachowywałem spokój. Ostatecznie uniósł głowę, popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

– Wydaje mi się, że to w rzeczy samej mogłoby być bardzo ciekawe. Zakładam, że swoje badania będzie pan prowadził również w innych miejscowościach.

– Tak. Jeszcze nie jestem pewny, w których, ale zasadniczo wszędzie tam, gdzie są wystawiane kolekcje istniejące w tych miejscach od lat, mające jakieś szczególne powiązania z daną miejscowością. Mogą to być ekspozyty pokazywane w kościołach, lokalnych muzeach, szkołach czy gdziekolwiek. Oczywiście ograniczę się do pewnej liczby miejsc, dlatego z prawdziwą wdzięcznością przyjmę od pana wszelkie sugestie.

Zanim skończyłem mówić, sam siebie niemal przekonałem, że sprawa jest warta zachodu, a nawet całkiem interesująca jako temat badań.

– Moim zdaniem to fantastyczny pomysł, ale mam jedno pytanie – powiedział, wpatrując się we mnie intensywnie. – Dlaczego, do licha, wybrał pan Winterborne Abbey? W końcu, jak to mówią, jesteśmy daleko od szosy, a tutejsza kolekcja, choć zawiera kilka bardzo pięknych dzieł sztuki, jest wyjątkowo skromna.

To było pytanie, na które nie miałem przygotowanej odpowiedzi. Udałem, że odchrząkuję, żeby ponownie zyskać kilka sekund na zastanowienie.

– Przepraszam pana – powiedziałem, kaszląc. – Powód jest właściwie śmieszny. Kiedy byłem nastolatkiem, przeczytałem *Stowarzyszenie dyskusyjne*, napisane, o ile dobrze pamiętam, przez byłego nauczyciela

tutejszej szkoły, Gordona Crace'a?

Na wzmiankę tego nazwiska dyrektor szkoły zmrużył oczy. Atmosfera panująca w pokoju zmieniła się w jednej chwili, ale nie miałem innego wyboru, musiałem kontynuować.

– W tamtych czasach ta książka wywarła na mnie ogromne wrażenie – wyjaśniałem. – Zwłaszcza opis opactwa, szkoły i krajobrazów. Kilka lat później przyjechałem z rodzicami na wakacje na Isle of Purbeck. Uprosiłem wtedy ojca, żebyśmy po drodze zahaczyli o Winterborne Abbey, żeby je zobaczyć. Piękno tego miejsca zupełnie mnie zaskoczyło i chyba już na zawsze będę je miał w pamięci.

W duchu śmiałem się z własnej głupoty, ale wyraz twarzy dyrektora szkoły nie złagodniał.

– Osobiście wolałbym, żeby świat zapomniał o tej idiotycznej książce – westchnął. – Uważam, że im mniej się o niej mówi, tym lepiej.

Dyrektor podniósł się z fotela.

– Niemniej proszę przyjść w poniedziałek rano do szkoły do mojego gabinetu, zobaczymy wtedy, co da się zrobić – odezwał się po chwili. – Pani Fowles, bibliotekarka, udzieli panu pomocy.

Kiedy prowadził mnie przez pokój w stronę drzwi, odniosłem wrażenie, że wprost nie mógł się doczekać, by się mnie pozbyć, jakby dźwięk nazwiska Crace'a zanieczyścił powietrze.

Myszę, że te są ostatnie – powiedziała bibliotekarka, siwowłosa kobieta o smutnych oczach, kładąc na stole trzy cienkie książki oprawione w zieloną skórę. – Gdyby potrzebował pan czegoś jeszcze, wystarczy, że mi pan powie, a ja wtedy przyniosę następne książki. Będę w bibliotece. Wie pan, gdzie to jest, prawda?

– Tak – odpowiedziałem. – Pan Peters mi pokazał. Dziękuję.

Wcześniej tego ranka dyrektor zaproponował mi skorzystanie z istniejącego w szkole archiwum i poinformował o moich badaniach bibliotekarkę, zaznaczając przy tym, że najlepiej byłoby, gdyby przyniosła materiały do poczekalni przy jego gabinecie, gdzie nikt by mi nie przeszkadzał. Dyrektor obiecał mi wcześniej także dokładne namiary na byłych nauczycieli i absolwentów, ale nie mogłem mu o tym przypominać tak od razu. I tak przez następne kilka godzin przeglądałem książki, notowałem szczegóły dotyczące pochodzenia poszczególnych relikwii, rzeźb, figur i obrazów znajdujących się w opactwie. Wiedziałem, że te informacje mogą okazać się przydatne, gdyby ktoś wypytywał mnie o badania.

Przez drzwi oddzielające poczekalnię od gabinetu słyszałem dzwoniący z rzadka telefon, po czym dochodził mnie niski głos dyrektora. Czasami otwierał drzwi nauczycielom lub uczniom, ale ich rozmowy były na tyle wytlumione, że niczego z nich nie mogłem zrozumieć.

Zamknąłem ostatni z rejestrów, wziąłem zeszyt i wyszedłem z pokoju. Skierowałem się do biblioteki. Korytarz wypełnił się chłopcami – niektórzy mieli ładne twarze, inni, o tłustej cerze, mieli krosty i rzadkie włosy – patrzącymi na mnie z mieszaniną zawstydzenia i ciekawości. Zapukałem do drzwi biblioteki i wszedłem do wielkiego, przestronnego pomieszczenia z imponującym marmurowym kominkiem i o wspaniałym sklepieniu ozdobionym geometryczną mozaiką. Przez otwarte drzwi

dostrzegłem mniejszy pokój, gdzie pani Fowles siedziała przy biurku i czytała. Kiedy wszedłem, podniosła wzrok.

– Mogę panu jakoś pomóc?

– Tak, wydaje mi się, że tak. Skończyłem przeglądanie rejestrów – okazały się wyjątkowo użyteczne, dziękuję pani.

– Cieszę się, że do czegoś się panu przydały. Czy chciałby pan rzucić okiem na coś jeszcze?

– Zastanawiam się, czy mógłbym zobaczyć jakiegokolwiek materiały, które pomogłyby mi odszukać dawnych pracowników i absolwentów szkoły?

– Przypuszczam, że pan Peters wspomniał panu, że byłaby mi do tego potrzebna lista nazwisk. Sprawdziłabym potem w archiwum, czy są tam jakieś szczegóły dotyczące interesujących pana osób.

– Rzeczywiście, pan Peters mówił o tym, dlatego pomyślałem, że dobrze byłoby zacząć od... sam nie wiem... może od gazetek szkolnych albo list chłopców z poszczególnych college'ów.

– Jest całkiem sporo gazetek, których wydawanie nadzorowali nauczyciele angielskiego, ale muszę pana ostrzec, że nie mamy kompletów z każdego roku. Przeszły się ukazywać na parę lat tu i tam. Ale mamy oczywiście listy chłopców z każdego college'u, datujące się, jak mniemam, od początku istnienia szkoły na początku lat pięćdziesiątych. Jest też kilka albumów i choć ich zawartość jest trochę przypadkowa, to są tam zdjęcia, doniesienia o pewnych osiągnięciach i tym podobne.

– Świetnie. – Uśmiechnąłem się.

– Bardzo pana przepraszam, ale nie będę mogła panu pomóc od razu, bo zaraz zaczynam lekcję z trzynastolatkami – powiedziała, spoglądając na zegarek. Po chwili jednak dodała: – Ale jeśli poradziłby pan sobie bez mojej pomocy, proszę zacząć samemu i przejrzeć książki na tyłach pokoju. Oczywiście nie ma tam szkolnej kartoteki, jedynie wybór książek

powiązanych w jakiś sposób ze szkołą. Chłopcy muszą mieć specjalne pozwolenie, żeby tam wejść, więc nikt nie powinien panu przeszkadzać. Jest tam niewielki stół i krzesło, które miałyby pan do dyspozycji.

Pani Fowles spuściła wzrok na biurko i zaczęła bawić się rogiem jakiejś niebieskiej broszury, jakby czuła się trochę zażenowana własną uprzejmością, na wpół oczekując, że jej propozycja spotka się z natychmiastowym odrzuceniem.

– To naprawdę bardzo miło z pani strony. Serdecznie dziękuję.

Podniosła oczy znad biurka. Hałas wywoływany przez chłopców idących korytarzem zbliżał się do nas.

– Boże, już niemal tu są – odezwała się i ruszyła ku drzwiom prowadzącym na tyły biblioteki.

Poszedłem za nią do wąskiego, ciasnego pomieszczenia. Kiedy przeciskaliśmy się między szczelnie wypełnionymi półkami, bibliotekarka zaczęła się rumienić.

– Wszystko jest tu ustawione w logicznym porządku. Książki o szkole znajdują się głównie na tej półce. – Wskazała wysoki drewniany regał. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi do biblioteki, a chłopcy wchodzą do środka. – Gazetki szkolne są w segregatorach na tamtej półce, a albumy – kontynuowała, pokazując dół regału – tak, gdzieś tutaj.

– Jeszcze raz bardzo pani dziękuję.

– Przyjdę do pana za godzinę.

Kiedy odwracała się, żeby odejść, uśmiechnęła się, a jej oczy, smutne wcześniej tego ranka, rozjaśniły się odczuwaną satysfakcją. Było dla mnie jasne, że niewiele osób doceniało jej pracę. Świadomość, że wniosłem trochę radości do czyjegoś życia, sprawiała mi przyjemność.

Przyjrzałem się półce z książkami, którą miałem przed sobą. Przesuwałem palcami po grzbietach, czytając ich tytuły: *Historia Winterborne Abbey*, *Winterborne Abbey*, *szkoła i opactwo*, *Capability*

Brown i kształtowanie krajobrazu w XVIII wieku, Architektura kościołów i opactw Dorset, a także *Budowle Anglii* Pevsnera. Po studiowaniu rejestrów inwentaryzacyjnych przez cały ranek miałem dość zakurzonych archiwów ze szczegółowymi opisami architektury opactwa i jego zbiorów sztuki. Chciałem zająć się moim prawdziwym zadaniem, dobrać się do materiałów, które dałyby mi jakieś pojęcie o czasie, kiedy Crace uczył w tej szkole, albo dostarczyły czegoś o Chrisie, co z kolei pozwoliłoby mi poznać stan jego umysłu, zanim popełnił samobójstwo. Nie wiedziałem, co znajduję ani czy w ogóle na coś natrafię.

Pochyliłem się, żeby spojrzeć na pozbawione tytułów wielkie tomy oprawione w bladoniebieską skórę, stojące na dolnej półce regału. Wyciągnąłem jeden na chybił trafił. Na okładce widniały słowa: *Szkoła Winterborne Abbey w fotografii, 1957*, wytłoczone złotymi literami. Kiedy otworzyłem tę książkę, wypadły z niej dwa czarno-białe zdjęcia – jedno przedstawiało grupę chłopców wyglądających mniej więcej na szóstoklasistów, stojących przed głównym wejściem do szkoły, drugie – kędzierzawego, uśmiechniętego szeroko chłopaczka, przyciskającego do piersi jakieś trofeum. Położyłem oba zdjęcia obok siebie na podłodze z zamiarem włożenia ich na odpowiednie miejsca, kiedy natknę się na nie w środku, i zacząłem oglądać album. Pod każdym zdjęciem ktoś napisał wyraźnie czarnym atramentem krótkie objaśnienie, co przedstawiało. Były tam szczegóły dotyczące mianowania przewodniczącego samorządu szkolnego, wyniki każdego college’u, fotografie dokumentujące chwile sportowych, muzycznych i teatralnych triumfów, a na samym końcu natrafiłem na zbiorowe zdjęcie nauczycieli i uczniów zgromadzonych na trawniku, gdzie budynek szkoły posłużył za tło.

Przyglądałem się dokładnie zdjęciu, wpatrywałem się w dziesiątki twarzy, oddających mi spojrzenie, przesuwałem powoli palce po jego matowej powierzchni. I tam, na samym końcu pierwszego rzędu, ściśnięty

między starszym mężczyzną w okularach o drucianej oprawce i zażywną kobietą w tweedowej garsonce, stał Crace. Trudno było wyobrazić sobie, że ten mężczyzna na zdjęciu – z głową pokrytą włosami, przystojną twarzą, młodą skórą i radosnym uśmiechem – to ten sam człowiek, u którego mieszkałem w Wenecji, ale nie było wątpliwości, że to on.

Po odstawieniu albumu na miejsce wyciągnąłem tom stojący obok niego, obejmujący rok 1958, i znalazłem podobny zbiór zdjęć: zwycięzcy w rugby, mecze krykieta, muzyczne recitale i przedstawienia teatralne, w tym *Sen nocy letniej* i *Kres wędrówki*. Natknąłem się tam na obsadę tej sztuki Sheriffa, napisaną na maszynie. Dowiedziałem się z niej, że reżyserował ją Crace. Mimo to jedyne jego zdjęcie, jakie tu znalazłem, ponownie okazało się portretem grupowym, wklejonym na końcu albumu, wyglądało mniej więcej tak samo jak to z poprzedniego roku.

Otworzyłem album z lat 1959-1960 na ostatniej stronie i przyglądałem się twarzom z fotografii, szukając Chrisa, mojego sobowtóra. I tu także był Crace wpatrujący się w obiektyw z zadowoleniem na twarzy, ale nigdzie nie dostrzegłem chłopaka. Tak samo nie znalazłem zdjęcia jego ojca. Spojrzałem na datę napisaną pod fotografią – 6 czerwca 1960 roku. John Davidson nie żył już wtedy od siedmiu miesięcy.

Przekładałem karty albumu i po kilku stronach zobaczyłem fotografię mężczyzny stojącego na scenie. Ubrany w źle dopasowaną, tandetną tweedową marynarkę, robił wrażenie skrupowanego, zaskoczonych tym, że ktoś, a już na pewno nie człowiek z aparatem, mógłby okazać mu choćby cień zainteresowania. Pod zdjęciem napisano: John Davidson, organista i nauczyciel muzyki w Winterborne Abbey, po koncercie preludium Bacha w jego wykonaniu w październiku 1959 roku. Trudno było dopatrzeć się jakiegokolwiek podobieństwa pomiędzy Chrisem i jego ojcem. Podczas gdy zdjęcia Chrisa, które widziałem u Shawa, pokazywały go jako całkiem przystojnego chłopaka, o kwadratowej szczęce, blond włosach i

oczach o inteligentnym wyrazie, ten mężczyzna wyglądał tak, jakby życie już z niego uszło. Miał podkrążone oczy i skórę o ziemistym, niezdrowym odcieniu.

W chwili gdy miałem zamknąć album i wymienić go na następny, kątem oka zauważyłem podpis, który przyciągnął moją uwagę. Wróciłem do strony, gdzie się na niego natknąłem – stowarzyszenie dyskusyjne. Nie było tu żadnego zdjęcia, ale do albumu wklejono stronę z opisem zwycięstwa stowarzyszenia dyskusyjnego z Winterborne Abbey nad drużyną z pobliskiego college'u z Pemberton. Dołączono również listę nazwisk. Znalazłem wśród nich niektóre, wymienione przez Chrisa w dzienniku – Matthew Knowles, Timothy Fletcher, Adrian Levenson i David Ward. Temat – zaproponowany przez Winterborne Abbey – brzmiał: „Ta szkoła uważa, że manieri czynią człowieka”. Na końcu strony przeczytałem słowa: „Pan Gordon Crace bardzo ciepło podziękował również Christopherowi Davidsonowi, który wystąpił w roli sekretarza zespołu”.

Przepisałem szczegóły do notesu i wyciągnąłem album z kolejnym rokiem. Tam, na ostatniej stronie, było wreszcie to, czego szukałem – fotografia zrobiona zaraz po zwycięstwie stowarzyszenia dyskusyjnego przedstawiała Crace'a i Chrisa. Nauczyciel i jego uczeń stali przodem do obiektywu, w różnych rzędach, Crace wyglądał enigmatycznie, niemal prowokująco, po Chrisie zaś było widać, że coś go dręczy, niepewność malowała mu się na twarzy, jakby gryzł wewnętrzną stronę policzka. Pod zdjęciem napisano datę: 7 marca 1961, a więc dwa lata po śmierci ojca Chrisa i na sześć lat przed jego własnym odejściem.

Z biblioteki dochodziły mnie głosy chłopców. Wstałem i między półkami spojrzałem w tamtą stronę, żeby sprawdzić, czy pani Fowles nie zmierza aby w moim kierunku. Nie zobaczyłem jej jednak. Wziąłem album ze zdjęciem Crace'a i Chrisa, wsunąłem palec wskazujący prawej

ręki pod kleksy kleju w każdym z rogów fotografii. Lekko unosząc palec, udało mi się oderwać je od strony, zostawiając na niej cztery białe papierowe ślady. Wsunąłem zdjęcie do teczki, upewniając się, że będzie dobrze schowane między zeszytem a starą gazetą. Trochę wstydziłem się za samego siebie, zwłaszcza że pani Fowles była dla mnie taka uprzejma, ale uważałem, że po prostu wykonuję swoją pracę. Zbierałem dowody w każdy możliwy sposób. A wszystko tu miało znaczenie, tego byłem pewny, nawet najmniejszy wycinek z gazety.

Obróciłem się do półki, na której, jak powiedziała pani Fowles, przechowywano szkolne gazetki. Zdjąłem z niej segregator, odchyliłem tekturową okładkę i zwolniłem mechanizm sprężynowy, utrzymujący razem tę masę papierzysk. Pierwsze kilka stron okazało się niczym więcej jak luźnymi kartkami rocznych sprawozdań, z kolumnami liczb, gdzie szczegółowo wyliczano wydatki na prace budowlane. Pod spodem była żółtobrązowa papierowa teczka, a w niej cienka broszura datowana na jesień 1960 roku, ozdobiona emblematem szkoły. Ktoś – jak przypuszczam, jeden z uczniów – całkiem ładnie zaprojektował okładkę, wkomponowując tytuł „Wystrzał”, wokół emblematu, który wyglądał, jakby wybuchał z herbu. Szybko przejrzałem strony, przerzuciłem kartki z górnolotną prozą, w tym stylizowanym na Wordswortha opisem wędrowni przez „zachwycające” okolice, wierszem innego autora o stracie i śmierci, sonetem, który w ostatnim wersie ujawniał, że oplakiwano w nim psa. Nie było tu jednak nic napisanego przez Chrisa, a jedynym śladem jego obecności okazały się dwa zdania na wewnętrznej stronie okładki z podziękowaniami od Crace’a za pomoc w nadzorowaniu prac nad tym numerem pisemka.

Przedzierałem się przez gazetki, szukając w nich wskazówek, ale ostatecznie niewiele znalazłem. Była to żmudna i nudna praca, niemal mechaniczna harówka. Stłumiłem ziewanie, kiedy zamykałem pierwszy

skoroszyt, i usiadłem z powrotem przy stole. Miałem teraz przynajmniej listę nazwisk, którą mogłem przekazać pani Fowles, żeby sprawdziła je w oficjalnym archiwum szkoły. Oczywiście chciałem udawać, że wybrałem je przypadkowo z albumów i wycinków, w nadziei, że bibliotekarka nie zorientuje się w ich ukrytym powiązaniu – tym mianowicie, że wszyscy ci uczniowie należeli do stowarzyszenia dyskusyjnego Crace’a.

I wtedy coś sobie przypomniałem. Data wydania powieści Crace’a. Sprawdziłem w zeszycie – *Stowarzyszenie dyskusyjne* ukazało się 4 marca 1962 roku. Zdjąłem z półki następny skoroszyt, odblokowałem zabezpieczenie i zamiast ostrożnie i powoli kartkować gazetki strona po stronie, wyrzuciłem wszystko na blat stołu i zacząłem szukać tej, która nosiła odpowiednią datę. Wszystko w skoroszycie pochodziło z 1961 roku. Wpiąłem byle jak gruby plik z powrotem do skoroszytu, obiecując sobie, że potem go uporządkuję, docisnąłem zatrzask, odstawiłem na półkę i wziąłem kolejny. Gdy go otworzyłem i zobaczyłem, że odnosi się do 1962 roku, poczułem przenikający mnie dreszcz emocji. Ale w tej samej chwili wspomniałem słowa pani Fowles o nieregularnym ukazywaniu się gazetek. Czy Crace zwracałby sobie głowę doglądaniem szkolnej gazetki tuż przed wydaniem własnej powieści? Nawet gdyby tak było, czy przetrwał choć jeden egzemplarz?

Przewracałem strony z niecierpliwością, szybko odnajdując gazetki wydane zimą i jesienią. Nic jednak nie nosiło daty z okresu wiosny, ale na końcu skoroszytu natrafiłem na edycję z lata. Gazetka miała pognieciony i poszarpany górny prawy róg. Poza grafiką z „wybuchowym” tytułem wkomponowanym w godło jakiś uczeń wplótł weń motywy słońca, a poniżej ktoś napisał życzenia „Wystrzałowego lata”.

Otworzyłem ją na stronie, gdzie znajdował się wywiad z Crace’em, przeprowadzony na zasadzie pytanie-odpowieź. Nie wierzyłem własnemu szczęściu. Na górze znajdowała się linijka: „Wywiad

przeprowadził Christopher Davidson”. Chris zaczął od wyjaśnienia w pierwszym ustępie powodów, dla których zdecydował się przeprowadzić wywiad z nauczycielem angielskiego.

Pan Crace, mimo wszystkich swoich zalet, a ma ich wiele, nie zgodziłby się na umieszczenie wywiadu na stronach „Wystrzału”. Niemniej tym razem robimy wyjątek. Ale to nie jego znakomita umiejętność uczenia nas rozbioru wiersza czy analizy sceny ze sztuki teatralnej przyciągnęła naszą uwagę, a fakt, że napisał wydaną właśnie powieść, zatytułowaną *Stowarzyszenie dyskusyjne*. Po jej opublikowaniu w marcu – mam nadzieję, że pan Crace nie weźmie mi za złe, że o tym wspominam – sprzedaż okazała się bardzo mała, ale ostatnio dzięki recenzji w „The Times” i wielu innych wzmiankach w prasie znalazła się na liście bestsellerów. Zgodnie z informacjami z gazet zajmuje tam trzecie miejsce i mówi się nawet, że ma zostać sfilmowana. Pan Crace zgodził się poświęcić trochę czasu i wykroić z zapełnionego harmonogramu zajęć chwilę na wywiad dla „Wystrzału”.

P: Wiadomość o napisaniu przez pana książki zaskoczyła wielu nauczycieli i uczniów naszej szkoły. Jak długo pan ją pisał?

O: Zacząłem w pierwszych miesiącach tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Po zarysowaniu głównego wątku powieść zdawała się pisać sama. Nie chciałem robić z tego tajemnicy. Trzeba jednak powiedzieć, że pisałem przede wszystkim dla własnej przyjemności i nawet nie marzyłem, że kiedyś to opublikuję. I muszę przyznać, że niewiele brakowało, by ta książka nigdy nie ujrzała światła dziennego. Widzisz, po jej skończeniu wysłałem manuskrypt do kilku londyńskich wydawców, którzy jak jeden mąż ją odrzucili. Ostatecznie jednak małeńka oficyna zgodziła się wydrukować ją, płacąc mi niewielkie pieniądze.

Oczywiście nie zależało mi zupełnie na honorarium, ucieszyłem się po

prostu, że ktoś ją przyjął. Nadal zdumiewa mnie fakt, że jakiś wydawca chciał ją opublikować, jak również i to, że ktoś chce ją czytać.

P: Jaka jest pana reakcja na to, że powieść stała się bestsellerem?

O: Jestem zaszokowany. Naprawdę, zupełnie szczerze, zaszokowany. Tylko tak mogę to określić. Ale oczywiście jestem zadowolony, że ludziom czytanie tej książki najwyraźniej sprawia przyjemność. O ile wiem, w samej Anglii sprzedało się już sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, a wydawca zastanawia się nad wydaniem broszurowym w przyszłym roku. Rozpoczęła się już też procedura sprzedawania jej na całym świecie, w tym w Ameryce.

P: W jakim stopniu ta książka zmieniła pańskie życie?

O: Cóż, prawdę powiedziawszy, chyba wcale. Wiem, że ludzie mogą mi nie uwierzyć, kiedy to mówię, ale tak jest w istocie. To znaczy w dalszym ciągu tu uczę – wbrew rozchodzącym się plotkom – i mam zamiar zostać w szkole w przyszłym roku. Oczywiście spróbuję napisać następną powieść, ale jeszcze jej nie zacząłem.

P: Z jakimi reakcjami na książkę się pan spotkał?

O: Cóż... [Śmiech]. Wydaje mi się, że kilku nauczycieli z naszego grona nie było nią zachwyconych, gdy przekonali się, że jej fabuła – jak by to ująć? – jest trochę mroczna. Uważają, że może przynieść szkole złą sławę i tym podobne. Rozumiem rzecz jasna ich troskę, ale to w końcu wytwór wyobraźni, nic więcej. Przecież to jasne, że Winterborne Abbey jest szkołą modelową, nawet pod względem architektonicznym, i nikomu nawet by do głowy nie przyszło, że któryś z uczniów mógłby zabić nauczyciela filologii klasycznej. Poza tym wszystkim pan Gibson poradziłby sobie z takim gagatkiem. [Śmiech].

P: Co zainspirowało pana do napisania tej książki?

O: [Długie milczenie]. Trudno jest mówić o inspiracji, prawda? [Ponowne milczenie]. Przypuszczam, że inspirował mnie pobyt tutaj jako

nauczyciela, lecz główny wątek, sam rozwój akcji i tak dalej biorę na siebie. Są bowiem prawdopodobnie wytworem mrocznej strony mojej wyobraźni. Dalekiej od ładniutkich widoków, jak mniemam.

Kiedy skończyłem czytanie wywiadu, usłyszałem odgłos zbliżających się do mnie kroków. To była pani Fowles.

– Jak pan sobie radzi? – zapytała.

– Och, całkiem dobrze – odpowiedziałem. – To kopalnia informacji. I tak doskonale prowadzona.

Jej blade policzki zaczynały przybierać barwę truskawek.

– Wykonała tu pani kawał wspaniałej roboty – dodałem. – Pierwsza klasa, naprawdę.

– Rzeczywiście tak pan uważa? Chciałam uporządkować wszystko najlepiej, jak umiałam, trzymać zbiory na odpowiednich miejscach, i tyle, nic więcej.

– Bardzo mi to ułatwiło zadanie. Brak mi słów, by wyrazić wdzięczność.

Pani Fowles spuściła wzrok i zaczęła bawić się brzegiem swojej bluzki w kwiatowy wzór.

– Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze...?

– Zastanawiałem się właśnie, czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do sekretariatu szkoły? Ponieważ mam teraz kilka nazwisk, pomyślałem, że sekretarka mogłaby mi podać adresy lub jakiś kontakt do tych ludzi. Bo przyszło mi do głowy, że chętnie napisałbym do nich i zadał im kilka pytań.

– Tak, oczywiście. Następną lekcję mam za... – Spojrzała na zegar na ścianie. – Za piętnaście minut. Z przyjemnością pana tam zaprowadzę i poznam pana z sekretarką. A może widział się pan z nią dziś rano, z panią Barwick?

– Sekretarką dyrektora szkoły? Och tak, widziałem się z nią, co prawda

krótko, ale nikt nas sobie nie przedstawił.

Poszedłem korytarzem za panią Fowles w kierunku gabinetu dyrektora. Zapukała do drzwi sekretariatu i otworzyła je przede mną. Za biurkiem, które mogło być przykładem ładu i czystości, siedziała atrakcyjna pięćdziesięciokilkuletnia blondynka.

– Katherine, to jest Adam Woods, wydaje mi się, że dyrektor wspomniał ci o nim? – powiedziała pani Fowles. – To on jest tym młodym człowiekiem, który pisze pracę na temat relikwii i dzieł sztuki naszego opactwa.

– Ach tak, oczywiście – odparła sekretarka, wstając, by wymienić ze mną uścisk dłoni. – Miło mi pana poznać. Tak, dyrektor uprzedził mnie, że może pan tu zajrzeć.

Gdy mówiła, w jej niebieskich oczach migotały iskierki. Miałem wrażenie, że nigdy nie przestaje się uśmiechać.

– No to zostawię państwa samych – rzekła pani Fowles. – Dzięki, Katherine. Panie Adamie, gdyby pan jeszcze czegoś potrzebował, wie pan, gdzie mnie znaleźć.

– Tak, i jeszcze raz dziękuję pani za pomoc.

Jej policzki ponownie lekko się zaróżowiły, kiedy ruszyła w stronę wyjścia.

– Do widzenia – dodała, zamykając za sobą drzwi.

– Dzięki, Jeanette – powiedziała sekretarka, biorąc z biurka notatnik i długopis. Obróciła się do mnie. – W czym mogę panu pomóc?

Odchrząknąłem.

– Jak pani wie, zbieram materiały do pracy historycznej, dyplomu, o ekspozycjach na wystawach, takich jak w tutejszym opactwie.

Kiwała głową. Widać było, że chętnie mnie słucha.

– Myślę, że powodzenie moich wysiłków zależy od tego, czy uda mi się porozmawiać z ludźmi, którzy mieli bliski kontakt z pokazywanymi

tutaj dziełami sztuki, relikwiami, figurami. Dziś rano pani Fowles była tak uprzejma, że udostępniła mi albumy i gazetki szkolne, dzięki czemu mogłem wybrać na chybił trafił kilka nazwisk.

– Tak, rozumiem – powiedziała, przeczesując dłonią włosy.

– Dlatego chciałbym zapytać, czy gdybym dał pani taką listę nazwisk, mogłaby pani znaleźć dokładne namiary na tych ludzi. Żebym mógł do nich napisać i zadać im kilka pytań.

– A czy pan Peters wie o pańskiej prośbie?

– Rzecz jasna, tak.

– Na wszelki wypadek jednak go spytam, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. To zajmie tylko chwilkę.

Zapukała do drzwi gabinetu dyrektora i weszła do środka, zostawiając mnie samego w sekretariacie. Na jej biurku nie było niczego poza komputerem i ogromnym terminarzem. Pod dzisiejszą datą widniało kilka różnych spotkań dyrektora, zanotowanych niewielkim czytelnym pismem. O jedenastej przychodził do niego miejscowy urbanista w sprawie nowego budynku z pracownikami naukowymi. O szesnastej miała się odbyć rada pedagogiczna. A potem, na końcu strony, w miejscu służącym za rodzaj poziomego marginesu, sekretarka wpisała moje nazwisko, po którym następował znak zapytania.

Kiedy spojrzałem na tapetę na monitorze, zobaczyłem zdjęcie charta, którego uznałem za psa sekretarki – pomyślałem, że mógłbym przejrzeć zawartość jej dysku i wyciągnąć jakieś dane, zanim wróci od dyrektora. Moja dłoń zawisła nad myszką. Sam pomysł wydawał mi się absurdalny. Nie mogłem przecież ryzykować, że kobieta wejdzie do pokoju i zastanie mnie grzebiącego w jej plikach.

Odsunąłem rękę od komputera, ale zatrzymałem ją nad terminarzem. Z ciekawości obróciłem stronę, zerkając jednocześnie na drzwi. Jak na razie nie było powodu do obaw. Spojrzałem na rozkład zajęć dyrektora.

O dziewiątej czekało go spotkanie z panem Perthem-Lewisem w sprawie jego syna, Neila. Sekretarka umówiła telefonicznie na wpół do jedenastej jedno z rodziców przyszłego ucznia. I nagle zobaczyłem, że nazajutrz o godzinie jedenastej miał wizytę Lavinii Maddon. Obok jej nazwiska sekretarka napisała: „Biografia Gordona Crace’a”. Pamiętałem doskonale, w jaki sposób dyrektor zareagował na samo wspomnienie o Gordonie podczas naszej rozmowy. Myślałem wtedy, że pewnie powiedziałem coś niewłaściwego. Teraz widziałem to w innym świetle. Najwyraźniej obawiał się już przybycia tu Lavinii i perspektywy wyciągania starego skandalu, który uważał za dawno przebrzmiały.

Usłyszałem, że drzwi się otwierają, dlatego błyskawicznie się obróciłem.

– Panie Adamie? Właśnie zamieniłam dwa słowa z panem dyrektorem i jest tak, jak myślałam.

Usiłowałem pozbiierać myśli. W ustach mi zaschło. Serce biło jak szalone. Krew zmieniła się w kwas płynący w żyłach.

– Tak? – zapytałem, rozpaczliwie próbując opanować złość.

– Oczywiście wyraża zgodę na pańskie kontaktowanie się, z kimkolwiek pan zechce, ale wolały, żebym najpierw napisała lub zadzwoniła do tych osób, by się upewnić, że nie mają nic przeciwko temu. Jestem przekonana, że uzna to pan za rzecz całkiem naturalną, prawda?

Popatrzyła na mnie błyszczącymi, pełnymi radości niebieskimi oczami. A ja miałem ochotę je wydłubać.

– Tak, tak, oczywiście – rzekłem, nienawidząc jej za to, co właśnie mi przekazała, i za to, co widziałem zapisane jej ręką.

– Jeśli da mi pan listę nazwisk, które miałbym dla pana sprawdzić, mogłabym od razu się tym zająć.

– To byłoby bardzo uprzejmie z pani strony, dziękuję.

Zajrzałem do teczki i wyjąłem zeszyt.

– Bardzo przepraszam, ale czy ma pani może kartkę papieru?

– No pewnie, tak, bardzo proszę. – Otworzyła szufladę biurka i wyciągnęła z niej arkusz z równo ułożonej ryzy.

Wszystko tu było tak doskonale uporządkowane, niemal po wojskowemu. Czy w życiu tej kobiety zawsze wszystko się udawało?

Na kartce napisałem listę, upewniając się, że nazwiska członków stowarzyszenia dyskusyjnego (Matthew Knowlesa, Timothy’ego Fletchera, Adriana Levensona i Davida Warda) są wymieszane z wybranymi przeze mnie z albumów na chybił trafił nazwiskami innych uczniów. Na końcu dodałem jeszcze jedno nazwisko, Ruth Chaning, młodej nauczycielki plastyki, którą Crace znał, gdy pracował w szkole. Podałem listę – wymieniającą dwanaście osób – sekretarce.

– Jeśli się nie mylę, szczegóły dotyczące jednej z tych osób mogłabym podać panu od razu – powiedziała, uśmiechając się do siebie.

– Nie bardzo rozumiem?

Podeszła do komputera i wstukała nazwisko.

– Czy wie pan, w którym roku Adrian Levenson opuścił szkołę?

– Wydaje mi się, że powinno to być w połowie lat sześćdziesiątych.

– Tak też myślałam. – Popatrzyła na monitor. – Bardzo proszę. To ten sam.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– W odróżnieniu od nas, ludzi nowo przybyłych, pan Levenson jest tu od tamtych czasów. Chyba można by powiedzieć, że tak naprawdę nigdy nie odszedł ze szkoły. Jest nauczycielem wychowania fizycznego. Chciałby pan z nim porozmawiać?

– O tak – odparłem, starając się ukryć zaskoczenie.

Pani Barwick zadzwoniła do Levensona z telefonu stojącego na biurku, ale ponieważ nikt nie podnosił słuchawki, zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce, krótko wyjaśniając mu moją sprawę i

prosząc, żeby oddzwonił. A potem powiedziała mi, że od razu pójdzie do piwnicy przeszukać archiwa.

– Gdyby mógł pan zaczekać kilka minut, to może chwilę potrwać – wytłumaczyła się, wskazując mi dłonią krzesło.

Kiedy czekałem, czułem, jak ogarnia mnie coraz większa panika na myśl o Lavinii Maddon i jej rychłej wizycie. Nie mogłem uwierzyć, że zjawi się tu nazajutrz, będzie węszyła po okolicy i szukała wskazówek dotyczących Crace'a. Jak dużo już wiedziała? Prawdopodobnie znacznie więcej, niż zamierzała mi zdradzić. Było jasne, że usiłowała zgłębić tajemnicę śmierci Davidsona i udziału w tym Crace'a. Na zatrzymanie jej nie miałem już czasu. Co sobie pomyśli, kiedy mnie tu spotka? Jej nie uda mi się omamić bajeczką o pracy dyplomowej na temat relikwii znajdujących się w opactwie. Prawdę powiedziawszy, mogła zniszczyć moją przykrywkę. Wystarczyłoby jedynie, żeby od niechcienia wspomniała dyrektorowi szkoły, że jestem osobistym sekretarzem Gordona Crace'a, a misterna sieć mojej intrygi przestałaby istnieć.

Tylko jedno mogło temu zaradzić. Lavinie trzeba było zatrzymać.

Oczami wyobraźni zobaczyłem jej obraz, bladą, pozbawioną życia twarz, przypominającą maskę. Widziałem ją leżącą w poszyciu leśnym, jej elegancka szara spódnica była utyłana w błocie, białą bluzkę plamiła krew, zawartość jej torebki poniewierała się po ilastej ziemi. Usta miała otwarte w grymasie przerażenia, wargi zaczynały sinieć. Włosy, kiedyś tak nieskazitelnie uczesane, leżały w nieładzie, z głowy sączyła się lepka gęsta czerwona ciecz. Większość jej długich wymanikiurowanych paznokci połamała się lub rozszczępiła, dłonie miała brudne i pokryte zadrapaniami. Jakiś pluskwiak pełzał jej po kostce u nogi, czarny żuk wbiegał do ucha, ślimak zostawiał srebrzysty śluzowy ślad na lewym ramieniu, kiedy zbliżał się coraz bardziej do jej ust.

To było jednak niemożliwe. Musiałem pomyśleć o innym sposobie.

I wtedy mnie olśniło. Podobnie jak ludziom z Winterborne Abbey powiedziałem mniej więcej prawdę, postanowiłem zdradzić Lavinii, co naprawdę tu robię. Wytrącenie jej broni z ręki było jedynym sposobem. Nie mogłem znaleźć lepszego rozwiązania problemu. Postanowiłem, że do niej zadzwonię, powiem, gdzie jestem, wyrażę zdziwienie, że wybiera się tu następnego dnia, i zaproponuję spotkanie. I to ona poczuje się, jakby siedziała na rozżarzonych węglach. To ją ukłuje sumienie. Nie mnie. Wyszedłem z sekretariatu, a potem ze szkoły. Wyjąłem komórkę i poczułem ulgę, widząc, że mam zasięg. Znalazłem w zeszycie jej londyński numer i zadzwoniłem. Cztery dzwonki i żadnej reakcji. Kliknięcie.

Automatyczna sekretarka. Nie zostawiłem wiadomości, spróbowałem za to złapać ją pod numerem komórkowym. Kiedy odebrała telefon, w słuchawce rozległy się syki i trzaski.

– Halo? – odezwałem się, krzycząc do mikrofonu.

– Przepraszam, ale właśnie jadę samochodem, czy może pan chwilę zaczekać?

Usłyszałem odgłosy ruchu ulicznego, mijających ją aut i głośny pisk hamulców ciężarówki. Nie miałem wątpliwości, że jechała właśnie tutaj. Zastanawiałem się, jak daleko była ode mnie.

– Przepraszam, ale musiałam zjechać na pobocze.

– Halo, mówi Adam Woods.

– Och, witaj, Adamie. Posłuchaj, połączenie jest fatalne. Czy mogę do ciebie oddzwonić?

– Tak, oczywiście.

– Zadzwonię do ciebie pod ten numer.

Mniej więcej minutę później mój telefon zabrzączał. Zanim odebrałem, upewniłem się, że nikt nie będzie mnie słyszał. Połączenie było znacznie lepsze.

– Adam?

– Tak, witaj, Lavinio. Jak samopoczucie?

– Świetne, naprawdę dobre. Decydując się na jazdę M3, wzięłam los w swoje ręce. A co u ciebie?

– Wszystko dobrze, dziękuję. Jestem akurat w Dorset, mam pewne zlecenie od pana Crace’a. Zbieram szczegółowe materiały o jego dawnej szkole, Winterborne Abbey.

– Niesamowite – powiedziała, a ja wyraźnie słyszałem szok w jej głosie.

Było pewne, że nie wiedziała, co powiedzieć.

– Halo?

– Po... po prostu aż nie mogę w to uwierzyć. Właśnie tam jadę. Mam jutro spotkanie z dyrektorem szkoły.

Najwyraźniej ona także zdecydowała się zagrać kartą uczciwości.

– Rzeczywiście, niesamowite – odparłem, udając zaskoczenie. – Po co przyjeżdżasz?

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza.

– No cóż... Pomyślałam, że zebranie jak największej ilości informacji o twoim pracodawcy przyniosłoby wszystkim pożytek. Chciałam po prostu przyspieszyć trochę ten etap pracy.

– Rozumiem.

– Oczywiście zrelacjonowałabym ci tę wizytę, żebyś mógł opowiedzieć o niej panu Crace’owi.

– To naprawdę wspaniała wiadomość. A skoro już oboje tu będziemy, uważam, że powinniśmy się spotkać któregoś dnia.

– O tak, z prawdziwą przyjemnością. Ale co ty porabiasz w Dorset?

– Szukam pewnych materiałów dla pana Crace’a. Jak wiesz, ma obsesję na punkcie własnej prywatności. Zabronił mi wyjawiania celu mojej wizyty. Kazał mi tu przyjechać i dowiedzieć się tego i owego z czasów, gdy był nauczycielem, ale bez ujawniania prawdziwych intencji.

Powiedział mi, że nie chce nawet, by ktoś tu dowiedział się, że on jeszcze żyje. Dlatego musiałem uciec się do trochę głupawego wybiegu i udając studenta historii sztuki prowadzącego badania dotyczące opactwa, dzięki czemu zyskałem dostęp do niektórych akt z archiwum.

– Naprawdę? – W jej głosie słychać było zaciekawienie, ale czy tylko? Czyżbym usłyszał też nutę podejrzliwości?

– Wiem, brzmi to na trochę naciągane, ale pan Crace upierał się przy tym. Sam wymyślił taki plan. Mam niby to dowiedzieć się, jak dawni nauczyciele i absolwenci postrzegają eksponaty wystawiane w opactwie, jakie są ich osobiste związki z relikwiami i rzeźbami. Możesz mi wierzyć, że niełatwo było mi przeforsować tę bajeczkę.

– W to akurat nie wątpię – odpowiedziała.

– Posłuchaj, chętnie porozmawiałbym z tobą dłużej, tyle że za kilka minut mam kolejne spotkanie. Gdzie się zatrzymasz?

– W hotelu Hazelbury Manor. Masz tamtejszy numer telefonu?

– Nie, ale bez trudu go znajdę.

– To zadzwoń do mnie jutro po śniadaniu, dobrze?

– Świetnie. Zadzwonię.

Wróciłem do sekretariatu szkoły, ale pani Barwick jeszcze tam nie było. Odnalezienie starych akt najwyraźniej wymagało znacznie więcej czasu, niż się spodziewała. Czekając, rozejrzałem się po pokoju. Sekretariat był przykładem wydajnej pracy, ze wszystkim porządnie posegregowanym i umieszczonym w wyraźnie oznakowanych szafkach. Była tu też półka z książkami, wśród nich dojrzałem słownik, Biblię, słownik wyrazów bliskoznacznych, komplet encyklopedii i sfatygowany egzemplarz *Who is Who*. Na ścianach wisiały rzędy wyblakłych zdjęć szkoły, kilka szkiców przedstawiających opactwo oraz oprawione w ramki listy od sławnych absolwentów. A choć rozpoznałem tam aktora, prezentera telewizyjnego i kilku rzeczywiście znanych sportowców, nigdzie nie dojrzałem Crace’a.

Usłyszałem, że drzwi się otwierają, obróciłem się i zobaczyłem panią Barwick.

– Jak widzę, wśród absolwentów macie państwo całkiem sporo sław – powiedziałem, uśmiechając się. – I wszystkie dobrze się wyrażają o szkole.

Nie odpowiedziała. Jej oczy, tak błyszczące i wesołe jeszcze tak niedawno, patrzyły na mnie surowo i poważnie. Wyglądała starzej, smutniej. W rękę trzymała kartkę.

– Mam szczegółowe informacje, o które pan prosił – rzekła w końcu.

– Och, to dobrze.

– Obawiam się jednak, że nie wszystkie pana ucieszą.

– Nie rozumiem.

Usiadła przy biurku, kartkę położyła przed sobą.

– Zaraz panu pokażę. – Przywołała mnie gestem.

Spojrzałem jej przez ramię na kawałek papieru. To na nim zapisałem imiona i nazwiska osób, z którymi chciałem nawiązać kontakt. Przy każdym z nich pani Barwick zrobiła krótkie notatki ołówkiem, ale jej pismo było tak małe, że nie potrafiłem niczego odczytać.

– Proszę spojrzeć – powiedziała, suwając palcem po kartce. – Mam adresy tych absolwentów. Greason, Downing, Simmons, Cooper-Lewis, Alderman, Jones i Booth-Clibborn.

Były to nazwiska, które wybrałem przypadkowo.

– Historię Levensona już pan zna, to dobrze. Ale pani Chaning odeszła, nie zostawiając adresu, więc nie mamy z nią kontaktu. A co do reszty, przykro mi to mówić, ale... naprawdę nie wiem, jak to ująć... cóż, chodzi o to, że Matthew Knowles, Timothy Fletcher i David Ward odeszli... to znaczy nie żyją od jakiegoś czasu.

– Jest pani pewna?

– Tak, wszystko jest zapisane w ich aktach..

– Kiedy umarli?

– W różnym wieku. – Przyjrzała się bliżej notatkom zrobionym ołówkiem na papierze. Przy trzech nazwiskach dostrzegłem małe krzyżyki. – Pan Knowles w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym, pan Fletcher w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim, a pan Ward w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim.

– I wszyscy jeszcze tacy młodzi – powiedziałem. – Czy w aktach odnotowano przyczyny śmierci?

– Nie, na pewno nie.

– Tak... to rzeczywiście złe wieści – zacząłem głośno myśleć. – Zastanawiam się, co mogło się im przydarzyć.

– Bóg jeden wie. Niezależnie jednak od tego, co się stało, niewiele to pomoże panu w badaniach, prawda?

Kiedy obróciłem się gotów do wyjścia, pani Barwick powiedziała, że sprawdzi automatyczną sekretarkę, na wypadek gdyby Levenson się odezwał. Okazało się, że tak, dzwonił, kiedy wyszedłem na chwilę porozmawiać z Lavinią. Choć powiedział, że prawdopodobnie niewiele wniesie do moich badań, proponował spotkanie przed opactwem za dwadzieścia minut.

Adrian Levenson robił imponujące wrażenie kondycją fizyczną, mimo że był już dobrze po pięćdziesiątce. Miał co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu i szerokie bary. Wyglądał na kogoś, kim naprawdę był – na zawodnika rugby, który został nauczycielem wychowania fizycznego. Nadal był uderzająco przystojny, o wyrazistej pomarszczonej twarzy i krótkim nosie, noszącym ślady kilku złamań, nieprzeniknionych czarnych oczach i gęstej grzywie siwych włosów. Kiedy się witaliśmy, zauważyłem, że miał dłonie dwa razy większe od moich. Palce bolały mnie po jego uścisku.

– Miło pana poznać. Jak się pan nazywa?

– Woods. Adam Woods.

– No właśnie. Miło poznać. Jestem Adrian Levenson.

Był z pozoru wyjątkowo przyjacielski, ale wiedziałem, że jego brutalność, którą Chris opisywał w dzienniku, drzemała tuż pod maską łagodności. Należało zatem postępować ostrożnie.

– Jak pan widzi – powiedział, wskazując ręką na swoje niebieskie spodnie od dresu pobrudzone błotem – jestem zdeklarowanym zwolennikiem otwartych przestrzeni. Zawsze taki byłem. Nigdy tak naprawdę nie interesowało mnie, co dzieje się między murami. Spędzam tam zresztą jak najmniej czasu.

– Pański punkt widzenia może się okazać dla mnie bardzo interesujący. Chodzi o to, że próbuję zebrać jak najwięcej różnorodnych opinii.

– Nie bardzo pamiętam, do czego to panu potrzebne.

– Do pracy dyplomowej, którą piszę na wydziale historii sztuki. O przedmiotach prezentowanych na wystawach...

– Boję się, że to nie na mój rozum – odparł, wycierając mokry nos wierzchem dłoni. – O, gdyby chodziło o dreszcz, jaki daje jakikolwiek mecz – piłki nożnej, rugby, krykieta, a nawet rounders z maluchami, to

zupełnie inna sprawa. Gra pan w coś?

Kiedy przyznałem mu się, że nie, popatrzył na mnie z odrobiną rozczarowania, jakbym sprawił mu zawód.

– Nieważne. To czego właściwie pan ode mnie chce?

– Pomyślałem, że może na początek przeslibyśmy się po opactwie. Już wiem, że nie zwraca pan specjalnej uwagi na wnętrza budynków, ale może zobaczenie kilku przedmiotów ożywi pańską pamięć... czy cokolwiek.

– Nie ma sprawy. – Wytarł zabłocone buty o słomiankę przed wejściem. – Ale ostrzegam pana, wątpię, żeby miał pan z tego jakiś pożytek.

Weszliśmy do środka zimnej, wilgotnej budowli, pogrążonej w ciszy, gdzie słyhać było tylko nasze oddechy. Słabe szare światło nadawało opactwu upiorny rys.

– Szczerze mówiąc, przychodzę tu tylko, kiedy z sekretariatu dyrektora dostaję trzykrotnie podkreślone wezwanie – powiedział Levenson. – Nigdy nie lubiłem tego miejsca, nawet jako chłopiec. Ciarki mnie tu przechodzą.

Wyjąłem zeszyt i zacząłem notować przebieg naszej rozmowy. Musiałem sprawić wrażenie, że interesują mnie jego opinie o budynku i zbiorach. Przeszliśmy pod łukową kolumnadą, pod chórem i zatrzymaliśmy się przy skarbcu. Nacisnąłem włącznik, żeby oświetlić szklane gabloty.

– Pamięta pan może, czy któraś z tych relikwii wywarła na pana szczególne wrażenie, kiedy był pan jeszcze uczniem?

Levenson patrzył na eksponaty, tryptyk z kości słoniowej, zdekompletowany krzyż, cynowy kielich i starą księgę, jakby ich nigdy wcześniej nie widział.

– Tak jak mówiłem, żadnego wrażenia. Byłem... i prawdopodobnie nadal jestem straszliwym ignorantem, jeśli chodzi o takie rzeczy. Przepraszam.

– Nie ma za co. Nic nie szkodzi.

Kiedy czasowy wyłącznik zgasił światło, nie zawracałem sobie głowy powtórny uruchamianiem go. Zamiast tego poszliśmy dalej w kierunku ołtarza w północnej części świątyni. Obróciliśmy się, żeby popatrzeć na posąg kobiety trzymającej niekompletną czaszkę, Levenson najwyraźniej zadrżał.

– To jedyna rzecz, jaka naprawdę robi tu na mnie wrażenie – powiedział, wskazując na rzeźbę. – Ta kobieta i sponiewierana czaszka. Gdy przyjechałem do tutejszej szkoły, niektórzy ze starszych uczniów opowiadali o kłątwie wrzeszczącej czaszki. O tym, że była to czaszka jej kochanka, mężczyzny zamordowanego przez jej męża. Wszystko oczywiście było wymysłem, ale kiedy ma się dwanaście lat i jest się daleko od rodziców, człowiek wierzy w podobne brednie. Proszę mnie źle nie zrozumieć, wydawało mi się, że jestem niezłym twardzielem, ale ta jedna rzecz sprawiała, że śniły mi się koszmary. Nie bardzo się to panu przyda, co?

– Ależ skąd – odparłem, pilnie notując. – To fascynujące. Właśnie o coś takiego mi chodziło.

– Naprawdę?

– Tak. Doskonały przykład indywidualnej reakcji. Wie pan może, czy któryś z pańskich szkolnych kolegów odbierał to w taki sam sposób?

– Och, na pewno. To była jedna z tych historyjek, jakie chłopcy opowiadają sobie po zgaszeniu światła.

– Czy z wieloma poznanymi wtedy kolegami utrzymuje pan kontakt do dzisiaj? – zapytałem, kartkując zeszyt do strony, na której zanotowałem nazwiska uczniów należących do stowarzyszenia dyskusyjnego.

– Nie, raczej z niewidoma, aż wstyd się przyznać.

– A z... sprawdźmy... Timothy Fletcherem? Davidem Wardem?

– Nie – odpowiedział, mrugając.

– Matthew Knowlesem?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Jamesonem?

– Nie.

Słyszałem wyraźnie, że usiłował zapanować nad własnym głosem.

Wziąłem głęboki wdech i cały czas udawałem, że odczytuję nazwiska z zeszytu, jakbym naprawdę wybrał je zupełnie przypadkowo.

– Christopher Davidson?

Jego czarne oczy jakby jeszcze pociemniały. Mięśnista dolna warga drgnęła, jak gruby robak wystawiony na otwarte powietrze.

– A co pan powie o Gordonie... Gordonie Cra...

Kiedy chwycił mnie ręką za gardło, upuściłem zeszyt na zimną twardą posadzkę. Pchnął mnie na posąg z taką siłą, że uderzyłem głową o marmur z głośnym stuknięciem. Wpatrywał się we mnie z nieprzejednaną wściekłością.

– Nie wiem, w jakie gierki...

– Mogłeś terroryzować kolegów w przeszłości – wybuchnąłem, nagle zaskoczony własną szczerością – ale ja się ciebie nie przestraszę.

Uścisk jego rąk na mojej szyi stał się mocniejszy.

– Wiem, co robiłeś Christopherowi Davidsonowi.

Wyglądał, jakby go to zmroziło.

– Doprowadziłeś go do samobójstwa.

Szczęka mu opadła.

– A przedtem jego ojca.

– O czym pan mówi? – powiedział cicho, a jego uścisk zelżał.

– Dziennik Christophera. Przeczytałem go w całości. Wszystko w nim jest. Wszystko, co robiłeś.

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym pan gadasz – odparł, ale było jasne, że moje słowa zrobiły na nim wrażenie.

Kiedy mnie puścił, jego wspaniała postać zaczęła się kurczyć na moich oczach. Przygarbił się, pierś mu się zapadła, a nogi wyglądały, jakby za chwilę miały się ugiąć. Pozbawiłem go woli walki paroma błahymi słowami, kilkoma zdaniem o czymś, co wydarzyło się wiele lat wcześniej.

– Posłuchaj pan, wszystko źle pan zrozumiał.

– Nieprawda. Właśnie taka wersja jest w dowodach, które Chris zostawił. I jeden Pan Bóg wie, co zrobiłeś pozostałym chłopcom.

– Nie! – krzyknął, ale zaraz potem dodał spokojnym głosem: – Nie, naprawdę, wcale nie było tak, jak pan myślisz. Zupełnie nie.

W tym momencie usłyszeliśmy odgłos zatraskiwanych drzwi opactwa, a potem ciche kroki.

– Nie możemy tu rozmawiać – rzekł, rozglądając się wokół. – Nie byłem na wieży od lat, ale chyba mam do niej klucz. Na górze będziemy mieli spokój, nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Z kieszeni spodni od dresu wyjął okazały pęk kluczy, przerzucał je, aż znalazł niewielki kluczyczek, podobny do tego, jakim Crace otwierał swoją skrzynkę na listy.

– Tak, mam go. Chodź pan za mną.

Podniosłem zeszyt i ruszyłem za nim z powrotem w kierunku chóru. Przy wystawie odciągnął starą czarną zasłonę z aksamitu, za którą znajdowały się wąskie kamienne schody odgradzone od wnętrza kościoła drewnianą kratownicą zamkniętą na kłódkę. Levenson otworzył kluczem liche drzwi, zrobione z cienkich, zbitych na krzyż deszczulek, i zaczął wchodzić po schodach prowadzących na wieżę.

Po pewnym wahaniu poszedłem za nim, gładząc palcami chropowate kamienie ściany i zbierający się tam od stuleci kurz. Po kilku zakrętach ciągu schodów światło z dołu zanikło, po kilku następnych zapanowała prawie nieprzenikniona ciemność.

– Niech się pan nie boi i po prostu idzie za mną – odezwał się Levenson.

W znalezieniu drogi pomagałem sobie obiema rękami, od czasu do czasu obijając kostki o twarde kamienie. Usłyszałem jakieś skrzypnięcie i ciężki oddech Levensona próbującego podnieść drewnianą kłapę.

Na szczycie schodów dostrzegłem słabe szare światło i poczułem ukłucie zimnego wiatru.

– Tędy – powiedział. – Proszę. Pomogę.

Opuścił wielgachne stwardniałe dłonie i wciągnął mnie przez właz, a potem na zewnątrz, na dach. Opał na plecy, ciężko dysząc. Ja zaś wstałem i zacząłem iść po dachu, stawiając tym krótsze kroki, im byłem bliżej krawędzi. Spojrzałem na dziedziniec na dole, ale szybko cofnąłem się, bo poczułem zawroty głowy. W oddali widać było wzgórze pokryte drzewami, oświetlane ostatnimi promieniami gasnącego słońca, ścieżkę prowadzącą ze szkoły do miasteczka, wyraźnie odcinającą się od krajobrazu, i znacznie bliżej kilka grupek uczniów wolno poruszających się po trawie niczym czarne robaki rozpełzające się po murawie.

– Myślę, że zanim zaczniemy, należy mi się od pana wyjaśnienie – odezwał się Levenson. – Czy powie mi pan, do czego naprawdę pan zmierza?

– Nie rozumiem.

– Przecież to jasne, że w rzeczywistości gównu pana obchodzi cały ten chłam dotyczący sztuki.

Milczałem przez dłuższą chwilę. A potem postanowiłem zaryzykować i wyjawić mu prawdę.

– Dobrze więc, piszę książkę, rodzaj biografii Crace’a.

– Na pańskim miejscu byłbym wyjątkowo ostrożny.

– Dlaczego?

– Nie ma pan lustra?

Nie zareagowałem.

– Czy to nie jest oczywiste? Chodzi mi o to, że pan i Davidson moglibyście być braćmi.

– I co z tego? To prawdopodobnie zwykły zbieg okoliczności.

– Mam wrażenie, że niezupełnie. Na pańskim miejscu uważałbym na siebie. To mi się wydaje co najmniej dziwne.

– Będę o tym pamiętał, panie Levenson. Ale pan chyba nie ma powodów do niepokoju.

Wziął głęboki wdech.

– Crace... uważa pan więc, że on zasługuje na książkę, prawda?

– Oczywiście. Jego życie można spokojnie określić jako całkiem barwne.

– Faktycznie, barwne – powiedział z wyraźnym szyderstwem w głosie.

– Prosiłbym jednak, żeby zachował pan dla siebie informację, że piszę taką książkę. Nie chciałbym, żeby ta wiadomość się rozeszła. Podobnie jak pan wołałby, żeby dyrektor i rodzice nie dowiedzieli się o pańskiej przeszłości.

– Nie mam nic wspólnego ze śmiercią tych chłopaków – rzekł, a w jego głosie ponownie słychać było złość. – Absolutnie nic. Przyznaję, znęcałem się nad Davidsonem, głupim maminsynkiem. I jego żalonym ojczulkiem. Ale skąd mogłem wiedzieć, że miał depresję? Dla mnie... i dla reszty chłopaków... był po prostu kolejnym nieudolnym, beznadziejnym nauczycielem, który nie potrafił zapanować nad klasą. Nie byłem jedyny.

– Więc przyznaje się pan do znęcania?

– Cóż... tak... ale tylko kiedy byłem jeszcze chłopcem. To było głupie, bezsensowne i okrutne... ale tak, teraz tego oczywiście żałuję. Nie potrafi pan sobie wyobrazić, co czułem, kiedy dowiedziałem się, że pan Davidson się zabił. Dyrektor powiedział wszystkim, że to był wypadek, broń sama wypaliła, ale my z Jamesonem znaleźliśmy prawdę. Wbrew temu, co pan sobie o mnie pomyśli – wbrew temu, co Davidson mógł

napisać w swoim dzienniku – nie jestem potworem. Byłem kompletnie zdruzgotany. Tak, usiłowałem to ukryć, może nawet zgrywałem się na większego twardego, niż byłem w rzeczywistości, ale w środku zupełnie się załamane, zwłaszcza kiedy... kiedy...

Levenson zakasłał, żeby oczyścić gardło.

– Tak?

– Kiedy przypominałem sobie, że on nas widział, mnie i Jamesona, jak nieśliśmy kukłę, tę do spalenia, Guya Fawkesa, do pokoju woźnego. Wyszedł z sali muzycznej i zobaczył... zobaczył, że ubraliśmy ją w jego marynarkę. Zabraliśmy ją z oparcia krzesła, nawet się nie zorientował. Pomyśleliśmy, że się wścieknie, zacznie wrzeszczeć, ale on po prostu wrócił spokojnie do środka i zamknął za sobą drzwi. Wydawało nam się wtedy, że to było przekomiczne, nie mogliśmy przestać się śmiać, gratulowaliśmy sobie wspaniałego psikusa – do czasu, rzecz jasna, gdy dowiedzieliśmy się, co się stało później.

Umilkł i spuścił wzrok zawstydzony.

– Rozumiem – powiedziałem.

– Potem naprawdę starałem się być miły dla Davidsona. No, może niezupełnie miły, ale przynajmniej nie taki, jaki byłem wcześniej. To znaczy chociaż nie byłem zbyt bystry, spotykaliśmy się w stowarzyszeniu dyskusyjnym...

– Chwileczkę. O to właśnie chciałbym pana zapytać.

– Proszę.

– Wiedział pan, że pomysł Crace'a, pomysł na powieść, pochodził od pana?

– Nie rozumiem.

– Zgodnie z tym, co Chris napisał w dzienniku, byliście w klasie i rozmawialiście o... o demokracji, jeśli dobrze pamiętam, mam rację?

Słowa płynęły ze mnie jednym ciągiem, niemal za szybko, bym mógł

poprawnie je wymawiać.

– To musiał być pana pierwszy udział w ich spotkaniach, po tym jak Crace przyłapał pana na znęcaniu się nad Chrisem na korytarzu – kontynuowałem. – A pan powiedział, że ma świetny pomysł na temat do dyskusji – że powinniście przegłosować zabicie dyrektora szkoły. A Crace pana słyszał, zapisał to w notesie, i ten właśnie pomysł stał się fundamentem jego książki.

Wyglądał na zaskoczonego i skonsternowanego.

– Tak naprawdę zupełnie tego nie pamiętam, to było tak dawno temu. Ale nawet jeśli tak, niech mu będzie na zdrowie. Przynajmniej nie wykorzystał mnie w inny sposób.

– Słucham?

Wiedziałem, co miał zamiar powiedzieć.

– To z tego powodu tamci chłopcy się zabili. Davidson też przez to popełnił samobójstwo. Chodziło o to samo. Mówię to do pana wiadomości. A co pan z tym zrobi, to już pańska sprawa. Może pan to napisać w swojej książce albo nie, gównu mnie to obchodzi. Pod jednym warunkiem: że nie wymieni pan mojego nazwiska. Okej?

Potwierdziłem skinieniem głowy.

– W porządku – powiedział, biorąc głęboki wdech. – Zawracał im głowę. Rozumie pan, molestował czy jak to pan nazwie. Starannie wybierał chłopców. Zawsze określony typ – pan pewnie określiliby ich jako wrażliwych. Najwyraźniej dobrze wiedział, że ze mną to nie przejdzie.

Wszystko zaczynało nabierać sensu – strasznego, obrzydliwego sensu.

– Wiedział pan wtedy o tym?

– Och, Boże, nie. Oczywiście, że nie. Nikt z nas nie wiedział. To wyszło na jaw później, znacznie później.

– Jak się pan o tym dowiedział?

– Od Knowlesa. Powiedział mi, przez co przeszedł, tuż przed... przed

śmiercią. Utrzymywaliśmy kontakt po skończeniu szkoły. Poszedł na uniwersytet, a ja usiłowałem zarabiać na życie grą w rugby. Nie wiem, czy przez zbyt wiele zranień, czy za mało złamań, cokolwiek było powodem, nigdy mi się to jednak nie udało i dlatego właśnie ostatecznie wyłądowałem z powrotem tutaj. W każdym razie spotkaliśmy się w pubie w Londynie, strasznie się upił, obaj zresztą się zalaliśmy, i wtedy wszystko z siebie wyrzucił. Początkowo myślałem, że się zgrywał, ale zalewał się łzami, jakby przeżywał rodzaj załamania. Jego widok w takim stanie był przerażający. Mówił, że usiłował o tym zapomnieć, i zdaje się, że przez kilka lat udawało mu się to, ale zaczął chodzić z dziewczyną z college'u i wtedy wszystkie wspomnienia wróciły.

Próbowałem mu pomóc, jak umialem najlepiej, ale wkrótce potem... właśnie wtedy dowiedziałem się, że odebrał sobie życie.

– To straszne – powiedziałem.

– Tak, to straszne. I wszystko przez tego gnoja Crace'a.

Wymówił to nazwisko, jakby było trucizną.

– Po śmierci Knowlesa nie myślałem już o tym więcej, aż usłyszałem, że Ward się zabił, a Fletcher po nim prawie dziesięć lat później. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wszyscy ci chłopcy byli w tym pierdzielonym stowarzyszeniu dyskusyjnym Crace'a. Do dziś nie mogę uwierzyć, że żaden z nas się nie zorientował. Działo się to prawie na naszych oczach, a my, kurwa, nic nie wiedzieliśmy.

– Od czego się zaczęło, to znaczy z Knowlesem?

– Powiedział mi, że Crace traktował go, jakby był jego ulubionym uczniem, zachęcał do nauki, dawał dodatkowe lekcje, obiecywał wspaniałe rzeczy, że pójdzie do Oksfordu, a pewnego dnia może nawet zostanie sławnym pisarzem. I podobne brednie! Ale prawdziwe intencje Crace'a były zupełnie inne. Knowles powiedział mi, że po śmierci Davidsona wpadał w coraz większą depresję. Oni dwaj, Chris i Matthew,

zaprzyjaźnili się bardzo w czasie spotkań stowarzyszenia dyskusyjnego, ale Knowles nie miał zielonego pojęcia, co działo się między Davidsonem a Crace'em. Tamtego wieczora, kiedy się upił, powiedział mi wszystko, mówił, że najgorsze było to, że przestał się czuć kimś wyjątkowym. Knowles znienawidził Crace'a za to, co mu zrobił, ale przyznał mi się, że jeszcze bardziej pogardzał nim za to, że go zdradził. Można się, kurwa, porzygać, mam rację?

– Czy wspomniał coś o Chrisie? O tym, jak umarł?

– Nie, prawie wcale, poza tym, że po pogrzebie Chrisa Knowles poszedł zobaczyć się z jego matką. W czasie rozmowy zapytał ją, czy domyślała się, co spowodowało, że jej syn odebrał sobie życie. Była oczywiście w fatalnym stanie – dobry Boże, biedna kobiecina – i nie chciała o tym mówić. Ale powtarzała w kółko jedno zdanie: „Jego życie nie należało już do niego”. Pierdzielony zboczeniec! Jasne, zawsze uważałem Davidsona za mazgaja, ale żeby zrobić mu coś takiego...

Podszedł do krawędzi dachu, przykucnął i jakby chcąc oczyścić usta, splunął w ciemność.

– Chyba już dość się nagadałem. – Podniósł się z wysiłkiem i obrócił, gotów do odejścia. – I niech pan pamięta moją radę – ostrożności nigdy za wiele.

W chwili gdy moja głowa zetknęła się z wodą, poczułem natychmiastowy powrót bólu. Zignorowałem pulsowanie, wrażenie pieczenia i wyciągnąłem się wygodnie w wannie. Hałas dochodzący z pubu na dole, pobrzękiwanie szkła, sporadyczne głośne wrzaski jednego z klientów ucichły, gdy zniknąłem pod wodą. Zamknąłem oczy i wsłuchałem się w bicie własnego serca, w szybki, nieregularny rytm.

W zasadzie trudno byłoby powiedzieć, że polubiłem Crace'a, ale zaczynał mnie co najmniej bawić. Do tej pory szanowałem jego osiągnięcia, podziwiałem go za czystość wizji, zachwycąłem się jego zdolnością do nadawania silnym, zdefiniowanym indywidualnościami własnego rysu, nawet jeśli był trochę specyficzny. Ale teraz – co teraz o nim myślałem? Odkrycie, że przyjął mnie do pracy, bo przypominałem mu Chrisa, to było jedno; dowiedzenie się zaś, że molestował wielu chłopców, to już zupełnie inna sprawa. Sama myśl o tym, że mieszkałem z nim pod jednym dachem przez lato, sprawiła, że zrobiło mi się niedobrze. Wyobrazenie go sobie, jak patrzy na mnie swymi gadzimi oczkami, jakby śledził ofiarę, napawało mnie obrzydzeniem. Sposób, w jaki mnie dotykał, jego kościste starcze palce przesuwające się po mojej szyi, gładzące mnie po ramieniu. Levenson miał rację Crace był podzielonym zbrojnym.

Widziałem oczyma duszy obraz Crace'a i młodzieńczego chłopaka o jasnych włosach. Crace trzyma go w żelaznym uścisku za ramiona i zmusza, by szeroko rozstawił nogi. Chłopak próbuje krzyczeć, ale Crace zakrywa mu usta ręką. Przyjrzałem się dokładniej twarzy chłopca. Wyglądał jak ja.

Wynurzyłem się z wody, niemal się dusząc z braku powietrza. Śniłem na jawie, to wszystko, ale wydawało mi się to takie realne. Szybko się namydliłem i opłukałem, a potem umyłem głowę. Wycierając się jednym z wilgotnych ręczników, które dała mi właścicielka, zauważyłem, że skórę

pokrywają mi szare, przypominające pajęczynę cieniutkie włosy. Cały ręcznik był utyłany w psiej sierści. Komiczny surrealizm tej niespodzianki poprawił mi humor na kilka minut, do chwili gdy przypomniałem sobie, że tak naprawdę nie mam wielu powodów do śmiechu. Pisałem biografię kogoś, kto nie miał zielonego pojęcia o moich zamiarach, kogoś, kto mógł sprawić mi masę problemów, gdyby się o tym dowiedział. Obiekt moich zainteresowań był nie tylko człowiekiem psychicznie niezrównoważonym, ale również przestępcą odpowiedzialnym za molestowanie seksualne, w wyniku którego nie żyło kilku jego byłych uczniów. A jaka była najbardziej przerażająca perspektywa? No cóż, za kilka dni miałem wrócić do *palazzo*.

Usiadłem na brzegu wanny, ponownie ogarnięty niepokojem, zrobiło mi się słabo. Co by się stało, gdybym dał sobie z tym wszystkim spokój? W końcu jak do tej pory poszukiwania sprowadziły na mnie jedynie kłopoty. Wpakowałem się w kilka sytuacji, które wymagały ode mnie ogromnej koncentracji i szybkiego myślenia, żebym nie zdradził się ze swoim planem. Pomyślałem o błahym w sumie incydencie z Shawem, przypomniałem sobie o tym, czego niemal się dopuściłem. Znałem swój życiorys i własne możliwości, dlatego postanowiłem, że muszę unikać jakiegokolwiek formy stresu. Ale z drugiej strony co miałem zrobić?

Jeśli rzuciłbym to wszystko w diabły, uwolniłbym się od Crace'a i babrania się w jego świntuszącym, chorym umyśle na zawsze. Nie musiałbym się już przejmować wyszukiwaniem kolejnych powiązań życia mego pracodawcy z jego dziełem. Mógłbym zapomnieć o Lavinii Maddon i jej potężnych wpływach w świecie wydawniczym. Nie zaprzętałbym sobie głowy czekaniem na śmierć Crace'a, żeby opublikowanie książki stało się możliwe, ponieważ nie byłoby żadnej książki.

Żadnej książki? Tego nie potrafiłem sobie wyobrazić. W końcu byłem pisarzem. Już od dziecka nigdy nie marzyłem o innym zajęciu. Nosilem w

sobie takie głębokie przekonanie. Pisarstwo stanowiło o moim jestestwie. Gdybym go poniechał, byłoby tak, jakbym nigdy nie istniał. Musiałem to ciągnąć. Spoczywał na mnie obowiązek powiedzenia prawdy o tym, co Crace zrobił tym chłopcom. Sam przed sobą byłem za to odpowiedzialny.

Po śniadaniu zadzwoniłem do Lavinii i umówiłem się z nią. Mieliśmy się spotkać po jej wizycie u dyrektora. Byłem na sto procent pewny, że chciała jak najszybciej się rozłączyć, ale mnie bawiła myśl o przeciągnięciu naszej rozmowy.

– Nadal wprost nie mogę uwierzyć, że jesteś tu w tym samym czasie co ja – powiedziałem. – Właściwie to aż nieprawdopodobny zbieg okoliczności, prawda?

– Tak, zgadzam się z tobą.

– Fascynujące. Rzeczywiście. Zastanawiam się, czym zaowocuje twoje spotkanie z dyrektorem.

– Rozumiem. Opowiem ci o nim ze szczegółami, kiedy się zobaczymy. A teraz powinnam...

– Jestem przekonany, że twoja pracowitość zrobi spore wrażenie na panu Gordonie.

– Możesz wyrażać się jaśniej?

– Kiedy mu powiem, że wykonałaś tyle pracy przy odnajdywaniu śladów jego przeszłości, żeby mi pomóc. Chodzi mi o to, że wszystko wyglądałoby tak, jakbyś robiła to dla mnie.

– Naprawdę chcę być pomocna.

– Bardzo pomocna, to prawda. Pan Crace będzie zachwycony. I jakie to uprzejme z twojej strony, że chcesz również przekazać mu cały zdobyty materiał, wszystkie dokumenty, do których dotarłaś. Kiedy wrócę, gwarantuję ci, że stary przestanie mieć jakiegokolwiek wątpliwości w sprawie wyboru idealnego biografy, jednym słowem ciebie.

– Tak, dziękuję, ja...

– Czy może masz je przypadkiem ze sobą?

– Co mam ze sobą?

– Materiały dotyczące pana Crace'a, o których rozmawialiśmy?

– Rzeczywiście mam kilka dokumentów, parę notatek. Przeglądałam je dzisiaj rano w hotelu.

– Cudownie. Jeszcze jedno – tak mi przyszło do głowy – czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy spotkali się właśnie w tym hotelu po twoich odwiedzinach w szkole?

– Cóż... ja...

– Chodzi o to, że łatwiej ci będzie pokazać mi, co masz. Oszczędzisz sobie dźwigania wszystkiego do dyrektora.

– Ach, rozumiem...

Wiła się jak na rozżarzonych węglach, a mnie sprawiało to przyjemność. Gdybym jeszcze mógł widzieć jej twarz, kiedy zmagala się z tą sytuacją.

– Jeśli uważasz, że to nie najlepszy pomysł, jeśli zmieniłaś zdanie, nie ma sprawy, powiem...

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Zaskoczyłeś mnie, to wszystko. Nie byłam na to przygotowana. Nie zdawałam sobie sprawy, że zechcesz mieć je tak szybko. Widzisz, niczego jeszcze nie skserowałam.

– Nieważne. Wystarczy, że na nie zerknę i wezmę niektóre do punktu ksero. Nie ma powodu, żebyś ponosiła w związku z tym jeszcze jakieś koszty. Pan Crace z przyjemnością za wszystko zapłaci. Ostatecznie wyświadczasz mu ogromną przysługę.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Tak, świetnie – odezwała się wreszcie, wyraźnie zdenerwowana. – Przepraszam, ale naprawdę muszę iść.

– W takim razie do zobaczenia w Hazelbury Manor o wpół do drugiej. Może zjedlibyśmy razem lunch? Pan Crace funduje.

– Tak, tak. Zatem do widzenia.

Ranek spędziłem na robieniu notatek w zeszycie i pracy nad własnym wyglądem, żeby jako tak prezentować się na lunchu z Lavinią. Udało mi się przekonać właścicielkę pubu do pożyczenia mi żelazka i deski do prasowania, dzięki czemu mogłem odświeżyć lnianą marynarkę. Za pomocą papierowych ręczników, znalezionych w łazience, wyczyściłem buty. Włożyłem czystą białą koszulę, we włosy wtarłem trochę żelu. Tył głowy nadal mnie pobolewał, na ranie zaczął się już tworzyć strup, ale w lustrze wyglądałem całkiem do rzeczy, przyzwoicie, przedstawiałem sobą obraz młodego i dobrze zapowiadającego się pisarza.

Od właścicielki dowiedziałem się, że jedzie się tam zwykle około pół godziny, dlatego na trzynastą zamówiłem taksówkę, która miała mnie zawieźć do Hazelbury Manor. Wyszedłem z pubu na zalaną słońcem ulicę. Był to jeden z cudownych, słonecznych i rześkich jesiennych dni. Choć wszystko obumierało w corocznym cyklu pór roku i liście gnily na ziemi, wydawało się, że jest nadzieja na nowy początek. Miałem poczucie, że mogę dokonać wszystkiego, co zechcę, i nic nie może mi w tym przeszkodzić. Wbrew moim wątpliwościom, lękom i niepokojom byłem pewny, że postępuję słusznie.

Taksówka powiozła mnie obok szkoły i przez otwarte pola, skąd rozciągał się widok na dolinę. Przez gałęzie olbrzymich rododendronów porastających pobocza biegnącej zygzakiem szosy udało mi się dostrzec w oddali biały budynek. Taksówka skręciła w bok, zjeżdżając na drogę, która do niego prowadziła. Moim oczom ukazała się wspaniała klasyczna willa z późniejszą, prawdopodobnie wiktoriańską, dobudówką z tyłu. W miarę jak samochód zbliżał się do hotelu, coraz wyraźniej widziałem przez wysokie okna na froncie wielu zamożnych gości popijających kawę w bawialni. Parking zapełniały bmw, mercedesy, saaby i audi. Dostrzegłem nawet butelkowiezilonego bentleya. Już na pierwszy rzut oka widać było

różnice, jakie dzieliły to miejsce od pubu, w którym się zatrzymałem, z niskimi sufitami, zeszlými trupami much, pajęczynami i ręcznikami z psią sierścią. Musiałem oddać jej sprawiedliwość. Lavinia wiedziała, jak żyć z klasą.

Zastanawiałem się, skąd brała na to wszystko pieniądze. Chyba nie tylko z pisania? Czy była mężatką? Może miała bogatego kochanka? Zamożnego bankiera albo szefa muzeum narodowego. Czy miała dzieci? Przenikliwie inteligentne – młodzi mężczyźni i kobiety, mniej więcej w moim wieku, jak przypuszczałem, którzy pokończywszy Oxbridge*, bez trudu znaleźli dobre posady, a może stali się bliżsi cyganerii, wzgardzili dobrami materialnymi, wybierając rozwój własnych talentów jako muzycy, malarze, fotograficy. Oczywiście z pomocą Lavinii mogli robić, na co im przyszła ochota.

* Oxbridge – wspólna nazwa dla uczelni w Oksfordzie i Cambridge.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak mało o niej wiem. To musiało się zmienić.

Zapłaciłem taksówkarzowi i zwirową ścieżką ruszyłem do głównego wejścia, przy którym po obu stronach rosły nieskazitelnie przycięte wawrzyny. Otworzyłem drzwi prowadzące do holu wyłożonego drewnianą boazerią i podszedłem do recepcji, gdzie ładna, wypoczęta blondynka siedziała, czytając jakiś magazyn.

– Dzień dobry panu – odezwała się, podnosząc wzrok znad gazety. – Mogę w czymś pomóc?

– Dzień dobry. Tak, mam się tu spotkać z jednym z państwa gości, ale wydaje mi się... – powiedziałem, patrząc na zegarek – ...że zjawiłem się trochę za wcześnie.

– Czy może mi pan podać nazwisko gościa?

– Maddon. Lavinia Maddon.

Uśmiechnęła się i powiedziała, że zadzwoni do niej do pokoju.

Nikt nie podnosił słuchawki. Lavinia nadal była pewnie u dyrektora szkoły albo właśnie od niego wracała. Zastanawiałem się, co pan Peters jej powiedział. Czy w ogóle o mnie wspomniał? A może ona mu coś napomknęła o mnie? Dopóki jednak Levenson będzie trzymał głębę na kłódkę i nie zdradzi niczego żadnemu z nich, nic mi nie groziło. A on nie wyglądał na człowieka, który chciałby jeszcze z kimś rozmawiać o tej sprawie.

– Przykro mi, ale nie ma jej w pokoju, proszę pana. Może zechce pan zostawić dla niej wiadomość?

– Miałem nadzieję, że zjem tu z nią lunch.

– Ależ tak, oczywiście. Zadzwońię do restauracji i zarezerwuję stolik. Dla dwóch osób?

– Tak, bardzo proszę, dla dwóch.

Powiedziała mi, że mogę przejść do baru i tam zaczekać. Obiecała, że jak tylko pani Maddon wróci do hotelu, przekaże jej, gdzie ma mnie szukać.

W barze – gdzie kłębił się spory tłumek ludzi wyglądających na przedstawicieli handlowych lub pracowników agencji reklamowych – zamówiłem u barmana kieliszek sancerre i usiadłem przy oknie. Byłem spokojny o przebieg spotkania z Lavinia, ale uznałem, że trochę więcej pewności siebie nie zaszkodzi. Upiłem łyk wytrawnego wina o kredowym posmaku, potem kolejny, a następnie wykończyłem duszkiem cały kieliszek. Poprosiłem barmana o drugi. Byłem w połowie kieliszka, kiedy weszła Lavinia.

– Witaj, Lavinio, jak to miło znowu cię widzieć – powiedziałem, podnosząc się i wyciągając rękę.

– Tak, mnie również – odparła.

– Pozwól, że zaproponuję ci drinka. Czego się napijesz?

– Cóż, jest chyba trochę za wcześnie na...

– Mamy przecież powód do świętowania, prawda?

– Nie bardzo rozumiem.

– Zamówię ci drinka, a potem wyjaśnię, dobrze?

Wyglądała na trochę zdenerwowaną, uśmiechnęła się słabo i ustąpiła.

– Ja także napiję się białego wina. Dziękuję.

Zamówiłem w barze butelkę sancerre. Wracając, przystanęłam i przyjrzałam się Lavinii. Wszystko w niej wydawało się bliskie doskonałości. Ciemne włosy były gładko uczesane i lśniące. Jej szara wełniana garsonka miała świetny krój, bez wątpienia należała do drogich. Podchodząc do niej od tyłu, poczułem zapach perfum, lekki, klasyczny, zobaczyłem też, że pisała coś maleńkim złotym ołówkiem w małym oprawionym w czarną skórę notesie, w tym samym notesie, którym posługiwała się w trakcie rozmowy z Jennifer Johnson w dawnym domu Crace’a w Bloomsbury. Zmrużyłem oczy w nadziei, że uda mi się coś przeczytać, ale jej pismo okazało się tak małe, że graniczyło to z niemożliwością.

– Wino zaraz nam przyniosą – powiedziałem, siadając i uśmiechając się. – Spotkanie było owocne? Z panem Petersem?

– Och tak, całkiem interesujące – odrzekła, wkładając notes do czarnej skórzanej torebki. – Oczywiście nie znał pana Crace’a osobiście, ale opowiedział mi sporo o tym, jak dawniej było w tej szkole, podał nazwiska ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać, ludzi mogących znać pana Crace’a.

– Naprawdę? – Musiałem ukryć moje zdumienie. – Kogo na przykład?

– Byłych nauczycieli, absolwentów i tym podobnych. Jestem jednak pewna, że wiesz równie dużo jak ja.

O co jej chodziło? Czyżby mnie przejrzała?

– Może śmiesznie to zabrzmiało, ale pan Crace nie jest wylewny również przede mną. Zachowuje się tajemniczo nawet wobec mnie.

– W to akurat trudno mi uwierzyć – powiedziała, śmiejąc się. – Przecież z nim mieszkasz.

– Wiem, ale...

W tym momencie zjawił się kelner z winem i dwoma kieliszkami. Otworzył butelkę i zapytał, czy chciałbym spróbować.

– Proszę, Lavinio, spróbujesz?

Kelner podał jej kieliszek z odrobiną wina. Lavinia zakołysała kieliszkiem, a potem podsunęła go sobie pod nos. Jej nozdrza rozszerzyły się kilkakrotnie.

– Tak, bardzo dobre, dziękuję. – Odstawiła kieliszek na stół. Kelner nalał wino do kieliszków i odszedł. – Wspominałeś coś o świętowaniu?

– Oczywiście, bo jest co świętować – zacząłem. – Rozmawiałem z Gordonem – panem Crace'em – dziś rano i opowiedziałem mu o tobie trochę więcej. On zaś podjął ostateczną decyzję. Masz tę robotę.

Jej wcześniejsza oziębłość wyparowała w jednej chwili.

– Niemożliwe? – powiedziała, uśmiechając się. – To naprawdę powód do świętowania.

Wziąłem do ręki kieliszek.

– Zatem wypijmy za ciebie i twoją książkę. Jestem pewny, że będzie fascynująca. Pomyślności!

– Na zdrowie! I dziękuję ci za pomoc. Nie udałoby mi się bez ciebie. Okazałeś się absolutnie nieoceniony.

– Nie, to nie tak. Jestem bardzo zadowolony, że pan Crace znalazł właściwą osobę do tego zadania.

Kiedy szliśmy na lunch, Lavinia była w znakomitym nastroju, mówiła o uldze, jaką poczuła, kiedy dowiedziała się, że decyzja została ostatecznie podjęta, o tym, w jakim stresie żyła przez ostatnie miesiące. Gdy dostała mój pierwszy list, w którym napisałem jej o zdecydowanym odrzuceniu przez Crace'a propozycji napisania biografii, zaczęła

poważnie zastanawiać się nad porzuceniem tego pomysłu. Ale teraz jej wydawcy będą zadowoleni, jak powiedziała. Nie mogła się doczekać, żeby ich o tym poinformować.

– Myślę, że jeśli już coś im przekażesz, najlepiej będzie, jeżeli poprosisz jednocześnie, żeby przez jakiś czas trzymali tę informację w tajemnicy – zasugerowałem, gdy zajmowaliśmy miejsca w restauracji. -Jak się domyślasz, pan Crace nie należy do ludzi, których ucieszyłoby ogłaszanie tego świata przy dźwięku fanfar i tręb. Prawdę mówiąc, stać go na zrobienie *voltafaccia*, gdyby to się wydało albo gdyby dowiedział się, że prasa o tym pisze.

– Tak, rozumiem – odparła Lavinia, rozkładając nakrochmaloną serwetkę na kolanach.

Kelner ponownie napełnił nam kieliszki. Pomyślałem, że to kolejna dobra okazja do wzniesienia toastu.

– Za twój utajniony zamiar – zaproponowałem.

Roześmiała się dziewczęco, zmarszczki wokół jej oczu przypominały delikatną krepinę.

– Za nasz utajniony zamiar – poprawiła mnie. – I dziękuję ci raz jeszcze.

– Myślałaś już o tytule? – zapytałem.

– Na to jest jeszcze za wcześnie, ale kilka brałam już pod uwagę.

– Naprawdę? Na przykład?

Chwilę milczała, wahając się.

– Jeden, który nawet mi się podoba, brzmi *Milczek*, zainspirował mnie do tego Johnson swoim *Epicene**, bo jak wiesz, bardzo interesuje mnie zbadanie fenomenu literackiego i komercyjnego sukcesu, po których następuje milczenie autora. Jest w tym oczywiście także odniesienie do książki Malcolma...

* *Epicene* (ang.) – obupłciowy, zniewieściany, hermafrodyta.

– To wspaniałe. Jestem pewny, że panu Crace’owi także się spodoba.

– Proszę, nie mów mu tego. Nie chciałabym, żeby pomyślał o mnie jak o osobie, która biegnie, zanim nauczy się chodzić, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Jasne, nie wspomnę słowem. Obiecuję, że zostanie to między nami.

Zjawił się kelner, żeby przyjąć zamówienie. Lavinia zdecydowała się na wędzonego pstrąga w sosie chrzanowym na przystawkę, a potem na doradę, podczas gdy ja wziąłem gołębia grzywacza z buraczkami, a na główne danie giez jagnięcą z groszkiem. Zamówiliśmy też drugą butelkę wina.

– Od jak dawna jesteś pisarką? – spytałem.

– Och, Boże, od ponad trzydziestu lat, tak, rachunek nie wyjdzie inaczej. Szmata czasu.

– Jak zaczynałaś? To znaczy, jak weszłaś do branży?

– Po skończeniu uniwersytetu trafiłam do redakcji niedzielnego dodatku do jednej z gazet, poświęconego literaturze. Kiedy tam pracowałam, napisałam pierwszą biografię, Constance Fenimore Woolson. Książka została dobrze przyjęta i zdobyła nawet parę nagród. To w każdym razie wystarczyło, żebym rzuciła etat i zajęła się wyłącznie pisaniem.

– Szczęście ci dopisało.

– Tak, myślę, że w zasadzie tak. Zawsze powtarzałam, że tylko do tego się nadaję.

– Kiedy wracałem z baru, zauważyłem, że korzystasz z notesu.

– A, rzeczywiście.

– Pisziesz dziennik albo...

– Nie nazwałabym tego dziennikiem, nie jest to też typowy notatnik pisarza. To raczej mój brudnopis, w którym zapisuję, z kim się spotkałam i czasami o czym rozmawialiśmy. Pierwsze wrażenia, odczucia, opis wyglądu i tym podobne rzeczy. Aspekty osoby, których nie da się utrwalić

na taśmie magnetofonowej.

– Rozumiem. Doskonały pomysł. Zabierasz go ze sobą wszędzie?

– Tak, chyba tak. Właściwie teraz to już nie nawyk, druga natura.

Notowanie wszystkiego do razu, na miejscu.

Wypiłem kilka kolejnych łyków wina i pochyliłem się ku niej.

– Więc spotkanie ze mną także opiszesz, prawda? Uśmiechnęła się, w jej szarych oczach migotały iskierki.

– Możliwe. Jeśli będę aż tak zainspirowana.

– Aha. I co takiego mogłabyś napisać? – zapytałem.

– Obawiam się, panie Adamie – powiedziała udawanym pompatycznym tonem – że to pozostanie między mną a moim notesem. Wyłącznie dla moich oczu.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie pokazujesz tego nawet mężowi? Roześmiała się.

– Zwłaszcza mężowi! – rzekła, kiedy kelner stawiał przed nią talerz.

– Prawda jednak wygląda tak, że z Ianem nie rozmawiamy od rozwodu, czyli od siedmiu lat. Bez sensu, naprawdę, po wychowaniu dwójki dzieci, po tych wszystkich latach, ale...

– Tak. A nie ma nikogo innego? Kogoś, komu...

– Jeśli usiłujesz dowiedzieć się, czy jestem samotna, to cóż, odpowiedź brzmi tak. Zdecydowanie i stanowczo. I jestem z tym szczęśliwa. A jaka jest twoja sytuacja?

– Moja?

– Tak.

– Miałem dziewczynę, Elizę, na studiach, ale to się skończyło nie całkiem przyjemnie.

– Współczuję.

– Nie, nie warto. Doszedłem już do siebie, jak mawiają. Wyrzuciłem ją z pamięci.

– To dobrze. Dobrze dla ciebie.

Lavinia ponownie zaczęła się śmiać. Tym razem zasłaniała usta serwetką.

– Przepraszam, naprawdę przepraszam – zdołała wykrztusić, machając w powietrzu dłonią w przeproszającym geście.

– O co chodzi?

– Nie mogę powiedzieć, słowo. Jestem niepoważna, to wszystko.

– Daj spokój, powiedz.

– Och, no dobrze. Ale obiecujesz, że potem nie wykorzystasz tego przeciwko mnie?

– Obiecuję.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Myślałam po prostu – sama nie wiem dlaczego – że jesteście, rozumiesz, ty i pan Crace, że jesteście...

– Nie rozumiem.

– Że jesteście parą.

– Co?

– To była tylko taka głupia myśl, głupi wymysł, nic więcej.

– Dlaczego, do licha, tak pomyślałaś?

– Nie wiem. Odnoszę jedynie wrażenie, że jesteś z nim tak blisko, bo wiele dla ciebie znaczy. I jeszcze takie drobiazgi – kiedy o nim mówisz, oczy ci się rozpromieniają. Chyba cię tym nie obraziłam, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. Nie wygłupiaj się.

– Naprawdę? Powiedziałaś mi, gdyby było inaczej?

– Tak. Ale po tym, co usłyszałem, muszę się czegoś napić.

Posłałem jej uśmiech, jednak w środku wrzałem z gniewu. Dlaczego powiedziała coś takiego? Dlaczego wszyscy tak uważają?

– A czy mogę cię zapytać, w jaki sposób zaprzyjaźniłaś się z Gordonem

Crace'em?

– Pracę u niego znalazłem właściwie przez przypadek – powiedziałem, krojąc gołębia. – Pierwotna robota – uczenie angielskiego synalka pewnej włoskiej rodziny – nie wypaliła po tym, jak ten młodzieniec narobił sobie kłopotów. Chciałem zostać w Wenecji, bo byłem wtedy owładnięty chęcią napisania powieści, której akcja miała się tam po części rozgrywać. Więc kiedy pojawiła się propozycja pracy u pana Crace'a, przyjąłem ją. Wtedy wydawało mi się, że to zajęcie idealne dla mnie.

– Rozumiem. Nie wiedziałam, że piszesz.

– Cóż, praca nad książką nie idzie mi tak, jak zaplanowałem.

Po lunchu przeszliśmy na kawę do eleganckiej bawialni usytuowanej we frontowej części budynku. Promienie słońca wpadały przez ogromne okna, nadając wszystkiemu bladą, złocistą poświatę. Kiedy przeczesalem palcami włosy, spostrzegłem, że Lavinia przygląda mi się ze zdziwionym wyrazem twarzy, oczy miała zmrużone, brwi zaś tak ściągnięte, że zdawały się dzielić jej czoło ciemną linią na dwie połowy. A potem oczy rozszerzyły się i w jednej chwili otworzyła usta.

– Nie wierzę – wyszeptwała.

– Słucham?

– Nie, to po prostu zbyt absurdalne – mówiła, nie przestając wpatrywać się we mnie ze zdumieniem. – To niemożliwe.

– Zupełnie za tobą nie nadażam. Wiedziałem dobrze, co dostrzegła.

– Dlaczego wcześniej tego nie spostrzegłam? – zapytała.

– Czego?

– Spotkałeś się kiedyś z nazwiskiem Davidson, konkretnie Christopher Davidson?

– Nie – odpowiedziałem. – A powinienem?

– I nigdy nie widziałeś jego zdjęcia?

– Nic o tym nie wiem.

– Chodź ze mną – powiedziała, odstawiając filiżankę na stolik i podnosząc się z miejsca.

– Słucham?

– Na górę. Chciałabym ci coś pokazać.

Niemal wybiegła z sali, a potem szybko ruszyła w górę po szerokich drewnianych schodach.

– Zdradzisz mi, o co ci w tym wszystkim chodzi?

Szliśmy korytarzem, na którego ścianach wisiały rysunki przedstawiające hotel i krajobrazy Dorset.

– Za minutę. Chcę ci po prostu coś pokazać.

Na końcu korytarza zaczęła szukać klucza w torebce.

– Proszę – powiedziała, zapraszając mnie do środka.

Rzuciła torebkę na szerokie łóżko, przeszła przez pokój w kierunku toaletki o trzech lustrach. Zamknąłem drzwi i ruszyłem za nią. Podeszedłem do niej i stanąłem przy lustrach. Nasze odbicia tworzyły dziwny tryptyk. Lavinia przeglądała stos papierów. Niektóre były w plastikowych koszulkach. A więc to prawda – zgromadziła całkiem sporo materiału o Gordonie, dokumentów, które mogły okazać się bardzo użyteczne.

– Wiem, że to gdzieś tu jest – oznajmiła, po raz kolejny marszcząc brwi.

– A czego szukasz?

– Tutaj, mam. – Uniosła czarno-białe zdjęcie. – Widziałeś to wcześniej? Widziałeś już to zdjęcie?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Nie widzisz?

– Czego nie widzę?

– Ty i on. Moglibyście uchodzić za bliźniaków.

Wziąłem od niej fotografię i udawałem, że się jej przyglądam.

– Przyszaję, że istnieje jakiś rodzaj powierzchownego podobieństwa.

– Nie, to coś więcej. W określonym świetle wyglądacie identycznie. A kiedy przeczesywałeś ręką włosy...

– I co z tego? Kto to jest?

– To Christopher Davidson. Kochanek Gordona Crace’a.

Dałem z siebie wszystko, żeby wyglądać na zaszokowanego.

– Och, mój Boże – powiedziałem. – Tak, teraz rozumiem, co miałaś na myśli. Ale...

– No właśnie. Dlaczego Gordon Crace cię wybrał?

– Co się z nim stało? Z tym Davidsonem?

– Nie żyje. Popęłnił samobójstwo w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym.

Nie odezwałem się słowem, nie przestając wpatrywać się w zdjęcie.

– Myślisz, że powinieneś wyjawić mu ten fakt? – zapytała.

– Nie wiem. To jest takie dziwne. Niepokojące.

– O tak, to mogę sobie wyobrazić – powiedziała, zagryzając kącik ust.

– Czy twoim zdaniem on jest zupełnie uczciwy wobec ciebie?

– Kiedy się nad tym zastanowię, nie, nie wydaje mi się. – Wskazałem na fotografię. – Ale to nie mieści mi się w głowie.

– Radziłabym, żebyś sobie wszystko przemyślał. Potrzeba ci trochę czasu.

Wzięłem głęboki wdech. Chciałem, by odniosła wrażenie, że głośno myślę.

– Chociaż to bardzo dziwne, jestem pewny, że można to jakoś logicznie wytłumaczyć. Na pewno. Poza tym, szczerze mówiąc, i tak muszę wrócić do Wenecji. Chciałbym zabrać się do pisania powieści.

– I co zrobisz?

– Tymczasem wrócę do pana Crace’a i nic mu nie powiem.

– Jesteś pewny? Nie chciałabym, żebyś to robił tylko ze względu na mnie.

– Nie, nie, jestem święcie przekonany, że właśnie tak powinienem postąpić. Zresztą nie stać mnie na to, żeby nie wrócić.

– A co powiesz o Christopherze Davidsonie?

– Nic. Zatrzymam to dla siebie. Mimo wszystko prywatne życie pana Crace’a to nie mój interes, prawda?

Lavinia usiadła na łóżku i przeczesała palcami włosy.

– To szlachetnie z twojej strony. Widzisz, sama nie jestem pewna, jak bym zareagowała, gdybym znalazła się na twoim miejscu.

– Najlepiej w ogóle o tym nie myśleć, zawsze wyznawałem taką

filozofię – powiedziałem, rozglądając się po pokoju. – A ponieważ wracam, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym zabrał ze sobą kilka kserokopii, o których rozmawialiśmy.

– Och tak, oczywiście.

Wstała i ponownie podeszła do toaletki, gdzie zaczęła przeglądać papiery.

– Które z nich, mówiłeś, będą potrzebne?

– Myślę, że pan Crace wspominał, że brakuje mu dokumentów w rodzaju aktu urodzenia, zapisów genealogicznych, rzeczy, o których mówi, że pomogą mu ustalić własne miejsce na ziemi.

– Tutaj powinieneś znaleźć kilka dokumentów.

Podala mi plastikową teczkę, wyrzuszoną od papierowej zawartości. Wewnątrz znalazłem akt urodzenia Crace'a, dużą kartkę A3 złożoną na pół, na której ktoś wyrysował pajęczynę rodzinnego drzewa genealogicznego, a potem dopisał na maszynie uwagi o dzieciństwie Crace'a w Edynburgu, w tym o szkole, gdzie jego ojciec uczył kiedyś przedmiotów ścisłych.

– Dziękuję. Pan Crace uzna to na pewno za bardzo przydatne. I...

– Tak?

– Czy udało ci się zrobić konspekt, o którym rozmawialiśmy?

– Och, teraz, kiedy pan Crace podjął decyzję, chyba nie będzie już potrzebny.

– Jestem przekonany, że znacznie lepiej się poczuje, jeśli go przeczyta.

– Boję się, że w tej chwili nie mogę ci dać czegoś takiego.

– Nie ma sprawy. Zrobię z tego ksero i może jak będę ci oddawał oryginały, miałabyś już przygotowany konspekt. Nie wolno mi zostawiać pana Crace'a samego na zbyt długo.

– Umowa stoi – powiedziała, odprowadzając mnie do drzwi. – Jeszcze raz wielkie dzięki za lunch, Adamie, było bardzo miło.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Kiedy otworzyłem drzwi i obróciłem się, żeby powiedzieć do widzenia, Lavinia zrobiła krok do przodu i pocałowała mnie lekko w policzek. Pachniała fuksjami, tym samym słodkim zapachem, jaki czułem od signory Gondolini, kiedy pierwszy raz usłyszałem nazwisko Crace'a.

– Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko.

Wydawało się jej, że jest taka sprytna. Myślała pewnie, że owinęła mnie sobie wokół palca. Wyobraziłem ją sobie w pokoju hotelowym, siedzącą spokojnie i uśmiechającą się do siebie, podwójnie zadowoloną, bo miała na co czekać i dużo osiągnęła. Nie tylko uwierzyła, że będzie pisać biografię Crace'a, że została zaakceptowana przez samego pisarza samotnika, ale uważała też, iż to ona dostrzegła podobieństwo między Christopherem Davidsonem i mną, a przez to dotarło do niej nareszcie, że obiekt jej badań jest bardziej zagadkowy – co może oznaczać większy sukces komercyjny – niż początkowo myślała.

Wszystkie bzdury, które mi opowiadała, były obliczone na odwrócenie mojej uwagi, żebym nie odniósł wrażenia, że wywiera na mnie naciski. Zastanawiałem się, co by powiedziała, gdybym skrewił i odmówił powrotu do Wenecji. W tej chwili niemal żałowałem, że nie odegrałem tak tej sceny, jedynie po to, by zobaczyć jej reakcję.

Prawda zaś była taka, że postępowała zgodnie z moimi życzeniami. Przekazała mi wszystkie informacje, jakich potrzebowałem – o datach, miejscach, kontekstach. Dodatkowo miałem dokumenty rodzinne i wyniki podstawowych badań biograficznych, o jakich mogłem jedynie marzyć. W połączeniu z moimi obserwacjami z pierwszej ręki, doświadczeniem wynikającym z mieszkania z Crace'em na co dzień i dowodami od Levensona, książka zaczynała nabierać kształtu.

Z powrotem w pubie, gdzie się zatrzymałem, ścisnąłem w spoczonej dłoni garść monet jednofuntowych, wziąłem głęboki wdech i wystukałem numer mojej starej komórki, zapobiegliwie jednak poprzedziłem go prefiksem 141, żeby nie wiedział, skąd dzwonię. Wiedziałem, że może minąć trochę czasu, zanim Crace podniesie się z fotela, odstawi kieliszek z winem lub odłoży książkę, znajdzie aparat, ujmie go w dłoń i przypomni sobie, który klawisz ma wcisnąć, dlatego czekałem cierpliwie.

Ostatecznie rozległo się kliknięcie, a ja zacząłem karmić automat monetami.

– *Buon giorno?*

– Dzień dobry panu, to ja, Adam.

– Adam? Kochany chłopcze, chyba musisz mówić głośniej.

– Jak się pan czuje?! – krzyknąłem.

– Teraz, kiedy dzwonisz, znacznie lepiej. Myślałem, że uciekłeś i zostawiłeś mnie.

– Przepraszam, że nie kontaktowałem się wcześniej, ale z pogrzebem było tyle zawracania głowy, wie pan. A mama bardzo źle to wszystko znosiła – płakała, ciągle pytała dlaczego, przeżywała powtórnie wspomnienia z dzieciństwa.

– Współczuję ci. Tyle że śmierć rodzica jest po prostu przypomnieniem o naszej własnej śmiertelności.

Zrelacjonowałem mu szczegóły, które obmyśliłem zawczasu, żeby nieprawdziwej historyjce nadać pozory autentyczności.

– W każdym razie mam to już za sobą – dodałem. – Powinienem więc zdążyć na lot, który zarezerwowałem.

– Och, dzięki Bogu. Bez ciebie przeżywam koszmar.

– Ale dobrze się pan czuje, prawda?

– Jestem trochę osłabiony. Nic poważnego, nie ma powodów do

zmarwienia. Mała niedyspozycja, to wszystko.

– A czy dziewczyna ze sklepu – jakżeż ona się nazywa, Lucia? – przychodzi, żeby pana doglądać, jak było umówione?

– Och tak, nie narzekam, po prostu przynosi, co trzeba. Rzuca jedzenie i wychodzi. Właściwie to nawet jestem zadowolony, że nie chce zostawać i kręcić się po domu.

Została mi ostatnia moneta.

– Niech pan posłucha, będę musiał kończyć, bo nie mam więcej monet.

– Och, naprawdę?

– Chyba tak. Ale niedługo wrócę, to wtedy sobie pogadamy.

– Cóż, cieszę się, że wszystko poszło ci tak, jak trzeba.

– Dziękuję.

– Wiem, że śmierć ma kilkadziesiąt tysięcy drzwi, którymi człek odchodzi*.

* Cytat z Księżnej d'Amalfi Johna Webstera, przeł. Wanda Mokrzevska.

– Nie rozumiem.

W słuchawce rozległ się ostrzegawczy sygnał.

– Śmierć...

Rozłączyło nas. Sprawdziłem w portfelu, ale nie miałem już więcej bilonu. Mógłbym iść do baru i rozmienić pieniądze u właścicielki, ale postanowiłem tego nie robić. Kiedy wróciłem do pokoju na górze, wyjrzałem przez okno i patrzyłem na ciemny, tajemniczy krajobraz, myślałem o tym, co Crace właśnie mi powiedział. Wiem, że śmierć ma kilkadziesiąt tysięcy drzwi, którymi człek odchodzi. Zapisałem to zdanie w zeszycie, zastanawiając się, skąd pochodzi ten cytat. A potem kołatało mi się po głowie tylko jedno słowo – śmierć.

Następny dzień był cudowny, słoneczny i, rześki. Całe popołudnie spędziłem, spacerując i analizując w myślach najróżniejsze możliwości. Kiedy wracałem do miasteczka w zapadającym zmroku, minąłem ładną ciemnowłosą dziewczynę, która szła z collie. Było w niej coś, co kojarzyło mi się z Elizą. Uśmiechnąłem się, gdy przechodziła obok, ale wydała się zdenerwowana i na granicy hysterii. Collie natrafił na jakiś ślad, może poczuł zapach królika albo jakiegoś psa, i pobiegł ku najbliższemu drzewu. Dziewczyna zawołała pupila, ale ją zignorował. Usiłowała krzyknąć jego imię, Robbie, ponownie, ale głos jej się załamał, zdradzając nutę strachu. Rozejrzałem się wokół. Byliśmy tu sami. Nasze spojrzenia spotkały się, a ja wiedziałem od razu, że to mnie się bała. Obróciła głowę i zaczęła odchodzić. Miałem ochotę pobiec za nią, położyć ręce na jej ciemnoczerwonym aksamitnym żakiecie i powiedzieć, że myli się co do mnie. Zupełnie się myli. Niemal czułem jej delikatną skórę pod moimi palcami, niemal czułem jej słodki zapach.

– Przepraszam – powiedziałem do siebie, kiedy odchodziła, a jej pies pobiegł za nią.

Patrzyłem, jak oddala się coraz bardziej, niknąc między drzewami w lesie. Gdybym tylko miał szansę zatrzymać ją i porozmawiać, kto wie, co mogłoby się wydarzyć.

Szedłem dalej do miasteczka, rozmyślając o Elizie. Gdy zbliżałem się do budynków gospodarskich kilku znajdujących się tu farm, dostrzegłem postać idącą przez las przede mną. Przed oczami przemknęło mi coś czerwonego wśród rdzawych jesiennych liści. Czy była to dziewczyna, którą wcześniej widziałem? Zobaczyłem plamę tego koloru raz jeszcze, a potem zniknęła mi z pola widzenia. Podążyłem przed siebie za odgłosami kroków i wypatrywałem, aż znowu ujrzałem tę postać. Okazało się, że był to mężczyzna ubrany w kasztanowy sweter w serek, trzymający się prawą

ręką gałęzi, kiedy próbował złapać oddech. Nie widziałem jego twarzy, lewą dłoń oparł na kolanie i dyszał. To był Shaw.

Miałem zamiar zawołać na niego, gdy nagle wyprostował się, wyjął spray na astmę, zrobił szybki wdech, zakasłał i ruszył dalej. Jeśli zmierzał do swojego domu, to szedł w złym kierunku. Co on kombinował? Utrzymywałem odpowiedni dystans i chowając się za drzewami, zacząłem iść za nim.

Kilka minut później na ścieżce biegnącej skrajem lasu, skąd widać było miasteczko, Shaw skręcił przy świeżo zaoranym polu. Patrzyłem, jak wędruje połą drogą obok płotu, a potem przy końcu przełazi przez sztachety. Odczekałem, aż zniknie mi z oczu, przebiegłem przez pole i gdy znalazłem się przy końcu zaoranej ziemi, starałem się być jak najmniej widoczny. Ukucnąłem za krzakami i dopiero wtedy wysunąłem głowę. Dostrzegłem, jak zniknął w czymś, co przypominało resztki walącego się domu. Sprawdziłem, czy nie ma nikogo w pobliżu, a później ruszyłem połą drogą w tamtą stronę. Po jednej stronie była stara drewniana brama ze śladami niebieskiej farby, prześwietlającymi przez bujnie rosnący bluszcz, prowadząca do zarośniętego ogrodu. Po drugiej stronie stał niewielki jednopiętrowy dom, wyglądający tak, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał. Trudno byłoby powiedzieć, że istniały tam frontowe drzwi, bo otwór zasłaniało jedynie kilka zbitych razem desek pokrytych graffiti. Shaw zniknął w środku. Czekałem, nasłuchując zadyszki Shawa, ale ponieważ żaden dźwięk do mnie nie dotarł, po kilku minutach wsunąłem głowę do otworu drzwiowego. Panowała tam nieprzenikniona ciemność.

Po krótkim czasie oczy przyzwyczyły się do mroku. Miałem wrażenie, że dostrzegam zarysy stołu i kilku krzeseł, podłogę pokrywały gazety i stare puszki po piwie, na ścianach widać było plamy wilgoci i jeszcze więcej graffiti.

Wśliznąłem się do środka, uważając, by nie nastąpić na przedmioty

zaśmiecające podłogę. Na górze coś zaczęło trzeszczeć, a potem doszedł mnie odgłos kroków. Przesunąłem się w róg ciemnego pomieszczenia, palcami wyczuwając drogę, aż dotarłem do schodów. Nacisnąłem je lekko stopą i powoli zacząłem się wspinać, ale kiedy znajdowałem się już na przedostatnim stopniu, stare drewno jęknęło przeraźliwie, zupełnie jakby zaskowyczał umierający człowiek. Zamarłem w bezruchu, wstrzymałem oddech. Shaw potrzebował jedynie kilku sekund, by wyjść z jednego z pokoi na górze i zobaczyć mnie na schodach. Czekałem i czekałem, ale nic się nie działo. Obejrzałem się i zacząłem się zastanawiać, jak stąd zwać, zanim Shaw odkryje moją obecność, ale mniej więcej w tej samej chwili wszystko pojąłem: wiedziałem już dokładnie, gdzie jestem. Stałem na szczycie schodów w dawnym domu Chrisa, obok jednego z pokoi, w którym prawdopodobnie pisał swój dziennik. Teraz nie było siły, która skłoniłaby mnie do powrotu.

Powoli wszedłem na ostatni stopień i wymaczywałem drogę przed sobą, kierując się starą listwą wykończeniową przy podłodze. Wyczułem, że listwa łączy się z framugą drzwi, i nasłuchiwałem. Nic. Ruszyłem dalej wąskim korytarzem, skręciłem za rogiem i znalazłem się przed kolejnymi drzwiami. W szparze pomiędzy ich dolną krawędzią a podłogą dostrzegłem słabą poświatę, światło, które zdawało się poruszać po izbie. Shaw miał latarkę.

Usłyszałem odgłos przesuwania czegoś, może jakiegoś mebla, a potem trzeszczenie drewna. Później zaś słychać było wyłącznie niekończące się dyszenie Shawa, przerywane kaszlem i prychaniem, oraz jego kroki. Światło z latarki stało się jaśniejsze. Szedł w moim kierunku.

Usunąłem się w ciemność. Kiedy otworzył drzwi, kopnięciem wytrąciłem mu latarkę z rąk. Upadła na deski podłogi, rzucając snop światła do góry. Zobaczyłem wirujący w powietrzu kurz i przerażoną twarz Shawa. Chwilę potem złapałem latarkę i poświeciłem mu w oczy.

Jasność wysłała resztki życia z jego i tak już trupiej twarzy.

– Co...? – wycharczał, z trudem łapiąc oddech.

– Sam mi powiesz, czego tu szukałeś, czy mam to z ciebie wyciągnąć siłą?

Shaw był tak przerażony, że nie potrafił dobyć głosu.

– No to chodźmy, popatrzymy, co ty na to? – powiedziałem, łapiąc go za wychudzoną rękę i ciągnąc z powrotem do pokoju.

– Tu ni... nic nie ma – wykrztusił wreszcie.

– Jakoś ci nie wierzę – odparłem, omiatając pokój światłem latarki.

Starą toaletkę z popękany, brudnym lustrem pokrywały pajęczyny, wisiał tu niewielki obrazek, którego płótno tak wyblakło, że nie można było dojrzeć, co przedstawiał, ściany, które kiedyś pokrywała tapeta z nadrukowanymi różami, wyglądały jak po pożarze.

– To moja samotnia, miejsce, dokąd uciekam, kiedy mam dość wszystkiego – wyjaśnił Shaw.

– Jeśli nie będziesz ostrożny, zafundujesz tu sobie wieczne wakacje pod tymi pierdolonymi dechami podłogi.

Zamrugał. Popatrzyłem w stronę toaletki i skierowałem na nią snop światła z latarki.

– Pod podłogą nic nie ma. Naprawdę nic, może mi pan wierzyć.

– No to może mi pokażesz, czego tam nie ma, panie Shaw, co?

Popchnąłem go w drugi koniec pokoju.

– Nie wspomniałeś mi słowem o tym domu, prawda? – odezwałem się. – Albo może powinienem powiedzieć, że to miejsce, którego istnienia nie chciałeś mi zdradzić? To tutaj trzymałeś dziennik Chrisa.

– Nie, nie. – Kręcił głową. – Nie wiem, o co panu chodzi.

– Czy nie uważasz, że tysiąc funtów to masa pieniędzy, panie Shaw?

– Słucham?

– Spytałem, czy nie uważasz, że tysiąc funtów to masa pieniędzy?

– Zapewne.

– Na taką sumę się umówiliśmy.

– I jestem panu za nią ogromnie wdzięczny, naprawdę, jestem wdzięczny.

– Miło słyszeć. Ale za tysiąc funtów spodziewałem się prawdy. Nie ukryłbyś niczego przede mną, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Bardzo dobrze. No to teraz mi to udowodnij. Odgłos jego zadyszki zdawał się wypełniać cały pokój.

– Powietrze tutaj nie służy mojemu zdrowiu.

– Prawdopodobnie nie. Więc im szybciej mi pokażesz, tym szybciej obaj stąd wyjdziemy.

– Miałem taki zamiar. Słowo daję, chciałem panu pokazać.

– Zatem teraz mówisz, że jest coś jeszcze. Coś, czego mi nie pokazałeś.

– Tak, ale...

– Świetnie. No to obejrzyjmy to sobie.

– Miałem się z panem skontaktować dziś wieczorem.

– Och, czyżby?

– Pomyślałem jednak, że ponieważ to coś wyjątkowego, pan Crace... pan Crace zechce wynagrodzić mnie dodatkowo.

Roześmiałem mu się w twarz.

– Zgodzisz się ze mną, że sytuacja, w jakiej jesteśmy, nie bardzo sprzyja targowaniu się?

Zawahał się, nie bardzo wiedząc, co zrobić, jego spojrzenie wędrowało od toaletki ku podłodze.

– Dobrze.

Poczłapał do toaletki, wsparł się o pociemniałe lustro i powoli uklęknął. Wyjął z kieszeni śrubokręt i jego końcówką podważył jedną z desek podłogi przy samej ścianie. Wsunął rękę w powstałą szparę, przysunął

coś, czego szukał, uniósł sąsiednią deskę i wyciągnął spod podłogi niedużą prostokątną puszkę po herbatnikach z wyblakłym portretem królowej na wierzchu. Zdjął zardzewiałą pokrywkę, wyjął stamtąd kilka zapisanych kartek papieru, a potem gestem pokazał mi, że chce, abym poświecił na nie latarką.

– To list pożegnalny Chrisa... do matki – powiedział. – Napisał go w nocy przed śmiercią.

– Nie ma tam czegoś jeszcze? Niech no spojrzę.

– Nie, niczego tam nie ma. To wszystko.

Skierowałem światło do wnętrza puszki. Rzeczywiście mówił prawdę.

– Proszę – odezwał się, podając mi kartki. – Teraz przynajmniej Chris może spoczywać w pokoju.

Chris obchodził go tyle co nic. Chciał jedynie pieniędzy. Obrzydliwy szantażysta. Wziąłem głęboki wdech, kiedy przypomniałem sobie coś, do czego niemal doszło w trakcie mojej ostatniej wizyty u tego dziadugi. Jakim byłem głupcem. Bo przecież gdybym załatwił go wtedy na dobre, nigdy nie dowiedziałbym się o istnieniu listu Chrisa.

– Dziękuję – powiedziałem.

– Pan Crace będzie przynajmniej mógł teraz trzymać wszystko... dziennik, ten list... w bezpiecznym miejscu. Z dala od ciekawskich oczu, jak to mówią.

– Ma pan rację. Nie miałem najmniejszego zamiaru wyjawiać mu swoich planów. Dowie się o nich wystarczająco szybko.

– Maureen nigdy mu nie wybaczyła tego, co zrobił.

– Tak, to było niewybaczalne. Mogę dla niego pracować, ale to nie znaczy, że mógłbym wybaczyć mu coś takiego.

– Ukradł mu życie, ot tak.

– Rzeczywiście, to obrzydliwe. Ale najlepiej będzie, jeśli to zostanie między nami, dobrze? Jestem pewny, że Maureen nie chciałaby skandalu.

Gdyby to wyszło na jaw, imię jej syna byłoby obrzucane błotem. A są i inne rodziny, które także należy brać pod uwagę.

Shaw dyszał ciężko, na twarzy malowało mu się zdumienie.

– Inne rodziny? – zapytał.

– Tak, inne rodziny.

– Nie bardzo rozumiem.

– Chris nie był jedynym chłopcem. Nie był jedynym uczniem, którego Crace... molestował. Byli również inni.

– Ależ Chris nie był molestowany.

– Że co proszę?

– Nie jestem pewny, kiedy zaczęli być razem, rozumie pan, ale Maureen powiedziała mi, że na początku było to dla niej trudne, bardzo trudne. Niemniej widziała, jaki Chris był szczęśliwy. Jacy obaj byli szczęśliwi. Nie podobało jej się to, ale zdała sobie sprawę, że jeśli chce, by Chris nadal był jej synem, musi pogodzić się z takim stanem rzeczy. Ale molestowany? Nie.

– Twierdzi pan zatem...

– To nie dlatego to zrobił.

– Więc z jakiego powodu?

Podał mi list.

– Teraz należy do pana – oznajmił. – Proszę go przeczytać.

Kochana Mamo!

Nie wiem, jak to napisać. Chodzi o tatę. Pamiętasz tamten wieczór sprzed wielu lat, kiedy było święto Guy a Fawkesa? Głupie pytanie. Oczywiście, że pamiętasz. Pewnie tak samo jak mnie tkwi Ci w pamięci. To wszystko moja wina.

Wcześniej tego dnia patrzyłem przez okno do jego klasy i

widziałem, jak nie dawał sobie rady z zapanowaniem nad uczniami. Skorzystałem z okazji i pobiegłem do kibla, gdzie napisałem notatkę, którą wsunąłem pod drzwi dyrektora. Wiem, że to była okropna rzecz, ale wtedy wydawało mi się, że tak będzie najlepiej. Tato mógł stracić pracę, ale znalazłby inną, a ja zmienilibym szkołę na taką, w której nie bałbym się otworzyć ust.

Nie mógłbym odejść, nie wyznawszy Ci tego. Przepraszam. Ale nie dlatego to robię.

Nie jestem pewny, kiedy zaczęło się psuć, prawdopodobnie wkrótce po tym, jak rzuciłem uniwersytet. Wiem, że byłaś przeciwna mojej decyzji odejścia z wydziału, ale Gordon naprawdę uważał, że mam przyszłość jako pisarz. Przeczytał moje prace – kilka opowiadań i portretów osobowościowych – ocenił je jako dobrze, ładnie napisane, niemal gotowe do publikacji. Ale, jak powiedział, powinienem skupić całą moją energię na powieści. Większość debiutanckich powieści, powiedział, była niczym więcej jak ledwie co zamaskowanymi autobiografiami – choć nie było w tym nic złego – dlatego postanowiliśmy, że najlepiej będzie zacząć od czegoś bliskiego mojemu sercu, czegoś, co odczuwałem jako prawdziwe. Dlatego zacząłem przeglądać mój stary dziennik. To było najtrudniejsze – możesz mi wierzyć – czytanie rzeczy, które napisałem wiele lat wcześniej.

Gordon zasugerował, bym ujawnił niektóre z moich wspomnień, bym napisał, co czuję, kiedy czytam zapiski w dzienniku. Powiedział, że mógłbym wybrać jedno z wydarzeń – na przykład mój pierwszy dzień w Winterborne – i spróbować opisać je

ponownie, a potem jeszcze raz, za każdym razem z innego punktu widzenia albo przy użyciu innego słownictwa. Było to nieprawdopodobnie stymulujące i naprawdę wydawało się sprawdzać. W niektóre dni, kiedy nad czymś utknąłem, co zdarzało się całkiem często, radził mi po prostu o tym mówić. Uważał, że mówienie o jakimś doświadczeniu czasami wystarcza, by niczym kopnięciem skierować podświadomość do przetworzenia go w formę gotową do przelania na papier. Od czasu do czasu Gordon robił notatki. „Po co zawracasz sobie głowę zapisywaniem tego wszystkiego?”, pytałem. „Dla pamięci, i tyle. Nigdy nie wiadomo, kiedy coś może się przydać”.

Gordon oczywiście właściwie nie musiał pisać następnej powieści po sukcesie Stowarzyszenia dyskusyjnego. Mimo to każdego ranka szedł do gabinetu i wychodził stamtąd w pół do pierwszej ze świadomością, że napisał tyle tekstu, ile miał przewidziane na ten dzień. Był taki pewny siebie. Tymczasem moim wysiłkom pisarskim brakowało równego rytmu. Muszę wyznaczyć, że przez większość dni na moje „pisanie” nie składało się nic ponad przeglądanie dziennika i zapisywanie od nowa scen, które już i tak były w moim pamiętniku. Za każdym razem, gdy próbowałem podzielić się z Gordonem wątpliwościami, uparcie twierdził, że radzę sobie doskonale. Najważniejsze było, żebym pracował codziennie. Zaczynałem kształtować w sobie twórczą dyscyplinę, która jest najważniejsza dla każdego pisarza. Powiedział mi, żebym nie przejmował się zbyt narratorcją i fabułą, bo te pojawiają się wraz z rozwojem mojej osobowości i stylu, zamiast tego miałem skoncentrować się na pochwyleniu istoty doświadczeń życiowych – świadomości, jak on to nazywał.

Nie bardzo wiem, jak powiedzieć Ci, co wydarzyło się potem. Nie chcę, byś zrobiła cokolwiek, co mogłoby zranić lub zniszczyć Gordona, i tylko o to jedno Cię proszę. Ostatnią rzeczą, jakiej bym chciał, jest wciąganie Cię w to wszystko. Nie zniósłbym tego, gdybym wiedział, że tak może się stać.

Zaczęło się od drobiazgów. Wyczuwałem, że Gordon jest czymś pochłonięty, zaniepokojony. W jego oczach widziałem, że jest myślami gdzie indziej, to mnie martwiło. Za każdym razem, gdy go pytałem, czy dobrze się czuje, albo robiłem uwagę, że wydaje mi się trochę odseparowany, odpowiadał, że to jedynie z powodu problemów z książką. Ale potem Gordon zaczął znikać popołudniami. Mówił, że idzie na przechadzkę, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy pierwszy raz to zrobił, poszedłem po płaszczy, bo chciałem z nim iść, a on mi powiedział, że potrzebuje trochę czasu w samotności, by pomyśleć. Blokada pisarska, powiedział. Tamtego popołudnia ratowałem się wielką ilością whisky z wodą sodową. A już i tak wypilem kilka szklaneczek tego ranka – Gordon mówił, że drink pomoże mi się zrelaksować, może zachęcić mnie do pisania – i tak szybko stało się to codziennym rytuałem, równie naturalnym jak pierwsza kawa rano czy coś do zjedzenia na lunch. Nie stanowiło to żadnego problemu. Obaj zresztą popijaliśmy. Prawdę mówiąc, piję whisky, kiedy to piszę, i niemal nie czuję jej działania.

W każdym razie spacerzy Gordona przeciągały się do późnego wieczora, trwały co najmniej kilka godzin. A potem zaczęły się tajemnicze telefony, dzwoniący rozłączali się, kiedy podnosiłem słuchawkę. Nie mówiłem Ci o tym wcześniej, bo nie chciałem, żebyś się martwiła. Poza tym myślałem, że to szybko minie. Po

pisarzach można się spodziewać zmienności nastrojów, prawda? Jak wiesz, zawsze bardzo szanowałem prywatność Gordona. Zawsze był trochę zabawny, gdy chodziło o jego „święte” obszary, jak je nazywał. Kiedyś śmiałyśmy się z tego. Ale ja byłam dumny, że obdarzał mnie zaufaniem. Teraz tego żałuję. Wolałbym, żeby traktował mnie nie lepiej niż kogoś, kto wściubia nos w jego sprawy. Może wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Trudno mi się do tego przyznać, ale do tej pory pewnie już się domyśliłaś. Podejrzewałem, że się z kimś spotykał. Słyszałem kilka rzeczy, jakie o nim mówiono, ale nigdy nie dawałem im wiary. Same złośliwości wygłaszane przez zazdrosne typki. Gordon nie zniżyłby się do takiego poziomu. Ale dlaczego w takim razie spędzał tyle czasu beze mnie? Przestał ze mną rozmawiać, a kiedy zadawałem mu pytania, zbywał mnie, mówiąc, żebym przestał zachowywać się żałośnie i histerycznie. Raz próbowałem od niego odejść, naprawdę. Miałem zamiar wrócić do domu, do Ciebie. Ale powiedział mi wtedy, że mnie potrzebuje, że mnie kocha, że beze mnie niczego nie napisze. Zaczął płakać jak mały chłopiec. Okazało się, że nie potrafiłem się na to zdobyć.

Nie chciałem poddać się pokusie przeszukania jego rzeczy. To po prostu byłoby nie fair. Ale ostatniego wieczora było inaczej. Wtedy właśnie wszystko się zmieniło. Teraz nienawidzę go za to, że mnie do tego zmusił. A siebie nienawidzę jeszcze bardziej.

Około dziesiątej Gordon przyszedł do salonu z gabinetu i oznajmił, że wychodzi. Zapytałem go, dokąd się wybiera, ale on jak zawsze odpowiedział, że „na spacer”. Powiedział to w taki sposób, jakby była to najnormalniejsza rzecz na świecie, jakbym

to ja dziwnie się zachowywał, pytając go o to. Prawdopodobnie urządziłem niewielką scenę, do tego przynajmniej muszę się przyznać, ale co innego mogłem zrobić? Wypadł z domu jak burza i właśnie wówczas postanowiłem, że muszę się dowiedzieć czegoś więcej o tych jego spacerach. Poszedłem do sypialni i przejrzałem jego rzeczy w szafie, rozrzucając marynarki, krawaty i spodnie po podłodze. Znalazłem dwa bilety na jakąś wystawę, zapalki z restauracji – z miejsc, w których z pewnością nigdy w życiu nie byłem – i chusteczkę do nosa pachnącą taną wodą po goleniu, ale nic z tego nie wyjaśniało w żaden sposób jego dziwnego zachowania. A jeśli plotki mówiły prawdę? Nie, nie chciałem w to uwierzyć.

Nigdy nie byłem w jego gabinecie – to, jak wielokrotnie mi powtarzał, był dla mnie po prostu teren zakazany – ale kiedy stałem przed drzwiami, miałem wrażenie, że jeśli tylko rzucę okiem na ten pokój, raz na zawsze odkryję przyczynę jego dziwnego zachowania. Niemal przekonałem sam siebie, że miałem zrobić coś, co do pewnego stopnia było w sumie czymś szlachetnym. Bo przecież gdybym nie znalazł niczego podejrzanego, udowodniłbym tym samym, że Gordon przez cały czas mówił mi prawdę, że kocha mnie, a nie kogoś innego.

Pchnąłem drzwi, delikatnie, niemal jakbym się bał, że zastanę go tam siedzącego na krześle przy biurku. Ale oczywiście nikogo tam nie było. Od razu zabrałem się do pracy, przeszukałem kieszenie jego sztruksowej marynarki, wiszącej na oparciu krzesła, a potem biurko. Nagle poczułem się nieuczciwy, zbrukany i bardzo, bardzo głupi. Miałem zamiar dać sobie z tym spokój, nalać sobie solidnego drinka, kiedy otworzyłem dolną szufladę. Pod stołem

starych gazet leżały dwa pudełka z papierem do maszyny do pisania. Nie wiem, co skłoniło mnie do otworzenia ich, może fakt, że zakrywała je prasa, jakby celowo zostały ukryte. Odłożyłem gazety na bok i wyjąłem pierwsze pudło. Okazało się całkiem ciężkie. Uniosłem pokrywę. W środku był maszynopis.

Na pierwszej stronie znajdowały się słowa napisane wytłuszczonymi kapitalikami: NAUCZYCIEL MUZYKI, a poniżej widniało nazwisko Gordona. Nie potrafię oddać uczucia przerażenia, które mnie wtedy ogarnęło. Chciałem umrzeć. W drugim pudełku znajdowała się kalkowa kopia. Kiedy przerzucałem kartki maszynopisu, natrafiłem na znane mi frazy, zdarzały się zdania, które mogłem dokończyć bez czytania ich dalszego ciągu. Wszystko dotyczyło chłopca – mnie – i jego relacji z ojcem, nauczycielem muzyki, organistą w prowincjonalnej szkole, cierpiącym na depresję. Nie musiałem czytać ostatnich stron, żeby poznać zakończenie, ale było tam wszystko – łącznie z punktem kulminacyjnym, gdy ten mężczyzna strzela sobie w głowę w dniu święta Guya Fawkesa.

Kiedy patrzyłem na końcowe strony, usłyszałem odgłos zamykania drzwi frontowych. Ale mnie to w ogóle nie obeszło. Przestało mnie interesować, co się ze mną stanie. Wszedł Gordon i zastał mnie w swoim gabinecie. Zaczął wrzeszczeć, ale ja pozostawałem śmiertelnie poważny i nieruchomy, kiedy pokazywał mi, co znalazłem w dolnej szufladzie. Oczywiście nie mogłem się tego wyprzeć. Kiedy jednak zapytałem go, do czego zmierzał, wykorzystując w ten sposób moją historię, naskoczył na mnie. Powiedział, że muszę stawić czoło faktom, które potwierdzają, że nigdy nie będę pisarzem, że nie mam w sobie

tęgo daru. Ktoś inny równie dobrze mógłby skorzystać z tego materiału, bo ja po prostu i tak niczego bym z nim nie zrobił. Usiłowałem powiedzieć mu, że to moje przeżycia, że to moje słowa, ale nie dał mi dojść do głosu. Opisywał po prostu życie, którego otaczało, oświadczył. Był pisarzem, publikowanym pisarzem, a pisarze przywłaszczają sobie cudze życiorysy. A ja byłem zwykłym amatorem i nikim więcej.

Powiedziałem mu, że nie mogę tak dłużej. Że już mi na nim nie zależy, że chcę to wszystko skończyć. A potem, z głupoty, dodałem, że nadal go kocham. Odepchnął mnie i wybiegł z pokoju. Wrócił z kilkoma opakowaniami proszków nasennych. Powiedział, że ma mnie dość. Wyświadczył mi przysługę, oznajmił. Tylko nie nabrudź. A później usłyszałem zatraskujące się drzwi. Nie widziałem go od tamtej pory.

Nie chcę już więcej pisać, jak powiedziałem, nie potrafię. Nie zostało mi wiele czasu. Razem z tym listem dostaniesz napisany przez kalkę egzemplarz książki Gordona, która, jak mam nadzieję, nigdy nie ujrzy światła dziennego. Będzie martwa jak ja.

Zostawiam Gordonowi list, piszę mu w nim, co zrobiłem, a takie jeszcze jeden, który powinien zadowolić policję. Gdyby Gordon usiłował kiedykolwiek posunąć się dalej z tą książką, wystarczy, że pokażesz mu lub opublikujesz ten list, razem z moim dziennikiem, który także Ci wysyłam – znajdziesz w nim więcej szczegółów o tym, co wydarzyło się w tamten wieczór, kiedy byliśmy na ognisku. Chcę wierzyć, że mi wybaczasz, jeżeli Crace zgodzi się nie publikować tej książki, proszę, nie wyjawiaj niczego. Nie chcę żadnego zamieszania.

Twój kochający Cię syn Chris

Wzglądasz na zamyślonego – powiedziała Lavinia. – Dobrze się czujesz?

– Słucham?

– No właśnie – chyba trafiłam w dziesiątkę – dodała, śmiejąc się.

Kiedy rozstałem się z Shawem, wróciłem do hotelu Hazelbury Manor i zastałem tam w barze Lavinie. Uparła się, że musi postawić mi kilka drinków jako wyraz wdzięczności za moje pośrednictwo. Była w nastroju do świętowania i zdążyła już wypić prawie całą butelkę wina. Zadowolenie z siebie przesłaniało jej prawdę. Ale skąd mogła wiedzieć, jakie są moje rzeczywiste intencje? Oddałem jej dokumenty, które skserowałem, a ona wręczyła mi konspekt, który choć ocenzone przez nią solidnie, dawał mi wgląd w jej metody pracy. Nie byłem na tyle głupi, żeby je powielać, ale zyskiwałem przynajmniej ośnowę opowieści, strukturę, od której mogłem zacząć. Kiedy nalewałem jej kolejny kieliszek czerwonego wina, starałem się wmówić sobie, że tak naprawdę to ja mam powody do świętowania.

– Och, przepraszam, Lavinio – tłumaczyłem się. – Nie potrafię przestać myśleć o moim podobieństwie do tamtego chłopaka ze zdjęcia. Jak on się nazywał?

– Christopher. Christopher Davidson.

– Rzeczywiście. Pamiętam, że obiecałem sobie w ogóle o nim nie myśleć, uznać, że to podobieństwo nic nie znaczy, ale im więcej się nad tym zastanawiam, tym wydaje mi się to dziwniejsze. Przepraszam, pewnie gadam od rzeczy.

– Skądże. Nie bądź niemądry. Oczywiście, że to musi wydawać ci się wyjątkowo dziwne. Sama do końca nie wiem, co o tym myśleć.

– Pytałeś mnie, dlaczego Crace mnie zatrudnił. W tamtym czasie byłem na tyle naiwny, by myśleć, że mnie polubił albo po prostu uznał, że

poradzę sobie z tą pracą. Teraz jednak...

– Co?

– Zastanawiam się, co tak naprawdę on z tego ma?

– Rozumiem cię. – Upiła następny łyk czerwonego wina.

– Więc jeśli dziś wieczorem wydają się trochę rozkojarzony, to właśnie z tego powodu. Przepraszam.

– Ale wracasz do niego?

W jej głosie usłyszałem ledwie wyczuwalną nutę paniki. Nie miałem wątpliwości, że w jej przekonaniu zawojowała mnie całkowicie swoim urokiem i była prawdopodobnie pewna, że zrobię dla niej wszystko. Wahałem się dłużej, niż wymagałaby tego sytuacja, by obserwować, jak groza coraz wyraźniej maluje się na jej twarzy. Beze mnie u boku Crace’a straciłaby jednego ze swych najbliższych sprzymierzeńców.

– Tak, wracam – opowiedziałem trochę znużonym tonem głosu. – Właściwie wszystko jest już ustalone, łapię jutrzejszy pociąg do Londynu, a potem mam samolot do Wenecji. Ale tylko dlatego, że nie stać mnie na inne rozwiązanie. Muszę dalej pracować nad książką.

– Ach tak, właśnie miałam cię o nią zapytać – powiedziała. – Akcja rozgrywa się w Wenecji?

– Tak, częściowo w Wenecji, częściowo w Anglii.

– Bardzo intrygujące. W dzisiejszych czasach?

– Przeważnie – odparłem. – Poza niewielkim fragmentem dotyczącym przeszłości.

– Więc zacząłeś już pisać...

Zawahałem się, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Przepraszam, pewnie nie chcesz o tym rozmawiać.

– Nie, to nie tak, chodzi o to, że... to zdjęcie... sam nie wiem...

– Całkowicie cię rozumiem – zapewniła, kładąc mi delikatnie dłoń na kolanie. – Świeże powietrze dobrze ci zrobi. -W jej głosie słychać było

zalatność. – Co powiesz na spacer?

– Słucham? Teraz?

– Tak. Sądzę, że to pomoże ci w nabraniu dystansu.

– W porządku.

– Muszę tylko iść po płaszcz – powiedziała, uśmiechając się. Kiedy usiłowała wstać, podtrzymała się krzesła. – Do licha, od tego wina zakręciło mi się w głowie. – Przeczesała ręką włosy i zaśmiała się nerwowo, dziewczęco. – Zaczekaj tu na mnie. To potrwa minutę.

Przez pięć minut w samotności zdałem sobie sprawę, że nadarza mi się doskonała okazja. To musiało stać się teraz. Nie była mi już do niczego potrzebna.

– Gotów? – zapytała, trochę niewyraźnie wymawiając słowa. W pokoju nałożyła na usta warstwę błyszczącej szminki w kolorze śliwkowym i przypudrowała mocniej twarz, żeby się lepiej prezentować, nie było jednak wątpliwości, że trochę się wstawiła.

– Tak. Ale coś właśnie sobie przypomniałem.

– Co takiego?

– Nie mam pojęcia, jak mogło mi to wylecieć z głowy.

– Tak?

– I pomyśleć, że mógłbym wyjechać, nie pokazując ci tego.

– Na rany Boga, Adamie. O co ci chodzi?

– Ulubione miejsce pana Crace'a z czasów, gdy pracował w szkole, miejsce, o którym mówił, że tam właśnie wpadł na pomysł *Stowarzyszenia dyskusyjnego*.

– Słucham?

– Kaplica na wzgórzu. Byłaś tam może?

– Nie, i nigdy o niej nie słyszałam.

– Pan Crace wspomnieli mi o niej mimochodem któregoś dnia. Chodziło o panującą w niej atmosferę, która, jak to ujął, pobudzała wyobraźnię.

Zresztą... nie ma o czym mówić.

– To znaczy o czym?

– O pójściu tam. To za daleko stąd. Ale wydaje mi się, że spokojnie możesz tam iść jutro i przyjrzeć się temu miejscu.

Po jej twarzy łatwo domyśliłem się, że rozbudziłem jej ciekawość.

– Jaka szkoda – westchnęła, poprawiając pasek torebki na ramieniu.
– Brzmi naprawdę fascynująco. – Jej oczy, które jeszcze przed chwilą wyrażały zubożenie na świat wywołane alkoholem, jaśniały z nową intensywnością. – Nie. Jedziemy tam.

– Jak?

– Poprowadzę. To nie jest aż tak daleko. A tutaj nie będzie przecież żadnej policji, prawda?

– Nawet jeśli, to wydaje mi się, że nie bardzo nadajesz się do prowadzenia samochodu. Nie wypilem tyle co ty, więc jeśli pozwolisz, będę twoim kierowcą...

– Jesteś pewny?

– Tak, oczywiście.

– Super.

Kiedy szukała kluczyków w torebce, naciągnąłem na dłonie rękawiczki, przypominając sobie, jak jeden z gości opowiadał recepcjonistce, że temperatura na zewnątrz spadła o kilka stopni.

– Muszę przyznać, że świętując, wypilałam o jeden kieliszek za dużo – wyznała, wręczając mi kluczyki.

Ruszyliśmy do drzwi frontowych i wyszliśmy w zimną noc. Fioletowoczarne niebo pełne było gwiazd, jakby ktoś rozsypał pokruszone brylanty na ciemnej tkaninie. Lavinia wciągnęła głęboko powietrze i odetchnęła.

– Wiesz co – powiedziała – obejrzenie miejsca, które zainspirowało Crace'a, może pomóc nam obojgu. Przed pisaniem książki zawsze czuję

się tak samo – na wpeł zdenerwowana, na wpeł podniecona. Za każdym razem myślę, że nie uda mi się pochwycić ducha, istoty kolejnej osoby, przedstawić jej właściwie. Niezależnie od tego, jak długo powtarzam sobie, że przecież robiłam to już wcześniej, znowu pewnie to poczuję, to jest jak stara śpiewka. Żałosne, prawda? Przypuszczam, że pewnie przechodzisz przez to samo – to znaczy teraz, gdy próbujesz sił w powieści.

Kiedy szliśmy w stronę jej srebrzystoszarego audi, nacisnąłem przycisk centralnego zamka i otworzyłem drzwiczki.

– Przepraszam, wiem, że pisanie beletrystyki różni się od pisania biografii – ciągnęła, gdy wsiadaliśmy do samochodu. – Powieściopisarze często nie chcą rozmawiać o swoich dziełach, zwłaszcza dopiero powstających. Wybacz.

Poczułem, jak palcami musnęła moje włosy, gdy włączyłem silnik i sięgałem do dźwigni zmiany biegów.

– Nie ma sprawy. Jeszcze trochę niepewnie się czuję na tym gruncie, i tyle.

– Rozumiem. Ale muszę przyznać, że cię podziwiam. To bez wątpienia śmiało posunięcie.

Prowadziłem samochód powoli krętą drogą wśród rododendronowych krzaków i dalej przez otwartą przestrzeń. Usiłowałem coś powiedzieć, ale słowa więzły mi w gardle. Musiałem udawać, że wszystko jest w porządku.

– P... próbowałaś kiedyś? – powiedziałem, kaszląc. – To znaczy... napisać powieść.

– Och, Boże, nie. Za bardzo podziwiam ludzi, którymi się zajmuję, żeby kiedykolwiek pokusić się o ich naśladowanie. Ale to nie znaczy, że pisanie nie przyprawia mnie o dreszczyk. Z drugiej strony, szczerze mówiąc, najbardziej lubię etap mojej pracy polegający na gromadzeniu informacji. Grzebanie w cudzej przeszłości, odkrywanie tajemnic,

przedzianie się przez archiwa w nadziei, że znajdzie się kartkę papieru, dzięki której dana osoba pokaże się w innym świetle. Widzisz, nie umiem nawet wyrazić, jaką przyjemność sprawia mi sama myśl, że za kilka minut zobaczę miejsce, które zainspirowało Gordona Crace'a.

– Tak, tak. A ja się cieszę, że przypomniałem sobie o tej kaplicy i powiedziałem ci o niej. – Skręciłem na drogę prowadzącą do kościoła. – W takich sprawach nigdy nie wiadomo, co może okazać się pomocne.

Szosa zwiężyła się, a ja zjechałem na pobocze i zaparkowałem w miejscu, gdzie zjeżdżały samochody, gdy z przeciwka zbliżał się inny pojazd. Obok siedzenia kierowcy zauważyłem plastikową torbę, którą wsunąłem do kieszeni. Kiedy wysiedliśmy, uświadomiłem sobie, że baldachim z gałęzi drzew rosnących przy ścieżce wiodącej do kaplicy nie przepuszcza światła księżycy. Uśmiechnąłem się do siebie.

– Jestem pewna, że gdzieś tu ją miałam – powiedziała Lavinia, szukając czegoś na tylnym siedzeniu. – O, tu jest.

Snop światła osłepił mnie na kilka chwil. Osłoniłem oczy ręką. Lavinia trzymała w dłoni latarkę.

– Świetnie – oznajmiłem, wykrzywiając usta w wymuszonym uśmiechu. – To niedaleko, na końcu tej ścieżki, ale grunt jest tu trochę nierówny.

Zrobiła kilka kroków, a ja od razu zorientowałem się, że stąpała niezbyt pewnie.

– Chcesz, żebym ci pomógł?

– Tak, byłoby miło z twojej strony, dziękuję – odparła, biorąc mnie pod rękę i oddając mi latarkę.

Szliśmy wolno w górę ścieżki. Światło rozpraszało ciemność przed nami. Od czasu do czasu kierowałem latarkę na ziemię, żeby przyjrzeć się nawierzchni. Z oddali dało się słyszeć pohukiwanie sowy.

– Co takiego dokładnie pan Crace powiedział ci o tym miejscu?

– Och, tylko tyle, że często tu przesiadywał, gdy miał już uczenia po dziurki w nosie. Przychodził tu ze szkoły, siadał na ławce i myślał, czasami zapisywał coś w notesie. Miał stąd całkiem dobry widok na opactwo i szkołę w dolinie.

– Naprawdę? – spytała, ciałniej do mnie przylegając.

– To najwyraźniej styl normański, budowla z kamienia. Wydaje mi się, że pan Crace mówił, jakoby w środku natrafił na inskrypcję, informującą o studwudziestodniowym odpuszczeniu dla przechodzących tędy pielgrzymów.

– Myślisz, że i do nas to się stosuje? – spytała, śmiejąc się.

– Dlaczego miałyby być inaczej?

W tej samej chwili, gdy ciemny zarys kaplicy ukazał się naszym oczom, zgasiłem latarkę, udając, że upadła mi na ziemię.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wyśliznęła mi się z ręki.

– Nie przejmuj się – skwitowała to. – Widzisz ją?

Pochyliłem się ku ziemi, gdzie już wcześniej dostrzegłem kamień, całkiem spory odłamek skały. Ująłem go w dłoń, czując, jak jego ostre krawędzie wrzynają mi się w skórę. Szybko wyprostowałem się i uniosłem ramię nad głowę.

– Co... – odezwała się. Ale nie miała szansy na dokończenie zdania.

Z dużą siłą opuściłem kamień na jej głowę, ogłuszając ją od razu. Rozległ się trzask i cichy krzyk, a ja zadałem jej kolejne dwa ciosy. Usiłowała wyciągnąć ramię w ciemność nocy, przez chwilę kołysała się z boku na bok, a potem padła na ścieżkę. Kamień w moim ręku robił się mokry i lepki, kiedy w dalszym ciągu waliłem nim w jej czaszkę.

Ostatecznie włączyłem latarkę i poświeciłem nią w jej oczy. Nie dostrzegłem żadnej reakcji. Jeśli jeszcze nie umarła, było to jedynie kwestią kilku minut. Krew płynęła jej po twarzy z kilku głębokich ran.

Wyciągnąłem z kieszeni plastikową torbę z supermarketu i nasunąłem jej na głowę. Nie chciałem, żeby krew poplamiała mi ubranie.

Przykucnąwszy, wziąłem Lavinie na ręce i niosłem ją z powrotem, bacznie rozglądając się, czy nie ma nikogo w pobliżu. Rzuciłem jej bezwładne ciało pod drzewo, w miejscu niewidocznym z drogi, i otworzyłem samochód. Usiadłem na fotelu kierowcy, zapiąłem pas i zapuściłem silnik. Wciągnąłem głęboko powietrze i wrzuciłem pierwszy bieg. Choć miałem przygotowany zawnazs plan działania, nadal nie mogłem uwierzyć w to, co się stało. Jednak wahanie nie stanowiło żadnego wyjścia. Nacisnąłem pedał gazu, a samochód wyrwał do przodu. Szybko zmieniałem biegi, aż osiągnąłem prędkość około sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Potem celowo skierowałem auto na pobocze i dalej, w kierunku grupy drzew. Wszystkie instynkty podpowiadały mi, żebym nacisnął hamulec, ale ja wiedziałem, że muszę się im opierać do ostatniej chwili. Dopiero gdy drzewo zjawiło się niemal tuż przede mną, zahamowałem, wciskając pedał najmocniej, jak mogłem. Dwie sprzeczne siły walczyły o przejęcie kontroli nad wozem, gdy samochód przetaczał się przez krzaki, wydając odgłos, jakby rozpadał się na połowy. Szarpnęło mną do przodu, przednia szyba znalazła się niebezpiecznie blisko moich oczu. Kiedy uderzyłem mocno czołem o kierownicę, usłyszałem własny krzyk, ale pas bezpieczeństwa pociągnął mnie do tyłu, zaciskając mi się na piersi.

Zaszokowany nagłą ciszą, jaka zapanowała w jednej chwili, siedziałem i patrzyłem na unoszącą się znad silnika parę, przybierającą w nocnym zimnym powietrzu kształt spirali. Dotkliwe pulsowanie rozsadzało mi czoło, prawe ramię bolało mnie na całej długości, ale poza tym nic mi się nie stało. Odpiąłem pas i napałem z całą siłą na drzwiczki. Ani drgnęły. Spróbowałem ponownie. Coś je blokowało, może jakąś gałąź. Przecisnąłem się na miejsce pasażera. Drzwiczki od tej strony otworzyły się z łatwością. Przód samochodu wyglądał, jakby zapadł się w sobie, był masą pogniecionego metalu.

Pobiegłem do miejsca, gdzie zostawiłem Lavinie. Upewniwszy się,

że szosą nie nadjeżdża żaden pojazd, zaniósłem jej wiotkie zwłoki do samochodu. Nie ważyła dużo, ale mimo to musiałem przystawać kilka razy, żeby złapać oddech. Kiedy oparłem ją o karoserię, sprawdziłem jej tętno na szyi. Nie wyczuwałem niczego. Ściągnąłem jej z głowy torbę. Umieściłem ciało na miejscu dla pasażera i delikatnie przesunąłem na stronę dla kierowcy. Potem chwyciłem ją za włosy i z całej siły walnąłem jej twarzą o przednią szybę. Kawaleczki szkła powbijały się w jej delikatną skórę, teraz poczerniała od krwi.

Pozostawało jeszcze tylko tak ułożyć jej ręce i nogi w groteskowym układzie, by wyglądała na ofiarę wypadku drogowego. Gdy policja zbada jej krew, przekona się, że Lavinia znacznie przekroczyła dopuszczalną normę, poza tym obsługa hotelowa potwierdzi jej raczenie się znaczną ilością alkoholu. W momencie kiedy policjanci zdecydują się przesłuchać młodego człowieka, który jadł z nią obiad, mnie już nie będzie w kraju. Gdyby mimo wszystko udało im się jakoś mnie dorwać, powiedziałbym, że mimo moich protestów i powtarzania, iż wypła stanowczo za dużo, Lavinia uparła się odwieźć mnie do pubu. Najwyraźniej straciła kontrolę nad samochodem w drodze powrotnej do hotelu. Fakt, że nie miała zapiętego pasa bezpieczeństwa, wskazywał, że jej szanse na przeżycie podobnego wypadku były praktycznie żadne.

Sprawdziłem, czy nie zostawiłem niczego w aucie, zatrzasnąłem drzwiczki i cicho wymówiłem słowa pożegnania.

Samolot pochylił się na lewą stronę, gdy zataczał krąg po niebie, podchodząc do lądowania w Wenecji. Wyjrzałem przez okno, ale zobaczyłem jedynie bezmiar chmur. Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz odbywałem tę podróż, gdy uciekając przed własną przeszłością, wbiegłem do samolotu mającego lecieć do Wenecji. Myślałem, że zaczynając od nowa, w innym kraju, zapomnę o wszystkim, co mi się przytrafiło. Pograżę się w pisaniu i ukryję w magicznym świecie wyobraźni. Wtedy nie miałem pojęcia, że książka, którą będę chciał napisać, przybierze na koniec kształt bardzo różny od tego, jaki zamyślałem początkowo. Ale czy nie mówi się, że najlepsi pisarze zawsze tworzą coś, co mimo ich starannego planowania i przygotowań w ostatecznym rozrachunku zaczyna żyć własnym życiem?

Byłem gotów skonfrontować Crace'a z prawdą. Chciałem pokazać mu dowody nie do obalenia. Nie wyobrażałem sobie, by w tej sytuacji mógł się czegoś wypierać. Miałem zamiar powiedzieć mu wszystko, co wiedziałem o jego przeszłości, o szczegółach, które zainspirowały go do napisania *Stowarzyszenia dyskusyjnego*, o tym, jak molestował uczniów z Winterborne Abbey i jak odebrał Chrisowi życie – dosłownie i w przenośni. Ograniczylibym się przy tym wyłącznie do suchej prezentacji faktów, pełnego obiektywizmu, bez ferowania sądów, ale jednocześnie dając mu do zrozumienia, że sprawy nie mogą toczyć się dalej tak jak do tej pory. Wiedziałem oczywiście, że nie po myśli byłoby mu, gdybym poszedł na policję, ale miałem też pewność, że istniał kompromis, możliwy i korzystny dla nas obu.

Chciałem powiedzieć mu, że zamierzam napisać jego biografię, którą on autoryzuje, w zamian za współpracę byłem gotów rozważyć usunięcie z jego życiorysu pewnych faktów, które podane do wiadomości publicznej bez wątpienia by go zrujnowały, może nawet przez nie wylądowałby w

więzieniu. Które części jego biografii zatuszowałbym, a na których bym się skoncentrował, pozostawało sprawą do dyskusji. Gdyby odmówił współpracy, dysponowałem wystarczającą ilością materiału, żeby napisać nieautoryzowaną biografię, nad której treścią nie miałyby żadnej kontroli. Rzecz jasna po jego śmierci nasze ustne porozumienie stałoby się diabła warte, a ja miałbym wolną rękę w relacjonowaniu jego życia. Zastanawiałem się też, jaki los spotkał drugi egzemplarz *Nauczyciela muzyki*, który był w posiadaniu Chrisa. Może też Crace nadal miał swój egzemplarz.

Gdy opuszczałem lotnisko, poczułem na twarzy drobinki niewielkiej mżawki. Kiedy z grupą biznesmenów, parą młodych ludzi i elegancko ubranym starszym weneccjaninem czekałem na przystanku Motoscafi na łódź do Wenecji, miałem wrażenie, że zmierzam ku przyszłości, która była mi pisana. Pamiętam, że już jako dziecko zawsze miałem poczucie własnej odmienności, bycia kimś wyjątkowym. Wiedziałem, że pewnego dnia wyrobię sobie godną pozycję. Teraz było to najprawdopodobniej wyłącznie kwestią czasu, zanim ściągnę na siebie ten rodzaj uwagi, na jaki moim zdaniem zasługiwałem, a który omijał mnie jak to tej pory.

Mgła zawisła nad laguną, a gdy płynęliśmy po wodzie, prawie niczego nie dało się dostrzec poza białymi oparami. Ale podobnie jak Crace miałem w pamięci zakodowany obraz Wenecji, który z czasem stał się substytutem rzeczywistego miasta – nie potrzebowałem już prawdziwego widoku placów, mostów i kanałów. I, jak mawiał Crace, najlepiej było zostawić realizm Wenecji nieszczęśnikom pozbawionym wyobraźni, którzy potrafili patrzeć jedynie oczami.

Na środku laguny wyjąłem z plecaka plastikową torbę, tę samą, której użyłem do owinięcia głowy Lavimi. W środku był kamień, którym ją zabiłem. Zawiązałem ciasno uszy torby i upewniwszy się, że nikt na mnie nie patrzy, wyrzuciłem ją ukradkiem do wody ponad burtą łodzi. Kiedy

tonęła, odczuwałem kojącą satysfakcję, miałem poczucie spełnienia. Nie musiałem już zaprzętać sobie myśli Lavinia.

Gdy łódź zbliżała się do Arsenaie, mgła była tak gęsta, że nie dawało się odróżnić wody od ładu. Byłem jedyną osobą, która tam wysiadła, reszta pasażerów bowiem płynęła do San Marco. Stałem na Rivie i wsłuchiwałem się w cichnące odgłosy silników motorówki znikającej we mgle i bicie dzwonów dochodzące gdzieś z oddali. Postawiłem kołnierz kurtki i zacząłem iść promenadą, która wydawała się zupełnie bezлюдna, opustoszała, jeśli nie liczyć kilku zbłąkanych gołębi z placu Świętego Marka, aż do chwili gdy z mgły wyłoniło się parę postaci. Zastanawiałem się, czy wyjąć z plecaka przewodnik i przyjrzeć się planowi miasta, ale nie mogłbym ponownie znieść widoku pamiętnego znaku zapytania, który obsesyjnie rysował mi się przed oczami, dlatego szedłem po prostu w kierunku San Marco. Wiedziałem oczywiście, że w którymś miejscu powinienem skrócić w prawo i podążać jedną z alejek w stronę Castello. Wybrałem jedną na chybił trafił i podążyłem nią przez *campo* i most nad przecinającym ją kanałem. Woda wydawała się szeptać do mnie, przekazując mi jakąś zaszyfrowaną wiadomość, której nie potrafiłem zrozumieć. Czasami nie widziałem dalej niż na metr przed sobą, mgła zaś zdawała się tłumić wszelkie dźwięki, dlatego przeżywałem chwile zaskoczenia, kiedy ktoś wyłaniał się przede mną z mętnej chmury. Było tak, jakby mieszkańcy i turyści zmienili się w duchy, skazane na błąkanie się po mieście przez wieczność.

Przeszedłem przez kolejny, tym razem mniejszy most i ruszyłem ulicą, która, jak przypuszczałem, powinna zaprowadzić mnie na tyły San Zaccaria, skąd z łatwością odnalazłbym drogę do *palazzo Crace*'a. Gdy zbliżałem się do końca wąskiej uliczki, poczułem, jak włosy na karku jeżą mi się ze strachu. Usłyszałem nad sobą łopot skrzydeł gołębia, ale nie mogłem niczego dojrzeć. Sięgnąłem przed siebie ręką w mgłę, ale

nie poczułem nic poza wilgotnym powietrzem. Wydało mi się, że ktoś za mną dyszy, ale kiedy się obróciłem, z tyłu nikogo nie było. Gdy wreszcie dotarłem do krańca alejki, okazało się, że mam przed sobą mur z cegły porośnięty mchem. Znalazłem się w ślepym zaułku. Wróciłem do niewielkiego mostu i wszedłem w następną ulicę, która tym razem doprowadziła mnie na tyły San Zaccaria. Gdy zbliżałem się do kościoła Santa Maria Formosa, mgła zaczęła się trochę przersedzać.

Przekroczyłem most nad kanałem oddzielającym *palazzo* od reszty miasta i wyjąłem z kieszeni klucz. Smok wyrzeźbiony w marmurowej bramie patrzył mi w oczy, jakby ferował osąd. Przekręciłem klucz w zamku i pchnąłem ciężkie drzwi. Smugi mgły pełzały po dziedzińcu, przypominając ruchami węgorki. Zawołałem Crace'a po nazwisku, ale nie uzyskałem żadnej odpowiedzi. Wszedłem na górę po schodach. Kratownica metalowej balustrady była zimna w dotyku. Otworzyłem drzwi do *portego*. Ponownie zawołałem Crace'a, ale i tym razem nie uzyskałem żadnej odpowiedzi, założyłem więc, że pewnie śpi. W pałacu było ciemno, dlatego zapaliłem niektóre światła w holu.

W chwili gdy zobaczyłem jedną z ram leżącą na podłodze licem do dołu, otoczoną kawałkami szkła, wiedziałem, że coś nie jest w porządku. Pobiegłem w jej stronę, czując, jak szkło chrzęści mi pod stopami, i przykucnąłem, żeby sprawdzić, co się stało. Podniosłem kilka odprysków szkła i obróciłem ramę. Był to *Triumph di Carlo* Francesca de' Lodovici. Oparłem drzeworyt o ścianę, podsunąłem pod nią kawałki szkła i rzuciłem się biegiem korytarzem w kierunku sypialni Crace'a.

– Panie Gordonie! Panie Gordonie? Nic panu nie jest?

Nie zwracałem sobie głowy pukaniem do drzwi, wpadłem po prostu do jego pokoju. Leżał na plecach w pełni ubrany na łóżku i nie ruszał się.

– Panie Gordonie?

Podszedłem do niego i przez chwilę wahałem się, zanim dotknąłem

lekkie jego ramienia.

– Co się... – powiedział Gordon, obracając się i otwierając oczy.

Przez chwilę, kiedy mrugał i zmagał się z własnym ciałem, jakby walczył z niewidzialnym wrogiem, utknąwszy w pułapce w połowie drogi między snem a jawą, przypominał mi uwięzionego ptaka, którego skrzydła obwiązano drutem, rozpaczliwie próbującego się uwolnić.

– A niech mnie, to ty, Adamie – westchnął. – Dzięki Bogu to ty.

– Co się tu działo? Dobrze się pan czuje?

– Wiedziałem, że wróci... to było okropne – mówił, siadając.

Nie golił się od wielu dni, a żółtosiwy zarost pokrywał mu twarzą niczym żelazne opilki.

– Kto? Co?

– On. Chłopak, który tu był przed tobą.

– Co takiego... ktoś, kogo pan zatrudnił?

– Tak, ten, który tu pracował przed tobą – opowiadał Crace z ożywieniem. – Dorobił sobie własny klucz. Uważał, że został niesprawiedliwie odprawiony, bez rzeczywistej przyczyny. Doszedł do wniosku, że należy mu się jakaś rekompensata za trudy pracy u mnie, i włamał się tu zeszłej nocy. Dzięki Bogu nie mogłem zasnąć. Rzucałem się i wierciłem na łóżku, a potem, kiedy szedłem do łazienki po proszek nasenny...

– Panie Gordonie, niech pan nie mówi tak szybko. Wolniej, proszę.

Wziął głęboki wdech.

– No więc wtedy usłyszałem jakieś hałasy w *portego*. Nie wstydzę się przyznać, że ze strachu niemal straciłem rozum. Usiłowałem wmówić sobie, że to jakiś kot dostał się do środka przez któreś z okien, ale kiedy usłyszałem odgłosy zdejmowania ze ściany sztychu, nie mogłem ustać w miejscu. Poszedłem do gabinetu, wyjąłem z urny pistolet i pobiegłem do *portego*, gdzie go zobaczyłem... to był on... zdejmował Francesca de'

Lodovici.

– A co się działo potem?

– Kazałem mu stanowczym tonem zawiesić sztych z powrotem na jego właściwe miejsce. Wycelowalem w niego broń i zagroziłem, że jej użyję, choć oczywiście nie mógłbym tego zrobić. Cały się trząsłem. Ale ten łobuz wykopał mi pistolet z ręki, a później zaczął się wściekać, przeklinał jak szewc i oskarżał mnie o jakieś świństwa. Och, Adamie, to było potworne.

– A czego chciał?

– Było jasne, że łatwo się go nie pozbędę. Nie chciałem, żeby zabrał którąś z moich ukochanych prac – rozumiesz to, prawda? – dlatego zaproponowałem mu trochę pieniędzy.

– Dlaczego nie zadzwonił pan na policję?

– Nie, nie chciałem jej w to mieszać. Nie, to było niemożliwe.

– Ale chyba nie dał mu pan żadnych pieniędzy?

– Albo pieniądze, albo Francesco de' Lodovici. Dlatego chciałem mu dać pięćset euro, żeby sobie poszedł i więcej nie wracał.

– Zadowolili się tym? – zapytałem, myśląc o drzeworycie leżącym na podłodze w *portego*.

– Tak, najwyraźniej tak. Przyniosłem pieniądze, dałem mu je i poczułem ulgę, sądząc, że już po wszystkim. Ale gdy wychodził, znowu wpadł we wściekłość i złapał mnie za kłapy marynarki. Pchnął mnie na ścianę, a ja poczułem, jak za plecami pęka szkło tego drzeworytu. Powiedział mi, że bym nie łaził po domu, wymachując bronią, bo ktoś mógłby zostać zabity. A potem popchnął mnie jeszcze raz, rama spadła ze ściany, a on wreszcie się wyniósł. Przedtem rzucił jeszcze we mnie kluczem.

Crace skończył swoją opowieść i cicho płakał. Kiedy uniósł wątle, kościste dłonie do twarzy, żeby zakryć oczy, zauważyłem, że skórę ma

pokrytą nacięciami, a jego kremowa marynarka ma na klapach ciemne plamy.

– Przepraszam. Popatrz tylko na mnie, robię z siebie głupca – powiedział Crace, pociągając nosem.

– Niech pan nie będzie niemądry. Mam okropne wyrzuty sumienia, że mnie tu nie było.

– Tak, na to nic już się nie poradzi. Ale dzięki Bogu wróciłeś. Dopiero teraz zrozumiałem, jak bardzo się od ciebie uzależniłem. Proszę, obiecaj, że już nigdy mnie nie zostawisz, Adamie. Obiecuj.

Skinąłem głową.

– Obiecuję.

– Ale co ci się stało w czoło? – zapytał, dostrzegając siniak. – Jak do tego doszło?

– Och, nic takiego. Głupi wypadek, to wszystko.

Kiedy tego dnia obszedłem *palazzo*, miałem wrażenie, że każdy pokój w budynku został splądrowany przez intruza. Spodnie, koszule i podkoszulki leżały porzucane po podłodze w sypialni Crace'a. W salonie pełno było książek, których grzbiety wystawały z półek pod najróżniejszymi kątami. W kuchni walały się stare opakowania, puste puszki i niedojedzone posiłki. Crace powiedział mi wcześniej, że Lucia, dziewczyna, która przynosiła mu jedzenie, często wychodziła zaraz potem bez jednego słowa, jako że sam się do niej nie odzywał, bo nie chciał zachęcać jej do kręcenia się po domu. Bez wątplenia ona również nie miała na to ochoty.

Zaskoczył mnie rozmiar zapuszczenia, w jakim Crace pogрузił się w czasie mojej tygodniowej nieobecności. Nie dość, że się nie golił, to na dodatek przestał się myć i zmieniać ubranie. Gdy zapytałem go, dlaczego tak się działo, odpowiedział, że nie dostrzegał sensu w zmuszaniu się do tego, bo nie było przecież w pobliżu nikogo, z kim musiałby się liczyć. Każdego ranka, jak mówił, przeglądał ubrania, które mógłby ewentualnie włożyć, ale czuł taką apatię, że rzucał je na podłogę, gdzie leżały do tej pory. Można by pomyśleć, że kiedy mnie tu nie było, stracił chęć do życia. Zastanawiałem się, co by się stało, gdybym przebywał poza *palazzo* trochę dłużej? Wyobraziłem go sobie leżącego na łóżku, ciężka tkana narzuta okrywa jego kościsty korpus, a jego ciało powoli zanika, zamienia się w proch.

– Dlaczego nie przyznał mi się pan przez telefon, jak się pan czuje? – zapytałem, zbierając ubrania z podłogi w sypialni.

– Wiedziałem, że i tak masz dość zmartwień. Nie chciałem, żebyś bardziej się denerwował, bo i tak byłeś wytrącony z równowagi. A przy okazji, jak się odbył?

– Słucham?

– No, pogrzeb.

– Był bardzo smutny, to oczywiste. Chociaż wszyscy usiłowali wmawiać sobie, że to bardziej uroczyść ku uczczeniu jej życia.

– Bardzo mądrze – pochwalił Crace, patrząc na zadrapania na wierzchach dłoni.

– Chce pan, żebym zalepił je plastrem?

– Nie. Moja skóra już nie jest taka jak dawniej, ale jestem pewny, że szybko się zagoi. Ale kręgosłup... – ciągnął, wykrzywiając się przy podnoszeniu się z łóżka. – Dobry Boże, to zupełnie inna historia. Czy byłbyś tak dobry i przygotował dla mnie kąpiel? Myślę, że tego mi właśnie trzeba, dobrej, gorącej kąpieli.

– Doskonały pomysł – skwitowałem jego prośbę.

Podczas gdy w łazience woda lała się do wanny, szybko umyłem sedes i umywalkę. Para wypełniła pomieszczenie gęstą mgłą, osiadając na lustrze, a kiedy Crace tam wszedł kilka minut później, przypominał mi jedną ze zjaw, które widziałem wcześniej tego dnia we mgle.

– Jestem żaloszny – oznajmił. – Popatrz... palce tak bardzo mi się trzęsą, że nie potrafię sam się rozebrać. Nie śmiem cię prosić, Adamie, ale czy mógłbyś...

Przebiegał palcami w górę i w dół po guzikach koszuli, nieskutecznie usiłując je poodpinać, ale najwyraźniej nie mógł zapanować nad dłońmi wystarczająco długo, by tego dokonać.

– Oczywiście. Niech mi pan pozwoli...

Zaczynając od kołnierzyka, powoli odpinałem poszczególne guziki, rozpinając mu koszulę do pasa. Kiedy to zrobiłem, Crace spuścił wzrok, jakby znosił nieuniknione upokorzenie. Opierając się o mnie, rozsunął suwak rozporka, a ja podprowadziłem go do sedesu. Opuściłem deskę, pomogłem usiąść i wolno ściągnąłem mu spodnie. Żal mi się go zrobiło, gdy tak siedział w kalesonkach, podkoszulku i skarpetkach, wyglądając

na starego zmęczonego człowieka, jakim był w rzeczywistości. Choć wiedziałem z całą pewnością, że dopuścił się kiedyś nikczemnych rzeczy, teraz stało się jasne, iż nie byłby zdolny do zrobienia czegokolwiek poza samym istnieniem, trawieniem czasu, zanim płomień jego życia zgaśnie.

Podniosłem jego ubranie i odłożyłem na bok do prania. Biorąc pod uwagę, że nie kąpał się od kilku dni, trudno byłoby powiedzieć, że śmierdział. Zapach, jaki go otaczał, bardziej przypominał woń zakurzonych książek niż starczego ciała. Pachniał niczym stara niewietrzona biblioteka.

– Dziękuję, Adamie, to bardzo uprzejmie z twojej strony – powiedział, nadal nie podnosząc oczu. – Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie.

Wyciągając przed siebie chude ramiona, teraz właściwie pozbawione jakichkolwiek mięśni, chwycił się umywalki i próbował wstać, ale w tej samej chwili ból wykrzywił mu twarz.

– Pomogę panu – odezwałem się, wsuwając mu ramiona pod pachy.

– To takie upokarzające. Nie wiem, co się ze mną stało.

– Za kilka dni odzyska pan siły. Przeżył pan straszny szok i trzeba jedynie trochę się panem zaopiekować, to wszystko.

– Jesteś miły, Adamie. Bardzo miły.

Upewniwszy się, że dobrze go trzymam, użyłem własnego ciężaru jako przeciwwagi do uniesienia jego lekkiego ciała i przysunięcia go do siebie. Kiedy to zrobiłem, poczułem jego zimne dłonie otaczające moją szyję i palce głaszczące mi włosy na karku. Skrzywiłem się, gdy nasze ciała się zetknęły, a kiedy przybliżyłem go do siebie jeszcze bardziej, wyczułem metalicznie pachnący oddech.

– Dziękuję ci, dziękuję – wyszeptał, gdy przytrzymałem go w pozycji stojącej.

– I sprawa załatwiona, dobrze. – Delikatnie zdjąłem jego dłonie z mojej szyi, upewniwszy się, że mocno stoi na nogach. – W porządku. Jak pan uważa – mogę pana zostawić samego? Da pan sobie radę w wannie?

– Wiesz, że normalnie nie prosiłbym cię o to, Adamie, ale czy nie sprawiłoby ci ogromnej przykrości, gdybyś pomógł mi do niej wejść? Zdaję sobie sprawę, że chyba trochę panikuję, ale strasznie mnie boli w krzyżu, jakiś atak czy coś takiego.

Kiedy spróbował sięgnąć do własnych pleców, cierpienie wykrzywiło mu usta.

– Nie mam pojęcia, co ten chłopak mi zrobił, ale boli jak jasna cholera.

– W takim razie do dzieła. Wsadzimy pana do wanny.

Pochyliłem się, żeby sprawdzić temperaturę wody – była bardzo gorąca, ale nie na tyle, żeby poparzyć – wsypałem do niej sól kąpielową o zapachu cytrusowym i przyspieszyłem rozpuszczanie kryształków, mieszając wodę ręką. Wytarłem dłoń, a potem starając się nie myśleć, o tym, co mam zrobić, chwyciłem dolny brzeg podkoszulka Crace’a i powoli podciągnąłem go, odsłaniając zapadniętą klatkę piersiową i ostro zarysowane kościste ramiona, by ostatecznie ściągnąć mu go przez głowę. Pomogłem memu pracodawcy usiąść na brzegu wanny i przykłęknąłem, żeby zdjąć mu skarpetki. Jego powykręcane, haczykowate palce u nóg wyglądały jak sękaty korzenie starego drzewa. Ponownie go postawiłem i od tyłu zsunąłem mu delikatnie białe bawełniane kałesonki, podtrzymując go, gdy unosił nogi, żeby się od nich uwolnić. Pośladki miał obwisłe, a kiedy się obrócił, dostrzegłem jego długiego i cienkiego penisa, otoczonego kępką siwych włosów łonowych. Po tym, jak pomogłem mu wejść do wanny, trzymałem go jeszcze, kiedy zanurzał się w wodzie.

– Boże, ależ gorąca – jęknął, zasysając powietrze przez zęby, gdy jego ciało zetknęło się z wodą.

– Ale na pewno dobrze panu robi – odparłem, biorąc go za ramiona i pomagając usiąść.

– Tak, właściwie już teraz lepiej się czuję.

– Może pomoczy się pan trochę? – zaproponowałem, wycierając ręce.

– A kiedy będzie pan gotowy do mycia, wystarczy zawołać.

– Wiem, że jestem strasznie marudny, ale czy nie mógłbyś posiedzieć przy mnie chwilę? Ciągle nie czuję się całkiem dobrze.

– Oczywiście, nie ma problemu.

Patrzyłem, jak ciało Crace’a powoli się odpręży. Zanurzył się trochę głębiej, tak że jego głowa niemal pogrzyżyła się w wodzie. Zamknął oczy, skrzyżował ramiona na piersi i oddychał głęboko.

– A jak ci idzie pisanie? – zapytał, nie otwierając oczu.

– Słucham?

– Twojej powieści – jestem po prostu ciekawy, jak sobie radzisz?

– Ostatnio niewiele posunąłem się w pracy, przez pogrzeb i w ogóle.

– Tak, to potrafisz zrozumieć – odpowiedział, otwierając oczy i siadając w wannie. – Ale przed wyjazdem obiecałeś, że przeczytasz mi z niej jakiś fragment.

– Obawiam się, że nadal jest jeszcze w bardzo niewyglądzonej wersji. Nie jestem pewny, czy nadaje się do pokazania komukolwiek.

– Jaka szkoda – wyznał. – Szczerze mówiąc, bardzo się na to cieszyłem. Wyobrażałem sobie, że twój zeszyt zapełnił się do tej pory pokaźną liczbą notatek. Czy możesz mi podać mydło?

Sięgnąłem do półki wiszącej na końcu wanny i podałem mu oliwkowe mydło. Jego palce dotykały mojej ręki odrobinę za długo.

– Ale przecież to tylko ja, Adamie, nie będziesz tego czytał przed prawdziwą publicznością.

– Cóż...

– Proszę. Poza tym to odwróci moją uwagę od tej okropnej sprawy.

Nie miałem wiele do zaprezentowania poza kilkoma scenami, niemniej zgodziłem się.

– Ale ostrzegam, niech się pan nie spodziewa zbyt wiele.

– Spokojna głowa. – Uśmiechnął się. – Nie będę.

Po wykąpaniu, wytarciu i ubraniu Crace'a znalazłem wreszcie trochę czasu, by się rozpakować. Pokój zastałem w stanie, w jakim go zostawiłem – niewielki, ubogo umeblowany i funkcjonalny. Kiedy do niego wszedłem, po raz pierwszy zwróciłem uwagę, że jest pozbawiony jakichkolwiek osobistych akcentów – obrazów na ścianach, bibelotów na półkach, książek, pocztówek – przedmiotów, które tworzą atmosferę prywatności. Być może zawsze przeczuwałem, że nie zostanę długo w *palazzo*, że przeprowadzę się gdzieś indziej. A może nie chciałem dać Crace'owi żadnych wskazówek dotyczących mojej osobowości?

Wyjąłem z plecaka kosmetyczkę, postawiłem ją na podłodze obok drzwi, żebym nie zapomniał zabrać jej później do łazienki, i trochę ubrań wymagających prania. Resztę spraw, którymi powinienem się zająć – pranie, posprzątanie kuchni i przywrócenie porządku – odłożyłem do następnego dnia. Byłem wyczerpany, i to nie tylko dlatego, że wcześniej wstałem i odbyłem podróż samolotem, ale też, jak myślę, z powodu powrotu do *palazzo* i stanu Crace'a. Usiłowałem nie myśleć o bliskości jego gadziego ciała w łazience, dotyku jego skóry, widoku jego nagości.

Incydent z byłym pracownikiem, człowiekiem najwyraźniej na wskroś bardzo nieprzyjemnym, wytrącił go z równowagi. Miałem pewność, że obrażenia Crace'a nie były poważne, a rany na rękach zagoją się w ciągu kilku dni. Problemy z krzyżem też szybko miną.

Kiedy jeszcze siedział w wannie, zapytałem go ponownie, czy upiera się przy swojej decyzji, by nie mieszać w to policji, ale powtórzył, że nie chce, żeby cokolwiek robić w tej sprawie. Szczerze mówiąc, był przy tym tak stanowczy, że zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno powiedział mi całą prawdę. Dlaczego chłopak pracujący przede mną odszedł tak nagle? Co Crace mu zrobił? Teraz, gdy znałem jego przeszłość, wydało mi się bardzo prawdopodobne, że próbował go uwieść, chłopak poczuł

się urażony, wybuchła kłótnia, a potem nie pozostawało mu nic innego, jak odejść. Nic dziwnego, że chłopak, zły i dotknięty do żywego, wrócił, żeby się jakoś zemścić.

Wyciągnąłem zeszyt z plecaka, usiadłem przy biurku pod oknem, przekartkowałem go i poczułem rozpierającą mnie dumę, gdy patrzyłem na całe mnóstwo danych, jakie zebrałem na temat Crace'a. A choć niektóre aspekty życia Gordona nadal stanowiły dla mnie zagadkę, przynajmniej do tej pory, i nic o nich nie wiedziałem, dysponowałem niemal wystarczającą ilością materiału, by przystąpić do szkicowania wstępnej wersji biografii. Na tylnej stronie zeszytu zacząłem spisywać listę ewentualnych tytułów, ale żaden nie wydał mi się tak trafny jak *Milczek Lavinii*, który lubiłem w myślach przejmować jako własny.

Obróciłem się, żeby zyskać pewność, że drzwi są zamknięte i Crace nie wejdzie lada moment do pokoju, a potem zacząłem się zastanawiać, gdzie najlepiej byłoby schować zeszyt. Przed wyjazdem trzymałem go na dnie walizki pod starym podkoszulkiem, ale teraz, gdy materiał, który zawierał, stał się dużo bardziej szczegółowy, wiedziałem, że muszę znaleźć lepsze miejsce, jeśli chcę utrzymać jego zawartość w tajemnicy. Podeszedłem do okien i otworzyłem okiennice. Na zewnątrz panowała już ciemność, ale w nikłym świetle dochodzącym z balkonu naprzeciwko mogłem się zorientować, że znajdujący się poniżej kanał nadal zasnuwa mgła. Od czasu do czasu wyłaniała się z niej gondola, pozostając w polu widzenia przez kilka sekund. W oddali słychać było ujadanie psa i głos jakiejś kobiety, która ćwiczyła gamy w szeregu tonacji molowych.

Na wąskim parapecie mojego okna stała pusta skrzynka na kwiaty. Pomyślałem, że właśnie pod nią ukryję zeszyt, naturalnie po włożeniu go uprzednio w kilka plastikowych toreb. Przyszło mi też do głowy, że dobrze byłoby przywiązać go do skrzynki za pomocą sznurka lub plastikowej taśmy. Poniechałem jednak tego pomysłu, bo nie mogłem

ryzykować umieszczenia mojego skarbu w tak niepewnym miejscu, gdzie byle burza z łatwością mogłaby go porwać z parapetu i zrzucić do wody w kanale. Poza tym gdyby Crace stanął przy oknie w kuchni, która była obok, i spojrzął w kierunku mojej sypialni, mógłby zauważyć pakunek przy skrzynce na kwiaty.

Półki w szafie wbudowanej w ścianę były kolejną możliwością, ale stanowczo zbyt oczywistą, podobnie jak schowek pod materacem łóżka. Na dodatek teraz, kiedy Lavinia przekazała mi wszystkie swoje notatki, ilość materiału była całkiem pokaźna, wobec czego miejsca musiało być na tyle dużo, by wszystko się zmieściło. Przez chwilę zastanawiałem się nad wykorzystaniem pustego pokoju na piętrze nade mną, którego zupełnie nie znałem, ale ponieważ Crace powiedział, że bym nie zawracał sobie głowy chodzeniem tam, gdyby usłyszał moje kroki nad głową, na pewno wzbudziłoby to w nim podejrzliwość. I wtedy oczami wyobraźni zobaczyłem Shawa wyciągającego dziennik Chrisa spod klepek. Przypomniał mi się głuchy odgłos wydawany przez podłogę w moim pokoju. Oczywiście. To doskonały pomysł. Wystarczyło, że bym uniósł jedną z desek, a zyskałbym idealną skrytkę, ciemne, tajemne miejsce, o którego istnieniu – o czym byłem przekonany – Crace nigdy by nawet nie pomyślał. Ale żeby podnieść kawałek podłogi, potrzebowałem narzędzi. Pamiętałem o dłucie, wykorzystanym przeze mnie do usunięcia mchu z korynckich kolumn na dziedzińcu.

Uklęknąłem i wpełzłem pod biurko w poszukiwaniu poluzowanej deski, którą wyczuwałem stopami, kiedy przy nim pracowałem. Gdyby udało mi się odchylić ją trochę, mógłbym wcisnąć cały posiadany materiał w dziurę, z dala od ciekawskich oczu.

Wstałem i podeszedłem do drzwi. Na zewnątrz, na korytarzu, nasłuchiwałem odgłosów Crace'a. W *palazzo* panowała cisza, nie słychać było nic poza sennym chłupotaniem wody w kanale. Crace

prawdopodobnie nadal siedział w swojej sypialni i kończył się ubierać. W łazience oznajmił, że będziemy świętować mój powrót. Planował wyjątkowy wieczór, którym chciał mi udowodnić, jak bardzo docenia wszystko, co zrobiłem, wszystkie moje drobne uprzejmości. Miał butelkę chateau-mar-gaus z 1967 roku, którą wcześniej odłożył i teraz chciał się nią ze mną podzielić. Tyle przynajmniej, jak twierdził, mógł zrobić, żeby się odwdziżyć za moją pomoc. Przepraszał przy tym, że w kuchni zostało niewiele jedzenia – zjadł bowiem wszystko, co przyniosła dziewczyna, poza kilkoma przejrzałymi pomidorami i kawałkiem suchego parmezanu. W tej sytuacji uzgodniliśmy, że kolacja ograniczy się do spaghetti z sosem pomidorowym, z dodatkiem masła i cukru, które obiecałem przygotować później. Po kolacji miałem przeczytać mu oczekiwane przez niego z niecierpliwością fragmenty mojej powieści.

W kuchni umyłem i wytarłem ciężką patelnię. Postawiłem ją na kuchence. Otworzyłem puszkę pomidorów, wylałem jej zawartość na patelnię, dodałem posiekane dojrzałe, świeże pomidory, masło i cukier, i solidnie to wymieszałem. Pochyliłem się potem i z szafki pod zlewem spomiędzy butelek z wybielaczami, detergentami i płynami do czyszczenia wyjąłem dłuto. Szybko zamieszałem sos raz jeszcze, zmniejszyłem płomień i wróciłem do mojego pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Uklęknąłem przy biurku, znalazłem deskę, którą wybrałem już wcześniej, poluzowałem ją odrobinę i w szparę wsunąłem dłuto. Podłoga zatrzeszczała, gdy wciskałem dłuto głębiej. Powoli podważyłem deskę i zajrzałem w ciemną dziurę.

Była tam masa pajęczyn, wyschnięte drewniane wióry i kurz. Znad niej uniósł się stęchły, zabójczy smród. Nie podobał mi się pomysł wkładania mojego czyściutkiego zeszytu w to cuchnące, brudne miejsce, ale wiedziałem też, że nie mam innego wyjścia. Podniosłem się, zapakowałem wszystkie posiadane przeze mnie materiały do dwóch

plastikowych toreb i wepchnąłem je głęboko w czarną czeluść. Potem pobiegłem do kuchni i zająłem się mieszaniem sosu.

Wygłąda pan dużo lepiej – próbowałem go pocieszyć, nawijając na widelec ostatnie nitki spaghetti.

– Och tak, rzeczywiście. Znacznie lepiej. Plecy już mnie tak nie bołą, a kąpiel naprawdę dobrze mi zrobiła. Twój powrót bardzo podniósł mnie na duchu.

– To dobrze. Miło mi to słyszeć. Nadal nie mogę uwierzyć, że tamten chłopak tu wrócił i zachowywał się w taki sposób. Musi być naprawdę wredny. Założę się, że teraz jest pan zadowolony z decyzji zwolnienia go w porę z pracy.

– W rzeczy samej. – Crace wytarł serwetką resztę pomidorowego sosu z kącika ust. – Był nieznośny. A poza tym gdybym go trzymał, nigdy nie znalazłbym ciebie.

Ponownie obdarzył mnie tym spojrzeniem, tym samym, od którego żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Uśmiechnąłem się, udając, że jego komplement sprawił mi przyjemność. Powtarzałem sobie, że to tylko kwestia czasu, zanim pojawi się konieczność odbycia „pogawędki”, kiedy będzie musiał stawić czoło faktom. Po niej przestanie się uśmiechać – tego byłem pewny.

– To było pyszne, Adamie, naprawdę bardzo smaczne. Sos udał ci się wyjątkowo.

– A ja dziękuję za to – uśmiechnąłem się, upijając kolejny łyk margaux.
– Jest wyśmienite.

Crace uniósł do góry kieliszek.

– Na zdrowie – powiedział. – Za ciebie. I za wszystko.

– Na zdrowie – odparłem, spuszczać wzrok. – No dobrze, posprzątam teraz talerze.

– Och tak. Pewnie nie możesz się doczekać, żeby mi coś przeczytać.

Odkasznąłem.

– Niech pan posłucha, Gordonie, co do czytania...

– Tak?

– Zastanawiam się, czy dałby mi pan mniej więcej godzinę. Chciałbym to jeszcze raz przejrzeć, zmienić kilka zdań tu i tam.

Wyglądał na rozczarowanego.

– Bardzo chciałbym po prostu jak najlepiej przed panem wypaść.

– No cóż, dobrze – zgodził się, patrząc na stertę brudnych talerzy, kieliszków i miseczek, zapełniających kuchenny blat. – Może zostawisz zmywanie na później? Potem będziesz mógł się nim zająć, prawda? I tak panuje tu taki bałagan, że moim zdaniem nie zrobi to żadnej różnicy.

– Dobrze. Czy podać coś panu, zanim pójde do swojego pokoju?

Zastanawiał się przez chwilę i wyciągnął rękę z kieliszkiem, żeby mu dolać wina. Kiedy nalewał mu ciemną, niemal czarną ciecz, przesunął dłoń tak, że otarł się nią o moją rękę, i uśmiechał się przy tym. Nie byłem pewny, jak długo jeszcze wytrzymam podobne zachowanie z jego strony, ale tym razem nic nie powiedziałem.

– Będę na ciebie czekał – rzekł, gdy wychodziłem z kuchni.

Już w swoim pokoju przejrzałem wyniki moich literackich wysiłków. Opowieść skupiała się na młodym mężczyźnie o imieniu Richard, który nie potrafił pogodzić się z tym, że jego dziewczyna, Emma, z nim zerwała. Opisałem chłopaka stojącego przed domem Emmy, wpatrującego się w jej okna, niezdolnego pojąć, dlaczego został odrzucony. Wspomnienia wspólnie spędzonego czasu napełniły go rodzajem ekstatycznego szczęścia, przeszłość tak obsesyjnie nim owładnęła, że zaczął wierzyć, iż nadal stanowili z Emmą parę. Wraca do swojego nowego mieszkania, robiąc po drodze zakupy, i przygotowuje wspianą kolację.

Nakrywa stół dla dwojga i już przy stole w czasie posiłku rozmawia z pustką, jakby po drugiej stronie siedziała jego dziewczyna. Wznosi toast i robi gest, jakby stukał się kieliszkiem z Emmą, idealną kobietą, którą

zawsze już będzie kochał, a która, przynajmniej w jego umyśle, nigdy się nie zmieni i pozostanie niedostępna dla innych.

Crace'a zastałem w salonie, siedział z zamkniętymi oczami, brwi miał zmarszczone. Kiedy usłyszał, że wchodzę do pokoju, uniósł powieki, uśmiechnął się i poprosił, żebym zajął miejsce w fotelu naprzeciwko niego.

– Usiądź wygodnie, a potem możesz zaczynać – powiedział, najwyraźniej rozbawiony.

Odchrząknąłem i wyjaśniłem mu, że ta historyjka to fragment czegoś, co – jak miałem nadzieję – przybierze formę obszerniejszej pracy. Niepewnym głosem rozpocząłem czytanie. Co jakiś czas podnosiłem spojrzenie i przekonywałem się, że Crace słucha moich słów z uwagą, kiwając od czasu do czasu głową, jakby pochwalał, zgadzał się ze mną, rozumiał albo po prostu robił to z przyzwyczajenia. Nie jestem pewny, jak długo czytałem, może kwadrans lub coś koło tego, ale kiedy dotarłem do końca opowieści, do fragmentu opisującego, jak Richard siada do kolacji i rozmawia z wyimaginowaną dziewczyną, zauważyłem, że Crace ma łzy w oczach. Gdy skończyłem, wyglądał na tak wzruszonego, że nie mógł mówić.

– Przepraszam – odezwał się, machając dłonią przed własną twarzą. – To... cóż... to było piękne. Piękne.

– Wydaje mi się, że jeszcze trzeba nad tym trochę popracować – odparłem zaskoczony i skrępowany jego reakcją.

– Nie, nie, moim zdaniem jest doskonałe.

– Oczywiście chętnie wysłucham każdej krytyki, będę wdzięczny za każdą uwagę, co pańskim zdaniem powinienem zmienić lub wyrzucić.

– Nie wolno ci zmienić choćby jednego słowa – zapewnił. – Nie, nawet jednego słowa.

– Dziękuję, panie Gordonie. To ma dla mnie ogromne znaczenie.

– Nie ma za co, drogi chłopcze. Naprawdę świetnie to napisałeś. Jesteś ogromnie pomysłowy.

Przez następne kilka dni wypełniałem swoje obowiązki, dopilnowałem wstawienia szyby w ramę i powieszenia ponownie na ścianie drzeworytu Francesa de' Lodovici, wyprostowania pozostałych obrazów, które były pracownik Crace'a poprzekrzywił, pozmywałem brudne naczynia w kuchni i sprzątnąłem salon. Podczas pracy odgrywałem w myślach scenę, w której ostatecznie stawiałem Gordona przed faktami z jego przeszłości. Wyobrażałem sobie, jak wchodzę do salonu, gdzie Crace akurat coś czyta, i proszę, żeby mnie wysłuchał, bo mam mu coś ważnego do powiedzenia. Podnosił na mnie wzrok, początkowo bez śladu zainteresowania, ale potem, kiedy usłyszał treść mojej przemowy, w jego oczach pojawiała się panika. Przeżywałem tę rozmowę raz po raz i fantazując, powtarzałem swoje kwestie z różną intonacją, akcentem i ekspresją. Za każdym razem przerywałem na chwilę, żeby lepiej się przyjrzeć emocjom malującym się na twarzy Crace'a, po tym jak oznajmiałem mu, że jestem w posiadaniu pożegnalnego listu Chrisa. Tak, to spotęguje dramatyczną wymowę tej sceny. Powinno mi pójść jak z płatką.

Nie bez znaczenia było zaprezentowanie wszystkiego w przekonujący sposób, świadczący o mojej pewności siebie, nie chciałem przecież, żeby Crace poprzekręcał moje słowa. W stworzonej przeze mnie sytuacji nie istniała możliwość, by wyłgał się od winy. Miałem dowody czarno na białym, prawdę napisanych słów.

Wycucie czasu, wybranie odpowiedniego momentu na konfrontację z Crace'em było najważniejsze. Zanim jednak miałyby do niej dojść, chciałem utwierdzić Crace'a w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa, uspić jego czujność, i dlatego robiłem wszystko pod jego dyktando, bardzo uważając, by nie zdenerwować go ani mu się nie sprzeciwić pod żadnym względem. Ignorowałem jego sporadyczne obelgi, nieuprzejme zbywanie

moich pytań i próśb i znosiłem jego żałosne próby flirtowania ze mną. Kiedy „przypadkiem” ocierał się o mnie i czułem wypukłość jego klatki piersiowej naciskającej na mnie, gdy usiłował przecisnąć się obok w rogu kuchni, zamykałem oczy i wyobrażałem sobie, że jestem gdzie indziej. Od chwili gdy wróciłem, jego zainteresowanie moją osobą wzrosło do poziomu, który śmiało mogę teraz określić jako bliski obsesji. Już samo moje wyjście z *palazzo*, żeby na przykład zamówić szkło do oprawy drzeworytu Francesca de' Lodovici, wyciskało mu niemal łzy z oczu. Dopiero kiedy obiecałem mu, że wrócę jak najszybciej, i przypomniałem, że w innym wypadku pozostaje jedynie powieszenie na ścianie drzeworytu w zniszczonej oprawie – zgodził się. Często przyłapywałem go na spoglądaniu w moją stronę z rozmarzonym wyrazem twarzy, jakby przeżywał jakiś fragment wspomnień z przeszłości.

Pewnego wieczora, kiedy Crace powiedział mi, że idzie już do łóżka, zrobiłem sobie gorącą kąpiel. Zanurzyłem się w wodzie wraz z głową i zamknąłem oczy. Słyszałem cichy odgłos bicia własnego serca przypominający nierówny rytm odległego werbla. Nie wynurzałem się przez jakiś czas, nie bardzo wiem, ile dokładnie to trwało, ale pamiętam aż nadto wyraźnie poczucie wolności, jakie mnie ogarnęło w tym ciemnym miejscu odcinającym od świata moje zmysły. Zanim woda zaczęła stygnąć, namydliłem się i splukałem. Wyszedłem z wanny i właśnie się wycierałem, gdy spostrzegłem, że gałka w drzwiach łazienki powoli się obraca. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że zapomniałem je zamknąć – w końcu Crace pożegnał się ze mną, mówiąc dobranoc – ale zanim zdołałem przesunąć zasuwkę, umieszczając jej bolec we framudze, drzwi zaczęły się otwierać. Owinąłem się ręcznikiem wokół talii, a Crace wszedł do środka, zanim zapytał, czy może to zrobić. Przeprosił mnie i wyjaśnił, że bardzo chce mu się sikać, jak powiedział. Nadal był kompletnie ubrany w jaskrawopomarańczowe sztruksowe spodnie,

białą koszulę i jasnobrązową tweedową marynarkę, które nosił przez cały dzień. Najwyraźniej w ogóle nie miał zamiaru kłaść się jeszcze spać. Wlepił wzrok w moją pierś, przebiegał oczami po moim torsie w górę i w dół, jakby miał zamiar mnie pożreć.

– Zostawię pana samego – powiedziałem, czując, jak się rumienię.

– Nie ma potrzeby, żebyś wychodził z mojego powodu. W końcu obaj jesteśmy chłopcami, prawda?

– Jednak wyjdę, panie Gordonie, nie ma sprawy. – Opuściłem łazienkę, podczas gdy on rozpiął suwak u spodni.

Kiedy stałem na korytarzu, słyszałem, jak się załatwia, a chwilę później zawołał mnie po imieniu, dodając, że łazienka jest już wolna. Czekał w drzwiach, bo wiedział, że wchodząc, będę musiał się o niego otrzeć. Uśmiechnąłem się, mając nadzieję, że trochę się odsunie, ale on stał jak zaklęty.

– Wiesz, to coś wyjątkowego, zgodzisz się chyba? – powiedział.

– Słucham?

– Ty i ja. Tu i teraz.

– Nie bardzo rozumiem, przepraszam.

– Można by pomyśleć, że to przeznaczenie, nie sądzisz? To znaczy wszystko, co dla mnie zrobiłeś od chwili, gdy tu przyszedłeś, twoja uprzejmość i drobiazgowa uwaga dotycząca każdego szczegółu. Widziałeś, jaki byłem rozbity, kiedy wyjechałeś na tydzień. To straszliwie żałosne z mojej strony, zdaję sobie z tego sprawę, ale twoja obecność zmieniła moje życie, naprawdę.

– Cieszę się, że jest pan zadowolony.

– O tak. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek od wielu lat.

Zrobiłem krok w jego stronę, dając mu do zrozumienia, żeby się usunął z drzwi, ale on się nie ruszył, dlatego przestępowałem nerwowo z nogi na nogę w daremnej próbie rozgrzania się.

– Ależ to niewybaczalny brak wycucia z mojej strony! Przecież ty nadal jesteś mokry, pewnie przemarzłeś. Musisz od razu się ubrać. O czym ja myślałem?

Usunął się z drzwi tak, że zrobił trochę miejsca, przez które mogłem się przecisnąć. Trzymając róg ręcznika jedną ręką i pochylając trochę głowę, żeby nasze spojrzenia się nie spotkały, minąłem go, na wprost oczekując dotyku jego ręki na karku. Choć pozwolił mi przejść obok siebie bez żadnej zaczepki, kiedy już znalazłem się w łazience, nadal stał w wejściu z wyrazem zaciekawienia na twarzy. Marzyłem, żeby zamknął drzwi i odszedł, ale on nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby sprawdzał moje reakcje. Czego ode mnie chciał? Czy chodziło mu o to, żebym dokończył wycierać się na jego oczach? Sama myśl o tym napawała mnie takim obrzydzeniem, że zrobiło mi się niedobrze. Twarz ponownie mi poczerwieniała, czułem, jak zaczyna mnie boleć nadgarstek od zaciskania dłoni na ręczniku. Musiałem się skoncentrować, żeby trzymać rękę tam, gdzie była, jakbym się bał tego, co mógłbym zrobić. W tej samej chwili, na moment przed utratą przeze mnie panowania nad sobą, Crace poruszył się i wyszedł.

– Nie możesz mi pozwalać, żebym zwracał ci głowę – powiedział. – Popatrz tylko na siebie, biedaczkę, cały się trzęsiesz. Nie chcemy, żebyś się rozchorował, prawda?

Kiedy tylko przeszedł korytarzem i zniknął w sypialni, zatrzasnąłem drzwi i opadłem ciężko na brzeg wanny, cały roztrzęsiony. Nie mogłem sobie pozwolić na myślenie o tym, do czego niemal doszło. Zabrałem się od nowa do wycierania własnego ciała, pozbywając się ze skóry kropelek wody. Już ubrany starałem się przekonać samego siebie, żeby potraktować to jedynie jako kolejny przykład ekscentrycznego zachowania Crace'a. Ale przeczył temu sposób, w jaki na mnie patrzył, stojąc w drzwiach. Nie tyle chodziło przy tym o wyraz pożądania w jego oczach, ile o rodzaj

oczekiwania.

W moim śnie byłem w domu rodziców, ale korytarze w nim wydawały się ciągnąć bez końca, a sam budynek miał znacznie więcej pokoi. Biegałem po nim, szukając czegoś, ale nie byłem pewny, co właściwie chcę znaleźć. Nie miałem jednak wątpliwości, że rozpoznam to w chwili, gdy się na to natknę. Pokonywałem schody, które wydawały się topnieć pod moimi nogami, a kiedy wyciągnąłem stopę, by postawić ją na podeście, zamiast znaleźć się wyżej, poczułem, że spadam w czarną czeluść głęboką na kilkadziesiąt metrów, aż wylądowałem w korytarzu na zewnątrz mojej sypialni z czasów chłopięcych. Usłyszałem, że gra w niej muzyka z płyty, którą kiedyś kupiłem, ale której nie mogłem uruchomić. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Zobaczyłem tam postać chłopca siedzącego na łóżku tyłem do mnie. Miał na sobie takie same czarne spodnie, niebieski blezer i białą koszulę, jakie składały się na mój szkolny mundurek, i z tego powodu wziąłem go za jednego z kolegów z klasy. Ale, co dziwne, nie znałem jego nazwiska. Zrobiłem krok w kierunku łóżka, lecz kiedy sięgnąłem dłonią i dotknąłem zaokrąglonego policzka chłopca, on zaś zaczął obracać głowę w moją stronę, żeby mi się pokazać, poczułem, że coś się o mnie ociera, dokładnie w tym samym miejscu mojej twarzy.

Otworzyłem oczy i gwałtownie usiadłem na łóżku, przekonany, że cokolwiek mnie dotknęło, nie miało nic wspólnego ze snem. Byłem pewny, że słyszę oddalające się kroki na korytarzu. Przetarłem oczy i usiłowałem dostrzec coś w mroku panującym w pokoju. Stopniowo wyłaniały się przede mną zarysy zakrzywionej ramy w nogach łóżka, kształty okiennic przy oknach, linia biurka i bryła plecaka stojącego w kącie. Nastawiłem uszu w nadziei, że dojdą mnie jakieś odgłosy wydawane przez Crace'a, ale słyszałem jedynie chłopot wody na zewnątrz *palazzo*. Zerknąłem na zegarek przy łóżku. Była trzecia dwadzieścia sześć nad ranem.

Od chwili gdy Crace zaskoczył mnie w łazience, minęło zaledwie kilka godzin. A teraz zakradł się w środku nocy do mojego pokoju. Przesunąłem palcami po policzku w miejscu, którego w moim przekonaniu dotknął przed chwilą, wierząc do pewnego stopnia, że skóra będzie zmieniona albo że zostawił po sobie jakiś ślad. Końcówki nerwów nadal kurczyły mi się od tego wspomnienia, jakby ręka Crace'a ciągle jeszcze muskała moją skórę.

Zwlokłem się z łóżka jak najciszej i podszedłem do lekko uchylonych drzwi. Byłem przekonany, że zamknąłem je dokładnie. Otworzyłem je i wyszedłem na korytarz. W ciemności, dotykając ręką ściany, ruszyłem w kierunku *portego*. Przez okno wychodzące na kanał wpadały do holu promienie księżyca, rzucając widmową poświatę na obrazy i ryciny. Zwolniłem kroku w korytarzu i zatrzymałem się przy pokojach Crace'a. Dałbym głowę, że słyszę go w środku. Miałem właśnie zamiar się obrócić i wracać do sypialni, kiedy drzwi Crace'a się otworzyły, a ciemność przerwał snop światła.

– Czy to ty, Adamie? – zapytał Crace, stając w drzwiach.

– Tak – wyszeptalem.

– Co ty, do licha, wyprawiasz?

– Musiałem skorzystać z łazienki.

– Och, okropnie mnie wystraszyłeś. Usłyszałem, że ktoś skrada się na zewnątrz, i pomyślałem, że to na pewno znowu ten wstrętny chłopak.

– Nie, to tylko ja – odparłem, udając ziewanie.

– Nie mogłem zasnąć – powiedział Crace, wychodząc z pokoju i otwierając drzwi łazienki. – Muszę wziąć proszki nasenne. Gdzie one są? Wiem, że gdzieś tu były.

Odwrociłem się i podążając korytarzem, zacząłem wracać do własnej sypialni, gdy usłyszałem, że Crace mnie woła.

– Czy mógłbyś mi pomóc? – poprosił z nutą desperacji w głosie. – Nie

mogę znaleźć tego gówna. Co się dzieje z tymi proszkami? Gdzie się, do cholery, podziały?

Zdążył już wyjąć z apteczki całą jej zawartość – plastry, puste tubki po maści na hemoroidy, obcinacz do paznokci, kilka sterylnych wacików, ciemne plastikowe buteleczki ze starymi lekami – wrzucił wszystko do umywalki i gmerał teraz w tym bałaganie, od czasu do czasu rzucając jakąś rzeczą ponad ramieniem, uznawszy, że tylko przeszkadza mu w poszukiwaniach.

– Panie Gordonie, proszę, niech mi pan pozwoli – zaproponowałem, stając przy nim. – Może pójdzie pan do łóżka i położy się, a ja znajdę tabletki i przyniosę je panu.

– Zrobisz to? Bardzo jesteś miły. Nie wiem, co mi jest. Nie czułem się tak od czasu... no wiesz, od kiedy.

Uniósł cienie, niemal niewidoczne brwi, sygnalizując mi obopólne zrozumienie, ale zaniepokoiły mnie błysk obłędu w jego oczach i uśmiech wykrzywający usta.

– Jakich tabletek pan szukał? Jak się nazywają?

– Chyba diazepam.

– Niech pan wraca do łóżka, a ja przyjdę za kilka minut. Zanim się odwrócił i odszedł, wpatrywał się jeszcze przez chwilę w moją twarz. Zacząłem szukać wśród buteleczek z przeterminowanym syropem na kaszel, płynem dezynfekcyjnym, tubkami z maścią obkurczającą śluzówkę i dziesiątkami innych leków, aż wreszcie znalazłem proszki, o które mu chodziło. Odłożyłem je na bok, a potem wstawiłem wszystko z powrotem do apteczki. Gdy ją zamykałem, kątem oka dostrzegłem własne odbicie – a może Chrisa – w lustrze wprawionym w jej drzwiczki.

W kuchni nalałem wody do szklanki i razem z tabletkami zaniósłem do sypialni Crace'a. Siedział na swoim wielgachnym łożu, otoczony czerwonymi aksamitnymi zasłonami, z głową na poduszce opartej o

żelazny zagłówek. Lampka przy łóżku rzucała dziwne cienie w alkwie i na postać Madonny.

– Co ja bym bez ciebie począł?

Był to refren, który powtarzał co jakiś czas, od kiedy wróciłem do *palazzo*. Podałem mu tabletki nasenne i szklanę wody.

– Dziękuję, drogi chłopcze, dziękuję – powiedział, oblizując wargi cienkim językiem.

Luźna skóra na jego cherlawej szyi zatrzęsała się, gdy połykał pastylki. Wyciągnął rękę i położył ją na mojej dłoni, poklepywał ją w milczącym podziękowaniu i trzymał tam aż do chwili, gdy wydało mi się, że nie zniosę dłużej dotyku jego skóry.

– Poprawię poduszkę – zaproponowałem, sięgając do niej. – Zrobimy ładniutkie i wygodne posłanie, żeby dobrze się panu spało.

Niezależnie od tego, czy tabletki miały tak szybkie działanie, czy wywołał to efekt psychologiczny wynikający z samego faktu ich połknięcia, powieki Crace'a zaczęły opadać. Usiłował jeszcze ze mną rozmawiać, żeby powstrzymać senność, ale ostatecznie nie potrafił jej się oprzeć. Zaciągnąłem zasłony otaczające łóżko, zamykając go w aksamitnym kokonie, i miałem zamiar zgasić lampkę nocną, kiedy Crace westchnął głęboko. Pochyliłem się lekko i przez szparę w tkaninie usłyszałem, jak szeptem powtarza imię Chrisa. Zostawiłem go w mroku, by śnił o przeszłości.

Każdego ranka, gdy wychodziłem ze swojego pokoju, miałem wrażenie, że wkraczam na scenę, gotów do odgrywania przed Crace'em określonej roli. I każdego dnia musiałem powtarzać sobie, że to nie potrwa długo, że jeśli wytrzymam z nim jeszcze kilka tygodni, znajdę się na pozycji, dzięki której przejmę nad wszystkim ostateczną kontrolę i będę mógł opowiedzieć jego historię w dowolny sposób, jaki uznam za odpowiedni, przedstawić jego biografię zgodnie z konspektem, jaki sam obmyślę. Jednak konieczność zachowywania się zgodnie z określonymi regułami, nieustanne poświęcanie mu uwagi i okazywanie ciągłej wdzięczności sprawiły, że tylko nasiliły się moje rzeczywiste uczucia pogardy i niechęci. Jediną pociechę i upust napięcia niósł mi zeszyt z notatkami, który wyciągałem ze schowka co wieczór i wykorzystywałem jako środek do złagodzenia coraz bardziej toksycznych emocji. Stał się bowiem rezerwuarem wszystkiego, co było we mnie mroczne.

Od czasu do czasu Crace widział, że jestem zmyślony. Pytał wtedy, czy dobrze się czuję, a ja musiałem spuszczać wzrok, żeby nie zobaczył w moich oczach nienawiści. Byłem jednak dobrym aktorem, potrafiącym w jednej chwili poweseleć i pokazać mu uśmiech zadowolonego człowieka. Zawsze też umiałem wytłumaczyć swoje zachowanie, świadczące o błędzeniu myślami, prostym faktem, że mam problemy z powieścią. Blokada twórcza, mówiłem, a on ze zrozumieniem kiwał głową. Radził mi, bym prowadził dziennik, w którym spisywałbym codzienne obserwacje i przemyślenia. Niezależnie od sytuacji miał to być, jak twierdził, dobry sposób na gimnastykowanie kreatywności. Ale, zaraz dodawał, nic na świecie nie skłoniłoby go do ponownego opublikowania czegokolwiek, wolałby umrzeć, niż zobaczyć swoje nazwisko na okładce jakiejś książki.

Teraz, kiedy znałem okoliczności, które skłoniły go do podjęcia decyzji o zarzuceniu pisania, musiałem przyznać, że mimo prawie fizycznego

wstrętu, jaki do niego żywiłem, podziwiałem konsekwencję, z jaką trzymał się tego postanowienia i nigdy nie zmienił zdania. Zastanawiałem się, czy wiedział o śmierci matki Chrisa. Mimo wszystko jej obecność – i list Chrisa, w którym chłopak napisał, co miała zrobić, gdyby Crace usiłował opublikować *Nauczyciela muzyki* – była jedyną istotną przeszkodą stojącą mu na drodze do opublikowania drugiej powieści. Przypuszczał, że Shaw stanowił również niewielkie zagrożenie, jako że wiedział o istnieniu tej książki, ale teraz, kiedy kupiłem jego milczenie, byłem niemal pewny, że nic nie zrobi. W ostatecznym rozrachunku stałem się osobą, która trzymała w ręku wszystkie karty, człowiekiem dysponującym władzą, mogącym wpływać na przyszłość Crace'a. Byłem kronikarzem jego życia, jego animatorem, jego biografem.

Siedząc na łóżku i pisząc w zeszycie, wsłuchiwałem się w deszcz bębniący o szyby okna. Po wybornej kolacji, na którą mieliśmy *linguine di mare*, Crace i ja poczytaliśmy trochę w salonie, a potem o godzinie dwudziestej trzeciej, gdy za oknami burza szalała nad Wenecją, poprosił mnie, żebym jak zwykle przyniósł mu szklanek wody i dwie tabletki nasenne. Choć zaproponowałem, żeby wezwać lekarza, odmówił stanowczo – jak powiedział, nie mógł znieść samej myśli o badaniu przez obcego człowieka, poszturchującego jego ciało niczym jakiś nieproszony gość. Wcześniej wspomniał mi, że ma całkiem spory zapas pigułek w gabinecie, nagromadzony przez lata, który powinien wystarczyć mu jeszcze na jakiś czas. Zaciekawilo mnie, z jakiego powodu zwracał sobie głowę magazynowaniem tabletek. Najbardziej prawdopodobna przyczyna, zresztą jedyna, jaka przychodziła mi do głowy, wiązała się z jego świadomością, że któregoś dnia może się poczuć zmuszony do odebrania sobie życia.

Od czasu mojego powrotu do palazzo jego zależność ode mnie wydawała się całkowita. Od pierwszych czynności rano, począwszy od zrobienia mi śniadania i asystowania przy ubieraniu, przez cały dzień, kiedy czytałem mu na głos albo siedziałem obok i słuchałem opowieści o jego kolekcji sztuki, aż po wieczór, gdy pomagałem mu się rozebrać i ułatwiałem położenie się do łóżka, domagał się mojej obecności. Zostawienie go choćby na kilka minut, żeby udać się do pobliskiego sklepu spożywczego, wywoływało u niego ogromny niepokój, który nieukojonny słowami pociechy i zapewnień o szybkim powrocie kończył się atakiem hysterii. Jedyne chwile, jakie miałem dla siebie – kiedy mogłem pisać w moim zeszycie – nadchodziły już po jego zamknięciu się w sypialni.

Tamtego wieczora, gdy podałem mu tabletki nasenne, poszedł do łóżka. Minęły mniej więcej dwie godziny od jego zaśnięcia, gdy usłyszałem serię

chaotycznych, niezrozumiałych krzyków dochodzących z jego pokoju. Czyżby wrócił były pracownik Crace'a? Ukryłem zeszyt pod poduszką i ubrany jedynie w podkoszulek i bokserki pobiegłem korytarzem do *portego*. Zapaliłem światła w holu, rozpraszając ciemność na dużej przestrzeni, ale nie dostrzegłem śladu intruza. Dźwięk, przeraźliwy, niemal zwierzęcy krzyk nadal rozlegał się w sypialni Gordona. Zapukałem delikatnie do jego drzwi, ale ponieważ w odpowiedzi nie usłyszałem niczego poza straszliwymi jękami odbijającymi się echem w korytarzu, wszedłem do środka. W mroku dojrzałem Crace'a rzucającego się na łóżku, kapiącego i uderzającego otaczające go aksamitne zasłony. Wszystko wskazywało na to, że miał koszmar senny.

– Panie Gordonie, panie Gordonie, niech się pan obudzi – powiedziałem, wchodząc do wnęki z łóżem.

Rozsunąłem ciemne zasłony i zapaliłem lampkę nocną, ale jego koszmarny sen trwał nadal.

– Panie Gordonie – powtórzyłem, sięgając do jego kościstego ramienia, zakrytego bawełnianą pidżamą. – Panie Gordonie?

Wygiął plecy w łuk, silny ból wykrzywił mu usta, a potem obudził się i aż podskoczył.

– Och, dzięki Bogu – rzekł, przecierając oczy. – Miałem okropny sen.

Usiadł na łóżku i patrzył na mnie z oszołomionym, zmieszanym wyrazem twarzy.

– Samo wspomnienie o nim wytrąca mnie z równowagi – kontynuował, drżąc. – Och, to było straszne i takie realistyczne. Poszedłem na spacer – co już samo w sobie napędliało mnie strachem – a jakby tego było jeszcze mało, kiedy wróciłem, zobaczyłem, że... że nie żyjesz.

W miarę jak opowiadał swój sen, łzy zbierały mu się w oczach.

– Siedziałeś w kuchni przy stole z głową na blacie. Pomyślałem w pierwszej chwili, że śpisz, więc podszedłem i spróbowałem cię obudzić.

Ale ty nie reagowałeś. Byłeś zimny w dotyku. Nie mogłem się z tym pogodzić, szarpałem cię, ale ty ani drgnąłeś.

– To brzmi naprawdę strasznie – powiedziałem, starając się go uspokoić. – Ale to był tylko sen. Niech pan spojrzy, jestem tu, cały i zdrowy.

Wziął mnie za rękę, a ja poczułem jego skórę, zimną i lepłą jednocześnie, ocierającą się o mnie.

– Tak, tak, jesteś tu. Nigdy stąd nie odejdziesz, prawda? Nigdy nie odejdziesz, kochany Chrisie. Nic już nas nie rozłączy.

Pochylił się i objął mnie, oplatając dłońmi moją szyję. Czułem, jak jego palec gładzi mi kark, a potem przesuwają się ku mojej łopatce. Tymczasem druga ręka zsunęła się na moje ramię, dotykała mięśnia trójgłowego, zanim przesunęła się dalej i ostatecznie spoczęła na mojej nodze.

– Panie Gordonie – odezwałem się. – Nie jestem Chrisem. To ja, Adam. Nazywam się Adam.

Zaczął szeptem powtarzać imię Chrisa, a ja zorientowałem się, że co jakiś czas liże mnie po uchu.

– Panie Gordonie – rzekłem stanowczo. – Niech się pan obudzi. To ja, Adam.

Kiedy jego palce rozpoczęły wędrówkę po moim udzie w kierunku krocza, chwyciłem go za ramiona i odepchnąłem od siebie.

– Niech pan przestanie! I to już!

Zamrugał kilkakrotnie, jakby budził się ze snu, a potem, zorientowawszy się, co zrobił, zakrył twarz dłońmi. Jego długie palce przywodziły na myśl czternastowieczny obraz.

– Czy mi kiedykolwiek wybaczysz, Adamie? Och, jakiego głupca z siebie zrobiłem!

– Tym proszę się nie przejmować – odparłem. – Najwyraźniej nie wybudził się pan do końca z koszmarne snu.

– Tak, to był straszny, straszny sen. Nie wiem, jak mam cię przeproszać. Och, Boże, znienawidzisz mnie teraz, będziesz o mnie myślał wyłącznie jako starym lubieżniku.

– Nic takiego nawet nie przyszło mi do głowy. Proszę, panie Gordonie, niech się pan nie przejmuje...

– Mam tylko nadzieję, że cię nie zraziłem – mówił, mnąc w palcach przód pidżamy. – Nie miałbym do ciebie pretensji, gdybyś teraz naprawdę odszedł. To było z mojej strony zachowanie absolutnie niewybaczalne. Nic mnie nie tłumaczy.

– Powiem szczerze, panie Gordonie. Zapomnijmy po prostu o całej sprawie.

– Dobry Boże, od tej pory chyba nigdy nie zasnę. – Zacisnął zęby na palcach. – Czy nie sprawiłoby ci żadnej przykrości, gdybyś przyniósł mi dwie następne tabletki?

– Czy to aby mądrze? Dwie już pan wziął.

– Nic mi nie będzie, naprawdę. W przeciwnym razie nie zmruję oka przez resztę nocy, zamartwiając się i przeżywając to wszystko w myślach od nowa.

– Skoro tak pan uważa.

– Tak, jestem tego pewny.

Poszedłem i przyniosłem mu pastylki i trochę wody. Kiedy włożył je sobie do ust, obrócił się do mnie i podziękował mi, patrząc na mnie z prawdziwym uczuciem.

– Teraz powinienem spać jak kłoda, prawda? – Położył z powrotem głowę na poduszce.

Zostawiłem go i wróciłem do swojego pokoju, z oddali dochodziły mnie grzmoty piorunów.

Po powrocie do swojego pokoju nie mogłem zasnąć. Czułem palce Crace'a na karku i nogach, przesuwające się po moich udach. Skóra piekła mnie w miejscach, gdzie jej dotykał. Strach przed tym, na co potem mógłby sobie pozwolić, sprawiał, że gotowałem się wewnątrz, a tysiące drobiazgowych scenariuszy, w równym stopniu niepokojących, rodziło się w mojej wyobraźni. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę dłużej grać wobec niego przyjętej roli, i dlatego postanowiłem, że nazajutrz pokażę mu zebrane przez siebie materiały. Zdecydowałem, że postawię mu ultimatum – albo zgodzi się na współpracę, albo wszystko ujawnię. Rzecz jasna musiałem przygotować się na to brutalne rozwiązanie, ale czy istniało inne wyjście? Przy takiej postawie zyskiwałem przynajmniej pewną przewagę. To ja kontrolowałem sytuację.

Błyskawica rozcięła nocne niebo za oknem. Z każdym kolejnym piorunem denerwowałem się coraz bardziej, jakby wyładowania elektryczne były w jakiś sposób połączone z moim centralnym układem nerwowym. Zanim położyłem się do łóżka za pierwszym razem tej nocy, schowałem zeszyt do kryjówki pod podłogą przy biurku, teraz jednak nie mogłem oprzeć się przemożnej pokusie przekartkowania go. Nadal w podkoszulku i bokserkach, wstałem z łóżka i przeszedłem przez pokój. Z szuflady biurka wyjąłem dużo, ukryte tam pod stosem starych gazet, i posłużyłem się nim do podważenia deski. W dziurze leżał mój literacki tajemny skarb, kartki, które, jak miałem nadzieję, przyniosą mi sławę, a może nawet fortunę. Starłem warstwę kurzu osiadłego na wierzchu pakunku i rozpakowałem go. Kartkowałem zeszyt, zaskoczony faktem, że udało mi się napisać tak wiele słów o czasie spędzonym z Crace'em. Rzeczywiście wykonałem kawał solidnej roboty. Ale kiedy przeczytałem ponownie pożegnalny list Chrisa, zorientowałem się, że brakuje mi jednej rzeczy – egzemplarza *Nauczyciela muzyki*. Gdybym trafił na jego

ślad, zyskałbym ostatni dowód w sprawie. Gdyby udało mi się zdobyć nieopublikowany manuskrypt, wtedy moja pozycja wobec Crace'a stałaby się znacznie mocniejsza.

Przypomniałem sobie słowa Gordona, które wypowiedział, gdy wychodziłem z jego sypialni, o tym, że zamierza spać jak kłoda – i od razu wiedziałem, że muszę wykorzystać tę okazję. Szybko wepchnąłem wszystkie papiery i zeszyt do plastikowej torby i schowałem pod podłogą. Odłożyłem dłuto do szuflady pod gazety i wziąłem małą latarkę. Na zewnątrz były pioruny, wstrząsając fundamentami *palazzo*, a w okna uderzała ulewa. Jeśli Crace potrafił spać w czasie burzy szalejącej z równą siłą, to dla świata rzeczywiście był tylko kłoda.

Otworzyłem drzwi i przeszedłem ciemnym korytarzem do *portego*. Przystanąłem przed wejściem do następnego korytarza, prowadzącego do części budynku zajmowanej przez Crace'a, a chwilę potem znalazłem się przed jego sypialnią. Nasłuchiwałem, czy nie dochodzą z niej jakieś odgłosy, ale w środku panowała głucha cisza. Jednym pchnięciem otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, stąpając po terakotowej posadzce. Musiałem się upewnić, że Crace rzeczywiście śpi, zanim posunę się dalej, dlatego w miarę jak zbliżałem się do wnęki z jego łóżem, zakasłałem, najpierw cicho, a potem głośniejsze. Ale wszystko, co usłyszałem zza aksamitnego baldachimu, ograniczało się do dźwięku miarowego oddechu i sporadycznego gardłowego pochrapywania. Odsunąłem zasłonę i zajrzałem za nią, ale Crace leżał zwinięty w kłębek z otwartymi ustami, z bańką śliny w kąciку ust. Chociaż powieki miał zamknięte, gałki oczne poruszały się pod skórą w szybkim tempie, co oznaczało, że był w fazie najgłębszego snu. Puściłem zasłonę i zostawiłem śniącego Crace'a.

Przeszedłem przez pokój i otworzyłem drzwi do jego gabinetu. Włączyłem miniaturową latarkę i poświeciłem nią w mrok. W rozproszonyj ciemności dostrzegłem wpatrzony we mnie pysk kałamarza-żółwia, a

potem najróżniejsze przedmioty znajdujące się w gablocie osobliwości Crace'a: ceramiczną butelkę w kształcie muszli przegrzebka, wiele pięknych wazonów, miniatury w aksamitnych ramkach, biały marmurowy relief Mucjusza Scewoli, trójkątną kadzielnicę z uskrzydłonymi figurkami, mosiężne świeczniki i misę z rysunkiem Ganimedesa porywanego przez orła, jedno z wcieleń Zeusa. Bogato zdobione, obite czerwoną tkaniną ścianki wyglądały, jakby pokrywała je krew.

Zacząłem od przeszukania gabloty, przesuwając palce pomiędzy masą przedmiotów i obmacując tyły półek w nadziei, że natrafię tam na jakąś kopertę lub paczkę, ale niczego nie znalazłem. Rozejrzałem się po pokoju z piętrzącymi się stosami książek, których część mimo moich dotychczasowych wysiłków nadal tworzyła niestabilne wieże. Ukłęknałem przy kilku niewymiarowych i grubych woluminach, położonych przez Crace'a w kącie. Podnosiłem je ze sterty po kolei, szybko kartkowałem, żeby przekonać się, czy nie ma w nich czegoś między stronami, ale i tym razem nie natrafiłem na ślad maszynopisu. Choć wkrótce po zjawieniu się w *palazzo* zdążyłem przejrzeć jego biurko i nie wpadł mi wtedy w ręce żaden manuskrypt, przeszukałem je ponownie. Nie mogłem przecież wykluczyć możliwości, że Crace trzymał maszynopis w jakiejś skrytce w *palazzo*, zanim przyniósł go na biurko w czasie kilku ostatnich tygodni. Jednego nauczyłem się w trakcie tych poszukiwań – należało być skrupulatnym. Zakładanie z góry czegokolwiek to rzecz niebezpieczna.

Otworzyłem niewielką szufladę w górnej części biurka i znalazłem małe złote kluczyki i żółto-brązową kopertę nadal zawierającą pukiel włosów, które najprawdopodobniej należały do Chrisa. Niemniej na końcu szuflady dostrzegłem również następną, większą kopertę, której wcześniej nie widziałem. Wyciągnąłem ją i poświeciłem latarką do środka. Moim oczom ukazał się kolejny pukiel, podobny w kolorze do włosów Chrisa, ale nie tak łamliwy. Przypomniałem sobie lodowaty chłód, który uznałem

za dotyk palców Crace'a na mojej twarzy gdy spałem, ale teraz nabierałem przekonania, że to, co czułem, było naciskiem zimnych metalowych nożyczek na moją skórę, nożyczek, którymi posłużył się, żeby obciąć mi kosmyk włosów. Kiedy obracałem tę kopertę w dłoniach, kark pokryła mi gęsia skórka. Z tyłu koperty napisane było zdanie po włosku, które wydało mi się niejasno znajome. Był to charakter pisma Gordona.

Io son colei che ognuno al mondo brama, perche per me dopo la morte vive, przeczytałem.

W tej samej chwili usłyszałem jakiś hałas za sobą. Do pokoju wdarł się snop światła. Obróciłem się. W drzwiach stał Crace w pidżamie i szlafroku. Trzymał pistolet.

– Znalazłeś coś ciekawego? – zapytał.

– Panie Gordonie... wcale nie jest tak, jak pan myśli, ja...

– Co ty? Wiem bardzo dobrze, co robisz.

– Szukałem jedynie...

– To na nic, Adamie. Nie kłam choć raz, dobrze?

Zrobił krok w moją stronę i uniósł broń, trzymając ją na wysokości oczu.

– *E se vitio o virtude opera trama* – powiedział głosem pełnym słodyczy.

– Nie rozumiem, co pan mówi.

– Dokończyłem po prostu zdanie, które zacząłeś czytać, to wszystko. *Alegoria sławy*. Całkiem nieźle pasuje do tej sytuacji, chyba się ze mną zgodzisz? Na twoim miejscu dobrze bym ją pamiętał. Może się okazać przydatna... *Tal che a le spoglie o al degno imperio arrive...*

Choć słabe ramiona mu się trzęsły, gdy usiłował równo trzymać pistolet, w jego oczach widać było determinację, niemal pasję. Nic z tego nie rozumiałem. On naprawdę miał zamiar mnie zastrzelić.

– *Per quello infamia son per questa Fama...*

Byłem pewny, że gdybym zwlekał choćby chwilę dłużej, pociągnąłby za cyngiel.

– *E a colui me solo si ascrive...*

Nie namyślając się ani sekundy dłużej, rzuciłem się przed siebie całym ciężarem, pozwalając, żeby latarka wypadła mi z ręki. Zderzyłem się z nim i obaj upadliśmy na perski dywan. Usłyszałem, jak pistolet uderza o podłogę z głuchym odgłosem. Crace zaczął się czołgać po broń, wymachując jak oszalały żyłastymi ramionami i nogami. Omiotłem wzrokiem pokój w poszukiwaniu pistoletu, potem usiłowałem wymacać go dłońmi na podłodze.

– Zabiję cię, bydlaku – wyskrzecztał Crace gdzieś za mną.

Gorączkowo rozejrzałem się wokół i w końcu zauważyłem pistolet pod gablotą z osobliwościami, jego wyłożona macicą perłową rękojeść pobłyskiwała w ciemności. Zrobiłem wypad do przodu, ślizgałem się po dywanie, boleśnie się o niego ocierając. Kiedy sięgałem po broń, poczułem, że coś chwyciło mnie za nogi. To był Crace, nagle tak silny, że nigdy wcześniej bym go o to nie podejrzewał. Pociągnął mnie do tyłu, trzymając moje golenie w żelaznym uścisku.

Gdy ponownie wyciągnąłem rękę po broń, znajdującą się zaledwie niecałe trzydzieści centymetrów od końca moich palców, mięśnie pleców drżały mi z wysiłku, a kość ramieniowa zdawała się wyskakiwać ze stawu. Gdybym tylko mógł uwolnić się od Crace'a, niemal bym jej dosięgnął. Udało mi się wyrwać jedną nogę z jego rąk, kopnąłem nią na oślep, trafiając Crace'a prosto w twarz. Nagle mogłem się swobodnie poruszać. Skoczyłem do przodu niczym jakieś stworzenie z głębi oceanu, złapałem pistolet i okręciłem się tak, że leżałem teraz na plecach. Crace zbliżał się do mnie z nożem do papieru w ręku, zabranym z biurka. Gdy zacisnąłem mocniej dłoń na pistolecie, starając się powstrzymać je od drżenia, on zamachnął się i wbił mi ostrze głęboko w podbicie prawej

stopy. Wrzasnąłem z bólu, kiedy zagłębiał tępe narzędzie w moim ciele. Słyszałem dziwny dźwięk towarzyszący przecinaniu skóry i z trudem zahamowałem odruch wymiotny. Pistolet z opalizującą rękojeścią wyślizgiwał mi się z rąk niczym ryba, a kiedy próbowałem nad nim zapanować, Crace wyciągnął nóż z rany. Krzyknąłem jeszcze głośniejsze, bolało okropnie.

– Nie bądź mazgajem – powiedział, unosząc pokryte krwią ostrze i zbliżając się do mnie. A ja nadal leżałem rozciągnięty na podłodze.

Zdrową nogą kopnąłem go w genitalia. Twarz wykrzywiła mu się z bólu i upadł do przodu, jakby nagle uszło z niego powietrze. Wykorzystując stojące obok krzesło jako podpórkę, podniosłem się i ciągnąc za sobą zranioną stopę, ruszyłem w stronę biurka. Poruszałem się, zostawiając za sobą krwawe ślady.

Tymczasem Crace, usiłując złapać oddech, obrócił się ku mnie. Jego oczy błyszczały szaleństwem. Wstał, unióśł nóż nad głowę i zrobił krok w moją stronę.

– Gordonie... Gordonie.

– Nic nie mów.

– Ale... panie Gordonie... przestań... pomyśl...

– Ścierwo. Wyhodowałem zmię na własnej piersi.

– Proszę, Crace, niech pan przestanie...

Nie miałem wyboru. Pociągnąłem za cyngiel, huk przeszył mnie wibrującą falą. Pierwsza kula trafiła w gablotę, roztrzaskując misę z postaciami Ganimedesa i Zeusa i ceramiczną butelkę w kształcie muszli przegrzebka na tysiące kawałków. Strzeliłem ponownie, znowu chybiając, i tym razem zniszczyłem bezpowrotnie kadzielniczkę i marmurowy relief Mucjusza Scawoli, zanim kolejny strzał rozbił stojącą na komodzie marmurową urnę, w której Gordon trzymał broń. Crace obrócił głowę, żeby oszacować straty, a potem znowu ruszył w moim kierunku.

– *E a colui per me solo si ascrive* – powiedział, wracając do recytowania cytatów. – *Del Biasmo il suono ond’a costei si dona de la gloria le palme e la corona*. Chociaż kiedyś przetłumaczyłem to dla ciebie, pozwól, że i tym razem ci pomogę. Mimo wszystko rozumiem, że nie są to okoliczności szczególnie sprzyjające pracy nad tłumaczeniem. „Jestem tą, do której wzdychają wszyscy na świecie, bo dzięki mnie żyją po śmierci”.

Zrobił kolejny krok, przybliżający go do mnie.

– „I jeśli nikczemność lub cnota przechodzi w czyn, by złupić albo zdobyć zaszczytne imperium, dla pierwszej jestem hańbą, dla drugiej zaś chwałą” – kontynuował.

– Cofnij się, Gordonie. Wiesz, że nie chcę tego zrobić.

Dłonie miałem mokre od potu, palce mi się trzęsły.

– Naprawdę? Jesteś pewny? Czy nie było to zawsze twoim największym pragnieniem, nie marzyłeś potajemnie o zabijaniu ludzi?

– Gordonie...

– „Nikczemność obarczam winą, podczas gdy cnotę obdarzam sławą, palmami i koroną”.

W chwili gdy wypowiadał ostatnie słowo tego cytatu – i znajdował się na tyle blisko, że mógłby mnie dotknąć, wyciągnąwszy rękę – po raz kolejny nacisnąłem cyngiel, tym razem celując prosto w niego. Napięcie, które narastało we mnie przez ostatnie kilka miesięcy, znalazło idealne ujście właśnie w tym momencie. Kula wbiła mu się w pierś blisko serca. Crace’a odrzuciło do tyłu, twarz mu się zmieniła, ale nie tyle z powodu agonii, ile czegoś, co mogę opisać jedynie jako miłość. Kiedy chwiał się na nogach niczym pijak rozpaczliwie usiłujący zachować równowagę, chwycił się wszystkiego, co było w zasięgu jego rąk, oparcia krzesła, framugi drzwi, zanim ostatecznie złapał się gabloty ze swoimi skarbami, których większość była teraz rozwalona na kawałki. Spojrzał na mnie,

przeniósł wzrok w miejsce gdzieś nade mną, uśmiechnął się, a potem pociągnął gąblotę. Upadła na niego razem z całą zawartością. Plama krwi zaczęła się powiększać na przedzie jego pidzamy niby złowieszczy kwiat. Pochyliłem się nad nim i zacząłem zdejmować mu z torsu kawałki zniszczonych przedmiotów.

– Gordonie... przepraszam – powiedziałem, upuszczając broń na posadzkę.

Popatrzył mi prosto w oczy z wyrazem wdzięczności, usta ukształtowały się w słowo, którego nigdy nie wypowiedział. Krew bluznęła mu z warg i tworząc bąble, spłynęła po brodzie, zanim głowa opadła mu bezwładnie na bok. Nie żył.

Przyjrzałem się obrazowi zniszczeń, który mnie otaczał, podłódze pokrytej fragmentami rozbitej ceramiki i odłamkami szkła. Powietrze stało się gęste od smrodu prochu. Krew nie przestawała płynąć z Crace'a, tworząc przy nim małe bajoro – ciało wydawało się zanurzone w ciemnej wodzie.

Spróbowałem się podnieść, ale ból w stopie mnie obezwładnił. Trzymając się rogu gąbloty, uniosłem się trochę. Krew tryskała mi z rany, paskudnej wiśniowoczerwonej dziury, mieszając się na podłodze z kałużą, która wypłynęła z Crace'a. Już od jakiegoś czasu kręciło mi się w głowie i miałem nudności, a teraz dodatkowo trząsałem się tak okropnie, że każdy ruch, niezależnie od tego jak nieznaczny, wydawał się pobudzać ukryty kontrapunkt, uwalniając rozwibrowane echo, które wstrząsało moim ciałem. Powłócząc nogą, wyszedłem jakoś z gabinetu Crace'a, a potem przez jego sypialnię dotarłem do łazienki, zostawiając za sobą krwawą linię. Obiema rękami, których skóra pełna była zadrapań i skaleczeń, uniosłem prawą stopę i wstawiłem ją do wanny. Odkręciłem kurek z zimną wodą. Kiedy woda pokryła ranę, ból uderzył z nową siłą, rozchodził się głęboko w moim ciele. Musiałem chwycić się mocno brzegu wanny, żeby

nie krzyczeć. Woda stała się czerwona, gdy oczyszczałem stopę z krwi.

Po obmyciu rany chwyciłem biały ręcznik z wieszaka i przycisnąłem go do stopy, owinąłem go sobie wokół kostki, spiąłem agrafką, znaną z apteczki. Usiłowałem iść, przenosząc większość ciężaru na lewą stopę. Pierwszy krok wydał mi się agonią i niemal zgiąłem się wpół z bólu, ale jakoś udało mi się wyjść z łazienki i dowiec do *portego*. Za oknami błyskawice nadal rozświetlały niebo, a nad miastem słychać było grzmoty piorunów, od których woda w kanałach falowała.

W holu przystanąłem przed *Alegorią sławy* Battisty del Moro. Przyjrzałem się z bliska postaci Sławy stojącej wysoko nad przedstawieniami cnoty i nikczemności, pod którymi widniały wersy cytowane przez Crace'a. Co takiego mi powiedział? Że powinienem zapamiętać coś z tej ryciny? Przypomniałem sobie naszą pierwszą rozmowę o tym sztychu i jego uwagę, że Sława wydaje się bardziej zainteresowana satyrem uosabiającym zło niż kobietą – symbolem cnoty. Wpatrując się weń uważnie, zauważyłem, że z dolnego prawego rogu ramy coś wystaje. Okazało się, że to róg koperty. Wyciągnąłem ją i przeczytałem moje imię i nazwisko napisane ręką Crace'a. W środku znajdowała się biała kartka, na której napisał jedynie: „Jeśli chcesz odnaleźć maszynopis, poszukaj najpierw słonecznej muzy”.

Co takiego, do cholery, mogło to oznaczać? Czy Crace bawił się ze mną w jakieś gierki? Jaki miałby powód, żeby pomagać mi w odnalezieniu nieopublikowanego manuskryptu, który skutecznie zrujnował jego pisarską karierę? Wróciłem myślami do naszych najróżniejszych rozmów, jakie odbyliśmy przez ostatnie kilka miesięcy. Słoneczna muza. Kulejąc, poszedłem przez *portego*, patrzyłem na okna i próbowałem przypomnieć sobie, jak wyglądał hol w dni, kiedy światło wpadało do środka. Czy była to wskazówka, że powinienem szukać jakiegoś określonego miejsca, w które padały promienie słońca? Postać muzy sugerowałaby inspirację, ale

czy to oznaczało, że muszę odnaleźć część mieszkania, w której Crace czuł przypływ sił twórczych? Wróciłem do jego sypialni i do gabinetu. Szok, jaki wywołał we mnie widok jego ciała leżącego na podłodze z rękami i nogami ułożonymi pod różnym kątem, przyprawił mnie niemal o wymioty.

Przeszukałem szafkę nocną obok łóżka Crace'a, ale natrafiłem tam jedynie na brudne i zaschnięte chusteczki higieniczne i stos książek. Pokuśtykałem ponownie do *portego* i miałem właśnie skierować się do salonu, kiedy doznałem olśnienia. Jak mogłem być taki głupi? Odwróciłem się i przebiegłem wzrokiem ścianę w poszukiwaniu drzeworytu Francesca de' Lodovici *Triomphi di Carlo*. Wyraźna wskazówka znajdowała się cały czas w zasięgu mojego wzroku – postać poety klęczącego przed mecenasem, poety, którego natchnieniem była muza przedstawiona nad nim jako świecące słońce. Kiedy odsunąłem ramę od ściany, kolejna koperta upadła na podłogę.

I ona także była zaadresowana do mnie ręką Crace'a. Rozerwałem ją, prawie rozdierając przy tym list znajdujący się w środku, i przeczytałem: „Jesteś o jeden krok bliżej. Odpowiedz na pytanie: kto napisał, że więzień w sali tortur «cierpiał ogromne katusze, bo przez ten czas stawy się porozchodziły i rozpękły?»”.

Od razu zorientowałem się, co Crace miał na myśli. Chodziło o książkę, której fragmenty czytał mi pierwszego dnia mojego pobytu w *palazzo*, tę, która go rozśmieszała i opowiadała o człowieku zjawiającym się w Wenecji przed kilku stuleciami i utrzymującym, że to dzięki niemu Anglicy wiedzą, co to widelec. Ale jaki nosiła tytuł? Aż nie mogłem uwierzyć, że go zapomniałem. Niech to szlag! Oczami wyobraźni widziałem Crace'a siedzącego w fotelu z dwoma książkami oprawionymi w czerwoną skórę, ze złotymi liśćmi tłoczonymi na grzbietach. Jak brzmiał jej tytuł? Sfrustrowany walnąłem pięścią w ścianę, rozbijając

szybę w ramie jednej z rycin. I w tej samej chwili przypomniałem sobie, że opisałem tamten dzień w moim zeszycie. Byłem pewny, że w treści dziennika wspomniałem jej tytuł.

Powłócząc nogą, ruszyłem do mojego pokoju. Już w środku zamrugałem oślepiiony światłem, które zapaliłem, bez wahania otworzyłem szufladę biurka i wyjąłem z niej dłuto. Padłem na kolana i podważyłem deskę podłogi. Ogarnięty furią rozdarłem plastikowe torby i wyciągnąłem ze środka zeszyt. Kartkowałem go nerwowo, słowa tańczyły mi przed oczami, aż dotarłem do miejsca, gdzie opisałem początek mojej pracy u Crace'a. Przepatrywałem poszczególne wpisy, szukając wzmianki z tamtego dnia, pomijałem zapisy naszych rozmów, szczegóły dotyczące mojego życia sprzed przyjazdu do Wenecji i marzeń o tym, co mogło się wydarzyć po moim wyjeździe, aż znalazłem to, czego szukałem. Tak, rzeczywiście zanotowałem tytuł tej książki. Autorem był Thomas Coryat, a tytuł brzmiał *Coryat's Crudities*.

Obróciłem się i powlokłem pośpiesznie korytarzem przez *portego* do salonu. Od czasu gdy zamieszkałem w *palazzo*, zdążyłem ustawić wszystkie książki schludnie na półkach i dzięki temu wiedziałem, że poszukiwania nie zajmą mi wiele czasu. Przesuwałem palcami po grzbietach, przypominając sobie, jak bardzo były zakurzone, kiedy zacząłem ich porządkowanie. Z tego, co wiedziałem, tom *Coryat's Crudities* powinien znajdować się na pierwszej półce razem ze zbiorem książek Crace'a o Wenecji, razem z *The Stones of Venice* Ruskina, *Venetian Life* W.D. Howella, *The Letters of Lady Wortley Montagu* i *Ragionamenti* Aretina. Ale nie mogłem jej znaleźć. Sprawdziłem tytuły, upewniłem się, że nie wsunęła się za inny wolumin, a potem przejrzałem jeszcze raz całą półkę, czując, jak narasta we mnie panika. Powtarzałem sobie, że muszę zachować spokój. Może postawił ją w innym miejscu pokoju? Wziąłem drabinkę biblioteczną i choć w stopie nadal czułem

pulsujący ból, wspiałem się na nią. Wyciągałem szyję i przyglądałem się półkom, ale nigdzie nie widziałem tego tytułu. Przesunąłem drabinkę dalej, w drugi koniec biblioteki, ale i tam spotkało mnie rozczarowanie.

Usłyszałem grzmot pioruna bijącego nad *palazzo*. Tytuły książek falowały mi przed oczami, nie potrafiłem skoncentrować spojrzenia. Jednym zamaszystym ruchem dłoni zrzuciłem cały rząd tomów na podłogę. Siła ich upadku sprawiła, że rozdzwoniły się nade mną kryształki żyrandola. Zrzucałem książki bez opamiętania, opróżniając niemal wszystkie półki, odrywałem grzbiety, darłem kartki. Targała mną wściekłość, byłem w morderczym szale. Kiedy skończyłem, bibliofilski zbiór książek Crace'a stanowił jedynie bezładny stos, piramidę luźnych karteek, pogniecionych skórzanych okładek i ponadrywanych grzbietów.

Słaby i chory przecisnąłem się przez tę chaotyczną górę woluminów. Zruciłem na posadzkę kilka stron, które znalazły się na fotelu, i usiadłem. Oparłem głowę na dłoniach. Co, do cholery, Crace chciał osiągnąć? W jaką popieprzoną gierkę bawił się ze mną, nawet teraz, po śmierci? Odetchnąłem głęboko kilka razy i usiłowałem myśleć. Wiedziałem już, że książki nie ma ani w jego sypialni, ani w gabinecie, sprawdziłem też wszystkie półki w salonie. Gdzie jeszcze miałbym szukać? W kuchni, *portego* i łazience nie było żadnych książek. Jedyne miejsce, do którego nie zajrzałem – prawdę powiedziawszy, jedyne miejsce, gdzie nigdy się nie zapuściłem poza zalanymi wodą pomieszczeniami w piwnicy – znajdowało się nade mną, na piętrze. Teraz, kiedy Crace nie żył, mogłem tam iść po raz pierwszy.

Wyszedłem z salonu i stanąłem w korytarzu przy schodach prowadzących na wyższe piętro. Powłócząc zranioną stopą, wspinałem się wolno, stopień po stopniu, wsłuchując się w zawodzenie wiatru na zewnątrz. Na górze znalazłem się przed starymi, lichymi drzwiami, których powierzchnię znaczyły dziurki po kornikach. Były zamknięte

na niewielką kłódkę. Pociągnąłem za nią i próbowałem ją ukreślić. Ale nie poddawała się. Sfrustrowany napałem na drzwi całą siłą ramion, kanalizując w niej ból stopy i złość, jaką czułem wobec Crace'a. Drewno zaczęło pękać, ale zamek pozostawał nienaruszony. Wziąłem głęboki wdech i rzuciłem się ponownie na drzwi, zagryzając z bólu zęby. W chwili gdy drzwi uderzyły o ścianę, usłyszałem, jak kłódka upada na podłogę.

W przestronnym pomieszczeniu panował mrok i – jak powiedział Crace – było tam zupełnie pusto. Macając ścianę, zacząłem szukać włącznika światła. Pajęczyny przylepiały mi się do rąk, ale w końcu go znalazłem. Pojedyncza żarówka zawieszona pośrodku sufitu rozbliżyła na chwilę, zanim zgasła, pograżając pokój w jeszcze większej ciemności. Kurwa. Pozostawało mi jedynie zejść z powrotem na dół do gabinetu i wziąć stamtąd latarkę.

Lekko pochylony zszedłem po schodach, potem ruszyłem wzdłuż ściany *portego* i znowu przez sypialnię, dostałem się do gabinetu. Crace leżał na podłodze, jego ciało stało się teraz upiornie blade, krew wokół niego pociemniała. Przystępując nad porozbijanymi eksponatami, znalazłem latarkę obok biurka. Podniosłem ją, wytarłem, jakby była pokryta krwią albo jakbym chciał usunąć z niej odciski palców człowieka winnego zbrodni, i ruszyłem w powrotną drogę na puste piętro.

Poświeciłem latarką w ciemność, ale zobaczyłem jedynie nagie ściany, popękany tynk i kurz. Kiedy światło załało odległy kąt przy oknie wychodzącym na kanał, usłyszałem odgłos truchtu, typowy dla szczurów uciekających w poszukiwaniu schronienia. Wszedłem przez pokój, czując pajęczyny ocierające mi się o twarz, i uważnie wypatrywałem książki. I wtedy coś jakby błysnęło nade mną. Uniosłem latarkę w kierunku sufitu i dostrzegłem wielki ośmiokątny liść, nadal połyskujący mimo odkładającego się na nim przez lata brudu, otoczony czymś, co wyglądem przypominało zwoje rozkładającej się skóry i odcięte głowy

tuzina niemowlaków. Cofnąłem się zaniepokojony i zbity z tropu tym, co właśnie zobaczyłem, i wtedy potknąłem się o coś leżącego na podłodze. Upuściłem latarkę i nagle znalazłem się w nieprzeniknionej czerni. Jednocześnie natychmiast przypomniałem sobie o wydarzeniach w Dorset. Aksamitna ciemność. Ostre krawędzie kamienia w mojej dłoni. Zakrwawiona twarz Lavinii, jej skóra naszpikowana kawałkami szkła.

Usłyszałem szczury, teraz gdy zgasło światło, pewne siebie, drepczące przez pokój w moją stronę. Zacząłem macać na oślep w kurzu po podłodze w poszukiwaniu latarki. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem czegoś. Poruszało się.

Kopnąłem w kierunku szczura. Kiedy to robiłem, poczułem, że dotykam czegoś drugą nogą. Powoli przesunąłem rękę, cały czas bojąc się, że mogę namacać któreś z tych stworzeń, jednocześnie czułem pod palcami grubą warstwę lepkiego kurzu. Objąłem dłonią coś cylindrycznego. To była moja latarka. Podniosłem ją, potrząsnąłem i włączyłem, rzucając snop światła na podłogę. Szczury szybko zniknęły w ciemnych kątach pokoju, który bardziej przypominał katakumby niż zamieszkaną niegdyś komnatę na górnym piętrze wspaniałego *palazzo*.

Gdy ciemność się rozproszyła, kątem oka zauważyłem jakiś przedmiot na podłodze. Uniosłem się na łokciach, poczułem, że znowu robi mi się niedobrze. Zagryzłem usta i podczołgałem się w tamtym kierunku. W miarę jak się zbliżałem, zyskiwałem pewność, że tym przedmiotem jest książka. Wziąłem ją do ręki. To były Coryat's Crudities. Satysfakcja, jakiej dostarczyło mi odszukanie tego woluminu, szybko znikła, zagłuszona przemożnym poczuciem zagrożenia. Przez chwilę zastanawiałem się nawet nad rzuceniem książki na podłogę, zostawieniem jej, by niszczała wśród kurzu i szczurów, i ucieczką z *palazzo*, zanim będzie za późno, ale od razu uświadomiłem sobie, że moje zachowanie nie ma sensu. Musiałem się dowiedzieć. Musiałem odnaleźć manuskrypt Crace'a.

Kiedy, kuśtykając, wracałem ku schodom, oświetliłem latarką sufit. Widok, który wcześniej tak mnie zaniepokoił – jakaś strasznie wielka liczba dziecięcych główek – okazał się niczym więcej jak starym stiukowym velarium, dekoracją ukształtowaną tak, by przypominała dużą płachtę podtrzymywaną przez putta. Odetchnąłem głęboko i powlokłem się do drzwi. Zszedłem wolno po schodach, czując przy każdym kroku ból, przeszywający mi stopę.

Na dole usiadłem i otrzepałem się z kurzu. Otworzyłem książkę. Pomiedzy dwoma cieniutkimi stronami natrafiłem na kolejny list, tym razem dłuższy. I w tym wypadku kartki pokrywało koślawe pismo Crace'a.

Kochany Adamie!

Przede wszystkim dziękuję za to, co zrobiłeś. To błogosławione oswobodzenie. Życie straciło dla mnie cały urok, dlatego od jakiegoś czasu zastanawiałem się, w jaki sposób najlepiej byłoby odejść. Samobójstwo zawsze uznawałem za trochę banalne, chyba się ze mną zgodzisz? Morderstwo natomiast jest znacznie bardziej interesujące. Wybacz żart w złym guście, ale to jak odejście z hukiem.

Muszę Ci także pogratulować pomysłowości, o jaką, szczerze mówiąc, nawet Cię nie podejrzewałem. Żeby dotrzeć tak daleko i odnaleźć ten list, musiałeś się wykazać niezłym talentem dedukcyjnym. Jesteś całkiem dobrym detektywem, prawda? Kto by przypuszczał, że aż tyle się o mnie dowiesz? Zakładam jednak, że niektóre Twoje metody są, powiedzmy, trochę niekonwencjonalne?

Niestety, okazało się, że nie jesteś jednak wystarczająco bystry, drogi chłopcze. Zorientowałem się w Twoich „zamiarach”

wkrótce po Twoim wprowadzeniu się. Naprawdę myślałeś, że jestem aż tak ślepy? Wiedziałem o listach, tych od Lavimi Maddon i Shawa, na długo, zanim postawiłeś nogę w palazzo. Były dla Ciebie czymś w rodzaju niewielkiego sprawdzianu, który, co z przykrością stwierdzam, oblałeś. A co do tych wszystkich głupiutkich wyczynów, jak choćby wtedy, gdy usiłowałeś wyciągnąć ode mnie klucz do skrzynki pocztowej, cóż, naprawdę nie wiem, co wtedy myślałeś. Może i jestem stary, i wzrok na pewno mam już nie taki jak kiedyś, ale daleko mi jeszcze do zidiocenia. Oczywiście ogromnie mnie wtedy rozczarowałaś, wyjątkowo się na Ciebie zdenerwowałem, brałem nawet pod uwagę możliwość wyrzucenia Cię. Ale pomyślałem, że zamiast tego mogę się trochę zabawić Twoim kosztem, jak mógłbym zresztą się Ciebie pozbyć, chłopca, który tak bardzo przypominał mi mojego słodkiego Chrisa?

Kiedy zobaczyłem Cię po raz pierwszy, gdy przyszedłeś z listem, pomyślałem, że to duch wyłonił się z kanału, żeby mnie straszyć, albo że tracę zmysły. A kiedy przyszedłeś na rozmowę, nie miałem wątpliwości. Wasze podobieństwo było zbyt uderzające, żebym mógł je zignorować, i dlatego, jak Ci powiedziałem, musiałem się pozbyć chłopaka, który pracował przed Tobą.

Niemniej on wtedy nie wrócił tutaj po pieniądze. Trochę to udramatyzowałem. Sam po prostu zrzuciłem Francesca de' Lodovici na podłogę, stanąłem na nim butem i skaleczyłem się w kilku miejscach na rękach szkłem. Oczywiście trochę mnie bolało, ale w sumie chodziło przecież o parę powierzchownych zadrapań. A to wszystko przy moim kręgosłupie – kiedy musiałeś pomóc mi się rozebrać i wykąpać – okazało się niemalym

wysiłkiem, ale sprawiło mi frajdę. Prawdę powiedziawszy, wszystko to było blagą, w tym mój koszmar senny.

Czy naprawdę myślałeś, że możesz mi się wydać atrakcyjny pod jakimkolwiek względem? Jesteś ładnym chłopcem, rzeczywiście wyglądasz jak on, ale nie ma w Tobie czegoś wyjątkowego i na pewno nie należysz do tej ligi co Chris. Jest w Twojej osobowości coś dziwnego – ale może zostawmy to, jak jest, dobrze? Niemniej muszę Ci pogratulować sposobu, w jaki poradziłeś sobie z wścibską panią Maddon. Znasz moje zdanie o biografach. Powiedziałbym, że dostała to, na co zasłużyła, zgodzisz się chyba ze mną? Ale jeśli chcesz zaistnieć jako prawdziwy pisarz, mam dla Ciebie dwie rady. Pierwsza: musisz się nauczyć, jak być znacznie lepszym obserwatorem. Nie wziąłem pigułek nasennych, które dałeś mi tej nocy. Prawda jest taka, że nigdy ich nie potrzebowałem. Udałem, że je połykam, a kiedy zostawiłeś mnie samego, zawińłem je w kawałek papieru toaletowego, wrzuciłem do muszli i spuściłem wodę. Druga: jeśli będziesz znowu wychodził kiedykolwiek do sklepu lub na pocztę (a z kolei bardzo wątpię, byś robił to w najbliższej przyszłości), upewnij się, że dobrze schowałeś swój zeszyt przed ciekawskim okiem. Och, ale gdybyś upierał się przy skrytce w podłodze, powinieneś sprawdzać ją regularnie.

Szkoda, bo gdybyś nie zaczął z tą swoją tak zwaną biografią, czekałaby nas szczęśliwa przyszłość. Ale mimo że to napisałem, niczego nie żałuję. Myślę, że, jak mówią, wszystko wyszło nam na dobre.

Dla zachowania porządku chciałbym, żebyś wiedział o jednym.

Wbrew temu, co mogłeś usłyszeć od Levensona, kochałem po swojemu wszystkich tych chłopców ze szkoły. Ale mój związek z Chrisem nie zaczął się w ten sposób. Chris różnił się od reszty. Jego nie musiałem namawiać. W rzeczywistości to on wyszedł z inicjatywą. Widzisz, kochał mnie tak, jak żaden z pozostałych nie umiałby nigdy kochać.

Nie ma potrzeby pisać Ci, że po jego śmierci byłem zdruzgotany. Z drugiej strony nie mam zamiaru dać Ci satysfakcji poznania, jak bardzo mnie dotknęła, powiedzmy, że nigdy już nie byłem taki jak wcześniej. Oczywiście gdy odkryłem, co naprawdę się wydarzyło, nie mogłem opublikować książki. W rzeczywistości nie potrafiłem znieść jej widoku i dlatego ją spaliłem. Gdy patrzyłem na strony niknące w płomieniach i zmieniające się w popiół, poczułem rodzaj oczyszczenia, karę, jeśli wolisz tak to nazwać. W konsekwencji okazało się, że nie jestem w stanie napisać już niczego więcej. Nawet jednego słowa. Tak właśnie objawia się poczucie winy, jak wkrótce sam zapewne się przekonasz.

Wydaje mi się, że teraz czeka Cię jeszcze trochę pracy, jeśli chcesz odnaleźć manuskrypt, którego szukasz. Miłość nie okiem, lecz myślą ocenia[2]. Zastanów się nad tym.

Twój Gordon Crace

List wypadł mi z rąk na podłogę. Zrobiło mi się słabo, wyciekła ze mnie resztką energii, niemal zemdlałem. Kanalia, pieprzony drań. Czuję, jak wściekłość we mnie narasta, wyciągnąłem rękę i zrywałem obrazy ze ścian portego, rozbijałem szyby zakrywające ryciny i łamałem

[2] William Szekspir, *Sen nocy letniej*, przeł. Maciej Słomczyński.

ramy. Kulejąc, poszedłem do salonu i rzuciłem lampą w lustro nad kominkiem. Zobaczyłem samego siebie rozbitego na tysiące kawałków. Podniosłem jedną z książek leżących na podłodze i podarłem ją, rzucając w powietrze poszczególne strony. Zerwałem ze ściany obraz olejny i wbiłem pięść w płótno. Przeszedłem do kuchni, przewróciłem tam stół i cisnąłem krzesłem w okno. Kiedy szkło pękło, poczułem, jak wiatr wdarł się do środka i omiół całe pomieszczenie. Pokuśtykałem przez *portego* do sypialni Crace'a. Zerwałem zasłony znad jego łóżka, kopniakiem przewaliłem szafkę nocną, podarłem poduszki i pierze wypełniło pokój. Nie mogłem znieść widoku Madonny wpatrującej się we mnie łagodnymi oczami. Zdarłem obraz ze ściany i zniszczyłem go, waląc nim o kolano.

Kiedy dotarłem do jego gabinetu, byłem skonany, moja złość niemal się wypaliła. Zobaczyłem żalodne zwłoki Crace'a leżące na podłodze i choć miałem ochotę stłuc go na miazgę, poczułem, że łzy lecą mi po twarzy. Upadłem na kolana i łkałem nad jego trupem. Obrazy i strzępy rozmów z naszych wspólnie spędzonych miesięcy kołowały się w moich myślach. Nie jestem pewny, jak długo tkwiłem przy jego ciele, ale kiedy odzyskałem zdrowy rozsądek, jedno pytanie natrętnie tłukło mi się w głowie. Jeśli naprawdę zniszczył maszynopis *Nauczyciela muzyki*, o jakim manuskrypcie wspominał? Nie mogłem także zapomnieć ostatniego zdania jego listu. Czy odnosił się do mojej sytuacji z Elizą, czy też fikcji, którą stworzyłem i mu przeczytałem? Czyżby Crace dawał mi do zrozumienia, że odpowiedzi powinienem szukać we własnym zeszycie z notatkami?

Ocierając łzy, opuściłem gabinet i ponownie wróciłem do swojej sypialni. Wziąłem dziennik, na którego widok zrobiło mi się niedobrze, bo gardziłem każdym słowem, jakie w nim zapisałem. Oparłem się przemożnej pokusie, by podrzeć go kartka po kartce, i przerzucałem strony, szukając miejsca, gdzie pisałem o moim związku z Elizą oraz

szkicu o Richardzie i jego narastającej obsesji na tle byłej dziewczyny, Emmy. Przeczytałem zapiski, te z prawdziwych wydarzeń i te fikcyjne, ale niczego w nich nie znalazłem. To wszystko, kurwa, było stratą czasu, i tyle! Ale w chwili, gdy miałem cisnąć zeszytem przez pokój, przypomniało mi się coś, co usłyszałem od Crace'a. Obróciłem strony do początku zeszytu, do miejsca, w którym opisałem, jak zmyślnie podprowadziłem Crace'a, by dał mi kluczyk do skrzynki na listy. Kiedy szliśmy razem w stronę dziedzińca, wskazał ręką cherubina stojącego na szczycie korynckiej kolumny i powiedział tamto zdanie o miłości oceniającej nie okiem, lecz myślą.

Zmusiłem się do wstania i ruszyłem korytarzem. Omijałem kawałki szkła, zniszczone obrazy i połamane ramy, i przez *portego* dotarłem do szczytu schodów. Wyszedłem na deszcz, nocne niebo nadal oświetlały błyskawice. Zszedłem powoli po schodach, wspierając się na kutej balustradzie, byle znaleźć się bliżej posągu. Plastikowa torba była przywiązana do jego głowy szerokim bandażem elastycznym. Oczami wyobraźni zobaczyłem Lavinie z zakrwawionym czołem. Ponownie się tam znalazłem, w tamtą ciemną noc. Właśnie ją zabiłem, czułem wyraźnie na skórze dłoni, jak kamień rozłupuje jej czaszkę. Włożyłem jej torbę na głowę, żeby nie zabrudzić ubrania krwią. Odwróciłem się i poświeciłem latarką w stronę Lavinii, a jej usta nadal poruszały się pod plastikową powłoką, wypowiadając kilka niemych, niezrozumiałych słów.

Stałem na dziedzińcu, deszcz spływał mi po twarzy i całym ciele, drażnił zadrapania pokrywające skórę. Miałem nadzieję, że woda oczyści mnie z grzechów, pomoże zapomnieć o przeszłości. Na próżno. Chwyciłem torbę, oderwałem ją od bandaża i wróciłem schodami do *portego*. Choć byłem przemoczony do suchej nitki, nie chciałem tracić czasu na wycieranie się. Rozdarłem torbę i znalazłem w niej kolejną kopertę. Wyjąłem z niej krótki list, poplamiony teraz kroplami wody

skapującej mi z rąk i twarzy. Przeczytałem go.

Kochany Adamie!

No proszę, więc jednak okazałeś się spostrzegawczy, prawda? Czy zapisałeś wszystko, co powiedziałem? Czuję się zaszczycony uwagą, jaką mi poświęciłeś. Mam nadzieję, że nie rozczarowałem Cię pod żadnym względem.

A teraz jeszcze jedno, zanim zostawię Cię z Twoimi myślami. Egzemplarz książki znajdziesz ukryty przy moich zwłokach. Przyjemność sprawia mi wyobrażanie sobie, że będziesz mnie dotykał nawet po mojej śmierci. Zresztą nigdy nie wiadomo, może właściwie Tobie także będzie wtedy miło.

W przeciwieństwie do tego, co możesz myśleć, byłem bardzo zajęтым człowiekiem. Najczęściej pisałem nocą w łóżku, bazgrząc w starym notesie. Przepisywanie okazało się trochę nudne i dopiero co je ukończyłem. Nie chciałem jednak odejść bez zostawienia Ci czegoś do poczytania. Mimo wszystko tam, gdzie, jak przypuszczam, się znajdziesz, będziesz potrzebował czegoś do zabicia nudy.

Mam nadzieję, że materiał jest na tyle silny w wyrazie, że moi wydawcy nie będą przywiązywać wagi do fatalnego stanu rękopisu. Książkę kazałem Lucii wysłać pocztą, kiedy Cię nie było. Więc, jak widzisz, mimo wszystko do czegoś się przydała.

Nie wiem, jak Ci dziękować za to, co dla mnie zrobiłeś. Twoja pomoc okazała się nieoceniona. Myślę, że sam się przekonasz, jak bardzo jesteś fascynujący.

Żegnaj

Gordon Crace

Upuściłem list na podłogę i pobiegłem z powrotem do jego gabinetu. Kiedy skręcałem w korytarz, poślizgnąłem się. Spojrzałem na stopę. Krew z rany przesiąkała przez ręcznik, teraz przypominający czerwony zwój. Wyprostowałem się i ruszyłem dalej, wrzeszcząc i klnąc, zostawiając za sobą krwawą smugę przypominającą ślad ślimaka.

Mimo to ból w nodze był niczym w porównaniu z paniką, jaka we mnie narastała i tłukła się niczym szarańcza uwięziona w klatce z moich żeber. Nie mogłem złapać oddechu. Płuca mi się zasklepiły. Czułem się tak, jakbym połykał własny język.

Jaszczurze oczy Crace'a patrzyły ślepo z jego kredowobiałej twarzy, cienkie usta ułożyły się w nikły uśmiech, jakby postanowił, że to on będzie się śmiał ostatni. Czując obrzydzenie na samą myśl o dotykaniu jego zwłok, oparłem się o komodę. Ale wtedy nogi odmówiły mi posłuszeństwa i upadłem obok Crace'a. Poczulem, jak do skóry przylepia mi się jego krzepnąca krew. Zamknąłem oczy i przesuwając dłonie po jego pidżamie, zacząłem obmacywać kościstego trupa w poszukiwaniu ukrytego rękopisu. Krew z jego rany poplamiała mi palce, zostawiałem na nim kolejny rubinowy ślad. Wsunąłem ręce pod wymizerowane ciało, obróciłem go na brzuch i kontynuowałem przeszukiwanie, wyczuwając ostre zarysy kości, opiętych cienką zimną skórą na plecach. Kiedy skierowałem ręce w dół, ku jego krzyżowi, natrafiłem na coś twardego i czworobocznego, co tkwiło pod pidżamą. Wsunąłem rękę pod tkaninę.

Odsunąwszy dół pidżamy, zobaczyłem czarny notes, tkwiący za jakąś szmatą przywiązaną do jego bioder. Wyciągnąłem go jednym ruchem. I oto miałem rękopis, którego tak długo szukałem. Otworzyłem go. Na pierwszej stronie widniał tytuł *Kłamiwy język* nabazgrany niechlujnym charakterem pisma Crace'a. Kiedy zacząłem czytać, na papier spadło

kilka kropli krwi z moich dłoni. Ogarnął mnie przeraźliwy strach. Główny bohater miał na imię Adam. To była moja opowieść. To były moje słowa.

PODZIĘKOWANIA

Nie napisałbym tej książki bez wsparcia i miłości ze strony ludzi z mojego otoczenia, zwłaszcza rodziców i rodziny. Podziękowania muszę skierować także do mojej zawsze pełnej entuzjazmu agentki i przyjaciółki Clare Alexander, której intuicja i ocena nie mają sobie równych, oraz całego personelu Gillon Aitken, a zwłaszcza Sally Riley, Lesleya Thorne'a i Justina Gowersa.

Chciałbym również podziękować zespołowi Canongate Books w Wielkiej Brytanii, przede wszystkim zaś mojemu wspomniałemu redaktorowi Danowi Franklinowi oraz wybitnemu wydawcy Jamiemu Byngowi. W Stanach Zjednoczonych mam dług wdzięczności wobec wszystkich pracowników Atria Books i Simon & Schuster, a szczególne

słowa podziękowań należą się mojemu redaktorowi Peterowi Borlandowi i jego asystentowi Nickowi Simondsowi.

Dziękuję Gavanndrze Hodge – która przeczytała początkowy szkic powieści – Christopherowi Fletcherowi, Susan Shaw, Peterowi Parkerowi, Jonathanowi Gathorne-Hardy’emu, Mary Greene, Victorii Millar, Mike’owi Jonesowi, Frances Wilson, Christopherowi Stocksowi, Charlesowi Darwentowi i Ewie Gizowskiej. Dziękuję też Marcusowi Fieldowi – wiesz, jak wiele dla mnie znaczysz.

Ta powieść to wytwór wyobraźni, ale kilka źródeł okazało się dla mnie bezcennych, w tym:

Andrews K., *National Gallery of Scotland: Catalogue of Italian Drawings*, dwa tomy, Cambridge 1968.

Aretino P., *Selected Letters*, przekład na język angielski George Bull, Penguin Books, Londyn 1976.

Berenson B., *Venation Painters of the Ranaissance*, trzecie wydanie, Londyn 1907.

Garrett M., *Traveller’s Literary Companion to Italy*, In Print 1998.

Garrett M., *Venice: A Cultural and Literary Companion*, Signal Books, Oksford 2001.

Grundy M., *Venice: An Anthology Guide*, Lund Humphries Publishers, Londyn 1980.

Humfrey P., Clifford T., Weston-Lewis A., i Bury M., *The Age of Titian: Venetian Renaissance Art from Scottish Collections*, National Galleries of Scotland, Edynburg 2004.

Mazzariol G, i Dorigato A., *Venetian Palazzi*, Evergreen, Cologne 1998.

Newman J, i Pevsner N., *The Buildings of England: Dorset*, Penguin

Books, Londyn 1972.

Skinner B., *Andrew Wilson and the Hopetoun Collection*, „Country Life”, 15 sierpnia 1968, s. 370-372.

Steer J., *Venetian Painting*, Thames and Hudson, Londyn 1907, reprint 1970.

Vasari G., *Lives of the Artists*, przekład na język angielski George Bull, Penguin 1971.